

Shusaku Endo  
Samuraj

Przełożył i posłowiem opatrzył Mikołaj Melanowicz  
Instytut Wydawniczy PAX  
Warszawa 1987

## Rozdział I

Zaczął padać śnieg.

W ciągu dnia wątłe promienie, sączące się przez pęknięcia w chmurach, oświetlały kamieniste dno rzeki, przed zachodem słońca niebo pociemniało i nagle zrobiło się cicho. Kilka płatków z kołysaniem opadło ku ziemi. Musnęły robocze ubranie Samuraja oraz jego pracowników ścinających drzewa, dotknęły ich twarzy i rąk, i stopniały, jak gdyby skarżąc się na nietrwałość życia. Wszyscy w milczeniu nadal machali siekierami, śnieg zaczął sypać gęściej. Jednocześnie pojawiła się wieczorna mgła i przesłoniła widoczność szarą smugą.

Samuraj i jego ludzie przerwali wreszcie pracę i zarzucili na plecy wiązki drewna. Zbierali je na opał, przygotowując się do nadchodzącej zimy. Śnieg prószył im w czoła, kiedy tak szli jeden za drugim jak mrówki, wzdłuż koryta rzeki, w stronę Doliny.

Na dnie Doliny otoczonej wzgórzami leżały trzy wioski. Domy stały tyłem do zboczy, a frontem do pola, aby z mieszkania można było obserwować wchodzących do wsi obcych. Kryte strzechą chaty stały jedna przy drugiej, jakby je ktoś siłą stłoczył, a w każdej wisiały pod sufitem bambusowe siatki, na których suszono drewno na opał i miskanty. Panowała tu ciemność i zaduch jak w oborze.

Samuraj znał każdy kąt w tych wioskach. Jego rodzina otrzymała je wraz z ziemią od wielmożnego pana jeszcze za życia ojca. Teraz jest naczelnikiem rodu, dlatego zawsze, gdy przyjdzie rozkaz, musi zebrać odpowiednią liczbę chłopów na roboty dla pana, a w razie wojny pospieszyć z drużyną do zamku swego protektora, wielmożnego Ishidy.

Dwór Samuraja był oczywiście znaczniejszy niż chłopska chata: po prostu składał się z kilku budynków tak samo krytych strzechą. Od chaty chłopskiej różniło go więc tylko kilka spichrzy i duża stajnia, a ponadto wał ziemny wokół zabudowań, choć nie było to miejsce obronne. Co prawda na północnym wzgórzu pozostały jeszcze ruiny warowni, należącej kiedyś do panującego dawniej nad tym terenem samuraja, którego pokonał i unicestwił wielmożny pan, lecz teraz, gdy skończyły się wojny w całej Japonii, a wielmożny pan został najpotężniejszym księciem daimyo w prowincji Michinoku, rodzina Samuraja nie potrzebowała już tego rodzaju umocnień. Ponadto tutaj, mimo różnicy stanu, Samuraj również pracował w polu i wypalał węgiel drzewny w górach razem ze swoimi parobkami. Podobnie jego żona pomagała kobietom zajmować się koźmi i bydłem. Z trzech wiosek musiał Samuraj płacić panu podatek w wysokości sześćdziesięciu pięciu kan na rok, z czego sześćdziesiąt od pól ryżowych, a pozostałe pięć kan z innych upraw.

Od czasu do czasu porywy wiatru unosiły śnieg, a na długiej drodze pozostawały ślady Samuraja i parobków. Wszyscy kroczyli jak grzeczne cieleta, bez wypowiedania zbędnych słów. Gdy dotarli do drewnianego mostku, zwanego Pod Dwoma Cyprysami, Samuraj dostrzegł tuż przed sobą Yozo, stojącego niby posąg Buddy pośród pól, z pobielaną od śniegu głową.

- Przybył pana stryj. - Samuraj kiwnął głową, zdjął z pleców wiązkę drew i położył u stóp Yozb. Miał wystające kości policzkowe, głęboko osadzone oczy i podobnie jak chłopów czuć go było ziemią. Niewiele też mówił i tak samo jak chłopci rzadko wyrażał swoje uczucia. Był naczelnikiem rodu, lecz robiło mu się ciężko na duszy, gdy przychodził tu stary stryj. Chociaż został spadkobiercą i głową rodu Hasekura po śmierci ojca, to jednak przed podjęciem ważnych decyzji zawsze naradzał się ze stryjem. Stryj walczył z ojcem Samuraja w kilku bitwach prowadzonych przez wielmożnego pana. Kiedy Samuraj był jeszcze dzieckiem, stryj siadywał przy ciepłym od ognia palenisku i z zaczerwienioną alkoholem twarzą powtarzał: "Roku, Roku! Patrz patrz!" - i pokazywał bladobrazowe szramy na udzie. Stanowiły powód dumy stryja. Były to chyba ślady po ranie odniesionej podczas bitwy pod Suriagehara, stoczonej przez wielmożnego pana z rodem Ashina.

Od czterech czy pięciu lat stryj jest już bardzo słaby; gdy czasami zjawia się w dworku, pije sake i wciąż narzeka. Odchodzi do domu dopiero po wypowiedzeniu wszystkich swoich żalów, idzie ciągnąc za sobą jak pies ranną prawą nogę.

Zostawiwszy parobków, Samuraj poszedł pod górę ku domowi. Na tle szarego ogromnego nieba wirowały płatki śniegu, a zabudowania dworku rysowały się niby czarna twierdza. Gdy mijał stajnię, poczuł woń końskiego łajna zmieszana z zapachem słomy - widocznie koń rozkopał podściółkę, kiedy po krokach poznał swego pana. Samuraj zatrzymał się przed wejściem do domu i dokładnie otrzepał ze śniegu. Stryj siedział przy palenisku irori z wyprostowaną, kaleką prawą nogą, odsuniętą w bok, i grzał sobie ręce przy ogniu, a dwunastoletni, najstarszy syn Samuraja potulnie dotrzymywał mu towarzystwa.

- To ty, Roku?

Stryj zwrócił się do Samuraja i przyciskając rękę do ust zakaszłał, jakby zakrztusił się od dymu. Kanzaburó natomiast, najstarszy syn, zobaczywszy ojca, uklonił się i uciekł do kuchni wybawiony od towarzystwa stryja. Dym unosił się wzdłuż wieszadła jizaikagi w górę do sufitu osmolonego sadzą. I w czasach ojca, i w pokoleniu Samuraja na tym poczerniałym od dymu miejscu podejmowano ważne decyzje w czasie zebrań, rozstrzygano też spory wieśniaków.

- Byłem w Nunozawie i spotkałem się z panem Ishidą. - Stryj znów lekko zakaszłał. - Pan Ishida zakomunikował, że nie otrzymał z zamku żadnej wiadomości w sprawie ziemi Kurokawa.

Samuraj nic nie odpowiedział, wziął do ręki suchą gałąź z kupki leżącej obok paleniska i zaczął łamać ją na kawałki. Słuchając trzasku pękających gałęzi, łatwiej znosił zawsze te same skargi stryja. Nie dlatego milczał, że nie czuł nic i o niczym nie myślał, po prostu nie miał zwyczaju pokazywać na twarzy tego, co czuje, nie lubił też się sprzeciwiać. Jednak tym bardziej ciążyły mu na sercu opowieści stryja o dawno minionej przeszłości, z którą nie chciał się rozstać.

Wielmożny pan, który przed jedenastu laty zbudował nowy zamek i miasteczka,

a także dokonał nowego nadziału ziem lennych, rodzinie Samuraja przyznał tę dolinę i trzy wioski, zamiast ziem Kurokawa zamieszkiwanych przez jego ród od pokoleń. Przeniósł ich więc z dawnych włości w znacznie biedniejszą, dziką okolicę podobno w tym celu, aby zagospodarowali nieużytki, lecz ojciec Samuraja przyczynę przeniesienia wyjaśniał po swojemu. Oto kiedy kanclerz Hideyoshi zapewnił sobie podległość wielmożnego pana, niezadowolone z tej zmiany rody Kasai, Ozaki i inne zbuntowały się przeciw panu, a wśród buntowników znalazło się też kilku dalekich krewnych ojca Samuraja. Ponieważ ojciec ich ukrył i pozwolił im uciec, kiedy zostali pokonani w walce, wielmożny pan musiał to sobie dobrze zapamiętać i dlatego zamiast Kurokawy dał mu te nieużytki. Tak przynajmniej myślał ojciec Samuraja.

Wrzucane do ognia suche gałęzie trzaskały, jakby podkreślając niezadowolenie ojca i stryja z powodu takiego do nich stosunku ich pana. Otworzyły się drzwi od kuchni: Riku, żona Samuraja, przyniosła sake i pastę miso na suchych liściach dębu i postawiła cicho przed mężczyznami. Spojrzała na twarz stryja i na męża w milczeniu łamiącego gałęzie i chyba od razu zrozumiała, o czym przed chwilą rozmawiali.

- Wiesz, Riku - stryj zwrócił się do niej - będziemy musieli chyba dłużej pomieszkać w tej dzikiej Dolinie.

"Dzika dolina" znaczy w miejscowym języku porzucone ugory. Płynie w niej rzeczka pełna kamieni, zbiory są tu raczej nikłe, trochę więcej zbiera się gryki, prosa i rzepy. Przy tym zima przychodzi tu wcześniej, zaś chłód jest bardziej przejmujący. Cała Dolina, a także wzgórza i lasy pograżają się wtedy w bielu-sieńkim śniegu, ludzie przyczajają się w chatach, wstrzymując oddechy, i przez długie noce, słuchając gwizdania wiatru, czekają na wiosnę.

- Gdyby była wojna... Gdyby wybuchła wojna, moglibyśmy się zasłużyć i dostać w nagrodę więcej ziemi.

Pocierając ręką wychudłe kolano stryj powtarzał- te same skargi. Lecz czasy, w których wielmożny pan całe dni spędzał na wojnie, dawno minęły. Dziś wszystkie posiadłości na wschodzie, z wyjątkiem prowincji zachodnich, są pod władzą wielkiego pana Tokugawy, więc nawet nasz wielmożny pan, najpotężniejszy książę w pół-nocno-wschodniej prowincji, nie może posługiwać się należącym doń wojskiem wedle woli czy kaprysu.

Samuraj i jego żona łamią gałęzie i słuchają nie mających końca pretensji stryja, który próbuje stłumić wielkie niezadowolenie piciem sake i opowieściami o własnym męstwie. Te opowieści i żale słyszeli od niego już wiele razy. Dla starego człowieka były spleśniałym pokarmem, niezbędnym jednak do życia.

Około północy odprowadzili stryja dwaj słudzy. Gdy otworzono drzwi, ukazało się w nich światło księżyca, sączące się przez wyrwy w chmurach. Śnieg przestał padać. Pies czekał, dopóki stryj nie zniknął mu z oczu.

W Dolinie bardziej lękano się głodu niż wojny. Żyli jeszcze starzy ludzie, którzy pamiętali klęskę spowodowaną przez chłody wiele lat temu.

Podobno owego roku zima była zdumiewająco lekka, wciąż przypominała wiosnę, a góry na północnym zachodzie bez przerwy zasnuwała mgła. Wiosna się skończyła, przyszła pora deszczowa i deszcze padały dłużej niż zwykle, nawet w lecie było codziennie tak chłodno, że rano i wieczorem nie można

było wytrzymać bez ubrania. Na polach pędy w ogóle się nie rozwijały, a wiele roślin zwarzył ziąb.

Skończyła się żywność. Wieśniacy w Dolinie jedli zebrane w górach korzenie maranty, łupiny ryżu, słomę, strączki po soi przeznaczone dla koni. I to się skończyło, musieli więc zabijać nawet konie będące największym dla nich skarbem, jeść psie mięso, korę z drzew i zielska, aby nie umrzeć z głodu. Gdy już wszystko zjedli, zaczęli opuszczać wioskę w poszukiwaniu żywności; każdy szedł w inną stronę, rodzice rozstawali się z dziećmi, mężowie z żonami. Niektórzy z głodu umierali w drodze, nawet nie miał ich kto grzebać. Zmarłych rozszarpały bezdomne psy, dziobały kruki i wrony.

Na szczęście, od czasu przejęcia nowego lenna rodzina Samuraja nie doświadczyła głodu, lecz ojciec Samuraja kazał wszystkim w wioskach napełniać słomiane worki kasztanami, żołędziami, prosem w kłosach i przechowywać w domu pod powałą. Samuraj widzi te worki w każdym domu i przypomina sobie spokojną twarz ojca znacznie mądrzejszego od prostodusznego stryja.

Jego ojciec z podobną tęsknotą wspominał tłustą ziemię przodków. Mówił: "Gdybyśmy byli w Kurokawie, moglibyśmy przeżyć nawet lata nieurodzaju". Jest tam bowiem równina dająca obfite plony pszenicy przy niewielkim wysiłku. W tej zaś dzikiej Dolinie zbiera się głównie grykę, proso i rzepę, których nie zawsze wystarcza do codziennego posiłku. Przede wszystkim trzeba z tego zapłacić podatki wielmożnemu panu. W domu Samuraja bywały przecież takie dni, kiedy do potrawy z pszenicy czy prosa dodawano liście rzepy. Chłopi jadają też japońskie odmiany dzikiego czosnku.

Mimo to Samuraj, wbrew żalom ojca czy stryja, nie czuł niechęci do tej nieurodzajnej Doliny. Była to bowiem ziemia, nad którą po raz pierwszy po śmierci ojca sprawował władzę jako naczelnik rodu. Podobnie jak on, również chłopi o zapadniętych oczach i wystających kościach policzkowych, w milczeniu, od rana do nocy, pracowali jak woły, nie kłócili się i nie walczyli między sobą. Orząc chudą ziemię, płacili podatki bez opóźnień, nawet jeżeli musieli zmniejszyć własne racje żywnościowe. Rozmawiając z chłopami, Samuraj zapominał o różnicy stanu, czuł, że coś go z nimi łączy. Uważał, że jedyną jego zaletą była cierpliwość, a tymczasem chłopi byli od niego bardziej cierpliwi i wytrwali.

Niekiedy Samuraj zabierał swego najstarszego syna na górę leżącą na północ od dworku, gdzie w gęstych zielskach pozostały ślady po twierdzy zbudowanej przez samuraja, który kiedyś rządził na tych terenach; w wyschniętej fosie ukrytej w zaroślach i na zasypanym liśćmi wale można było znaleźć spalone ziarna ryżu lub skorupy ceramicznych misek. Ze szczytu góry, gdzie szumiał wiatr, spoglądali na Dolinę i osady chłopskie. Na przepętniające smutkiem biedne pola. Na wioski jakby siłą wduszone między wzgórze.

"Ale to moja ziemia" - szeptał w duchu Samuraj.

Jeśli nie będzie wojny, nie pozostanie mu nic innego jak spędzić tu całe życie. A kiedy on umrze, jego syn zostanie naczelnikiem rodu i powtórzy ten sposób egzystencji. Ani rodzice, ani dzieci nie rozstaną się z tym miejscem do śmierci.

Czasami chodził na bagna łowić ryby ze służącym Yozó. Tam też późną jesienią, w ciemnej gęstwinie trzcin, zobaczył pośród brązowych kaczek wodnych trzepocące skrzydłami trzy albo cztery białe ptaki o długich

szyjach. Te ptaki, zwane tu "białymi ptakami", przyleciały zza morza, z dalekich mroźnych krajów. Odlatują na początku wiosny, z rozmachem uderzając skrzydłami i szybując po niebie nad Doliną. Gdy Samuraj przyglądał się tym ptakom, nieraz myślał, że znają taki kraj, którego nigdy w życiu nie odwiedzi, jednak im nie zazdrościł.

Przyszło wezwanie od pana Ishidy. Samuraj musiał się stawić w Nunozawie, ponieważ jego protektor pragnął z nim o czymś porozmawiać.

W dawniejszych czasach ród Ishidy często występował przeciw przodkom obecnego wielmożnego pana, ale teraz pan Ishida jest bogatym wasalem piastującym u niego stanowisko członka Rady Klanu.

Zabrał ze sobą Yozo i wczesnym rankiem opuścił Dolinę, a około południa dotarł do Nunozawy. Padał deszcz z gradem. Na wodzie, w fosie zamku otoczonego murem, pojawiały się, to znów znikwały, liczne kręgi. Po krótkim odpoczynku w przedpokoju spotkał się z panem Ishidą.

Nieco otyły pan Ishida, ubrany w haori, usiadł i uśmiechnął się do Samuraja, pochylonego w pokłonie, przyciskającego obie ręce do czarnych wypolerowanych desek podłogi, następnie zapytał, o zdrowie stryja i rzekł śmiejąc się:

- Niedawno był tutaj i znów narzekał.

Samuraj nisko pochylił głowę i przeprosił za to. Zawsze, kiedy ojciec czy później stryj prosił o zmianę decyzji i przywrócenie im lenna w Kurokawie, pan Ishida przysyłał pisma do zamku. Później Samuraj dowiedział się od Ishidy, że napłynęło tam wiele innych tego rodzaju petycji, które po prostu gromadzono w celu rozpatrzenia przez Radę Seniorów. Wiadomo, że dopóki nie zajdą szczególne okoliczności, wielmożny pan najprawdopodobniej nie uwzględni tej petycji.

- To prawda, dobrze wiem, co starzec czuje.

Pan Ishida zmaszał uśmiech z twarzy i powiedział akcentując słowa:

- Wojny nie będzie. Naifu zamierza skoncentrować siły w okolicy Osaki, a nasz pan będzie wykonywać jego wolę.

"Specjalnie mnie wezwał, żeby tylko tyle powiedzieć?" - zastanawiał się Samuraj. Może rzeczywiście chciał go pouczyć, że już nie ma sensu wysyłać petycji.

Smutkiem przepełniła się jego pierś. On już przywiązał się do Doliny, ale nawet przez jeden dzień nie zapomniał ziemi przesyconej potem i wspomnieniami jego przodków. Teraz, kiedy usłyszał od pana Ishidy, że musi zrezygnować z nadziei powrotu do Kurokawy, pod powiekami ukazała się smutna twarz zmarłego ojca. Pojawiła się też rozżalona mina stryja.

- Wiem, nie będzie to łatwe, ale musisz o tym przekonać starca.

Ludzie w tym wieku nie mogą w ogóle pojąć zmian zachodzących w świecie. - Z prawdziwym współczuciem popatrzył Ishida na Samuraja siedzącego ze spuszczonej oczyma. - Rada Seniorów zwraca się nie tylko do twojej rodziny, aby zrezygnowała z dawnych ziem. Wielu innych szeregowych samurajów skierowało petycje o przyznanie praw do ich pierwotnych włości i dlatego członkowie rady mają wiele trudnych spraw do załatwienia. Gdyby słuchali egoistycznych żądań wszystkich, rozpadłby się cały system przydziału lennych ziem.

Samuraj słuchał pana Ishidy trzymając ręce na kolanach i patrząc w dół.

- Ale wezwałem cię tu z innego powodu. - Ishida niespodziewanie zmienił temat, jakby chcąc uniknąć rozmowy o ziemiach w Kurokawie. - Wkrótce

nadejdą nowe rozkazy w sprawie prac publicznych. I być może wtedy będę miał dla ciebie specjalne instrukcje. Pamiętaj o tym.

Samuraj nie rozumiał, dlaczego rozmówca przekazał mu tę informację. Gdy pochylił głowę w ukłonie, chcąc wyjść, Ishida powiedział, że może jeszcze pozostać, a następnie opowiedział o dużym ruchu w Edo. Oto ubiegłego roku kilku książąt otrzymało zadanie budowy zamku Edo, również wielmożny pan przyjął część obowiązków, ostatnio do Edo udają się na zmianę tacy wielcy panowie jak Ishida, Watari, Shiraishi i inni.

- W Edo zaostrzyło się polowanie na chrześcijan. W powrotnej drodze widziałem nawet więźniów prowadzonych przez miasto.

Samuraj wiedział, że Naifu, który jest ojcem obecnego shoguna, powtórzył zakaz szerzenia chrześcijaństwa na terenie podlegającym bezpośrednio administracji shoguna. Dlatego wierni, których wypędzono, przenoszą się do prowincji południowych i północno-wschodnich, gdzie nie ma zakazu, słyszał też, że pracują nawet w kopalniach złota na ziemi wielmożnego pana.

Więźniowie, których oglądał Ishida w Edo, prowadzeni na miejsce kaźni, jechali na roboczych koniach oznakowanych papierowymi proporcami, wlekli się z ulicy w ulicę przez całe miasto, rozmawiali ze znajomymi stojącymi wśród gapiów i nie wyglądali na szczególnie przerażonych śmiercią.

- Byli wśród nich również padres z krajów południowych barbarzyńców. Czy spotkałeś już chrześcijan lub padresl

- Nie, nie spotkałem.

Słuchając opowiadania pana Ishidy, Samuraj nie przejął się losem uwięzionych. Chrześcijaństwem w ogóle się nie interesował. Te sprawy nie miały związku z zasypaną śniegiem Doliną, w której żył. Mieszkaniec tej Doliny umrze nie zobaczywszy zapewne nigdy chrześcijanina zbiegłego z Edo.

- Ciężko ci będzie wracać podczas deszczu.

Pan Ishida żegnał się z ojcowską troskliwością. Pod dworem na Samuraja czekał okryty słomianym kapturem, zmoczony chłodnym deszczem, wierny jak pies Yozó. Ten służący, starszy od niego o trzy lata, wychowywał się w domu Samuraja od urodzenia i pracował dla jego rodziny cały czas.

Siedząc na koniu Samuraj powracał do Doliny i wyobrażał ją sobie w nocy.

Śnieg sprzed kilku dni jest już ścięty mrozem i bieleje w mroku, a chaty pogrążone w ciszy wyglądają jak wymarłe. Riku i kilkoro domowników jeszcze nie śpią, czekają na niego przy ognisku.

Pies zaszczekał usłyszawszy kroki. W stajni cuchnącej mokrą słomą przebudzony koń przestąpił z nogi na nogę.

Woń mokrej słomy wypełniała więzienie, w którym siedział Misjonarz. Z tą wonią mieszał się zapach ciał trzymany tu wiernych oraz smród moczu, chwilami bardzo ostro drażniący nozdrza.

Od wczoraj rozważał stopień prawdopodobieństwa śmierci i szansę na uwolnienie. Rozważał na zimno, jak kupiec sprawdzający, który z dwu talerzy złotego piasku jest cięższy. Jeśli się uratuje, to będzie znaczyło, że po prostu jest jeszcze potrzebny politykom tego kraju. Do dziś władcy Japonii posługiwali się Misjonarzem jako tłumaczem, gdy przybywali posłowie z Manili; w Edo nie ma już misjonarzy tak dobrze znających język japoński jak on. Jeśli chciwi Japończycy chcieliby prowadzić korzystny handel z Manilą czy leżącą po przeciwnej stronie Pacyfiku Nową Hiszpanią, nie powinni chyba rezygnować z niego, był przecież pomostem w negocjacjach. "Umrę, jeśli taka będzie wola Pana." Misjonarz uniósł dumnie głowę jak jastrząb. "Lecz Ty,

Panie, dobrze wiesz, jak bardzo jestem potrzebny Kościołowi w Japonii." Tak, to prawda. Podobnie jak władcy tego kraju, również Pan go potrzebuje. Gdy o tym myślał, triumfalny uśmiech pojawił się na jego twarzy. Misjonarz był pewien swych zdolności. Będąc prowincjałem na okręg Edo z ramienia Zakonu Pawła uważał, że niepowodzenie w szerzeniu chrześcijaństwa w Japonii jest rezultatem błędów Zakonu Piotra, który we wszystkim przeciwstawiał się jego zakonowi. Kapłani Zakonu Piotra mieli skłonności polityczne we wszystkich poczynaniach, ale naprawdę na polityce się nie znali. Przez sześćdziesiąt lat szerzyli chrześcijaństwo, w końcu uzyskali władze kościelne z prawem do niezależnej polityki i sądownictwa na tym wydzielonym terenie w Nagasaki, tym też zaniepokoiли przywódców Japonii i zasiali w nich ziarna nieufności.

"Gdybym był biskupem Japonii, nie pozwoliłbym na takie głupie postępowanie. Gdybym był biskupem..."

Ledwie te słowa w duchu ukształtował, już się zaczerwienił jak panienka. Spozrzegł bowiem, że w jego sercu pycha i próżność zachowały się pod zmienioną postacią. W tym pragnieniu zostania biskupem, który by otrzymał od Watykanu pełną samodzielność i byłby odpowiedzialny za działalność misyjną w Japonii, kryły się jego osobiste ambicje.

Ojciec Misjonarza był wpływowym członkiem Rady Miejskiej Sewilli, ponadto jego ród wydał gubernatora Panamy. Również przewodniczącego sądu inkwizycyjnego. Jego dziadek brał udział w podboju Indii Zachodnich. Lecz dopiero po przybyciu do Japonii Misjonarz odkrył, że ma odziedziczony talent różniący go od zwykłych kapłanów. Mógłby stanąć przed Naifu czy shbgunem jak równy z równym, zrozumiał też, że potrafi odczytać myśli przebiegłych doradców shōguna i przekonać ich o swej słuszności.

Z żalem musi przyznać, że wskutek nacisków ze strony Zakonu Piotra nie dano mu wielkiego pola do działania i wykazania się talentem, jaki otrzymał w dziedzictwie po przodkach. Członkowie Zakonu Piotra nie potrafili manipulować Hideyoshim czy Naifu i nie udało im się poskromić buddyjskich prałatów, którzy zagnieździli się na zamku w Edo, a przeciwnie - posiali ziarno niechęci i podejrzeń w sercach osobistości, a ponieważ wiedział o tym, trudno mu było oprzeć się pragnieniu zostania biskupem, choć jednocześnie wstydził się swych ambicji.

"Szerzenie nauki Chrystusa w tym kraju jest walką. A w walce niedołężny dowódca powoduje tylko niepotrzebny przelew krwi."

I dlatego myślał, że musi pozostać w tym kraju i przeżyć. Kiedy się ukrywał, słyszał o aresztowaniu pięciu chrześcijan, lecz jego nie spotkał wtedy ten los właśnie dlatego, że miał dopełnienia misję.

"Ale jeśli Pan mnie nie potrzebuje..." Zawał zdrętwiałe nogi. "Wezwij mnie, proszę, w kazi najlepiej, że nie jestem przywiązany do własnego.

Coś czarnego i miękkiego przesunęło się - drapał. Szczur. Również gdy spał, szczury nocą gryzły coś, popiskując w kącie małej celi. Zbudzony ich głosem Misjonarz cicho zaintonował Modlitwę Pańską za pięciu wiernych, których już prawdopodobnie zamęczono na placu kaźni. Odmawiając modlitwę próbował złagodzić wyrzuty sumienia dręczące go z powodu konieczności opuszczenia współwyznawców.

Z daleka usłyszał odgłos kroków, podciągnął nogi i usiadł wyprostowany. Nie chciał się pokazać w niedbałej pozycji nawet roznosicielowi strawy. Nie mógł sobie pozwolić na to, aby Japończycy wyśmiewali jego niewłaściwe

zachowanie, choćby nawet w więzieniu.

Kroki powoli się zbliżały. Pomyślał, że powinien się uśmiechnąć. Słuchając zgrzytu klucza w zamku, ułożył wargi do uśmiechu. Zawsze pragnął móc się uśmiechać, nawet w obliczu śmierci.

Drzwi otworzyły się ze skrzypieniem, na mokrą ziemię padły promienie światła jak roztopiony ołów. Mrużąc oczy Misjonarz zwrócił w tę stronę uśmiechniętą twarz i zamiast strażnika ujrzał dwu urzędników w kimonach.  
- Wychodź!

Kiedy jeden z nich wydał rozkaz tonem wyższości, w głowie Misjonarza przemknęło słowo "zwolnienie" wraz z cieniem radości.

- Dokąd prowadzicie? - zapytał swobodnym głosem zachowując na twarzy uśmiech, choć nogi pod nim drżały. Urzędnicy wyraźnie w złym humorze szli bez słowa przed siebie kołysząc ramionami. Ten specjalnie japoński, fanfaronowaty sposób chodzenia wydał się Misjonarzowi teraz, gdy już był pewniejszy zwolnienia, dziecinnie śmiesznym gestem.

- Patrz! - Nagle urzędnik zatrzymał się, odwrócił i wskazał podbródkiem podwórze widoczne przez okno korytarza. Na podwórzu, z którego zaczęło znikać słońce, leżały maty, stały naczynia z wodą i dwa stoły obok siebie.

- Wiesz, co to jest? - Ten drugi zaśmiał się pogardliwie i pokazał wyprostowanymi palcami gest odcinania głowy. - Spójrz no tam! - Popatrzył z zadowoleniem na drętwiejącego Misjonarza. - On drży! Ten barbarzyńca.... - dodał.

Misjonarz zacisnął palce obu rąk, żeby opanować wezbrane uczucie wstydu i gniewu. Przez te dwa dni mali urzędnicy japońscy często go straszili, lecz trudno było dumnemu Misjonarzowi znieść myśl o tym, że tym razem odkrył przed nimi swą przerażoną twarz. Drżenie kolan nie ustawało do chwili wyprowadzenia go na zewnątrz i wejścia do budynku naprzeciwko. Zapadł już zmierzch, w opustoszałym budynku nie było śladu obecności człowieka. Kazali mu usiąść na chłodnej podłodze, czarnej i błyszczącej, w jakimś pokoju; jeden z urzędników odszedł.

a wtedy Misjonarz zachłysnął się radością jak dziecko jedzące ukradkiem, zachłysnął się radością nadziei zwolnienia.

"No widzisz, tak jak myślałem" - pomyślał, gdy zniknęło uczucie wstydu, w zamian powróciła pewność siebie, ponieważ w przewidywaniach nie popełnił błędu.

"To prosta sprawa czytać w myślach Japończyka."

Wiedział o tym, że Japończycy bez względu na to, czy to im się podoba, czy nie, zostawią go przy życiu, ponieważ może być im użyteczny, poza tym jego umiejętności jako tłumacza są wciąż niezbędne przywódcom tego kraju, zaślepionym myślą o zyskach z handlu. Dlatego pozwolą Misjonarzowi zamieszkać w tym mieście, chociaż Naifu i shōgun nie lubią chrześcijan. Naifu pragnął mieć jeszcze jeden port dla handlu z odległymi krajami, nie gorszy od Nagasaki. Zwłaszcza pragnął stosunków handlowych z Nową Hiszpanią, leżącą daleko za oceanem, wysłał nawet wiele pism do gubernatora Hiszpanii w Manili. Nieraz wzywano Misjonarza do zamku Edo w celu tłumaczenia tych listów na hiszpański i odpowiedzi - na japoński.

Naifu widział tylko raz. Towarzyszył właśnie poselstwu z Manili do Edo i wtedy ujrzał zmęczonego starca siedzącego na krześle wysłanym wełwetem w mrocznej sali audiencyjnej. Starzec nic nie mówił, słuchał z miną bez wyrazu rozmowy między radcami a posłami, bez wyrazu patrzył na dziwne



.przedmioty przywiezione mu w darze. Jednak ta twarz i obojętne oczy później wiele razy powracały we wspomnieniu Misjonarza i wywoływały uczucie bliskie strachu. Tym starcem był Naifu, ojciec panującego shbguna; jego twarz była po prostu twarzą polityka - myślał Misjonarz.

Rozległy się kroki w korytarzu, uszu siedzącego z pochyloną głową Misjonarza dotknął suchy szelest szat.

- Pan Yelasco.

Podniósł głowę: Goto Shózaburó, radca handlowy rządu, znany Misjonarzowi z widzenia, siedział na podwyższeniu, a dwaj urzędnicy obok na deskach podłogi. Goto przyglądał mu się z poważną miną, właściwą Japończykom, następnie westchnął i rzekł:

- Możesz iść. To była pomyłka urzędników.

- Rozumiem.

Misjonarz był dumny z siebie. Zadowolone oczy skierował w stronę urzędników, którzy go urazili. Spojrzenie przypominało gest towarzyszący rozgrzeszeniu, jakie dawał swoim wiernym.

- Ale... panie Velasco - znów zaszeleściły szaty, gdy pan Goto wstawał z surową miną - wiesz, że w Edo nie masz prawa mieszkać jako chrześcijański pUdre. I teraz nie wiadomo, co by się stało, gdyby nie wstawiennictwo pewnej osobistości.

Radca handlowy dał do zrozumienia, że Misjonarz potajemnie odwiedza wiernych. Co innego na terenach władanych przez księcia, ale w prowincjach bezpośrednio podległych Naifu obowiązuje surowy zakaz budowy kościołów i uprawiania chrześcijańskich praktyk religijnych. W tym wielkim mieście mieszka teraz jako tłumacz, a nie kapłan.

Gdy zniknął Goto, dwaj urzędnicy otwarcie manifestując niezadowolenie brodami wskazali Misjonarzowi inne wyjście.

Zapadła noc.

Włożono go do lektyki i zaniecono do jego mieszkania w Asakusie. Zagajnik czerniejący na tle nocnego nieba był drogowskazem. Tam właśnie grupy trędowatych wyrzutek założyły osady, a przed dwoma laty zbudowano też mały szpital Zakonu Pawła. Szpital zburzono, lecz Velasco pozwolono zamieszkać w ocalałym szałasie wraz z młodszym zakonikiem Diego i z pewnym Koreańczykiem.

W obecności Diego i Koreańczyka, którzy ze zdumieniem powitali jego nagły powrót, jadł łączywie ryż i suszone ryby. W pobliskim lasku głośno zakrzyczał ptak.

- Nikogo innego Japończycy nie zwolniliby tak szybko, prawda? - szepnął brat Diego usługując jedzącemu, lecz Misjonarz tylko się uśmiechał. W duchu powoli delektował się smakiem satysfakcji i triumfu.

- To nie Japończycy mnie zwolnili - powiedział z wyrazem ni to skromności, ni to pychy, jakby pouczając brata Diego. - Pan czegoś żąda ode mnie. Łaskawie mnie zwolnił, abym mógł wypełnić Jego wolę.

"O, Panie!" - Misjonarz modlił się w duchu, spożywając posiłek. - "Nic nie czynisz po próżnicy. Dlatego zostawiłeś mnie przy życiu. Panie." Nie spostrzegął, że i w tej modlitwie kryło się uczucie pychy, niewłaściwe kapłanowi.

Trzy dni później Misjonarz wziął ze sobą Koreańczyka i wyruszył do domu radcy handlowego. Ponieważ ten wysoki urzędnik japoński lubił wino, nie zapomnieli zanieść mu kilku butelek mszalnego.

Mimo że radca handlowy miał gościa, nie kazał im czekać na siebie, lecz wprowadził do swego pokoju, a widząc Misjonarza skinął głową w jego stronę i dalej prowadził rozmowę z gościem; widocznie chciał, aby Misjonarz mógł ją słyszeć.

Podczas narady wymienili miejscowości Tsukinoura i Shiogama. Mówili na przykład, że Tsukinoura będzie ważniejszym portem od Nagasaki. Radca handlowy mówił wolno, a jego partnerem był starszy i nieco otyły mężczyzna. Misjonarz patrząc obojętnie na ogród uważnie przysłuchiwał się rozmówcom. Dzięki wiedzy nabytej w czasie tłumaczenia, rozpoznawał niejasne tło tematu tej konwersacji.

Naifu od kilku lat szukał we wschodniej Japonii portu, który mógłby rywalizować z Nagasaki. Z punktu widzenia polityki wewnętrznej Nagasaki znajduje się zbyt daleko od wschodniej Japonii, rządzonej przez Naifu, i gdyby potężni książęta z Kiusiu zbuntowali się, mogliby z łatwością ten port odebrać. Ponadto wśród potężnych książąt na Kiusiu jest pan Shimazu, a także pan Kató, skłaniający się ku klanowi Toyotomich z Osaki, który nie poddał się jeszcze wpływowi Naifu. Naifu nie był również zadowolony, że wszystkie statki z Manili czy Macao gromadziły się w porcie Nagasaki. Pragnąłby handlować nie tylko za pośrednictwem Manili, lecz nawiązać kontakt bezpośrednio ze źródłem, mianowicie z Nową Hiszpanią. Właśnie do układów handlowych z Nową Hiszpanią szukał odpowiedniego portu w strefie swoich wpływów we wschodniej Japonii. W Kanto jest port o nazwie Urąga, lecz być może zbyt szybki prąd powodował, że wszystkie statki, które się doń zbliżały, ulegały rozbiciu. Dlatego Naifu nakazał szukanie odpowiedniego portu wpływowemu księciu, którego tereny w południowo-wschodniej Japonii leżały najbliżej prądu Kuroshio. Tsukinoura czy Shiogama to zapewne nazwy miejscowości brane pod uwagę.

"Ale dlaczego radca pozwala mi przysłuchiwać się tej rozmowie?"

Misjonarz spojrział na twarze obu Japończyków ukradkiem, nie podnosząc głowy. Goto jakby wyczuł to spojrzenie, odwrócił się i przedstawił nieco otyłego mężczyznę.

- Znacie pana Ishidę? To pan Velasco, który otrzymał pozwolenie na pobyt w Edo jako tłumacz. - Mężczyzna uśmiechnął się i lekko uklonił.

- Czy pan był w północno-wschodniej Japonii? Misjonarz, siedząc ciągle z rękami na kolanach, potrząsnął głową. Lata doświadczenia pozwoliły mu opanować etykietę i stosować ją odpowiednio do sytuacji.

- Kraj pana Ishidy różni się od Edo - zaczął nieco ironicznie radca handlowy. - Nie karze się tam chrześcijan. Tam pan Velasco mógłby chodzić swobodnie.

Oczywiście, Misjonarz wiedział o tym. Naifu zakazał szerzenia chrześcijaństwa w podległych mu prowincjach, lecz bojąc się, że chrześcijanie i samuraje wzniesą bunt w innych prowincjach, nie tępił chrześcijan tak surowo i dawał, milczącą zgodę na ucieczkę wypędzonych z Edo do zachodniej lub północnej Japonii.

- Velasco, czy pan słyszał o miejscowościach Shiogama lub Tsukinoura? - nagle radca wrócił do poprzedniego tematu. - To szczególnie interesujące zatoki w północno-wschodniej Japonii.

- Chcecie zbudować tam porty podobne do portu w Urąga?

- To część naszych zamierzeń. Być może zbudujemy wielki statek na wzór

statków barbarzyńców.

Misjonarz na moment wstrzymał oddech. O ile mu wiadomo, w tym kraju posługują się jedynie tak zwanymi shuinbune, wzorowanymi na syjamskich i chińskich żaglowcach. Nie mają przecież stocznii do budowy galeonów swobodnie przepływających szerokie morza, nie mają też ludzi przygotowanych do tego rodzaju zadań. A jeśliby im się udało zbudować taki statek, to przecież nie znając techniki nawigacyjnej nie potrafiliby nim pokierować.

- Czy będą go budować Japończycy?

- Możliwe. Shiogama i Tsukinoura leżą nad oceanem, ponadto niedaleko są lasy, w których można naciąć dużo dobrego budulca.

Misjonarz zastanawiał się, dlaczego radca handlowy odsłania przed nim taką tajemnicę. Porównując wyraz twarzy obu rozmówców szukał odpowiedzi.

"Ach, pewnie posłużą się marynarzami z tamtego statku..." Minionego roku statek wiozący poselstwo hiszpańskie z Manili, któremu Velasco służył w zamku Edo jako tłumacz, został zepchnięty na mieliznę w Kishii i uległ uszkodzeniu, a ponieważ naprawa okazała się niemożliwa, statek zostawiono w porcie Uraga. Poselstwo i marynarze cierpliwie czekali w Edo na przybycie nowego statku. Kto wie, może Japończycy zamierzają posłużyć się tamtą załogą, budując własny galeon, podobny do uszkodzonego.

- Czy wszystko jest już zdecydowane?

- Nie, nie. To jest jeden z wielu pomysłów.

Radca spojrział w stronę ogrodu. Misjonarz znał radcę na tyle, że zrozumiał ten znak. Był to sygnał do odejścia, dlatego Misjonarz w kilku słowach podziękował za uwolnienie i wyszedł z pokoju.

Gdy się pochylił, kłaniając się służbie przybocznej w przedpokoju, pomyślał: "Japończycy planują przepłynąć Ocean Spokojny i dotrzeć do Nowej Hiszpanii o własnych siłach. To lud podobny do mrówek. Będzie próbował wszystkiego." Nie wiedząc dlaczego, przypomniał sobie, że kiedy mrówki trafiają na kałużę, część ich poświęca życie, staje się mostem, po którym inne mogą iść dalej. Japończycy są jak grupa - czarnych mrówek, kierująca się takim instynktem.

Naifu od kilku lat gorąco pragnął nawiązać stosunki handlowe z Hiszpanią. Jednak jego propozycje spotkały się z oględną odmową ze strony gubernatora w Manili, - ponieważ Hiszpanie chcieli zmonopolizować handel na rozległym oceanie.

Lecz jeśli Japończycy zamierzali wykorzystać zatrzymanych marynarzy do budowy własnego statku, to na pewno będą potrzebować Misjonarza jako tłumacza podczas pertraktacji. Stopniowo zaczynał rozumieć, dlaczego przed czterema dniami został zwolniony z więzienia dzięki wstawiennictwu Goto.

Wtedy dano mu do zrozumienia, że ktoś znaczny wystąpił w jego sprawie, mógł to być ktoś z rady seniorów shōguna, twórcą planu. A może był nim starzec o nazwisku Ishida? Bóg posługuje się wszystkimi ludźmi, lecz Japończycy wykorzystują do końca tylko tych, którzy są im potrzebni. Kiedy więc doszli do wniosku, że Misjonarz może być przydatny w ich przedsięwzięciu, najpierw go przestraszyli, a potem wyratowali z opresji. Był to chwyt, którym Japończycy często się posługują.

Misjonarz nie przedstawił szczegółów dzisiejszej rozmowy ani Diego, ani Koreańczykowi. Diego był także zakonikiem, nieco młodszym, również przybył do Japonii z Manili jako członek Zakonu Pawła, lecz Misjonarz w duchu lekcewał swego młodszego towarzysza o czerwonych zajęczych wargach. W

czasie pobytu w seminarium nie mógł opanować uczucia pogardy wobec tego naiwnego i niezaradnego braciszka. Znał tę złą cechę swego charakteru, ale nie potrafił jej się pozbyć.

- Przyszedł list z Osaki.

Z kieszeni starego habitu Diego wyjął otwarty list wraz z różańcem i spojrzawszy wilgotnymi od łez oczami powiedział:

- Zakon Piotra znów nas skrytykował.

Przy świetle drgającej niby ćma świeczki Misjonarz rozłożył list z pożółkłymi plamami od deszczu i rozpuszczonym atramentem. List przed dwudziestu dniami pisał jego przełożony, ojciec Munoz. Donosił, że w Osace wzbiera nienawiść przeciw Naifu z Edo, a lennicy książąt pobitych pod Sekigahą kolejno przechodzą na służbę władcy Osaki.

Po tym wstępie ojciec Muñoz stwierdził, że prowincjał Zakonu Piotra z okręgu Kinki wysłał list do Rzymu, zawierający krytykę metod szerzenia chrześcijaństwa przez zakonników od Pawła.

Mimo zakazu szerzenia chrześcijaństwa w Edo, Zakon Pawła nadal kontaktuje się z wierzącymi - w Chrystusa Japończykami, czym wzbudza niepotrzebnie gniew Naifu i shbguna, co w konsekwencji doprowadzi do prześladowań w innych okręgach, w których obecnie uznaje się swobodę nauczania wiary chrześcijańskiej.

Misjonarz stłumiwszy rosnący gniew wepchnął list w ręce Diego. - Zarozumiali głupcy.

Kiedy był wzburzony, zawsze czerwienily mu się policzki i szyja. Krytyka ze strony Zakonu Piotra nie jest teraz czymś nowym.

Zawsze w tajnych listach do Rzymu pisali źle o zakonnikach Pawła. Wszystko z powodu zazdrości. Francisco de Xavier przed sześćdziesięcioma trzema laty po raz pierwszy wylądował w Japonii, od tego czasu szerzenie chrześcijaństwa w tym kraju zmonopolizował Zakon Piotra, umocniony przez Francisco Xaviera. Przed około dziesięciu laty papież Klemens VIII w Onerosa pastoralis przyznał również innym zakonom prawo nauczania chrześcijaństwa w Japonii, odtąd niezadowoleni tym posunięciem ojcowie Zakonu Piotra zaczęli źle pisać o innych misjonarzach działających w Japonii.

- Misjonarze Zakonu Piotrowego zapomnieli, że to oni są przyczyną prześladowań chrześcijan w Japonii. Mogliby się zastanowić, kto właściwie rozgniewał nieżyjącego już Taikó.

Diego patrzył lękliwie opuchniętymi czerwonymi oczami w stronę mówiącego. Misjonarz pomyślał, że nie ma sensu w czymkolwiek radzić się tego głupawego towarzysza, bo choć już trzy lata upłynęły od jego przybycia do Japonii, nie potrafi zadowolająco mówić językiem tego kraju, a jego dnie upływają, jak posłusznej owieczce, na ścisłym wykonywaniu poleceń przełożonych. Przed kilkunastu laty Zakon Piotra otrzymał w Nagasaki tereny na zasadzie niemal kolonialnej autonomii, zyski z tych ziem przeznaczano na koszty upowszechniania religii. Zakon nie miał co prawda przywilejów wojskowych, ale na terenie przejętego lenna mógł pobierać podatki i sprawować sądy. Taikó, gdy zajął Kiusiu, rozgniewał się i powiedział, że to jest agresja pod płaszczykiem pracy misyjnej. Od razu wydał dekret zakazujący szerzenia chrześcijaństwa. Przecież wszyscy o tym wiedzą. Działalność Zakonu pogrzyżyła w mroku pracę misyjną w Japonii, jego ojcowie jednak chętnie o tym zapominają.

- Lecz... - Diego zawahał się - jaką odpowiedź wyślemy do Osaki?
- Możesz napisać, żeby Zakon Piotrowy już się mną nie przejmował.
- Misjonarz wypluł z siebie te słowa i wzruszył ramionami. - Ja wkrótce opuszczę Edo i udam się do północno--wschodniej Japonii.
- Północno-wschodniej?

Nic nie odpowiedział zdumionemu koledze, odwrócił się tyłem i wyszedł z pokoju. Wszedł do komórki zwanej przez nich sanktuarium, zgasił płomień świecy trzymanej w ręce i uklęknął na twardej podłodze. Od czasu pobytu w seminarium w Sewilli przyjmował tę pokorną postawę zawsze, gdy zraniono jego dumę lub gdy pragnął opanować wzbierający w nim gniew. Dym ze zgaszonej świecy podrażnił mu nozdrza; w ciemności słyszał ciche szeleszczenie karaluchów.

"Nieważne, kto mnie potępi, ale Ty, Panie, znasz moje możliwości."

Wspierając czoło na dłoniach mówił cicho do siebie. "Właśnie Ty mnie potrzebujesz i dlatego wyprowadziłeś mnie z więzienia. Ty, Panie, nie uległeś wobec oszczerstw i pomówień saduceuszy i faryzeuszy. Ja również nie ugnę się wobec ataków Zakonu Piotrowego."

Karaluchy odważnie łąziły po jego brudnych nogach. W lasku znów ostro zakrzyczał ptak, skrzypiały też zamykane przez Koreańczyka drzwi ich chaty.

"Japończycy będą budować galeon."

Znów pod powiekami pojawił się obraz gromady czarnych mrówek przechodzących przez kałużę w poszukiwaniu pożywienia. Japończycy, podobnie jak czarne mrówki, zamierzają w końcu przejść Ocean Spokojny z myślą o korzyściach z handlu z Nową Hiszpanią. Misjonarz sądził, że ich chciwość należy wykorzystać w nauczaniu wiary chrześcijańskiej.

"Za korzyści, jakie z nas będą mieli, otrzymamy swobodę nawracania na wiarę Chrystusa."

Takiej transakcji nie potrafią przeprowadzić braciszkwowie z Piotrowego Zakonu. Ani dominikanie, ani augustianie. Ani zakonnicy tak nieudolni jak Diego. Misjonarz czuł, że tego potrafiłby dokonać tylko on, nikt inny. W tym celu musi rozwiać uprzedzenia Japończyków. Nie wolno po raz drugi popełnić tego błędu, jaki obciąża Zakon Piotra.

"Gdybym był biskupem Japonii..."

Podszepty ambicji, których się zawsze wstydził, znów rozbrzmiewały w jego uszach. Wstydził się, ale nie mógł oprzeć się myśleniu o tym, że jeśliby został mianowany biskupem z prawem decydowania o realizacji pracy misyjnej w Japonii, naprawiłby błędy, jakie popełnili bracia Piotrowi.

W brązowiejących górach otaczających Dolinę w pogodny dzień wznosiły się dymy - przygotowywano węgiel drzewny. Chłopi pracowali po całych dniach przed nastaniem zimy. Po zebraniu ryżu i prosa z chudej ziemi, kobiety i dzieci oczyszczały ryż z łupin i przesiewały. Pracowały na podatek, nie dla siebie. Trawę ściętą w przerwach między zajęciami polowymi suszyli na miejscu, by użyć jej jako podściółki w stajni. Surową słomę przechowywano na wypadek głodu. Cięto ją wtedy na sieczkę, a następnie mielono na mąkę. Samuraj w roboczym stroju hangiri, podobnie jak jego chłopci, patrzył na swoją Dolinę. To znów stojąc rozmawiał z chłopami, innym razem układał z nimi drewno opałowe wokół dworku, tworząc rodzaj ogrodzenia. W Dolinie tego rodzaju ogrodzenie nazywano kijima, czyli żółtym piaskiem.

Chłopi tutaj mieli swoje radości i smutki. Tej jesieni umarło we wsi dwoje starych ludzi, biedni grzebali zmarłych na polu u stóp pory, grób oznaczano

kamieniami. Panował zwyczaj wbijania w tym miejscu w ziemię starego sierpa używanego przez zmarłego, obok kamienia stawiano poszczerbione kubki. Samuraj często widział, jak do kubków dzieci wrzucały kwiaty, lecz taki pochówek sprawiano zmarłym tylko wtedy, gdy nie zagrażał głód. Słyszał od swego ojca, że w latach złych zbiorów starzy ludzie gdzieś się podziewali i nikt nie pytał o to, dokąd poszli. O tej jesiennej porze obchodzono święto zwane Daishikó, czyli Kazań Wielkiego Nauczyciela, kiedy to ludzie jedli nie solone placki z czerwonej fasolki, duszone w garnku z liśćmi miskantów. W tym dniu do dworku przychodzili kolejno chłopci, żeby się pokłonić Samurajowi, wtedy podawał im placki, częstowali się i wracali do domu. Pewnego pogodnego dnia przyszedł rozkaz wytypowania ludzi do robót publicznych, o czym pan Ishida uprzedzał. Z Doliny trzeba było wysłać dwu mężczyzn. W związku z tym Samuraj z Yozb udał się do wioski stryja.

- Słyszałem o tym. Słyszałem - rzekł z rozradowaną twarzą. - Słyszałem pogłoski o tym, że będą ścinać cedry z gór w okolicy Ogatsu i budować okręt. Pewnie zbliża się dzień bitwy z Osaką.

- Okręt?

- No tak.

Samuraj nie powiedział jeszcze stryjowi, co usłyszał kiedyś od Ishidy. A to dlatego, że nie było łatwo znosić nie kończące się narzekania rozczarowanego stryja. Dlaczego jednak jego wielmożność buduje teraz okręt, skoro wojny się tutaj skończyły. Dla Samuraja była to zagadka. Możliwe, że w zamku Rada Seniorów przygotowała tajne plany, o jakich on wiedzieć nie mógł.

- Roku, musisz jechać do Ogatsu i dowiedzieć się, o co chodzi.

Stryj mówił z dużym ożywieniem, jakby sądził, że wkrótce rozpocznie się bitwa. Samuraj nie miał większej ochoty na półtoradniową podróż do Ogatsu, ale ponieważ zawsze był posłuszny swemu ojcu i stryjowi, teraz też po prostu w milczeniu kiwnął twierdząco głową. Jeśli zobaczy na własne oczy, może łatwiej będzie o konieczności rezygnacji przekonać tego starego człowieka, który nie chciał pogodzić się z zachodzącymi zmianami.

Następnego dnia, po wybraniu ze wsi dwu młodych ludzi do służby dla wielmożnego pana, Samuraj znów dosiadł konia. Zatoka Ogatsu wciniała się w łąd u wybrzeży prowincji Rikuzen

niby żąb piły. Z Doliny wyjechali o świcie, a przed wieczorem znaleźli się już blisko morza i wtedy z pochmurnego nieba spadły płatki śniegu i dotknęły ich policzków. Przenocowali w smętnej wiosce rybackiej o nazwie Mizuhama. Całą noc słyszeli szum morza, dlatego młodzi rekruci wciąż spoglądali na twarz Samuraja ze smutkiem. Rybacy mówili, że w górach Ogatsu już się zgromadzili robotnicy i rozpoczęli ścinanie drzew.

Następnego ranka opuścili Mizuhamę. Rozpogodziło się, ale wiał silny wiatr, na lodowatym morzu przetaczały się spienione fale. Za koniem Samuraja szli zmarznięci mężczyźni. Wkrótce widok morza przesłonił wyspy i ukazała się spokojna zatoka. Na wzgórzu po jednej stronie stało już kilka chat dla robotników, z daleka dochodził ostry głos padających, ściętych drzew. W odróżnieniu od wzburzonego morza, na wodzie, odgradzonej od wiatru przez wyspy i góry, pływały liczne tratwy.

Zgłosili się do budki strażnika. Kiedy zapisał imiona przyprawionych do pracy mężczyzn, podbiegł do nich jakiś służący i ogłosił, że wkrótce przybędzie wielmożny pan Shiraishi. W strażnicy zapanowało poruszenie,

urzędnicy spowaźniali i pospieszyli na brzeg witać przybywającego pana. Samuraj podążył za nimi i czekał na przybycie świty pana, chwilę później ujrzał zbliżającą się kilkunastoosobową grupę na koniach, a wśród nadjeżdżających, ku swemu zdumieniu, po raz pierwszy w życiu ujrzał czterech czy pięciu południowych barbarzyńców. Zapomniał nawet schylić głowę, tak przyglądał się tym dziwnym stworom.

Barbarzyńcy mieli takie same stroje podróżne jak inni, musieli je otrzymać od Japończyków. Jednak twarze ich były czerwone, jakby pili sake, i wąsy rude; oni też ze zdumieniem patrzyli na góry, skąd dochodził odgłos padających drzew. Był wśród nich barbarzyńca znający język japoński, ponieważ rozmawiał z towarzyszącymi mu z obu stron Japończykami, i - To chyba syn Gorozaemona? - ktoś zapytał. Samuraj domyślił się, że był to pan Shiraishi, więc ukłonił się nisko.

- Wiele słyszałem o tobie od pana Ishidy. Razem z twoim ojcem walczyłem w bitwach pod Kóriyama i Kubota.

Samuraj słuchał słów Shiraishiego z głębokim szacunkiem. Połowa urzędników dołączyła się do pochodu i zniknęła wkrótce za górą, pozostali rozmawiali z zazdrością o Samuraju, który miał szczęście słuchać słów pana Shiraishiego, skierowanych bezpośrednio do niego. Pan Shiraishi był członkiem Rady Klanu wielmożnego pana.

Przygotowując się do powrotu do domu Samuraj delektował się smakiem szczęścia, jakie go, jak sądził, niezasłużenie spotkało. Po przybyciu tutaj zrozumiał, że nie budują okrętu wojennego. lecz wielki statek, którym mają wrócić do domu marynarze galeonu nieszczęśliwie unieruchomionego u wybrzeży Kishu. Biali, których widział, byli -marynarzami z owego galeonu i wedle ich wskazówek zostanie zbudowany okręt shóguna.

Również w powrotnej drodze przenocowali w Mizuhamie, a następnego dnia wrócili do wsi w Dolinie. Czekający niecierpliwie stryj po wysłuchaniu sprawozdania bratanka nie potrafił nawet ukryć rozczarowania na wychudłej twarzy, ale nadzieję dostrzegł w słowach pana Shiraishiego, specjalnie skierowanych do Samuraja, po wielekroć więc kazał sobie opowiadać to zdarzenie.

I tak skończyła się jesień, przyszła zima. Dolinę zasypało śniegiem, a po śniegu całymi nocami hulał wiatr. W ciągu dnia służba siadała wokół ogniska irori i plotła słomiane sznury. Sznury te, zwane motozuna, służyły do przywiązywania ładunku do specjalnych siodeł konnych lub jako pasy podbrzuszne koni, a także jako lejce. Przy tym samym ognisku Riku, żona Samuraja, opowiadała bajki Gonshiró, ich drugiemu synowi. Były to te same bajki o pokonaniu ducha lisicy lub o mężczyźnie omamionym przez lisicę, jakie opowiadała mu nieżyjąca już babka. Nic na tej ziemi się nie zmieniło. Przyszedł Nowy Rok. Bóstwom Nowego Roku złożono w ofierze ryżowe ciastka, wypiekane w specjalny sposób, odświętnie, z dodatkiem czerwonej fasoli. I choć pierwszego dnia roku nie spadł duży śnieg, nocą w Dolinie huczał przejmująco wiatr. Wył z takim samym smutkiem jak każdego roku. Na podium w słabo oświetlonym salonie siedzieli w szeregu najbardziej wpływowi wasale wielmożnego pana. Ich posępne twarze bez wyrazu przypominały Misjonarzowi statuy Buddy, które kiedyś widział w świątyni w Kioto, a ponieważ mieszkał w Japonii od wielu lat, wiedział, że kamienne twarze Japończyków nie świadczą o ich bezmyślności, lecz że tak kryją najbardziej przebiegłe zamiary. Obok niego usadowił się na stołku główny

inżynier, Hiszpan, przywieziony z Edo. Ten mężczyzna w odróżnieniu od Misjonarza nie potrafił siedzieć po japońsku. Z dala od nich przykucnął skryba zamkowy, trzymając ręce na kolanach i bez ruchu wpatrując się w jeden punkt naprzeciwko.

Wymieniono między obu stronami długie przemówienia. Misjonarz je przełożył, a potem zaczęto rozmawiać na właściwy temat.

- Najpierw powiedzmy sobie o tym, że długość statku wynosi osiemnaście kenów. Szerokość natomiast pięć i pół kena, wysokość zaś czternaście kenów, jeden shaku i pięć sun.

Radę Seniorów najbardziej interesował kształt statku, jaki planowano zbudować.

- Będą dwa maszty, główny będzie miał ponad piętnaście sążni, drugi natomiast ponad trzynaście, a kadłub zostanie pokryty laką.

Misjonarz tłumacząc wprost słowa głównego inżyniera myślał, jak Japończycy zamierzają wykorzystać ten statek. Natomiast Rada Seniorów chciała przede wszystkim wiedzieć, czym się będzie różnić galeon od japońskiego statku shóguna.

W galeonie stosunek długości do szerokości wynosi jak 3,3 do 1, co sprzyja zwiększeniu szybkości, ponadto statek będzie miał żagle trójkątne prócz żagli bocznych, co umożliwi szybką zmianę kursu w zależności od zmiany kierunku wiatru. Gdy tłumaczył kolejno odpowiedzi głównego inżyniera, dostojnicy, a zwłaszcza siedzący w środku pan Shiraishi, słuchali tego z ogromnym zainteresowaniem, a po zakończeniu objaśnień twarze ich znów stawały się puste jak głębokie bagna.

Do budowy takiego wielkiego statku wielmożny pan sprowadził ze swego księstwa do Ogatsu dwustu stolarzy i stu pięćdziesięciu kowali, lecz okazało się, że potrzeby są dwukrotnie większe, aby budowę można było zakończyć w odpowiednio szybkim czasie. Główny inżynier skarżył się, że liczba pracowników nie jest wystarczająca.

- Jesienią często bywają burze, a na samą podróż do Nowej Hiszpanii trzeba ponad dwóch miesięcy, dlatego statek powinien odpłynąć na początku lata.

Dostojnicy wielmożnego pana nie mieli najmniejszego pojęcia o wielkości oceanu. Morze przez długi okres było dla Japończyków fosą broniącą ich przed barbarzyńcami. Nie wiedzieli więc, gdzie leży Nowa Hiszpania. Dopiero teraz zrozumieli, że daleko za morzem znajduje się bogata ziemia i że mieszkają tam rozmaite ludy.

- Wszystko dokładnie przedstawimy wielmożnemu panu. Nie ma powodu do zmartwienia liczbą pracowników. - Na skargę głównego inżyniera wspaniałomyślnie odpowiedział pan Shiraishi, pozostali dostojnicy nadal zachowali milczenie. Inżynier gorąco podziękował.

- Nie ma za co dziękować. Jak już wspomnieliśmy wcześniej, teraz my mamy do was prośbę w związku z budową wielkiego statku - nieco ironicznie odpowiedział pan Shiraishi i roześmiał się.

Prośba dotyczyła wstawiennictwa marynarzy w sprawie uzyskania od wicekróla Nowej Hiszpanii obietnicy przysyłania przez długie lata statków do portu w posiadłości wielmożnego pana. Wielmożny pan bowiem uzyskał przyzwolenie Naifu i zamierza zbudować port handlowy, równy portowi w Nagasaki na Kiusiu. Chodzi więc tylko o to, aby członkowie wracającej załogi zechcieli przekazać wolę wielmożnego pana wicekrólowi Nowej Hiszpanii.



Główny inżynier odpowiedział, że z radością spełnią to życzenie. Co więcej, pozwolił sobie na komplement twierdząc, że Nowa Hiszpania będzie zadowolona z japońskich towarów, a zwłaszcza z miedzi, srebra, złotego piasku, które można wydobywać również w tej prowincji, i że statek japońskiego shóguna z takim ładunkiem na pewno zostanie chętnie powitany. Jedynym problemem jest zbudowanie dobrego portu, w którym mogłyby cumować galeony, ale na szczęście każda z tych zatok, które oglądali w ostatnim tygodniu - Kesenuma, Shiogama i Tsukinoura - nadaje się do tego celu. Pan Shiraishi i inni dostojnicy kiwali głowami, dając do zrozumienia, że są bardzo zadowoleni z tej odpowiedzi. Potem rozmawiano o klimacie i rasach ludzkich w Nowej Hiszpanii.

Padął śnieg. Główny inżynier skończył rozmowy o interesach, poprosił o wybaczenie, że musi odejść i wstał ze stołka, po japońsku ukłonił się schylając głowę, wtedy oczekujący w korytarzu służący otworzyli przed nim drzwi.

- Panie Velasco, zostań pan chwilę - powiedział jeden z dostojników. ?

Główny inżynier, odprowadzony przez służącego, zniknął z oczu, pan Shiraishi natomiast podziękował za trud tłumaczowi, a następnie z dobrodusznym uśmiechem, jakiego nie okazywał wcześniej, zapytał:

- Czy sądzisz, że on mówił prawdę?

Misjonarz nie odpowiedział, bo nie rozumiał, o jaką prawdę chodzi.

- Powiedział, że Nowa Hiszpania również oczekuje statków japońskich, ale czy to jest prawda? - zapytał ponownie z poważną miną.

- A co pan myśli, panie Shiraishi? - Misjonarz na pytanie odpowiedział pytaniem, aby poznać jego intencje.

- My mu nie wierzymy.

- Dlaczego? - Misjonarz celowo spojrzał na dostojnika z powątpiewaniem.

Dobrze wiedział, że twarze Japończyków nie wyrażają ich myśli, kiedy posługują się dyplomacją.

- To chyba naturalne. Przecież twój kraj czerpał dotąd duże zyski tylko dlatego, że miał statki przepływające szerokie morza i posiadał umiejętność żeglowania. Chyba nie chciałby teraz dzielić się korzyściami z innymi krajami. Nowa Hiszpania nie będzie chyba zadowolona, gdy japoński statek dopłynie do niej przez to rozległe morze.

Chociaż przejrzeni na wylot nieszczerze komplementy głównego inżyniera, japońscy dostojnicy wyrazili szczególne zadowolenie z jego odpowiedzi. Tak właśnie postępują Japończycy w stosunkach z partnerami.

- Co można powiedzieć, skoro sami zdajecie sobie z tego sprawę. -

Misjonarz nie mógł powstrzymać grymasu uśmiechu. - Jeśli to wiecie, dlaczego budujecie ten wielki statek?

- Panie Velasco, my naprawdę chcemy handlować z Nową Hiszpanią.

Wszystkie statki przychodzące z Luzonu, Macao i krajów barbarzyńskich zawijają do Nagasaki, nie przyplływają przecież do Edo, gdzie rezyduje Naifu, nie mówiąc już o naszej prowincji Rikuzen. Na terytorium wielmożnego pana w Rikuzen jest wiele dobrych portów, a mimo to statki z Nowej Hiszpanii płyną do Japonii przez Luzon. Słyszałem, że z Luzonu prąd niesie je prosto na Kiusiu.

- To prawda.

- Co więc mamy zrobić?

Pan Shiraishi, jakby w zakłopotaniu, postukał w lewą dłoń palcami prawej.

- Nie macie dobrego pomysłu, padre Velasco, jak ustanowić handel Rikuzen z Nową Hiszpanią?

Misjonarz instynktownie odwrócił wzrok, słysząc niespodziewanie słowo "padre". Nie chciał, by dostrzeżono wahania jego serca. W Edo nigdy nie zwracano się do niego "padre". Pozwolono mu tam mieszkać jako tłumaczowi, a nie jako duchownemu chrześcijańskiemu. Teraz pan Shiraishi specjalnie nazwał go „padre”. Na zewnątrz było cicho, padał śnieg.

Dostojnicy w milczeniu przyglądali mu się uważnie. Czując przeszywające go spojrzenia aż do bólu, odpowiedział:

- Pomysłu nie mam. I w Edo, i tutaj jestem tylko tłumaczem.

- Nie obchodzi mnie Edo. Tutaj natomiast, panie Velasco, jesteś oczywiście tłumaczem, ale jednocześnie jesteś kapłanem - spokojnie odpowiedział pan Shiraishi, - W księstwie wielmożnego pana chrześcijaństwo nie jest zakazane.

To prawda. Wielu chrześcijan wygnanych z Edo lub innych miejscowości znajdujących się pod władzą shōguna przybywa do północno-wschodniej Japonii i na Ezo w poszukiwaniu strawy i ziemi, na której modlitwa jest dozwolona.

Niektórzy z nich pracują w kopalniach złota na terenie księstwa. Tutaj duchowni nie muszą się ukrywać tak jak w Edo. Wierzący nie muszą dopuszczać się krzywoprzysięstwa. Z

- Słuchaj, panie Velasco, nie chciałbyś sprowadzić tu księży z Nowej Hiszpanii?

W tym momencie głos pana Shiraishiego złagodniał zachęcająco. Misjonarz zacisnął pięści, aż się spociły, aby nie wpaść w pułapkę kuszącego głosu.

Poczuł się nieswojo, uważając, że Japończyk kpi sobie z niego, tym bardziej że cechowało go wygórowane poczucie dumy.

- Czy pan kpi sobie ze mnie? Nie wierzę panu.

- O? A to dlaczego?

- Tak czy owak z woli wielmożnego Naifu szerzenie chrześcijaństwa zostanie zakazane również w, tym księstwie, wcześniej czy później.

Słyszając rozgniewany głos Misjonarza pan Shiraishi i nni dostojnicy roześmiali się radośnie.

- Nie ma powodu do zmartwienia. Tylko w tym księstwie Naifu zezwolił czcić Chrystusa po wsze czasy. Rozmawiamy przecież zgodnie z wolą wielmożnego Naifu.

"W tym księstwie uznają chrześcijaństwo i pozwolą sprowadzić więcej księży?

W zamian za to chcą otrzymać zgodę na handel z Nową Hiszpanią? O to chodzi?"

Misjonarz poczuł jeszcze większy gniew, dlatego poruszył się i wyprostował.

Nie Japończycy go gniewali, lecz jego głupota i nieostrożność. Nie mógł sobie darować, że krok po kroku dał się wciągnąć w pułapkę słów pana Shiraishiego.

- Czy Nowa Hiszpania zgodziłaby się na takie warunki? , - Nie wiem.

Misjonarz celowo potrząsnął głową, bo chciał dostrzec w oczach ? dostojników oznaki niepokoju i choćby na sekundę wprawić ich w zakłopotanie.

- Myślę, że to nic nie da.

Studiując reakcję dostojników siedzących niby Buddowie w mrocznym sanktuarium, Misjonarz cieszył się z dostrzeżonej u nich utraty spokoju.

- Zakon Piotrowy już zawiadomił Luzon, Macao i Nową Hiszpanię o straceniu chrześcijan w Edo. Nawet jeśli mówicie, że gwarantujecie prawo szerzenia chrześcijaństwa w waszym księstwie, nikt wam łatwo nie uwierzy. Misjonarz nie zapomniał, żeby przy okazji powiedzieć coś złego o zakonnikach Piotra. Uderzeni w słaby punkt Japończycy milczeli. "Ich poprzednie milczenie było taktyką, teraz oznaczało zmieszanie wywołane niespodziewanym atakiem" - myślał Misjonarz.

- Jest tylko jedna możliwość... - dając jakby trochę nadziei na powstanie powalonymu przeciwnikowi dodał: - Jedyną osobą, która mogłaby nakłonić króla Hiszpanii, żeby zaakceptował taką umowę, jest papież w Rzymie... Twarz pana Shiraishiego nagle spoważniała. Temat okazał się zbyt odległy dla ludzi wychowanych na prowincji w północno-wschodniej Japonii. Świat chrześcijański był im daleki i obcy, dlatego nie orientowali się w istnieniu papieża w Rzymie ani nic nie wiedzieli o jego absolutnej władzy. Misjonarz musiał wyjaśnić, że stosunek między papieżem i królami w Europie jest podobny do stosunku między cesarzem w Kioto i feudalnymi panami. ?- Z tą różnicą, że my z większą czcią odnosimy się do papieża niż wy do cesarza w Kioto.

Słuchając wyjaśnień pan Shiraishi zamknął oczy i zaczął uderzać w lewą dłoń palcami prawej. Padający śnieg pogłębiał ciszę panującą w wielkim holu przyjęć, dostojnicy od czasu do czasu pochrząkiwali i czekali na decyzję Shiraishiego.

Misjonarz w duchu cieszył się ze zmieszania Japończyków. Ci mężczyźni, którzy chcieli go wodzić za nos, teraz nie wiedzą, co dalej począć. Musi to zmieszanie wykorzystać i pokazać swą mocną kartę.

- Nasz zakon... - Misjonarz zaczął mówić z dużą pewnością siebie - ma obecnie szczególne zaufanie u papieża.

- Więc?

- Byłoby dobrze posłać przedstawiciela naszego zakonu do , papieża z listem od wielmożnego pana. W liście byłoby zapewnienie, że w tym księstwie chrześcijanie będą traktowani serdecznie, że chętnie będziecie przyjmować księży i że zgodzicie się na budowę kościołów...

Chciał jeszcze powiedzieć: "i że uniżenie prosicie, by biskupem Japonii mnie mianowano", ale w porę zamknął usta. Przez moment czuł się zawstydzony swą ambicją, ale jednocześnie, mimo woli, mówił w duchu do siebie: "Nie dążę do awansu dla własnej korzyści. Chcę zostać biskupem, aby stworzyć ostatnią potężną linię obrony w tym kraju, który zmierza do wprowadzenia zakazu chrześcijaństwa. Bo tylko ja potrafię walczyć z tymi przebiegłymi japońskimi poganami..."

## Rozdział 2

20 marca. Zła pogoda. Pada deszcz. Skontrolowano uzbrojenie. Proch strzelniczy ukryto w klatkach dla sokołów.

21 marca. Trochę nży deszcz. W obrębie pałacu wzniesiono trzy budynki. )

22 marca. Zła pogoda. Przybyli panowie Shiraishi, Fujita, Harada Sabanosuke. Naradzali się w sprawie wysłania statku do południowych barbarzyńców.

23 marca. W wielkim salonie spotkanie panów Shiraishi, Fujita z barbarzyńcą Velasco. Jest on mężczyzną ponad czterdziestoletnim, wysokim, o zaczerwienionej twarzy i dużym nosie. Często wyciera usta białym ręcznikiem z krepy.

25 marca. Ładna pogoda. Japończycy wzięli poranną kąpiel. Następnie przystąpili do rozmów. W naradzie wzięli udział Shiraishi i Ishida.

26 marca. Ładna pogoda. Pan Shiraishi wyruszył w drogę powrotną.

(Z Kroniki zamkowej)

Nagle powiadomiono, że wielmożny pan Ishida, który brał udział w rozmowach w zamku, w drodze powrotnej zatrzyma się w Dolinie na wypoczynek. Na wieść o tym wszyscy wieśniacy Doliny wyszli z domów i posypywali oblodzoną i ośnieżoną drogę piaskiem, wypełniali ziemią wyrwy, zrzucali śnieg z dachów budynków samurajskich.

Następnego dnia niebo na szczęście było pogodne; Samuraj wraz ze stryjem udał się do wylotu Doliny na powitanie pana Ishidy i jego świty. Od czasu ojca Samuraja jeszcze się nie zdarzyło, żeby pan Ishida przechodził przez ich ziemie w drodze powrotnej z zamku. I choćby tylko z tego powodu Samuraja ogarnął jakiś nieokreślony niepokój; czuł, że coś się musiało wydarzyć, ponadto oburzało go zadowolenie stryja, który miał nadzieję, że pan wysłuchał ich prośby o zmianę lenna, ponieważ nie zapomniał dotychczas słów pana Shiraishiego, skierowanych do jego bratanka w Ogatsu.

Wielmożny pan Ishida, którego powitano na granicy Doliny, był w dobrym humorze, jowialnie rozmawiał z Samurajem i jego stryjem, następnie skierował się do dworu za grupą witających i zamiast iść do przygotowanego dla niego pokoju, zażyczył sobie usiąść przy palenisku.

- Ogień to najgorętsza gościnność - powiedział żartobliwie. Może po prostu chciał uspokoić nieco zdenerwowanych gospodarzy. Zjadł z apetytem ryż na wodzie podany przez Riku, wypytywał o sytuację w Dolinie, następnie siorbnął zupy z miseczki i nagle powiedział:

- Dziś przywiozłem ci dobry upominek. - Lecz widząc, że na wzmiankę o dobrym upominku stryjowi zabłyśły oczy, zaraz dodał: - Nie jest to wiadomość o wojnie. Nie myśl, że będzie. Lepiej, żebyś zrezygnował z marzeń o tym, że zasłużysz się w bitwach i będziesz mógł wrócić do Kurokawy. Możesz się wyróżnić czym innym. Przyniosłem wiadomość o lepszej drodze do zasług niż wojna - i popatrzył uważnie na Samuraja. - Na pewno wiesz o tym, że jego wielmożność buduje w zatoce Ogatsu wielki statek. Właśnie ten statek zabierze barbarzyńców, którzy utknęli na brzegu Kishu i popłynię do dalekiego kraju, który nazywa się Nową Hiszpanią. Wczoraj w czasie pobytu w zamku pan Shiraishi niespodzianie wspomniał twoje imię i polecił mi przekazać, że wyśle cię jako jednego ze swoich posłów do tej Nowej Hiszpanii.

Samuraj nie zrozumiał, co wielmożny pan Ishida powiedział. Po prostu patrzył na jego twarz w roztargnieniu. Nie powiedział nawet jednego słowa, wstrzymał oddech: zaskoczyło go zdarzenie, o jakim w ogóle nigdy nie myślał. Oszołomionemu stryjowi zaczęły drżeć kolana. Tylko tyle doszło do świadomości Samuraja.

- Rozumiesz? Jedziesz do kraju o nazwie Nowa Hiszpania. - "Nowahi Szpania" - Samuraj powtórzył w duchu, przekręcając nazwę, której jeszcze

nigdy nie słyszał. Wydało mu się, że zapisywał w głowie grubym pędzlem sylabę po sylabie: no-wa-hisz-pa-nia.

- O ile wiem, pan Shiraishi rozmawiał z tobą niedawno w Ogatsu. A Radzie Seniorów powiedział, że ty nie zawiedziesz. Jeśli się wyróżnisz, pełniąc tę misję, to wielmożny pan może nawet rozważyć zmianę lenna na Kurokawę po twoim powrocie. - Stryjowi nadal wyraźnie drżały kolana. Samuraj dotknął rękami własnych kolan, pozostawał w ukłonie i nie podnosił głowy w górę. Gdy stryj uspokoił się nieco, pan Ishida roześmiał się i powiedział: - Myślicie na pewno, że to sen - i nagle uśmiech zniknął z jego twarzy. - Ale nie jest to sen na jawie - powiedział dobitnym głosem.

Samurajowi wydawało się, że z bardzo daleka dochodzi głos pana Ishidy mówiącego o wielkim statku, o Nowej Hiszpanii. Zapamiętał jedynie, że na tym statku będzie ponad trzydziestu marynarzy południowych barbarzyńców, czterech posłów japońskich i ich służba, kilkunastu japońskich pomocników marynarzy i ponad stu kupców. Statek będzie większy od największego tysięcznika w Japonii, a droga do Nowej Hiszpanii potrwa około dwóch miesięcy. Poza tym w charakterze tłumacza popłynie również Misjonarz, padre barbarzyńców, który przygotowuje wszystko, co potrzebne emisariuszom po dotarciu na miejsce. Nowa Hiszpania to terytorium należące do Hiszpanii, za zgodą Naifu wielmożny pan pragnie z tym krajem rozpocząć handel, a z Shiogama i Kesenuma uczynić porty nie gorsze od Sakai czy Nagasaki. Samuraj nie wiedział, jak wiele z tej rozmowy zrozumiał jego stary stryj. Nawet dla niego wszystko to brzmiało jak sen. Żył przecież w tej małej wąskiej Dolinie, zamierzał tutaj umrzeć, nigdy więc nie myślał, że wsiądzie na wielki statek i uda się w daleką podróż morską i popłynie do kraju, w którym mieszkają południowi barbarzyńcy. Nie wydawało mu się to nawet teraz realne.

W końcu pan Ishida wstał, ażeby odjechać. Jego przybocznicy pospieszyli po konie. Samuraj i stryj odprowadzając gościa do wylotu Doliny prawie nie zamienili ze sobą słowa. Szli oszołomieni na końcu pochodu. Nawet wtedy, gdy świta zniknęła im z oczu, obaj nie odezwali się do siebie. I tak wrócili do dworu. Riku, która słyszała całą rozmowę z kuchni, poblądła i schowała się gdzieś w kącie. Wydawało się, że pan Ishida nadal jeszcze siedzi obok paleniska. Stryj usadowił się w pobliżu tego miejsca i przez długi czas milczał, w końcu westchnął głęboko, czy może z sapaniem wypuścił powietrze i rzekł szeptem:

- Co to wszystko znaczy? Nic z tego nie mogę zrozumieć...

Nie rozumiał tego również Samuraj. Przecież w zamku jest wielu wasali o wysokich pozycjach, którym można by powierzyć tak poważną misję w odległym kraju. Na dworze wielmożnego pana są przecież i generałowie, i pułkownicy, a pod nimi cały szereg osób zasiadających kolejno według rang i stanów, a na końcu jest samuraj zagrodowy; ród Samuraja należał co najwyżej do tej ostatniej grupy. Nie rozumiał więc, dlaczego został jednym z posłów, którym powierza się tak ważną misję, choć należy do tak niskiej warstwy.

"Może to dzięki specjalnym względom wielmożnego pana Shiraishiego?"

Jeśli tak, to niewątpliwie dlatego, że pan Shiraishi pamiętał zasługi ojca na polach bitewnych w Kōriyama i Kubota. Samuraj znów przypomniał sobie twarz ojca.

Riku wyszła z kuchni błada, usiadła obok paleniska i popatrzyła na twarze

męża i stryja.

- Roku jedzie daleko, do kraju barbarzyńców - powiedział stryj raczej do siebie niż do Riku. - To wielki honor, to wielki zaszczyt. - A następnie, jakby chcąc stłumić własny niepokój, szepnął: - Gdy Roku wypełni tę ważną misję, kto wie, może otrzyma z powrotem ziemie w Kurokawie. Tak raczył powiedzieć wielmożny Ishida.

Riku podniosła się i znów zniknęła w kuchni. Samuraj dobrze wiedział, że starała się opanować łzy.

Otworzył oczy w ciemności. Riku i Gonshiro spali spokojnie. Zapamiętał dokładnie sen, jaki mu się ukazał pod powiekami. Śniło mu się polowanie na zające. Strzał, jaki oddał Yozo, rozdarł zimne powietrze ponad ośnieżonym polem i pobrzmiwał powoli coraz dalej, jak drobne fale na wodzie. Kilka przelotnych ptaków wzbiło się w niebo. Skrzydła ich białą na tle błękitnego nieba. Samuraj oglądał te białe ptaki na swoim terenie zawsze, kiedy nadchodziła zima, nie wiedział jednak, z jakiego kraju przybywały. Wiedział jedynie, że z bardzo daleka. Kto wie, może przylatują z kraju zwanego Nową Hiszpanią, dokąd sam ma teraz odpłynąć.

Dlaczego wybrano go na jednego z posłów? To pytanie w ciemności kołowało się w jego głowie jak piana na wodzie. Jego rodzina należała do wiejskich samurajów, zwanych meshidashishii, co prawda od czasów szanowanego ojca wielmożnego pana pełniła wiernie służbę, ale nie wyróżniła się niczym szczególnym. Nie mógł więc zrozumieć, dlaczego wybór padł na naczelnika takiej rodziny. Naiwny stryj mówił, że to wszystko dzięki wielmożnemu panu Shiraishiemu, lecz pan Ishida mógł ocenić, czy człowiek bez talentu i elokwencji, jak on, jest odpowiedni do wykonania tego rodzaju zadania - myślał chaotycznie. "Jedyna moja zaleta to wierność i posłuszeństwo wobec ojca i stryja. W niczym się im nie sprzeciwiłem. Ponadto jestem cierpliwy i zahartowany jak chłop. Kto wie, może wielmożny pan Ishida wziął pod uwagę właśnie ten hart ducha i moją cierpliwość."

Syn poruszył się we śnie. Samuraj nie chciał opuszczać ani swojej rodziny, ani Doliny. Sam nie wiedział, kiedy ta Dolina stała się dlań tym, czym skorupa dla ślimaka. Teraz wbrew swej woli, z tej skorupy zostanie wyrwany. I wszystko może się zdarzyć, może z tej długiej podróży nie powrócić do Doliny, może umrzeć w drodze. Może nie ujrzeć więcej ani dzieci, ani żony - niespodzianie wstrząsnął nim niepokój.

Na falach zatoki, odbijającej cienie gór, unosiło się mnóstwo tratw. Na brzegu piętrzyły się stosy drewna. Z różnych stron dochodziło rzenie koni. Drzewo zelkowa spuszczano z góry Kenjō, wznoszącej się nad zatoką, cedry przywieziono łodziami z półwyspu Ojika, a cyprysy z Esashi i Kesenuma. Drzewo zelkowa ma być użyte na kil statku, cyprysy natomiast na maszt. Odgłosy wbijanych gwoździ i ścinanych drzew dobiegały bez przerwy z trzech stron zatoki. Przed Misjonarzem przeszło ze skrzypieniem kilka wozów z beczkami pełnymi laki przeznaczonej do malowania kadłuba statku.

Na płyciźnie skupili się cieśle. Pracowali jak mrówki przy zrębie statku, przypominającym zwietrzały szkielet zwierzęcia.

Misjonarz skończył właśnie tłumaczenie jednej z kolejnych debat między hiszpańskimi marynarzami i japońskimi bosmanami. Hiszpańscy marynarze traktowali bosmanów jak głupców i w ogóle nie chcieli wysłuchać ich opinii. Japońscy bosmani proponowali, żeby pochyłej platformy użyć do wodowania

statku i że należy go zepchnąć na morze za pomocą siły ludzi. Chociaż Misjonarz mówił płynnie po japońsku, nie potrafił sobie poradzić, gdy trzeba było w czasie sporu używać języka specjalistów. Kiedy osiągnięto porozumienie, wyczerpany Misjonarz samotnie opuścił barak.

Wkrótce południe. Inni będą poszukiwać cienia na odpoczynek, ale on musi wykorzystać ten czas na odwiedzenie obozów pracy.

Prawie tuzin chrześcijan zatrudniono w charakterze robotników. Misjonarz odprawia dla nich mszę, udziela komunii, spowiada - wszystko w czasie przerwy obiadowej. Ci chrześcijanie to wierni, którzy mieszkali w Edo i zostali objęci zakazem wyznawania swej wiary, a gdy zaczęły się prześladowania w Edo, uciekli do Japonii północno-wschodniej. Nie mieli tu krewnych ani bliskich, pracowali w kopalniach złota. Jak mrówki na odległość wyczuwają zapach pożywienia, tak oni zebrali się teraz w Ogatsu, wyczuwając obecność księdza.

Niebo było pogodne, lecz wiał chłodny wiatr. W Edo na wierzbach rozwijają się już pąki, tutaj odległe góry pokrywa śnieg, a las na szczytach jest bez życia. Wiosna jeszcze nie przyszła.

Misjonarz stał na placu budowy i czekał cierpliwie, aż jeden z chrześcijan skończy pracę. W końcu zbliżył się do niego mężczyzna w łachmanach, pokryty wiórami, a ręcznik miał owinięty wokół głowy.

- Padre! - zwrócił się do niego.

"Tak - pomyślał Misjonarz - tutaj nie jestem tłumaczem Japończyków, jestem pasterzem tego biednego stada owieczek."

- Padre, wysłuchaj mojej spowiedzi.

Sztafa drewna osłaniała ich przed wiatrem. Mężczyzna uklęknął, a Misjonarz zaczął odmawiać po łacinie modlitwę przed wyznaniem grzechów i zamknął oczy, by słuchać słów wypowiedzianych przez cuchnące usta robotnika.

- Siedziałem i słuchałem, jak moi koledzy innowiercy kpili z wiary Chrystusa, a ja nic im nie odpowiedziałem, i pozwoliłem, żeby drwili z Syna Bożego i chrześcijaństwa. Nie chciałem stracić ich jako przyjaciół.

- Skąd przybyłeś?

- Z Edo - mężczyzna odpowiedział lekko. - Ponieważ w Edo już nie wolno wierzyć w Chrystusa.

Misjonarz zaczął pouczać mężczyznę, że każdy chrześcijanin powinien pozostać świadkiem Boga wobec wszystkich innych. Lecz mężczyzna, słuchając słów Misjonarza, ze smutkiem patrzył na morze.

- Uspokój swe serce - zwracając się do mężczyzny Misjonarz szukał słów zachęty, położył rękę na łachmanach pokrytych wiórami. - Nadejdzie dzień, kiedy nikt nie będzie się śmiał z twojej wiary.

Modlił się odpuszczając grzechy i wstał spoza stosu drewna. Mężczyzna podziękował i odszedł bez przekonania. Misjonarz wiedział, że spowiadający się popełni znów ten sam grzech. Chociaż wierni chrześcijanie uciekli od prześladowań i ukryli się tutaj, to jednak nadal są traktowani pogardliwie przez pracujących razem z nimi robotników. Czasy, w których samuraje i kupcy przyjmowali chrzest, współzawodnicząc ze sobą, już się w tym kraju na dobre skończyły. Sądził, że stało

się tak z winy Zakonu Piotrowego. Gdyby misjonarze z tego Zakonu nie wykorzystywali sytuacji i nie podjęli działań skierowanych przeciw władzom japońskim, chrześcijanie nadal cieszyliby się tolerancją jak dawniej.'...

"Gdybym ja był biskupem Japonii."

Misjonarz usiadł na skale z widokiem na zatokę i znów wrócił do swych marzeń. Przypominał małego chłopca delektującego się smakiem ukrytego w łóżku jedzenia. "Gdybym był biskupem Japonii, nie rozgniewałbym japońskich przywódców, jak to zrobili misjonarze Zakonu Piotrowego. Proponowałbym im takie korzyści, które by ich uradowały, a w zamian otrzymałbym zgodę na swobodne szerzenie Słowa Bożego. Praca misyjna w tym kraju nie jest tak łatwa jak w Goa czy Manili. Wymaga strategii i dyplomacji. Jeśliby jakakolwiek taktyka dostarczyła tym biednym wierzącym powodu do dumy, to bez wahania bym ją zastosował." Myślał z dumą o swoim wuju i krewnych, którzy byli politykami i kardynałami. Nigdy nie musiał się wstydzić krwi przodków płynącej w jego żyłach.

"Z tymi przebiegłymi Japończykami..." Metody nawracania również muszą być przebiegłe.

Nad zatoką zapełnioną tratwami i budulcem szybowały w górze mewy, z ostrym piskiem zniżały lot i dotykały powierzchni wody. Misjonarz widział siebie w mitrze i czerwonych biskupich szatach, lecz jednocześnie starał się siebie tłumaczyć: przecież jego marzenie o awansie na biskupa nie jest wyrazem ziemskich ambicji, lecz skutkiem poczucia obowiązku szerzenia w Japonii nauki o Bogu. "O Boże! Gdybym tylko..." Wciągnął słone powietrze od morza, zmrużył oczy i zaczął się modlić. "Jeśliby tylko służyło to głoszeniu Twojej chwały..."

Pomieszczenie, jakie Misjonarz otrzymał w Ogatsu od urzędników, znajdowało się na samym końcu zatoki i dość daleko od miejsca, w którym cieśle i pozostali robotnicy jedli posiłki. Podobnie jak wszystkie inne, również jego dom zbudowano z okrągłaków poskładanych jeden nad drugim. Pokój, podobny raczej do komórki, był jego sypialnią i miejscem modlitwy. Od czasów seminarium duchownego miał zwyczaj wiązać ręce przed położeniem się do snu, aby oprzeć się często nawiedzającym jego ciało silnym pokusom seksualnym. Pożądania, które odrzucił już w czasach nauki w seminarium, nie męczyły go teraz tak mocno. Ale podobnie jak przywiązuje się lub pęta konia, który nie wiadomo kiedy może zerwać się do ucieczki, tak i on nadal wiązał swe przeguby sznurkiem po skończeniu modlitwy wieczornej, przed ułożeniem się w pościeli.

Tej nocy morze szumiło głośniejsz niż zwykle. O zmierzchu słuchał jego szumu idąc wzdłuż brzegu z listem od brata Diego z Edo, który przekazano mu w strażnicy. Gdy za pomocą krzesiwa zapalił świecę, płomień drgał, a następnie wypuścił czarną smugę, na belkach ściany zarysował się wielki cień Misjonarza. Przy tym świetle związanymi rękami otworzył list od Diego, a jednocześnie ukazała mu się przed oczyma twarz tego niezaradnego młodego braciszka i jego zawsze jakby zażawione oczy.

Już miesiąc minął od Waszego wyjazdu z Edo. Sytuacja tutaj się nie pogorszyła, ale nie poprawiła ani trochę. Pisał tak niezdarnie jak dziecko, kartkę papieru zapełnił zaś literami po brzegi, jakby chciał w ten sposób wyrazić prostotę swego charakteru.

Nadal nie pozwalają na swobodę nauczania wiary, na naszą obecność tutaj godzą się milczeniem, ponieważ magistrat dobrze wie, że poza nami nie ma kto zajmować się chorymi na trąd. Ale i nas kiedyś stąd wygonią i będziemy musieli tak samo uciekać do Japonii północno-wschodniej.

I znów muszę donieść Wam o sprawie bardzo nieprzyjemnej. Zakon Piotrowy w Nagasaki po raz któryś wysłał do Macao i Manili list krytykujący Waszą



działalność. Oni powiadają, że chociaż wiecie, jak prześladowani są chrześcijanie w Japonii, to jednak prowadzicie starania u naszego papieża w Rzymie o to, żeby rozwijać handel Japonii z Nową Hiszpanią. Oni twierdzą, że Wasze postępowanie jest ryzykiem o najwyższym stopniu zagrożenia dla chrześcijaństwa w Japonii i jeśli pójdziecie z tym za daleko, to młodzi kapłani z Manili i Macao, nic nie wiedzący o prawdziwej sytuacji, mogą przybyć tu nazbyt licznie i rozgniewać Naifu i shbguna. Zakon Piotra wysłał już do Macao list z żądaniem potępienia Was. Bardzo więc proszę o wzięcie tego pod uwagę i postępowanie z największą ostrożnością...

Wykrzywiona twarz Misjonarza była brzydka przy płomieniu świecy. Mógł stłumić własne pożądania, ale nie potrafił kierować Z swym od urodzenia gwałtownym temperamentem. Dotąd silna duma jego przodków niekiedy przyprawiała go o tortury. Gniew zarysował się czerwienią na jego młodzieńczej, mimo czterdziestu dwu lat, twarzy.

"Zakon Piotrowy jest zazdrosny, ponieważ został odsunięty od Naifu i shóguna i nie potrafił dotąd odzyskać względów. Nie chce, żebyśmy przejęli przywilej szerzenia chrześcijaństwa w tym kraju."

Choć duchowni wierzyli w tego samego Boga i należeli do tego samego Kościoła, to jednak z powodu przynależności do innego zakonu nosili w sobie brzydką zazdrość, szerząc pomówienia i fałszywe oskarżenia. Na to zgodzić się nie mógł. W stosunku do Zakonu Pawła Zakon Piotrowy przyjął taktykę intryg eunuchów chińskich, zamiast męskiej otwartej rywalizacji, godnej rycerzy.

Szum morza stawał się coraz głośniejszy i podsyczał jego gniew. Misjonarz przytknął brzeg listu Diego do płomienia świecy. Języki ognia lizały tę kartkę zapisaną po krawędzie nieudolnymi znakami, zmieniały jej barwę na brązową i pożerały z szelestem podobnym do trzepotania skrzydeł ćmy. Nawet po zniszczeniu powodu gniewu nie wrócił do serca spokój. Misjonarz złączył dłonie, przyjął postawę modlitewną i mówił szeptem: "O, Panie... O Panie! Ty wiesz, kto lepiej służy Twoim celom w tym kraju, oni czy ja. Dla dobra tych biednych wierzących Japończyków możesz mnie zamienić w kamień. Podobnie jak kamieniem nazwałeś jednego ze swoich uczniów". Nie zdawał sobie sprawy, że w tym momencie nie wypowiadał słów modlitwy, lecz raczej rzucał przekleństwa na tych, którzy zranili jego dumę.

- Padre!

Ktoś zawołał go od strony ciemności. Otworzył oczy i ujrzał w drzwiach cień człowieka w łachmanach. Przypominał mu kogoś znajomego. To był ten mężczyzna, któremu dziś w południe dawał rozgrzeszenie przy stosie drewna budowlanego, osłaniającego ich od wiatru. Jak wtedy tak i teraz miał smutną twarz i przypatrywał się uważnie Misjonarzowi.

- Wejdz.

Misjonarz oczyścił kolana z popiołu po spalonym liście. Przygnębione oblicze mężczyzny przypominało mu jakby zawsze zapłakaną twarz Diego. Oparty o futrynę w drzwiach mężczyzna wypowiadał słowa gorącej prośby: chciałby wyjechać stąd razem z innymi Japończykami, jeśli rzeczywiście na tym dużym statku mają być Japończycy. Liczył więc na to, że Misjonarz może go zabrać ze sobą, a on będzie mógł mu służyć do różnych prac. Skarżył się, że przybył tutaj wypędzony z Edo, a mimo to nie znajduje ani odpowiedniego miejsca, w którym mógłby pracować, ani tolerancji, wszyscy bowiem z niego szydzą tylko dlatego, że jest chrześcijaninem.

- Wszyscy to odczuwamy - Misjonarz potrząsnął głową. - Dostać się na statek nie możesz. Po prostu jeśli ty i twoi przyjaciele opuszczą ten kraj, na kim będą polegać księża, którzy tutaj przybędą? Kto będzie pomagał kapłanom?

- Padres już nie przyjeżdżają od wielu lat.

- To prawda, ale wkrótce do prowincji wielmożnego pana przybędzie dużo księży z Nowej Hiszpanii. Tego jeszcze chyba nie wiesz, ale na pewno tak się stanie.

"W końcu dla tego mężczyzny i dla siebie powrócę do tego kraju razem z wieloma księżmi - szeptał w duchu. - A wtedy zostanę ich biskupem."

Mężczyzna potarł ręką o futrynę w drzwiach i słuchał Misjonarza z jeszcze większym smutkiem niż przedtem. Świeca się skurczyła, wielki mocny płomień oświetlał plecy mężczyzny, który stał już tyłem do Misjonarza.

- Wracaj do siebie, możesz powiedzieć wszystkim o tym, co ode mnie usłyszałeś. Wkrótce skończy się potrzeba cierpienia. Obiecuję ci to.

Podobnie jak w południe, i teraz na ramionach i plecach mężczyzny sterczały wióry, które przyczepiły się do ubrania w czasie pracy. Jego postać rozplynęła się w mroku. Wtedy Misjonarz opanował się i znów mocno związał sobie ręce. Nawet jeśli szatan podnieci zmysły, związane ręce nie będą mogły zastosować się do woli złego ducha...

Chłopi wyczekiwali Samuraja na klepisku przy drzwiach. Byli to przedstawiciele trzech wiosek znajdujących się w Dolinie. Siedzieli cierpliwie na klęczkach, chwilami pokastywali i pociągali nosami. Gdy z głębi mieszkania zaczęli wychodzić kolejno stryj, Samuraj i jego sługa Yozo, od razu pokastywanie i siąkanie ustało.

Samuraj usiadł obok paleniska i patrzył na chłopów. Widział ich twarze, podobne do jego własnej, o zapadniętych oczach, wystających kościach policzkowych, przesycone zapachem ziemi. Były to twarze ludzi przez długie lata cierpliwie znoszących śnieżne burze, nędzne jedzenie i ciężką pracę. Były to twarze przyzwyczajone do rezygnacji i cierpliwości. Właśnie spośród nich Samuraj wybierze służbę, która będzie mu towarzyszyć w podróży przez wielkie morze do Nowej Hiszpanii, o której mu się nawet nie śniło. Zgodnie z decyzją zamku każdy poseł może zabrać ze sobą po czterech służących.

- Mam dla was radosną wiadomość - rzekł stryj, zanim Samuraj zdążył otworzyć usta. - Na pewno słyszeliście już trochę o wielkim statku w Ogatsu. Ten statek na rozkaz wielmożnego pana popłynie daleko do kraju barbarzyńców. - W tym momencie stryj odwrócił się z dumą w stronę bratanka.

- Tym statkiem popłynie również Rokuemon. Jako poseł wielmożnego pana. Chłopi na 'obu swoich panów patrzyli tępym wzrokiem, bez najmniejszego wzruszenia czy zdumienia. Wyglądali zupełnie jak stare psy, obojętne na to, co robią ludzie.

- Ze swym przybocznym - tu stryj wskazał brodą nie w stronę sieni, gdzie znajdowali się chłopci, lecz na pokój za paleniskiem, w którym miał prawo przebywać Yozo - z Yozo już o tym rozmawiałem. Oprócz niego Rokuemon weźmie po jednym mężczyźnie z każdej z trzech wiosek.

Twarze skulonych chłopów skamieniały z napięcia. Nie po raz pierwszy tak się zdarzało. Gdy co roku trzeba kogoś wysłać na roboty publiczne, zebrani chłopci również drętwią ze strachu, kiedy Samuraj wyczytuje nazwiska.

- Długa to podróż, dlatego lepiej pozostawić mężczyzn mających żony i dzieci. Wybierzcie spośród siebie, kogo chcecie, ale pamiętajcie o tym, co wam powiedziałem.

Siedząc obok stryja Samuraj myślał o bólu, jakiego doznają ci, na których padnie wybór. Wszyscy jednakowo czuli się ściśle związani z tą Doliną, jak ślimaki ze swymi skorupami. Jednak przyjmą rozkaz pana z rezygnacją, z pochyleniem głów, jak przed siekącym twarz śniegiem i wiatrem.

Chłopi, podobni stadku przepiórek w gnieździe, wyciągnęli szyje ku sobie i cicho się naradzali. Długo to trwało; w tym czasie Samuraj i jego stryj patrzyli na nich bez słowa. W końcu wybrano trzech młodzieńców, nie mających żon ani dzieci, a mianowicie Seihachiego, Ichisukego i Daisukego. Stryj pokiwał głową z aprobatą.

- Pamiętajcie, że zajmujemy się troskliwie krewnymi tych chłopców do czasu powrotu Rokuemona.

Pozostali chłopci poczuli raczej ulgę, że wybór nie padł na nich. Znów zaczęli pociągać nosami i kasłać wychodząc z sieni z opuszczonymi głowami.

Pozostała po nich woń ziemi zmieszana z zapachem przepoconych ubrań.

- Doskonale, doskonale - stryj specjalnie udawał, że jest zadowolony i poklepał się pięścią po ramieniu. - Przykro mi, że muszę wydawać tego rodzaju polecenia. Ale to jest tak samo jak w bitwie. Od tego zależy, czy ziemie Kurokawy wrócą do nas, czy nie wrócą. Od dziś Riku będzie miała pełne ręce roboty pakując bagaże i przygotowując męża do podróży. Ciężko jej będzie, gdy posłowie zostaną wezwani do zamku pana.

- Nastąpi to po dziesiątym. Otrzymamy wtedy nowe instrukcje.

- Ach, Roku - stryj nagle posmutniał - dbaj o siebie w czasie tej podróży.

Samuraj spuścił oczy nie mogąc opanować smutku. W sercu stryja pozostała jedynie myśl o ziemi przodków, którą utracili. Jedyna siła, która go będzie trzymać przy życiu, to myśl o powrocie do utraconej ziemi. Samuraj natomiast, podobnie jak ci chłopci, którzy byli tu przed chwilą, otrzymał nowe miejsce pobytu i właściwie już nie myślał o jego zmianie. W Dolinie chciał żyć i tutaj umrzeć.

- Pójdę zobaczyć, co z końmi.

Samuraj wymienił spojrzenie z Yozo i wyszedł z domu. Konie w stajni poczuły zbliżającego się gospodarza, głośno zaczęły kopać ziemię kopytami.

Wdychając woń mokrej słomy, Samuraj oparł się o zagrodę, i zwracając się do swego najważniejszego sługi powiedział ze smutkiem:

- Będzie na pewno ciężko. Pojedziesz ze mną, Yozo, prawda? Łamiąc słomkę między palcami Yozo powoli schylił głowę na znak zgody. Na głowie starszego o trzy lata Yozo pojawiły się tu i ówdzie siwe włosy. Patrząc na nie Samuraj przypomniał sobie, jak w dzieciństwie Yozo uczył go obchodzenia się z końmi i zastawiania pułapek na zające, a w następnych latach obchodzenia się z bronią podczas wojny, pierwszych kroków w pływaniu. Podobnie jak inni chłopci Yozo także miał zapadnięte oczy, wystające kości policzkowe i trzymał się go zapach ziemi. Od dzieciństwa Samuraj kosił razem z nim trawę, ścinał drzewa na opał na zimę i zawsze czegoś się od niego uczył.

- Jeszcze nie wiem, dlaczego wybrano mnie na posła - głaszcząc nozdrza konia, który wyciągał do niego głowę, Samuraj szepnął raczej do siebie niż do Yozo. - Nie wiem też, jak naprawdę trudna będzie ta podróż, ani też co

to za kraj, do którego mam jechać. Dlatego będzie różnie jechać razem z tobą.

Roześmiał się, jakby się zawstydział własnych słów poniżających jego godność. Yozó odwrócił twarz chcąc ukryć emocje, w milczeniu wszedł do stajni i zaczął zgarniać brudną słomę do kąta, ścielić świeżą, jakby chciał zajęciami stłumić niepokój i lęk przed podróżą.

Dziesięć dni później Samuraj z Yozo dosiedli koni i wyruszyli w półtoradniową drogę do zamku pana. Tam na posłów czekały specjalne instrukcje od pana Shiraishiego. Minęli kilka wiosek, tak samo biednych jak ich własna wieś i wjechali na rozległą równinę. Tutaj czuło się wiosnę. Grzały promienie słońca, w lesie iglasto-liściastym pojawiły się gdzieś białe kwiatki na gałązkach magnolii, zaś na polach, jeszcze nie zaoranych, bawiły się dzieci układając bukietki z kwiatów lotosu. Patrząc na ten obraz Samuraj po raz pierwszy poczuł, że wyjeżdża do obcego kraju.

W dali za równiną, niby okręt wojenny, wyłonił się zamek, czarny, wysoki i spiczasty. U stóp wzgórza, na którym stał, rozciągało się miasteczko osnute mgiełką wiosennego słońca. W miasteczku tuż za bramą zobaczyli targowisko; handlarze porozkładali swoje towary: naczynia kuchenne i tłuszcze, a także sól, bawełnę i ceramikę, głośno je zachwalali, przywołując do siebie przechodniów. Samuraj i jego sługa, przyzwyczajeni do cichego życia w Dolinie, znalazłszy się w tym tłumie nie mogli wprost uwierzyć własnym oczom. Przeszli rzekę, nad którą szybowały białe czaple, weszli na górę zamkową. Przed ciężką żelazną bramą ujrzeni stojącego na straży piechura z włócznią. Tu musieli obaj zsiąść z koni i dalej iść pieszo.

Samuraj bez tytułów i stanowisk nie miał prawa wchodzić do Hommaru - centralnego pawilonu zamkowego - bez specjalnego zezwolenia. Idąc za przewodnikiem ujrzał na podwórzu innych posłów. Siedzący na stołkach Matsumoto Chusaku, Tanaka Tarózaemon i Nishi Kyiisuke należeli do tej samej niskiej warstwy. Przedstawili się i przywitani nie kryjąc napięcia i niepokoju rysującego się na ich twarzach.

Na podwórku stało jeszcze sześć stołków; po chwili rozległy się kroki urzędnika prowadzącego w dziwnych strojach trzech barbarzyńców, których twarze przywoływały na myśl wrony. Przybysze usiedli na wprost posłów. Dopiero wtedy z głębi zamku ukazał się wielmożny pan Shiraishi ze świtą i również usiadł.

Przed zajęciem swego miejsca Shiraishi kątem oka spojrzął na twarz pochylonego ze czcią Samuraja i kiwnął głową z zadowoleniem. Następnie z całą powagą w głosie przedstawił południowych barbarzyńców jako ważnych członków załogi hiszpańskiego statku, który utknął na mieliźnie w Kishii przed dwoma laty. W barbarzyńcy siedzącym z brzegu Samuraj rozpoznał kogoś znajomego. Był to tłumacz rozmawiający ongiś z Japończykami ze świty pana Shiraishiego nad brzegiem morza w Ogatsu.

- Zabierzcie ze sobą wystarczającą ilość włóczni, proporców, a nawet ubrań dla osób towarzyszących, ażeby nie przynieść wstydu wielmożnemu panu i nie sprawiać złego wrażenia w Nowej Hiszpanii - mówił pan Shiraishi do zebranych. - We wszystkich sprawach proszę radzić się obecnego tutaj pana Velasco.

Barbarzyńca, nazwany Velasco, uśmiechnął się z wyrazem pewności siebie i

spojrzał pogardliwie na samurajów. Jego uśmiech zdawał się mówić Japończykom, że bez niego posłowie nic nie będą mogli zrobić w Nowej Hiszpanii.

Posłowie i ich służba otrzymali rozkaz stawienia się w Tsuki-noura na dwa dni przed piątym maja, czyli datą wypłynięcia na morze. Wielki statek bowiem zostanie doholowany do Tsukinoury, skąd wyruszy w daleką podróż. Kiedy wysłuchano szczegółowych zaleceń i rad, w innym pokoju podano sake. A gdy wszyscy już zaczęli się rozchodzić, pan Shiraishi zawołał: "Rokuemon", i dał znak, aby Samuraj pozostał.

- Rokuemon, to będzie trudne zadanie, ale postaraj się je wypełnić jak najlepiej. Wybraliśmy ciebie razem z panem Ishidą. Pewne znaczenie miała sprawa ziemi w Kurokawie. Po wypełnieniu zadania i powrocie do kraju, Rada Seniorów może ponownie rozpatrzyć prośbę. Lecz o tym nie wspominaj otwarcie stryjowi.

Samuraj wysłuchał z należytym szacunkiem. Czuł w sercu przywiązanie do pana Shiraishiego, przycisnął więc obie dłonie do podłogi w nagłym przypiływie wdzięczności.

- W kraju barbarzyńców ludzie mają inne obyczaje niż w Japonii - nagle Shiraishi zaczął mówić coś, czego się Samuraj nie spodziewał. - Aby dobrze wypełnić zadanie, nie będziesz chyba mógł trzymać się ściśle japońskich zwyczajów. Jeśli nawet japońskie "białe" barbarzyńcy nazywają "czarnym", to ty też mów, że to jest "czarne". Twoje zadanie będzie polegać na udawaniu zadowolenia nawet wtedy, kiedy naprawdę nie będziesz w sercu czuł się przekonany o słuszności.

Trochę później tego samego dnia Samuraj wraz z Yozo wyszedł na spacer po miasteczku. W pobliżu zamku stały dwory wasali zajmujących wyższe stanowiska w hierarchii samurajskiej, stały też domy kupców i handlarzy, skupione głównie w dzielnicach Omachi, Minami-machi i Sakana-machi oraz Afa-machi. Świątynie natomiast spotykało się dosłownie wszędzie, Yozo więc bardzo często składał dłonie w żarliwej modlitwie. Samuraj dobrze wiedział, co odczuwał modlący się Yozo.

Dla dzieci Samuraj kupił zabawkę przedstawiającą konia, dla żony natomiast grzebień. Wtedy pod powiekami pojawił się obraz twarzy Riku, więc mimo woli zaczerwienił się w obecności służki.

Z każdym upływającym dniem serce Samuraja ciążyło coraz bardziej, jakby przybywało w nim kamieni. Myślał o długiej morskiej podróży, o wyjeździe do barbarzyńskiego kraju, którego nigdy nie widział, czuł ucisk w piersi i wiedział, że przytłacza go coś nieuniknionego. Nie ma bowiem dla niego, podobnie jak dla tutejszych chłopów, nic przykrzejszego jak życie z dala od Doliny. Ale jednocześnie za każdym razem przypominał sobie słowa pana Shiraishiego i starał się stłumić lęk serca.

Zbliżała się wiosna. Skrzypy wypuszczały pędy podobne do włóczni, zaczynał też z ziemi wzywać lepiężnik. Samuraj wiedział, że na statku będzie tęsknił do tego wszystkiego, co znajduje się w Dolinie, ponieważ przywykł do niej od dzieciństwa. Chyba bardzo długo nie będzie mógł oglądać tego krajobrazu.

Te same myśli przepełniały go również wtedy, gdy siedząc przy palenisku patrzył na twarze dzieci i żony. Wziął na kolana drugiego syna, Gonshiro, i

powiedział:

- Twój ojciec wyjeżdża do dalekich krajów. - Mały nic chyba z tego nie zrozumiał. - Pojadę do dalekiego, dalekiego kraju, kupię tam i przywiozę coś w prezencie dla Kanzaburó i dla ciebie, Gonshiro. Następnie siedzącemu na kolanach Gonshiro opowiedział bajkę, której kiedyś nauczył się od swej matki.

- Dawno, dawno temu - poruszając kolanami zaczął mówić jakby do siebie - była żaba mieszkająca w naszej wiosce, była też druga żaba w prowincji San'in. Wiosną, gdy śnieg stopniał, obie wybrały się w pole na wycieczkę i zaszły na szczyt góry. Na szczyt góry... - Gonshiro zaczął usypiać. Mimo to Samuraj opowiadał dalej. - Dawno, dawno temu żaba wybrała się na wycieczkę do Kansai i poszła śladami handlarza koni...

Komnata zwana Salonem Sokoła była ciemna i zimna. Uwagę przybysza zwracał jedynie parawan czteroczęściowy z obrazem sokoła o przenikliwym spojrzeniu. Już wiele razy wprowadzano Misjonarza do takich ponurych pomieszczeń i zawsze w mroku zamku Edo lub innych rezydencji możnowładców wyczuwał jakąś ukrytą intrygę Japończyków.

Stajemy pokornie przed Wielkim Panem całej ziemi, Jego Świątobliwością Pawłem V, papieżem Rzymu...

Stary człowiek, służący jako skryba zanikowy przeczytał szkic listu wielmożnego pana. W odróżnieniu od świty, siedzącej po obu stronach pana Shiraishiego, starzec miał na sobie czarną szatę i zgolone na głowie włosy, wyglądał więc jak bonza.

Velasco, ojciec Zakonu Pawła, przybył do Japonii i nauczał wiary w Chrystusa, odwiedził naszą prowincję i nam również przekazał tajemnicę nauki Chrystusowej. Dzięki temu mogłem po raz pierwszy zrozumieć istotę wiary i postanowiłem przyjąć ją z całym przekonaniem.

Skryba od czasu do czasu zacinał się, nie mogąc przeczytać pisma, które sam przygotował.

Ze względu na moją miłość i szacunek dla chrześcijańskich zakonników zamierzam wznosić katedry, ze wszech sił szerzyć cnotę dobroci. Jeśli Wasza Świątobliwość uzna, że należy coś ponadto uczynić dla szerzenia świętej wiary, jestem gotów spełnić wolę w granicach mojej krainy. Zapewnię świątyniom niezbędne fundusze i ziemie, dlatego też Wasza Świątobliwość nie musi się niepokoić i zajmować tego rodzaju sprawami.

Słuchając chrapliwego głosu skryby, Misjonarz śledził uważnie twarz pana Shiraishiego i jego starszyny, ale nie mógł niczego, co myślą i czują, wyczytać z ich poważnych, kamiennych twarzy.

Chociaż Nowa Hiszpania znajduje się bardzo daleko, szczerze i gorąco pragniemy nawiązać z owym krajem kontakty, dlatego zwracamy się do Waszej Świątobliwości z gorącą prośbą o poparcie nas swoim autorytetem, aby nam ułatwić osiągnięcie tego celu.

W tym momencie skryba położył projekt pisma na kolanach, pochylił głowę jak oskarżony, czekający na ogłoszenie wyroku.

- Proszę o dodanie w odpowiednim miejscu: "tylko księży z Zakonu Pawła". Bez tego uzupełnienia, nasz zakon nie będzie mógł przekazać tego listu papieżowi. - Chciał powiedzieć: "zabierzcie Zakon Piotrowy i nadajcie Zakonowi Pawła wyłączne prawa szerzenia wiary chrześcijańskiej w Japonii", ale otwarcie tego powiedzieć nie mógł. - To bardzo ważne.

- Dopiszemy - potwierdził pan Shiraishi. Tak dla niego, jak i dla innych Japończyków zakonnicy spod wezwania Piotra i zakonnicy Pawła byli chrześcijanami i nazywano ich po prostu padres, różnice między nimi chyba nikogo nie interesowały.

- Czy ten list na pewno dojdzie do papieża? - zapytał pan Shiraishi, jakby chciał uspokoić Misjonarza. Wiedział jednocześnie, że bez Misjonarza jego wysocy doradcy będą bezsilni, jeśli chodzi o realizację celu. Posłowie nie znający ani języka, ani obyczajów będą niezdolni do samodzielnego działania po dopłynięciu do Nowej Hiszpanii. Jedynie Misjonarz może im pomóc.

- Dojdzie. Jeśli będzie trzeba, sam pojedę do Rzymu i osobiście przekażę list Jego Świątobliwości.

- Pojedzie pan sam?

- Zabiorę ze sobą jednego spośród waszych posłów.

- Z Nowej Hiszpanii?

- Tak. Myślę, że dla nich tak będzie lepiej.

Wcześniej Misjonarz myślał już o tym, żeby list zawieźć osobiście do Rzymu, paradując przez miasto w towarzystwie Japończyków, a nie posyłać do Watykanu za pośrednictwem Zakonu Pawłowego. Myśl, którą dotąd trzymał w tajemnicy, wypowiedział teraz głośno i wydało mu się, że podjął w tej sprawie decyzję. Tak, do Rzymu pojedzie z Japończykami. Rzymianie na pewno z ciekawością i zdumieniem będą przyglądać się przybyszom z dalekiego kraju. Duchowni urzędnicy Watykanu otrzymają dowód żarliwej pracy Misjonarza w Japonii. Dzięki temu może zostać biskupem...

- Rozumiem - pan Shiraishi znów dotknął ręką ust i zakasłał. Jednocześnie pomyślał chyba o czymś jeszcze. - Najlepiej by ojciec zrobił, gdyby ze sobą zabrał wtedy Hasekurę Rokuemona spośród naszych posłów.

- Pana Hasekurę?

Misjonarzowi przypomniała się twarz jednego z posłów, którego spotkał niedawno na podwórku zamkowym. Była to twarz chłopca o głęboko osadzonych oczach i wystających kościach policzkowych, twarz odpornego człowieka, gotowego na wszelkie wyrzeczenia i pogodzenie się z wyrokami losu. Nie wiedział, dlaczego tak sądził, ale był niemal przekonany, że ta twarz należała do Hasekury Rokuemona.

Pan Shiraishi zaczął chwalić doskonałość wielkiego statku, którego budowa zbliżała się ku końcowi, jakby chciał zrobić dobre wrażenie na Misjonarzu.

Roześmiał się i powiedział, że gdyby był młodszy, chętnie wsiadłby na ten statek i zwiedził Nową Hiszpanię.

Rozmowa dobiegła końca. Japończycy należący do świty pana z ledwie dostrzegalnym uśmiechem odprowadzali wzrokiem Misjonarza wychodzącego w towarzystwie służby zamkowej, czekającej dotąd na korytarzu. Kiedy kroki ucichły, pan Shiraishi spojrzał wymownie w stronę skryby i rzekł:

- Cuchnie ten barbarzyńca.

- Podobno to~ zależy od rodzaju potraw, które jedzą.

- Nie, to woń mężczyzny, który tłumy w sobie pożądanie płciowe. Ile już lat mieszka w Japonii?

- Dziesięć lat? u nas mieszka, łaskawy panie - skryba odpowiedział z uniżoną grzecznością.

- Dziesięć lat? I ktoś taki myśli, że trzyma nas w garści? W milczeniu ciągle gładził lewą dłoń prawą ręką.

Nadszedł dzień odjazdu. Od kilku dni Dolinę wypełniał ożywiony ruch, przypominający dawne czasy, kiedy to ojciec i stryj Samuraja wyruszyli do boju. Do dworu Samuraja, jako naczelnika rodu, przybywali kolejno krewni nawet z wiosek odległych od Doliny, chcieli w ten sposób wyrazić ubolewanie z powodu rozstania, a chłopcy przychodzili na zmianę pomagać w przygotowaniach. Gotowe bagaże stały w rzędzie na klepisku w sieni. Tego ranka od wczesnych godzin na podwórku panował zgiełk krzątających się ludzi. Przywiązywano bagaże do koni wyprowadzonych ze stajni, wejście do domu ozdobiono podobnie jak w Nowy Rok, a w pokojach porozkładano suszone kasztany, zwane "zwycięskimi", jako dobry znak na Nowy Rok lub przed wyruszeniem do boju. Po zakończeniu przygotowań Samuraj usiadł przy palenisku i wypił trzema haustami podane przez żonę święte wino z czarek ozdobionych miskantami, następnie tę samą czarę podał stryjowi. Czarka przeszła z kolei do rąk Riku i najstarszego syna, Kanzaburó. Wtedy dopiero wziął ją znów stryj i rozbił, rzucając o klepisko. Tak, zgodnie ze zwyczajem, postępowano rankiem przed wyruszeniem na wojnę.

Na podwórzu rozległo się rzenie konia. Samuraj skłonił się przed stryjem, następnie długo patrzył w oczy Riku. Patrząc tak trzymał dłonie na głowach synów. Yozó, który już był gotów do drogi, przyniósł włócznię Samuraja, młodzi pomocnicy, Seihachi, Ichisuke i Daisuke, wybrani przez radę wioski, stali przy trójce koni objuczonych bagażami, natomiast za bramą zgromadzili się chłopcy, którzy przyszedli odprowadzić wyjeżdżających.

Gdy Samuraj dosiadł konia jeszcze raz pokłonił się stryjowi. Za stryjem stała Riku o surowej twarzy, z trudem panująca nad uczuciami. Samuraj uśmiechnął się do Gonshiro i do Kanzaburó, których obejmowała służąca, następnie pokiwał głową. I pomyślał o tym, jak zmienią się jego synowie, zanim wróci w Dolinę z dalekich stron.

- Dbaj o siebie! - zawołał głośno stryj. Samuraj szarpnął za lejce.

Dzień był pogodny. W Dolinie nastała już wiosna. Zakwitły białe kwiatki w lesie, nad polami rozbrzmiewał śpiew skowronków.

Siedzący na koniu Samuraj rzekł sam do siebie: "Dobrze zapamiętaj ten obraz, bo nie będziesz mógł go oglądać bardzo długo".

Jechali tą samą drogą, którą kiedyś udawali się do Ogatsu. Teraz pozdrawiały ich grupy ludzi, ponieważ wiadomość o statku, który miał wypłynąć w dalekie kraje, rozniosła się szeroko. Jedni ofiarowywali wodę do picia, inni kierowali słowa wdzięczności za ich ofiarną służbę. W drodze do Ogatsu oglądali pejzaż zimowy, teraz wszędzie nad drogą kwitły kwiaty, a na polach chłopcy poganiali stąpające powoli woły.

Następnego dnia ujrzeli w dali morze w ciepłych promieniach słońca, na niebie - miękkie jak bawełna chmury.

Wreszcie na krańcach horyzontu Samuraj i jego służba dostrzegli wielki statek.

- O! O! - krzyknęli jeden przez drugiego. Mimo woli zatrzymali się na brzegu morza. Galeon przypominał im potężną, brązową fortecę. Szare żagle na dwóch wysokich masztach wzdęły się na wietrze. Bukszpryt, podobny do włócznie, wpiął się w błękitne niebo, wokół statku pieniały się fale.

Długi czas milczeli i patrzyli na galeon. Wydał im się znacznie potężniejszy i jakby bardziej męski niż wszystkie inne łodzie wielmożnego pana, jakie oglądali dotąd. Teraz dopiero Samuraj przeżył prawdziwy



wstrząs, bo zdał sobie naprawdę sprawę, że ten właśnie statek zabierze ich na pokład i przesądzi o ich losie. Poczuł dotkliwie, że coś odziera go ze spokoju życia w Dolinie. Ogarnęło go podniecenie, jakie przeżywał w chwili wyruszenia na wojnę.

„I tak oto wielmożny pan zbudował sobie statek.”

Jako samuraj najniższej rangi oglądał wielmożnego pana kilka razy jedynie z daleka. Widział go siedzącego w głębi komnaty zamkowej. Wielmożny pan zawsze znajdował się daleko od niego, w miejscu niedostępnym. Lecz w chwili, w której ujrzał ten statek, słowo "służba" wpisało się czarnymi literami w jego głowie. Dla Samuraja ten wielki statek stał się wielmożnym panem, stał się wyrazem pańskiej mocy i autorytetu. Zawsze posłuszny Samuraj poczuł radość na myśl o tym, że poświęci wszystkie siły swojemu panu.

W zatoce Tsukinoura zebrali się ludzie, podobnie jak kiedyś w Ogatsu. Na brzegu morza, niby na dnie małej doliny otoczonej z trzech stron górami, nadal pracowali kulisi przenosząc bagaże i ładując je na łodzie, ich pracą kierowało kilku urzędników, pokazując pałkami, co mają kolejno robić. Samuraje przeszli przez ten tłum, urzędnicy pozdrawiali ich, gratulując takiego wyróżnienia.

Przed świątynią, w której miał nocować Samuraj, stali strażnicy.

Od nich dowiedział się, że Matsuki Chusaku, Tanaka Tarozaemon i Nishi Kyusuke już są na miejscu i że marynarze z hiszpańskiego statku zakwaterowali się w świątyni w sąsiedniej wiosce. Posłów rozlokowano w komnatach przylegających do zatoki, a że galeon stał za górami, więc go nie mogli stąd obejrzeć. W zatoce panował ożywiony ruch - tam i z powrotem kursowały łodzie przewożące ładunki na galeon ukryty za przylądkiem.

- Jak dużo ładują! - rzekł najmłodszy z nich, Nishi Kyusuke. - Słyszałem, że na ten statek wsiądzie ponad stu kupców, poszukiwaczy złota i rzemieślników.

Samuraj i Tanaka Tarozaemon z niedowierzaniem słuchali tego, co Nishi mówił z miną człowieka dobrze poinformowanego o prawdziwych celach tego przedsięwzięcia. Natomiast Matsuki Chusaku stał z założonymi rękami z dala od wszystkich i patrzył w dół na zatokę. Z triumfującą miną Nishi opowiadał, że kupcom pozwolono wsiąść na statek po to, aby mogli w dalekim kraju sprzedawać japońskie wyroby i wszcząć przygotowania do rozpoczęcia handlu w przyszłości, a górnicy, kowale, odlewnicy będą mieli za zadanie poznać metody odlewnictwa i technikę wydobywania kopalni w kraju barbarzyńców. Oczywiście, Samuraj wiedział, że w dominium jego pana są kopalnie złota i złoża mineralne. Lecz po raz pierwszy usłyszał o tym, że ci ludzie również popłyną tym statkiem.

Kiedy kładł się spać, przypomniał sobie i powtórzył jeszcze raz w duchu, że on nic z tym wspólnego nie ma, ponieważ jego zadaniem jest dostarczenie listu wielmożnego pana wicekrólowi Nowej Hiszpanii. Szum fal i wzburzenie serca nie pozwoliły mu od razu zasnąć.

Rankiem w dniu odjazdu nad zatoką od strony morza trzepotały na wietrze kurtyнки z godłami rodowymi ogradzające obozowiska. Posłowie najpierw złożyli wyrazy uszanowania panu Shiraishiemu i dwu innym osobistościom, które przyplłynęły z Shiogamy na łodziach bojowych. Pan Shiraishi nie

schodząc z pokładu zwrócił się kolejno do posłów ze słowami zachęty, a gdy w końcu Samuraj wraz z Yozo i trzema służącymi schylił się w pokłonie, Shiraishi wstał ze stolca i zawołał: "Rokuemon!", a następnie przekazując pudełko owinięte złotym brokatem, powiedział z naciskiem:

- Tu są listy od naszego pana.

Samuraj poczuł drżenie ciała, gdy przyjmował do rąk ciężkie pudełko. Posłowie wsiedli do łódki i powoli oddalili się od brzegu, płynąc cicho wzdłuż skalnej ściany. Po chwili wyszli na otwarte morze. Samuraj trzymający powierzone mu pudełko w brokatowej osłonie i czterech jego podwładnych nie mogli wypowiedzieć nawet słowa - po prostu wpatrywali się w białe zasłonki i stojących na brzegu urzędników i żołnierzy. Wtedy ni stąd, ni zowąd zaczął się zastanawiać, czy tyle samo ludzi przyjdzie również na ich powitanie, kiedy po wielu latach żywi powrócą do kraju i znów wpłyną do tego portu. Kiedy wypłynęli z zatoki, ukazał się przed ich oczyma wielki statek, który po raz pierwszy ujrzeli przedwczoraj. Galeon nie przypominał żadnego ze znanych Samurajowi japońskich statków. Wysoko ponad wodą wznosił się kadłub podobny do kamiennej fasady obronnego zamku, a na dziobie bukszpryt wpijał się w błękitne niebo jak włócznia, zwinięte białe żagle ściśle przylegały do głównego masztu na podobieństwo krzyża, rysowały się też linie licznych fałtów. Na pokładzie znajdowali się już żeglarze z hiszpańskiego statku, a także japońscy marynarze, siedzący w równym szeregu i przyglądający się z góry podpływającym łódkom. Po chwiejnej sznurowej drabince weszli na pokład. Statek miał trzy poziomy. Na najwyższym krztałi się jak mrówki japońscy marynarze. Na środkowym znajdowały się zejścia do wnętrza kadłubu - tędy właśnie wszyscy zeszli do przydzielonych im pomieszczeń. Posłowie otrzymali małą kajutę, znajdującą się w pobliżu dziobu, pomalowaną laką typu Shunkei. Wewnątrz pachniało laką. Służba posłów musiała się udać do wielkiej sali, w której również mieli spać kupcy. W tym surowym pomieszczeniu, w którym widniały belki pod sufitem, znajdował się również ładunek okrętowy.

Gdy posłowie weszli do kajuty, chwilę milczeli i słuchali odgłosów dobiegających z pokładu. Na statek wchodzili teraz głośno rozmawiając kupcy, którzy noc spędzili w Ojika. Przez okienko posłowie ujrzeli małe wysepki. Były to pewnie wyspy Aji i Tajima. Zatoka była stąd już niewidoczna.

- Ciekawe, czy wielmożni panowie już odjechali? - zapytał Nishi, przyciskając twarz do okienka. Gdy Nishi skierował się do wyjścia na pokład, pozostali posłowie również pospieszyli za nim. Wszystko na statku było dla nich nowością, bali się nawet zostać sami w kajucie.

Samuraj również zmieszał się z gromadą kupców i stanął obok Yozó, Seihachi, Ichisuke i Daisuke, i patrzył na góry Ojika, które musiał pożegnać. Majowe drzewa pokryły się soczystą zielenią i przesłoniły zbocza. To ostatni japoński krajobraz, którego przez dłuższy czas nie będzie mógł oglądać. Nagle pod powiekami wyraźnie odżyły wzgórze otaczające Dolinę i wioski, a następnie własny dom, stajnia, twarz Riku. Ze smutkiem zastanawiał się nad tym, co teraz robią jego dzieci.

Nagle rozległ się potężny okrzyk na górnym pokładzie. To żeglarze hiszpańscy coś śpiewali na dziwną nutę. Właśnie kilku majtków japońskich weszło na główny maszt i wedle rozkazów hiszpańskich zaczęło spuszczać żagiel podobny do wielkiego sztandaru. Skrzypiały wiązania, białe mewy

pokrzykiwały jak koty w marcu. Nim się spostrzegli, statek powoli zmieniał kierunek. Słuchając odgłosu bijących o kadłub fal Samuraj myślał, że właśnie teraz określiło się jego przeznaczenie.

### Rozdział 3

Galeon wypłynął piątego dnia piątego miesiąca z Tsukinoury, małego portu przy półwyspie Ojika i obrał kurs na północny--wschód kołyszając się na falach zimnego Pacyfiku pod pełnymi żaglami, napiętymi jak łuki. Japończycy nazwali statek "Mutsu--maru", Hiszpanie natomiast - "San Juan Baptista". Rankiem w dniu odjazdu stałem na pokładzie i długo wpatrywałem się w wyspy japońskie, do których przywykłem od dziesięciu lat.

Dziesięć lat - przykro mówić, lecz to prawda. Słowo Boże nie przyjęło się na ziemi japońskiej przez ten czas. O ile wiem, Japończycy są obdarzeni mądrością i dociekliwością w nie mniejszym stopniu niż narody Europy, lecz na wszystko, co się wiąże z naszym Bogiem, zamykają oczy, a uszy zatykają palcami. Niekiedy wydawało mi się, że ten kraj to "wyspy nieszczęśliwe". Nie straciłem jeszcze nadziei, że ziarno nauki Bożej zasiane w Japonii ma wszelkie szanse rozwoju, pod warunkiem właściwej pielęgnacji. Zakon Piotrowy bowiem, mający wyłączne prawo szerzenia tutaj wiary, przez długie lata nie zwracał uwagi na wyjątkowość tej ziemi. Z niepowodzeń Zakonu Piotrowego wyciągnąłem stosowne wnioski, a przede wszystkim poznałem Japończyków. Gdyby wybrano mnie biskupem, nie powtórzyłbym tych błędów. Trzy dni temu zniknęły z pola widzenia zarysy Archipelagu Japońskiego. Dziwne jednak, że nadal fruwały tu mewy przybyłe nie wiadomo skąd, muskały fale w locie, to znów siadały na masztach. Statek płynął ku czterdziestemu stopniowi północnej szerokości geograficznej, ale mimo to jesteśmy jeszcze niezbyt daleko od japońskiej wyspy Ezo. Kierunek wiatru jest sprzyjający, w podróży "San Juan Baptiście" pomaga również prąd morski.

Kiedy wyszliśmy na otwarte morze, zaczęło statkiem kołysać mocniej niż dotąd. Może nawet o tym kołysaniu i wspominać nie warto, gdy się je porówna do burz i sztormów na Oceanie Indyjskim, które atakowały statek w czasie -mojej drogi na Daleki Wschód przed trzynastu laty, ale siedzący w kajutach Japończycy cierpieli na chorobę morską. Biedni, nawet nic jeść nie mogli. A przecież, choć dotąd żyli otoczeni zewsząd morzem, traktowali je jak fortecę broniącą ich przed nieprzyjacielem. Pozostali istotami lądowymi. Jedynym morzem, jakie znali, był wąski pas przybrzeżny. Niektórzy posłowie również cierpieli na chorobę morską. Hasekura Rokuemon i Tanaka Tarozaemon chyba nigdy dotąd nie doświadczyli morskiej podróży, bo kiedy ich odwiedziłem, wyglądali na bardzo cierpiących i z trudem udało im się przywołać na twarz wątły uśmiech.

Posłowie należeli wprawdzie do niższej warstwy podwładnych księcia, lecz każdy z nich miał własne lenno w górzystych rejonach. Książę wybrał ich spośród wojowników średniej warstwy chyba dlatego, że japońska arystokracja nie przywiązuje większej wagi do wysyłania posłów za granicę. Tym lepiej dla mnie. Nie będę musiał we wszystkim kierować się tylko ich instrukcjami, będę mógł postępować zgodnie z własnym poglądem. Prowincjał Valignano z Zakonu Piotrowego wybrał już kiedyś grupę biednych chłopów, prawie żebraków, i posłał ich do Rzymu jako dzieci arystokratów i nikt niczego nie

podejrzewał. Dopiero później go za to krytykowano. Ja bym raczej pochwalił ojca prowincjała za jego pomysł.

Muszę zapisać nazwiska posłów, którzy odtąd nie będą mogli beze mnie zrobić nawet kroku. Są to: Nishi Kyusuke, Tanaka Tarozaemon, Matsuki Chusaku i Hasekura Rokuemon.

Od wyruszenia w drogę nikt z nich - z wyjątkiem Nishi Kyusuke - nawet nie próbował mnie poznać. Przypuszczam, że o tym zdecydowała szczególna ostrożność i wstydlivość Japończyków w obecności obcokrajowców. Tylko młody Nishi przejawiał ciekawość dziecka, podniecała go ta pierwsza morska podróż, dlatego pytał mnie o szczegóły konstrukcji statku, o działanie kompasu, to znów prosił, żebym go uczył hiszpańskiego. Na ten młodzieńczy brak opanowania Nishiego z wyrzutem patrzył starszy wiekiem Tanaka Tarozaemon, gruby i niski mężczyzna starający się w każdej sytuacji zachować spokojną obojętność niezależnie od tego, co się działo, po to, aby nie narazić swej godności Japończyka w oczach Hiszpana.

Matsuki Chusaku jest szczupły, ma twarz nieco zachmurzoną, jakby zasnutą cieniem. Rozmawiałem z nim może tylko trzy lub cztery razy, lecz rozumiałem, że spośród czwórki posłów on jest najbystrzejszy. Od czasu do czasu wychodzi sam na pokład i o czymś myśli, różni się od pozostałych posłów, ponieważ tego wyboru na posła nie poczytywał sobie za wyróżnienie. Hasekura Rokuemon wyglądał raczej na chłopca niż samuraja, a w każdym razie był najmniej interesujący z grupy posłów. Jeszcze nie zdecydowałem, czy pojedę do Rzymu czy nie, w każdym razie nie mogę pojąć, dlaczego wielki pan Shiraishi radził mi zabrać ze sobą Hasekurę, gdybym wyruszał do Stolicy Apostolskiej. Hasekura wyglądał niepozornie i nie był tak inteligentny jak Matsuki.

Z dała od kajuty posłów znajdowało się duże pomieszczenie, w którym razem przebywali wszyscy kupcy japońscy. Ci z kolei myśleli tylko o handlu i zyskach - zdumiewała mnie ich chciwość. Już wkrótce po wejściu na pokład kilku kupców wypytywało mnie usilnie o to, jakie towary japońskie można by sprzedawać w Nowej Hiszpanii. Powiedziałem im, że na przykład jedwab, składane parawany, zbroje i miecze, wtedy popatrzyli na siebie z zadowoleniem, a następnie zapytali, co można w Nowej Hiszpanii kupić taniej niż w Chinach, może surowy jedwab, welwet czy kość słoniową.

- W Nowej Hiszpanii ufają tylko chrześcijanom - powiedziałem z oczywistą ironią. - Nowo ochrzczeni też zasługują na zaufanie w handlu.

Na ich twarzach wskutek zakłopotania pojawiły się oznaki uśmiechu jak u większości Japończyków.

Monotonne dni płynęły jeden za drugim. Nic się nie zmieniało - ani morze, ani chmury nad horyzontem, ani odgłos skrzypienia lin żaglowych. "San Juan Baptista" płynął bez zakłóceń. Zawsze podczas mszy porannej myślałem o tym, że Pan cudownie podarował nam tę spokojną podróż po to, żeby pomóc w osiągnięciu mojego celu. Wola naszego Pana jest niezgłębiona, ale myślę, że Pan nasz również pragnie, podobnie jak ja, aby ta trudna do nawrócenia Japonia stała się krajem nauki Bożej.

Kapitan Montano i jego zastępca Contreras nie pochwalają moich zamierzeń. Nie mówią o tym wprost, ale jestem pewien, że są przeciwni tym planom. Ci dwaj mężczyźni podczas przetrzymywania ich w Japonii nie wynieśli dobrych wrażeń ani o tym kraju, ani o jego mieszkańcach. Nie starali się utrzymywać kontaktów z posłami czy innymi Japończykami częściej niż to było konieczne.

Nie lubili też, gdy żeglarze hiszpańscy rozmawiali z japońskimi majtkami. Dwukrotnie proponowałem kapitanowi, żeby zaprosił na posiłek do naszego stołu japońskich posłów, lecz on zdecydowanie odmówił.

- Kiedy mnie więziono w Japonii, nie mogłem znieść ich arogancji i okrucieństwa - powiedział kapitan przy obiedzie dwa dni temu. - Nigdy nie spotkałem ludzi mniej szczerych niż ten naród, a myślałem, że nie ma ludzi, którzy za cnotę uważają szczelne zamykanie własnego serca. Próbowałem ich bronić mówiąc, że Japończycy mają tak doskonały system polityczny, że aż trudno uwierzyć, iż są heretykami, wtedy zastępca kapitana powiedział, że to właśnie dlatego tak trudno z tym krajem sobie poradzić. I że na pewno zechcą kiedyś zapanować nad Pacyfikiem.

- Jeśli ojciec chce ich nawrócić na chrześcijaństwo, to najłatwiej ich podporządkować sobie siłą.

- Siłą zbrojną? - mimo woli wypowiedziałem wątpliwość na głos. - Widzę, że obaj panowie nie doceniają tego kraju. To nie jest Nowa Hiszpania ani Filipiny. Oni się przyzwyczaili do wojowania i są silni. Czy wiecie, że tak samo myśleli zakonnicy z Zakonu Piotra i ponieśli klęskę?

Mimo że ich twarze zdradzały brak zainteresowania, po kolei objaśniłem, na czym polegają błędy w nawracaniu popełniane przez Zakon Piotrowy. Na przykład ojciec Cuelho i ojciec Frais planowali przekształcić ten kraj w kolonię, żeby następnie wprowadzić tam chrześcijaństwo, co rozgniewało przywódcę Japonii. Wydaje mi się jednak, że przestają panować nad sobą, gdy zaczynam mówić o Zakonie Piotrowym.

- Na to, żeby szerzyć w Japonii Słowo Boże - mówiłem w przyptywie emocji - jest tylko jeden sposób. Musimy ich wziąć w okrążenie, wprowadzając do wspólnej gry. Hiszpania zaoferuje Japończykom korzyści z handlu na Pacyfiku, a w zamian otrzymamy większe przywileje jako misjonarze. Japończycy bowiem poświęcą wszystko dla korzyści materialnych. Gdybym był biskupem ...

Kapitan i jego zastępca spojrzeli na siebie i nagle zamilkli, nie z aprobatą, byli raczej zdziwieni, wydawało mi się przy tym, że coś knują, a to nie przystoi osobie duchownej. Chociaż wiem, że w obecności laików winienem zachować dyskrecję w sprawach wiary, nie byłem widać dostatecznie ostrożny.

- Padre jest bardziej zainteresowany szerzeniem chrześcijaństwa w Japonii - mówił ironicznie kapitan - niż interesami narodowymi Hiszpanii.

Nic już nie powiedział. Pewnie moje słowa: "gdybym był biskupem", obaj mężczyźni wzięli za wyraz niskich pobudek karierowicza. "Tylko Pan zna serce człowieka i osądza je. Ty, Panie, wiesz najlepiej, że nie powiedziałem tego z powodu osobistej próżnej ambicji. Wybrałem Japonię na miejsce mojej śmierci. I myślę jedynie o tym, że jestem potrzebny Tobie po to, abyś mógł słuchać hymnów śpiewanych na Twoją chwałę."

Przydarzyło mi się coś interesującego. Gdy chodziłem po pokładzie, odmawiając głośno brewiarz, zbliżył się do mnie ukradkiem jeden z kupców japońskich. Przyglądał mi się, gdy szeptałem słowa modlitwy, jakby ujrzał coś niezwykłego, po czym zapytał:

- Panie tłumaczu, co pan teraz robi?

Może to głupie, ale pomyślałem, że ten mężczyzna zainteresował się modlitwą. Jemu jednak chodziło o coś innego. W zasadzie uśmiechnął się do

mnie przyjaźnie, później ściszył głos i poprosił, abym postarał się tak poprowadzić sprawę, żeby tylko jemu przyznano przywileje handlu z Nową Hiszpanią. Odwróciłem od niego twarz, jakby miał nieświeży oddech, lecz on nadal się uśmiechał i powiedział szeptem: - Dobrze wszystko wynagrodzę. Ja zarobię, a i pan też na tym coś zyska.

Zrobiłem niezadowoloną minę i dałem otwarcie wyraz pogardzie, powiedziałem też, że co prawda jestem tłumaczem, ale jednocześnie nie przestałem być duchownym, który pożegnał się z dobrami ziemskimi. Odesłałem go z niczym. Boję się, że jako kapłan spędzę beczynną tę morską podróż, która będzie trwała około dwu miesięcy. To prawda, w mesie odprawiam codziennie mszę dla hiszpańskich marynarzy, ale żaden Japończyk nie przyszedł dotąd choćby popatrzeć. Dla nich jest sensowne to, co daje doczesne korzyści. Niekiedy nawet wydaje mi się, że Japończyk chętnie przyjąłby taką religię, która obiecuje korzyści doczesne - zdobycie bogactwa, zwycięstwo w walce, wyleczenie się z choroby - jest jednak całkowicie niewrażliwy na sprawy nadnaturalne i wieczne. Mimo to zaniedbałbym swoje obowiązki, gdybym podczas tej podróży nie przekazał nauki o Bogu obecnym na statku ponad stu Japończykom.

Choroba morska dawała im się porządnie we znaki. Nishi Kyusuke i Matsuki Chiisaku nie czuli się bardzo źle, lecz przez kilka dni od opuszczenia portu w Tsukinoura, Tanaka Tarōzaemon i Samuraj leżeli na łóżkach jak martwi i słuchali ponurego skrzypienia lin i masztów. Nie mieli pojęcia, gdzie się znajdują, zresztą to ich nawet już nie interesowało. Statek wciąż się kołysał, całe dnie skrzypiały liny monotonnie, otepiające. Jedynie dzwonek na posiłek burzył od czasu do czasu jednostajny rytm. Nawet gdy zamykali oczy, nie mogli wyzbyć się wrażenia, że podnosi ich w górę jakaś potężna siła, aby powoli znów opuszczać w głębinę. Samuraj dostawał mdłości i czuł się bezsilny, od czasu do czasu zasypiał, to znów jakby przez mgłę wspominał twarz żony Riku, sylwetki dzieci i stryja siedzącego przy ogniu. Przynoszeniem posiłków zajmowali się służący posłów. Yozō resztkami sił dochodził do kajuty Samuraja z posiłkiem na tacy, twarz również miał bladą i z trudem opanowywał mdłości. Samuraj nie miał apetytu, jednak cokolwiek przed nim stawiano starał się zjadać, wiedząc, że w przeciwnym razie nie wypełni powierzonej mu misji.

- Nie ma powodu do zmartwienia - Velasco wszedł do kajuty i ze współczuciem spojrział na Samuraja i Tanakę, chcąc podnieść ich na duchu. Gdy się zbliżył, powiał od niego silny zapach potu, więc tym trudniej było Samurajowi opanować mdłości.

- Choroba morska to sprawa przystosowania się do warunków. Po czterech, pięciu dniach minie, nie będą wam doskwierać ani wielkie fale, ani burza.

Samuraj nie mógł uwierzyć. Zazdrościł młodemu Nishi Kyusuke, który wypytywał Velasco o znaczenie obcych słów, chodził po statku interesując się wszystkim, co napotykał.

To dziwne, ale po trzech lub czterech dniach choroba rzeczywiście zaczęła ustępować, jak przepowiedział Velasco. Piątego dnia rankiem Samuraj po raz pierwszy opuścił kajutę przesyconą wonią laki i tranu i wyszedł na powietrze. Na opustoszałym pokładzie uderzył go w twarz potężny poryw wiatru. Wstrzymał oddech i ze zdumieniem patrzył na wielkie grzywy fal

przewalających się wokół statku.

Pierwszy raz widział ocean. Nigdzie nawet śladu lądu ani zarysów wyspy. Fale uderzały o siebie, spiętrzały się w potężne masy wody i zdawało się, że wznosiły okrzyki bojowe jak masa rozszalałych wojowników. Bukszpryt, podobny do włóczni, wbijał się w szare niebo, kadłub statku to unosił się wysoko, rozcinając na boki bryzgi wody, to znów zapadał się w dolinę, by ponownie wypłynąć na powierzchnię.

Samurajowi zakręciło się w głowie. Ponieważ wiatr ciągle bił go mocno po twarzy, nie mógł złapać oddechu. Na wschodzie rozciągało się morze przewalających się, tańczących fal. Na zachodzie również całą przestrzeń wypełniały zderzające się ze sobą jezory wody. Po raz pierwszy w życiu Samuraj zrozumiał ogrom oceanu, zrozumiał też, że Dolina, w której mieszkał, jest niewiele większa od ziarnka maku. Z jego ust wydobył się jęk przerażenia...

Usłyszał odgłos kroków. Na pokład wszedł Matsuki Chusaku. Ten szczupły, ponury mężczyzna również uważnie wpatrywał się w to niesamowite widowisko.

- Naprawdę ogromny jest ten świat. - Wiatr porwał jego słowa i poniósł jak papier w stronę morza. - Nie mogę uwierzyć, że to morze rozciąga się aż po Nową Hiszpanię.

Matsuki chyba go nie usłyszał, ponieważ nadal stał tyłem i nie poruszył się z miejsca. Długo patrzył, wreszcie się odwrócił. Na jego twarz padł cień masztu.

- Będziemy płynąć dwa miesiące - powiedział Matsuki. Jego słowa również porwał wiatr. Samuraj nie dosłyszał i poprosił o powtórzenie.

- Panie Hasekura, co myślisz o tej misji?

- O misji? Myślę, że duży zaszczyt nas spotkał.

- Nie o to mi chodzi. - Matsuki potrząsnął głową, jakby rozgniewany. - Pytam, dlaczego nam, małym ludziom, powierzono tak ważne zadanie. Wciąż myślę o tym, odkąd opuściliśmy Japonię.

Samuraj zamilkł. On też nie mógł tego pojąć, chociaż od wyruszenia w drogę zastanawiał się, dlaczego został wybrany na tak ważnego posła, bo przecież nie ma żadnej rangi. Dziwiło go również i to, że nikt z Rady Rodowej czy choćby wysokich rangą wasali jego pana nie został włączony do poselstwa.

- A co pan, panie Matsuki, sądzi?

- Sądzę, że jesteśmy pionkami przeznaczonymi na stratę. - Matsuki patrząc na morze mówił, jakby drwił z samego siebie... - Tak zdecydowali panowie z Rady Seniorów.

- Pionkami podstawionymi do zbiccia? Na stratę?

- Naprawdę to ktoś ze starszych rangą wasali pana powinien jechać w roli posła w tak ważnej misji. Nas wybrano po prostu dlatego, że o nas nikt się nawet nie upomni, ani wielmożny pan, ani Rada Seniorów, nawet jeśli potonimy w drodze, zachorujemy i umrzemy w tym nieznanym kraju barbarzyńców.

Matsuki spostrzegł, że Samuraj zbladł, mówił jednak dalej, jakby zadowolony z wywartego wrażenia.

- Kim my jesteśmy, jakimi znowu posłami? Języka przecież nie znamy, polegamy tylko na Velasco, czyli jesteśmy zwykłymi posłańcami wiozącymi listy. Gdy rozpocznie się handel z Nową Hiszpanią, gdy podejmą decyzję zezwalającą na zawijanie statków z barbarzyńskich krajów do Shiogamy czy Kisennu, zapomną o nas, zostawią nas gdzieś na morzu czy lądzie jako

nikomu niepotrzebnych. Czy nie mam racji?

Bryzgi fal, niesione na wietrze, zmoczyły podłogę u stóp mężczyzn. Nad ich głowami głośno zaskrzypiały liny.

- Pan Shiraishi nic takiego nie mówił... - Samuraj wypowiedział to szeptem, nieomal z jękiem, a zdenerwował się tym bardziej, że nie potrafił dobrze mówić i zdecydowanie odpiierać oskarżeń Matsukiego. Ale jeśli rzeczywiście są pionkami przeznaczonymi na zabicie w grze, to dlaczego pan Shiraishi i pan Ishida nalegali na to, żeby dbał o swoje zdrowie i mógł wrócić do kraju? Dlaczego mówili, że zostanie rozważona sprawa powrotu dawnych rodzinnych lenn w Kurokawie?

- Pan Shiraishi nie mógł czegoś takiego powiedzieć. - Matsuki roześmiał się słysząc te słowa. - Należy się lepiej zastanowić, co się mówi.

- Kiedy wielmożny pan podzielił lenna dwanaście lat temu, wielu wiejskich samurajów zostało pozbawionych dziedzicznej ziemi, a w zamian otrzymało nieurodzajne dzikie pola, przyznane im przez Radę Seniorów. Składaliśmy petycje o zwrot naszych posiadłości, ale nawet nie otrzymaliśmy odpowiedzi, nic więc dziwnego, że niżsi rangą samuraje są niezadowoleni. I ja-, i wy; panie Hasekura, a także Tanaka i Nishi, wszyscy są w podobnej sytuacji. Dlatego wybrano czterech spośród tej grupy, dano rozkaz wyjazdu w tę straszną drogę, ponieważ jeśli w drodze umrzemy, upadną nasze rody. Jeśli nie osiągniemy celu jako posłańcy, zostaniemy również ukarani. Będzie to na pewno ostrzeżenie dla wszystkich niezadowolonych samurajów niższej rangi. W każdym razie Rada Seniorów nic na tym nie traci.

- Nie wierzę.

- Nie musi pan wierzyć. Czy pan wie o tym, że Rada Seniorów podzieliła się na dwa obozy, zanim ten wielki statek wysłano w podróż? - Matsuki zadał to zagadkowe pytanie, stawiając nogę na drabinie prowadzącej w dół do kajuty. - No, może dajmy temu spokój. To tylko moje przypuszczenia.

Kiedy sylwetka Matsukiego zniknęła z pokładu, Samuraj został sam, zwrócony w stronę szalejącego żywiołu.

"To zadanie przypomina udział w bitwie. Samuraj niskiej rangi na wojnie dowodzi piechurami, musi więc biegać pod ogniem strzał i kul. W tym czasie starszyzna znajduje się na tyłach w namiotach i dowodzi całym wojskiem. Można więc uważać, że z tych samych powodów nie wysłano w podróż wyższych urzędników." Samuraj starał się przekonać samego siebie i rozproszyć melancholię, lecz słowa Matsukiego nadal tkwiły w nim głęboko i napawały smutkiem.

Gdy zszedł pod pokład, nie słyszał już potężnych porywów wiatru ani grzmotu rozszalałych fal. Nie chciał wracać do kajuty. Drażnił go zapach laki pokrywającej belki. Zajrzał do wielkiej sali, w której przebywali japońscy kupcy. Wiedział bowiem, że mieszkają tam też jego służący: Yozo, Seihachi, Ichisuke i Daisuke. Zapach mat słomianych, którymi owinięto towar, mieszał się z wonią potu ludzkiego. Stłuszczone ciała kupców leżały na podłodze lub siedziało grupkach i zabawiało się grą w kości. Yozó i pozostali służący leżeli obok ładunku, nadal cierpiąc na chorobę morską, lecz kiedy spostrzegli obecność swego pana u wezglowia, natychmiast próbowali powstać.

- W porządku, nie wstawajcie - Samuraj uspokoił witających go czterech służących. - Trudno wytrzymać, co? To okropna choroba. Wychowaliśmy się w Dolinie, więc tym ciężiej wytrwać nam na morzu.



Poradził im, żeby po powrocie do kraju nikomu nie opowiadali, jak okropnie się czuli lub jak żałośnie wyglądali podczas choroby.

Te słowa wywołały pierwszy uśmiech na ich twarzach. Patrząc na wynędzniałe oblicza Samuraj czuł w głębi serca, że tylko ci czterej ludzie będą dla niego wiernymi towarzyszami w czasie długiej, ciężkiej podróży. W Japonii po powrocie czeka go wprawdzie jakaś nagroda, ale im pozostanie jedynie powrót do tego samego znojnego życia, jakie wiedli wcześniej.

- W Dolinie chyba teraz pada deszcz.

Rzeczywiście, o tej porze roku codziennie pada, pada bez przerwy. Półnady, pokryci błotem chłopci jednak pracują. Ten przykry obraz wydał się teraz Samurajowi i jego pomocnikom bliski i miły sercu.

- "Somos Japoneses" znaczy: "jesteśmy Japończykami".

To Nishi Kyusuke wrócił do kajuty i tak dziwnie pozdrowił Tanakę Tarózaemona i Samuraję, siedzących w różnych pozycjach i zajętych pisaniem pamiętników z podróży.

- A może poszlibyście ze mną? Tłumacz, pan Velasco, uczy kupców obcego języka.

- Nishi, Hiszpanie będą nami gardzić, jeśli my, posłowie, zmieszamy się z gromadą kupców - szepnął ze złością Tanaka. Skarcony Nishi zmienił się na twarzy i odparł:

- Nie znając ani jednego słowa tego języka po przyjeździe...

- Przecież mamy tłumacza...

Patrząc z potępieniem na Nishiego Samuraj w duszy zazdrościł mu łatwego zawierania znajomości i przystosowywania się do środowiska. Wychowany w Dolinie, należał raczej do ludzi wstydliwych, podobnie jak Tanaka. Młody Nishi natomiast codziennie wędrował po wszystkich zakątkach statku i wykazywał głębokie zaciekawienie budową i urządzeniami galeonu. Na papierze zapisywał słowa, którymi posługiwali się marynarze hiszpańscy, wyjaśnił wszystkim, że "capitdn" to "kapitan", "mbierta" to "pokład", a "vela" to "żagiel".

- Nawet pan Matsuki - Nishi zaczerwienił się - zmieszał się z kupcami i się uczył...

Tanaka skrzywił się. Był najstarszym z posłów japońskich, dlatego w obecności barbarzyńców starał się ukryć zdumienie wywołane nowymi rzeczami i sprawami.

- Nawet pan Matsuki? - zapytał Nishiego zdziwiony Samuraj.

- Tak.

Samuraj wiedział, o czym teraz myśli ponury i blady Matsuki. Dziś również siedział tyłem do nich i coś rozpamiętywał. To on powiedział, jakby wypluwając z siebie słowa, że są pionkami podstawionymi do zbitcia przez wielmożnego pana i Radę Seniorów. Mówił również o tym, że wysłano ich w ciężką podróż po to, żeby stłumić niezadowolenie szeregowych samurajów, wywołane.. zmianami w nadawaniu lenn. Tych słów Matsukiego Samuraj nie powtórzył ani Tanace, ani Nishiemu. Z niejasnych powodów bał się tego powtórzyć.

Samuraj wstał, chciał wyrzucić z pamięci słowa Matsukiego. Szedł korytarzem biegnącym wzdłuż kadłuba statku, wyginającym się w łuk. Po jednej stronie znajdowały się tu ładownie, duża sala kupców, komory żywnościowe i kuchnie dla Japończyków. Od ładunku niosła się woń kurzu i mat słomianych, a z

kuchni - zapach miso.

- Panie Hasekura! - z tyłu rozległ się głos biegnącego Nishiego z wyszczerzonymi chłopciami zębami. - Czy mogę się uczyć hiszpańskiego?

Samuraj nie zmieniając surowej miny wyraził zgodę.

Gdy zajrzał do wielkiej sali, przed piętrzącym się stosem bagaży w czterech szeregach siedzieli kupcy, trzymali pędzle i na papierze zapisywali hiszpańskie słówka, wypowiedane przez tłumacza.

- "Quanta guesta?" znaczy: "Jaka jest cena?"

Velasco powtórzył pytanie trzykrotnie. Nikt z kupców nie odpoczywał, wszyscy z całą powagą poruszali pędzlami. Z boku stali służący i z uśmiechem przyglądali się tej scenie.

- Powtarzam jeszcze raz: "Quanla guestaV"

Nishi, stojący obok Samuraja, cicho powtórzył słowa. Tu zaczyna się zupełnie inny świat od tego, który znali w Dolinie. Pośród pochylonych czarnych głów poruszała się chuda szyja Matsukiego, siedzącego z założonymi rękami. Velasco podyktował słuchaczom, jak brzmią proste pozdrowienia, i rzekł:

- Lecz znajomość języka nie wystarczy jeszcze do prowadzenia handlu w Nowej Hiszpanii. - Velasco otarł usta szmatką. - Jak już kiedyś mówiłem, w tamtym kraju niczego nie można załatwić, jeśli nie jest się wierzącym. Spójrzcie na taki przykład. Nawet na tym statku żeglarze hiszpańscy przekazują znane sobie znaki za pomocą śpiewanej modlitwy. Ten głos, który dochodzi codziennie z pokładu, to pieśni pochwalne na cześć chrześcijańskiego Boga, któremu na imię Deus. Są one znakiem przystąpienia do pracy. Czy to zauważyliście?

- No tak, dopiero teraz to zrozumiałem. Gdy odpływaliśmy, żeglarze dawali sobie znaki, śpiewając pieśni o dziwnej melodii, teraz przekazują je sobie codziennie na pokładzie.

- Wcale nie każę wam poznawać nauki chrześcijańskiej. Chciałbym jednak teraz opowiedzieć trochę o życiu naszego Jezusa Chrystusa.

Wśród kupców przetoczyła się fala szeptów, niby zmarszczka na wodzie, i nagle ucichła. Matsuki wstał i odszedł z szeregu. Ujrzał Samuraja i zbliżył się doń.

- Patrz, kupcy słuchają. Oni są gotowi zostać nawet chrześcijanami, żeby tylko mieć korzyści. Velasco dobrze zna ich zachłanność i wykorzystuje ją dla swoich misyjnych celów. Chytry lis z tego tłumacza.

Prostodusznemu i naiwnemu Samurajowi zrobiło się nieprzyjemnie, gdy patrzył na chude plecy Matsukiego, który poruszył gniewnie prawym barkiem i skierował się w stronę kajuty. "To dziwny człowiek" - pomyślał o Matsukim, wietrzącym wszędzie złe intencje.

"San Juan Baptista" pół miesiąca idzie wciąż na wschód przez ocean, na którym nie dostrzeżono ani jednej wyspy. Całe szczęście, że nie natrafiono też na strefę ciszy morskiej ani na wielką burzę. Zresztą na tym północnym szlaku rzadziej zdarza się cisza niż w pobliżu Równika, ale burze bywają. Dlatego kapitan Montaño powiedział, że trafiła się im wyjątkowo spokojna podróż. Kiedy przed laty płynął do Japonii, zauważył, że marynarze bardzo nie lubili, gdy ktoś w czasie ciszy morskiej gwizdał. Byli przesądni, wierzyli, że gwizdanie pogłębia rozstrój spowodowany brakiem wiatru.

Ranek na „San Juan Baptista” rozpoczyna się od mycia pokładu. Proste prace w rodzaju mycia pokładu czy kontrolowania lin żaglowych w ciągu dnia, czyszczenia z rdzy łańcucha kotwicy czy osprzętowania wykonywali marynarze japońscy. Lecz obserwacja, sterowanie, przekazywanie rozkazów kapitana i jego zastępcy oraz oczywiście nawigacja należały wyłącznie do Hiszpanów. Codziennie raniem, w południe i wieczorem zmieniał się kolor morza. Nieznaczne różnice w układzie chmur, w błyskach promieni słonecznych, w ciśnieniu atmosferycznym nadawały barwę wodzie, raz była radosna, innym razem smutna lub tak wielkiej głębi, że mogła wzbudzić zachwyt każdego malarza. I nie tylko ja jeden chciałem na ten widok chwalić mądrość Pana, naszego stwórcy, który dał takie morze. Nie lecą już za nami mewy, ale za to radość oczom sprawiają srebrne ławice ryb skaczących z fali na falę. Ku mojemu zdumieniu na dzisiejszą mszę przyszło kilku kupców japońskich, żeby popatrzeć ukradkiem. Dostrzegłem ich w chwili komunii, gdy trzymając święty kielich wkładałem Chleb Pański w otwarte usta klęczących hiszpańskich marynarzy. Przyglądali się lekko, ale z zaciekawieniem. Może nie mogli znieść codziennego nudnego życia na statku i dlatego przyszli na mszę? A może serca ich poruszyło Pismo Święte, którego część przełożoną na japoński słuchali po lekcji hiszpańskiego już od sześciu dni? Jest też prawdopodobne, że moją przestrożę o tym, że w Nowej Hiszpanii nikt nie ufa niechrześcijanom, potraktowali poważnie. W każdym razie ucieszył mnie rezultat. Skończyła się msza, schowałem do szafy ornat i święty kielich i pośpieszyłem porozmawiać z nimi, dopóki kręcili się po korytarzu.

- No, co myślicie? Nie chcielibyście poznać głębszego znaczenia mszy? W grupce był również ów mężczyzna o żółtych zębach, który kiedyś na pokładzie prosił mnie o przyznanie specjalnych przywilejów z handlu. To właśnie on uśmiechnął się i odpowiedział:

- Panie tłumaczu, japoński kupiec przyjmie wszystko, co będzie mu użyteczne. A chyba również nic nie straci, jeśli w czasie podróży pozna nawet chrześcijaństwo.

Rozśmieszyła mnie ta szczerą odpowiedź. I jakże bardzo japońska, lecz mimo wszystko wydała mi się nazbyt otwarta. Chciał mi schlebić, żebym znowu przeczytał opowieść o życiu Chrystusa.

"Nic nie straci, jeśli pozna nawet chrześcijaństwo." Myślę, że odpowiedź mężczyzny o żółtych zębach dobrze oddaje stosunek Japończyków do religii. W ciągu długiego pobytu w Japonii sam mogłem się przekonać, że Japończycy w religii poszukują korzyści doczesnych. Można nawet powiedzieć tak: według nich serce wierzy, żeby mieć korzyści. Modlą się do bogów rodzimych i do Buddy, aby uchronić się od chorób i klęsk. Przywódcy i magnaci obiecują ofiary świątyniom shintoistycznym i buddyjskim, mając w zamian nadzieję na zwycięstwo w bitwie. Bonzowie również są o tym przekonani, każą więc modlić się do posążków szatana, którego nazywają Buddą Uzdrawicielem, ponieważ jest to skuteczniejsze niż lekarstwo, dlatego w Japonii ludzie najczęściej modlą się do tego wizerunku Buddy. Nie tylko zresztą dlatego, żeby uchronić się od choroby i klęski żywiołowej. Wśród wierzeń Japończyków jest wiele herezji, które obiecują jeszcze więcej szczęścia i bogactwa, i te przyciągają liczne rzesze wiernych.

Wierzący Japończycy poszukują w religii tylko korzyści materialnych. Kiedy ich widzę, nie mogę oprzeć się myśli, iż w tym kraju nie narodzi się

prawdziwa religia taka jak chrześcijaństwo, która wskazuje drogę do wieczności czy drogę do zbawienia duszy. Istnieje bowiem nazbyt duża rozpiętość między ich wierzeniem a tym, co chrześcijanin nazywa wiarą w Boga. Myślę jednak, że trzeba się tu posłużyć metodą, którą najlepiej wyraża powiedzenie na temat usuwania trucizny za pomocą innej trucizny. Jeśli Japończyk to człowiek, który w życiu ziemskim poszukuje korzyści, należy się zastanowić, w jaki sposób wprowadzić do nauki o Bogu te doczesne pragnienia. Zakon Piotra kiedyś dobrze to czynił. Feudalnym panom dał w rękę nową broń i egzotyczne przedmioty z Południa, a w zamian otrzymał pozwolenie na szerzenie religii.

Później jednak zbyt często podejmował działania, które gniewały Japończyków. Niszczył chramy shintoistyczne, tak ściśle związane z podstawą religii Japończyków, wykorzystywał słabe strony walczących ze sobą książąt, a w celu zdobycia dla siebie przywilejów tworzył małe kolonie.

Przed opuszczeniem Japonii napisałem kilka listów. Były to listy do stryja Don Diego Cavaliero Molina, do zakonnika Don Diego de Cabreira i do przełożonego Zakonu Pawła w Sewilli. W listach zawiadaniałem, że być może z Nowej Hiszpanii udam się do Sewilli razem z Japończykami. Prosiłem, aby wtedy jak najstaranniej wyreżyserowano ich przejazd. Oglądanie Japończyków byłoby dla mieszkańców Sewilli wydarzeniem niezwykłym, dlatego można przewidzieć, że zebrałoby się dużo ludzi pragnących ich zobaczyć, należałoby jednak "zwiększyć efekt tego wydarzenia. Napisałem więc, że ich przejazd będzie się wiązał bezpośrednio z możliwością szerzenia wiary chrześcijańskiej w Japonii i z chwałą Pana na tej ziemi. Listy zamierzałem posłać w Acapulco specjalnym konnym posłańcem do Veracruz, skąd dowieziono by je najszybszym środkiem do Sewilli.

Wczoraj również uczyłem słówek i prostych dialogów, a następnie w obszernym pomieszczeniu Japończyków opowiadałem trochę o życiu Jezusa. Twoja wiara ciebie uleczy - przedstawiałem z zapałem przypowieść o uzdrowieniu chorych w Galilei. Opowiadałem teraz śmielej o tym, jak to kulawy zaczął chodzić, niewidomy odzyskał wzrok, a przeżarty przez trąd - gładkość skóry. Japończycy słuchali z wyrazem dużego wzruszenia. Wiedziałem, że w religii poszukują przede wszystkim lekarstwa na choroby, tym mocniejszy położyłem akcent na przypowieść o cudownym uzdrowieniu.

"Lecz moc Pana leczy nie tylko ciało. Leczy również choroby duszy." Tymi słowami zakończyłem dzisiejszą opowieść. Myślę że udało mi się znaleźć najodpowiedniejszą formę. Ale wiem, że wszystko przede mną. Do celu droga daleka. Japończycy interesują się głównie opowieściami o cudach lub o karmanie, z którymi zresztą też nie potrafią sobie sami poradzić. Z doświadczenia wiem także, że z wyrazem kompletnego niezrozumienia słuchają tego, co w chrześcijaństwie najistotniejsze, mianowicie opowieści o zmartwychwstaniu czy o miłości żądającej złożenia siebie w ofierze.

W czasie kolacji kapitan Montano powiedział, że spada ciśnienie atmosferyczne i że od południa przybliży się burza, której się obawiał. Rzeczywiście, już od godzin popołudniowych czułem szybkie narastanie fal, choć jeszcze wczoraj roztaczało się dookoła piękne, niebieskie morze, które dzisiaj zamieniło się w zimną czerń, a zderzające się fale pokazywały już białe kły. Przed dziobem tryskała biała piana i woda przelewała się przez pokład. Kapitan powiedział, że będzie płynął z maksymalnym przechylem na

prawą burtę, aby jak najszybciej wyprowadzić statek ze strefy burzy.

O północy burza podeszła już bardzo blisko. Ale pamiętnik, w kajucie dzielonej z zastępcą kapitana, mogłem jeszcze pisać, bo kołysanie nie było silne. W związku z ogłoszonym alarmem Contreras czuwał na pokładzie, ubezpieczony liną. Kołysanie szybko jednak wzrosło. Świeca na stole przewróciła się z trzaskiem, spadły książki z półki. Poczujęm niepokój i wyszedłem z kajuty, chcąc się dostać na pokład, ale w momencie, gdy postawiłem stopę na schodku, statek zaskrzypiał od silnego uderzenia. O mało nie spadłem ze schodów. Wtedy właśnie uderzyła pierwsza fala. Woda popłynęła w dół po schodach. Uderzył mnie potężny strumień i powalił na podłogę. Zgubiłem różaniec, który miałem przy biodrze, przeszedłem w wodzie kilka kroków na czworakach, -oparłem się o ścianę i z trudem się podniosłem. Gwałtownie wzrosło kołysanie boczne. Woda dostała się chyba również do wielkiej sali, ponieważ stamtąd dochodziły krzyki i około dziesięciu Japończyków wybiegło. Krzyknąłem w ciemność, ostrzegając, że nie wolno wychodzić na pokład. Bez ubezpieczenia liną na pewno zostaliby zmyci przez fale.

Przybiegł na pomoc Tanaka Tarózaemon. Zawołałem, żeby zatrzymał kupców. Dobył miecza i zagroził stłoczonym przy schodach. Zatrzymali się z wahaniem. Boczne kołysanie zmieniło teraz kierunek i z trudem udawało mi się trzymać ściany. Z pokładu słyszałem ryk potężnych fal bijących o statek, brzmiało to jak huk armatnich strzałów, wewnątrz statku rozległ się łoskot spadających i pękających przedmiotów, nie ustawały też krzyki ludzi. Chciałem wrócić do kajuty, lecz nie mogłem. Jak pies na czterech łapach posuwałem się po zalanej wodą korytarzu, wreszcie dotarłem do własnego pomieszczenia. Z trudem otworzyłem drzwi, potknąłem się o jakieś przedmioty, które pospadały z półek i taczały się po podłodze. Położyłem się i trzymałem ręką uchwyt przy ścianie. Gdy statek się przechylał, na półce wszystko przesunęło się z jednej strony na drugą. Stukot nie ustawał do rana. Dopiero wtedy zrobiło się cicho, kołysanie zelżało.

Gdy przez okienko wpadło światło brzasku, na podłodze ujrzałem książki i kuferki. Na szczęście nasza kajuta, znajdująca się o jeden poziom niżej od pomieszczenia Japończyków, nie została zalana. Wszystko dzięki Bogu. Poważnie ucierpiała duża sala kupców, zwłaszcza pościel osób śpiących w sąsiedztwie bagaży nie nadawała się do użytku. Woda wdarła się również do komory z żywnością.

Poszedłem do kajuty i przyniosłem trochę własnych ubrań i pościeli i dałem jednemu z poszkodowanych. Był nim służący jednego z posłów, człowiek o twarzy chłopca i zapachu ziemi, podobnie jak Hasekura Rokuemon.

- Możesz używać - powiedziałem. - Mężczyzna patrzył jednak na mnie, jakby nie wierzył słowom. - Zwrócisz, kiedy twoje rzeczy wyschną. - Gdy zapytałem o jego imię, odpowiedział lękliwie: "Yozó". Jest to chyba służący posła Hasekury.

Po południu udało mi się spotkać z Contrerasem, który z pośpiechem zszedł do kajuty. Od niego dowiedziałem się, że w czasie wczorajszej burzy złamał się jeden z masztów i że zaginęło dwóch japońskich marynarzy, wyrzuconych za burtę. Nadal pasażerom nie wolno wychodzić na pokład, ponieważ fale są wysokie.

Po południu statek wydostał się z najgroźniejszej strefy. Pod pokładem

trudno było wytrzymać z powodu brudu i zaduchu wymiotujących Japończyków, poprosiłem więc Contrerasa o zgodę i wyszedłem na zewnątrz, lecz okazało się, że fale nadal szaleją, a morze wciąż czarne. Japońscy marynarze bez chwili odpoczynku zajmowali się porządkowaniem na pokładzie i naprawą złamanego masztu.

Nadeszła pora wieczornego posiłku, mogłem wreszcie swobodnie porozmawiać z Montaño i Contrerasem. Obaj całą dobę nie spali, oczy mieli podkrążone ze zmęczenia. Powiedzieli, że nie ma nadziei na ratunek obu Japończyków, wyrzuconych przez falę za burtę. Żał mi ich, ale widocznie taki los Pan im przeznaczył.

Wyszedłem na pokład, gdy przestało kołysać, i odmówiłem codzienną modlitwę. Wtedy zjawił się mężczyzna, któremu pożyczyłem ubranie przed Czterema dniami, lecz wkrótce zniknął, by po chwili znów pojawić się na pokładzie w towarzystwie swojego pana. Hasekura pochylił się, podziękował za współczucie okazane jego słudze, wyraził też ubolewanie, że na statku nie może się dostatecznie odwdziczyć i wręczył mi papier japoński oraz pędzel do pisania. Kiedy patrzyłem na twarz tego małomównego mężczyzny, w której zastygł zapach ziemi, zrobiło mi się żal, że taki mężczyzna - wyrażający teraz głęboką wdzięczność - musiał rozstać się ze swoimi rodzinnymi stronami i udać się do dalekiego kraju, nawet jeśli uczynił to z zaszczytnego rozkazu wielmożnego pana. Jego sługa Yozo stał kilka kroków dalej i wciąż się kłaniał. Sprawił mi pewną radość ten mężczyzna, przypominający prostego cavalieros z hiszpańskiej wioski.

Kiedy obaj odeszli, na pokładzie zjawił się Matsuki Chusaku. Zatrzymał się w bezruchu i długo wpatrywał się w morze. Taki miał zwyczaj. Nawet kiedy spojrział w moją stronę i wzrok nasz się spotkał, kłaniał się, lecz nigdy nie podchodził, żeby porozmawiać. Dziś również przyglądał mi się z daleka, gdy chodziłem tam i z powrotem po pokładzie odmawiając brewiarz. W silnych promieniach słońca wyczułem w jego wzroku jakąś głęboką nienawiść i wrogość.

- Nie będę miał spokoju, dopóki posłowie nie dojadą do

Nowej Hiszpanii bezpiecznie - powiedziałem. Mimo to Matsuki milczał jak kamień, więc znów zacząłem intonować modlitwę.

- Panie Velasco - zawołał nagle takim głosem, jakby mnie potępił.

- Chciałbym o coś zapytać. Czy pan na tym statku znajduje się w charakterze tłumacza posłów japońskich? Czy raczej ma pan inne zadanie do wypełnienia?

- Przede wszystkim jestem tu po to, żeby pełnić rolę tłumacza - odpowiedziałem z niepokojem. - Dlaczego pan pyta?

- Czy wobec tego opowiadanie kupcom o Chrystusie należy do zadań tłumacza?

- Myślę, że jest to pożyteczne dla wszystkich. W Nowej Hiszpanii przyjmą każdego jak brata, mimo że pochodzi z obcego kraju, pod warunkiem, że jest chrześcijaninem, niechrześcijanin nie może załatwiać tam żadnej sprawy handlowej.

- Wobec tego, jeśli kupcy japońscy nawróciliby się na chrześcijaństwo tylko dla handlu - mówił kpiąco Matsuki - pan by nie widział w tym nic złego?

- Tak myślę - potwierdziłem. - Niejedna droga prowadzi na górę. Bywa droga ze wschodu na zachód, a także z południa na północ.

Niezależnie od tego, z której strony się człowiek wspina, dojść może do tego samego celu - na szczyt góry. Podobnie jest z drogami wiodącymi do Boga.

- Pan działa podstępnie, panie Velasco. Pan wykorzystuje zachłanność tych ludzi w celu nawrócenia ich na chrześcijaństwo. Podobną taktykę stosował pan, o ile mi wiadomo, również w stosunku do wielmożnych panów należących do Rady Seniorów naszego klanu. W zamian za pomoc w handlu z Nową Hiszpanią, żądałeś podobno pozwolenia na szerzenie nauk Chrystusa w Japonii.

Patrzyłem mu w oczy. Ich blask różnił się od dziecinnych oczu Nishiego, wyrażających jedynie zwykłą ciekawość świata. Różnił się też od twardego spojrzenia Tanaki oraz od poddańczego wzroku Hasekury. Zrozumiałem, że ci japońscy posłowie nie są głupcami.

- Jeśli nawet byłaby to prawda - zacząłem mówić spokojnie - to co wtedy by pan uczynił? Czy zrezygnowałby pan z roli posła?

- Nie. Chcę tylko powiedzieć, że ci kupcy zostaną nawet chrześcijanami, jeśli uwierzą, że to przyniesie im korzyści w Nowej Hiszpanii, ale jeśli się przekonają, że to im nic nie daje, od razu wyrzekną się wiary. Podobnie uczyni Rada Seniorów klanu. Pozwoli szerzyć chrześcijaństwo dopóty, dopóki będzie trwał handel z Nową Hiszpanią. Skończą się stosunki handlowe, przestaną zawijać barbarzyńskie statki do portów leżących w prowincji naszego pana, chrześcijaństwo zostanie zakazane. Czy wie pan o tym, panie Velasco?

- Dobrze o tym wiem. Dlatego należy chyba uczynić wszystko, by dać im okazję do zysku i utrzymania handlu... - Roześmiałem się, jakbym powiedział dowcip, a następnie dodałem: - Ale nawet jeśli ustanie handel z Nową Hiszpanią, to posiane ziarno pozostanie w glebie. My, ludzie, nie możemy przewidzieć wszystkich wyroków Boga.

- Panie Velasco - teraz Matsuki zaczął mówić z całą powagą w głosie, rezygnując z tonu urzędnika śledczego. - Tego nie rozumiem. Dla mnie mimo wszystko wygląda pan na podstępного gracza. Jednak jako gracz przebywa pan tysiące mil niebezpieczeństw, naraża swoje życie dla kogoś, kogo nazywa Deus. Czy pan naprawdę wierzy, że pana Bóg istnieje? A jeśli tak, to dlaczego pan myśli, że istnieje?

- Za pomocą logiki nie można wyjaśnić, że Bóg istnieje. Bóg swoje istnienie przejawia bowiem poprzez życie każdego człowieka. Poprzez życie wszelkiej istoty daje dowód boskiego istnienia. Jeśli w pana oczach wyglądam na podstępного gracza, to trudno, jednak nawet w życiu przebiegłego taktyka kryć się może dowód istnienia Boga.

Dziwiłem się sam sobie, że z moich ust mogły wyjść te słowa. Jakby pod wpływem jakiejś siły powiedziałem, że dowód istnienia Boga znajduje się w życiu każdego człowieka.

- Czy to możliwe? - Matsuki znów przybrał kpiącą minę. - Poprzez życie tych japońskich kupców Bóg jednak nie potrafi wykazać swego istnienia.

- Dlaczego?

- Dlatego, że jest im obojętne, czy Bóg istnieje, czy nie. Co więcej, nie tylko oni są tacy. Taka jest chyba większość Japończyków.

- A co pan myśli, panie Matsuki? - przycisnąłem go do muru. - Czy pragnie pan żyć tak połowicznie, byle jak? Bo ja wciąż myślę, że

życie jest potężną namiętnością, jeśli ma być w ogóle coś warte. Na podobieństwo stosunków między kobietą a mężczyzną. Tak jak kobieta pragnie namiętnego uczucia mężczyzny, tak Bóg spodziewa się żarliwości od nas, od wierzących. Człowiek nie żyje dwa razy. Ani tylko zimno, ani tylko gorąco, czy letnio, połowicznie... Tego pan pragnie, panie Matsuki?

Matsuki po raz pierwszy zawahał się pod naciskiem mojego ostrego głosu i spojrzenia. Zamilkł, jakby się zawstydził swej zmieszanej twarzy.

- Co na to można poradzić? Ja wychowałem się w Japonii, a w tym kraju nie lubi się ujawniania namiętności. W moich oczach osoba taka jak pan, Velasco, wygląda po prostu na dziwaka.

W tym momencie dostrzegłem na twarzy Matsukiego wyraz trudnej do wysłowienia irytacji. Miałem wrażenie, że zły był sam na siebie z powodu swego zachowania. Bo to nie była złość w stosunku do przeciwstawiającego mu się człowieka, który zapomniał, że jest tu tylko tłumaczem. Wydało mu się nawet, że nienawidząc mnie - ten mężczyzna odczuwa jednocześnie tęsknotę do czegoś, co jest we mnie.

Ukazało się skupisko wielorybów. Na statku panowała popołudniowa cisza. I w kajucie posłów, i w wielkiej sali kupców Japończycy ulegli poobiedniej drzemce. Usypiającą ciszę, zakłócało tylko równomierne skrzypienie lin żaglowych i odmierzające czas bicie gongu.

- Widzę wieloryba! - krzyknął marynarz japoński z wierzchołka masztu. Ktoś usłyszał ten głos i obudził śpiących. Wszyscy - kto tylko znajdował się na statku - wyszli na pokład. W prostej linii płynęło kilka wielorybów, zanurzało się, to znów wypływało spod mrocznych fal. Ledwie skryły się w dolinie między falami i znikły z oczu, gdy znów po chwili pojawiały się i wypływały strumienie wody wysoko w górę. Ich czarne grzbiety błyszcząły, jak posmarowane oliwą. Gdy jeden krył się w morzu, obok wynurzał się inny, tryskający wodą. Bawiły się rozkosznie, całkowicie lekceważąc nasz statek. Za każdym razem, gdy pokazywała się sylwetka wieloryba. Hiszpanie i Japończycy wznosili okrzyki podziwu.

- Wszystko tu nieznane. - Obok Samuraja roześmiał się radośnie Nishi Kyiisuke.

Samuraj przez cały czas nawet się nie poruszył, aż do zniknięcia wieloryba na horyzoncie. Spomiędzy chmur sączyła się wiązka promieni i osrebrzała przez chwilę część morza, w której zniknęły wieloryby. Samuraj nie przypuszczał, że na tym świecie jest tyle nieznanymi zjawisk. Nie wiedział, że świat jest taki szeroki. Żył w małej Dolinie, w niej się wychował, tam też znajdowało się jego jedyne miejsce egzystencji. Całym światem dla niego było dominium jego wielmożnego pana. W sercu Samuraja zaczęła teraz zachodzić zmiana trudna do określenia, niosła ze sobą niejasny niepokój i ledwie wyczuwalny lęk. Już poszedł w ten nowy świat. I niepokoił się tym, że pojawiły się pęknięcia w opoce, która dotąd podtrzymywała jego serce, zaczęło się coś w nim rozpadać, jakby było z piasku.

Gdy stado wielorybów zniknęło z pola widzenia, Japończycy rozchodzili się wracając z pokładu do kajut. Rozległ się gong. Skończył się więc sen poobiedni, czekał na nich czas nużącej bezczynności do nocy.

- Może pójdziemy do wielkiej sali uczyć się języka hiszpańskiego? - zaproponował Nishi, kiedy schodzili na dół.

W gwarnej wielkiej sali zjawił się Velasco, uśmiechnięty jak zwykle.



Uśmiechał się, pewny siebie, jak dorosły patrząc na bezradne i nieszkodliwe dzieci. Tym uśmieszkiem dawał do zrozumienia, że podczas tej podróży Japończycy nic nie będą mogli na statku zrobić bez jego pomocy.

- Mas barato, por favor - powiedział położywszy rękę na jednym z bagaży, a kupcy starannie zapisali na papierze.

- No quiero comprarlo.

Ta dziwna, ale bardzo pilna nauka dziś również trwała godzinę. Po jej zakończeniu Velasco jak zwykle zaczął opowiadać o życiu Chrystusa.

- Była pewna kobieta. Przez długie lata poważnie chorowała, sprzedała więc cały majątek rodzinny, była u wielu lekarzy, ale bez skutku. W tym czasie Jezus przepłynął przez jezioro na łódce i na brzegu zebrał się tłum ludzi. Kobieta dowiedziała się o przybyciu Jezusa, przybiegła i w tłumie ludzi z wahaniem dotknęła Jego szat palcami. Myślała, że wystarczy dotknąć, a zostanie uleczone. Jezus odwrócił się i powiedział: Kobieto, uspokój swoje serce. I wtedy kobieta została uleczone. Samuraj słuchał głosu Velasco nieuważnie. Do dziś zresztą nauki chrześcijańskie należały do odległego mu świata, a nawet teraz słuchając tej opowieści myślał, że nie ma ona z nim nic wspólnego.

Jednak pod wpływem tej opowieści Samuraj przypomniał sobie kobiety pozostawione w Dolinie. I stłoczone wioski. Tam żyło wielu biednych ludzi, w godnych litości, w znacznie straszniejszych warunkach niż ta chora kobieta z przypowieści. Ojciec zawsze mu opowiadał o porzuconych przy drodze staruszkach w okresach głodu.

Kupcy nie uśmiechali się, patrzyli na Velasco z głębokim przejęciem, lecz Samuraj wiedział, że słuchają go nie ze szczerych pobudek serca. Kupcy myślą po prostu o tym, że - jak mówił Matsuki - poznanie opowieści o Chrystusie ułatwi im prowadzenie handlu w Nowej Hiszpanii.

Velasco zamknął Nowy Testament i popatrzył kolejno na kupców z uśmieszkiem na twarzy, sprawdzając wrażenie, jakie wywarł na Japończykach czytaniem. Pośród poruszonych i przejętych twarzy dostrzegł jedną, skrzywioną jakby gniewem. Był to Yozó, sługa Samuraja.

Gdy Velasco wyszedł, kupcy zaczęli chować pędzle, ziewać i klepać pięściami zmęczone odrętwiałe ramiona. Całkowicie zniknęły jeszcze przed chwilą bardzo poważne i przejęte miny, zapanował nastrój bezwładu i rozleniwienia, jak po wypełnieniu nużącego obowiązku. Obok bagażu, przy którym stał przed chwilą Velasco, ktoś zaczął zabawiać się grą w kości.

- W czasie tej podróży mam zamiar dobrze nauczyć się hiszpańskiego - powiedział Nishi stojący obok Samuraja, mimo że nikt go nie pytał o jego młodzieńcze nadzieje. - Kiedy barbarzyńskie statki zaczną przybywać do portów wielmożnego pana, w zamku i gdzie indziej będą potrzebować tłumacza. Ja nim zostanę.

Samuraj jak zwykle zazdrościł temu młodzieńcowi. Uważał, że sam jest za stary na naukę języków, głowa mu już stępieła.

Jedząc śniadanie przyniesione przez służących, Tanaka Tarozaemon znów upomniał Nishiego. Właśnie młody samuraj opowiadał z radością, że dzięki pomocy tłumacza Velasco nauczył się posługiwać kompasem od zastępcy kapitana. Wtedy Tanaka go potępił.

- Czy nie mógłbyś się zachowywać trochę poważniej? Jeśli barbarzyńcy zaczną nas lekceważyć, stracimy autorytet posłów.

Nishi zamilkł na chwilę, jakby przestraszony, lecz po chwili zapytał:

- Dlaczego? Nawet od barbarzyńców można się wiele nauczyć. Żyliśmy posługując się tylko łukiem, a oni nam przywieźli strzelby i proch. Będąc posłem można również poznawać dobre rzeczy obcego kraju, uczyć się ich mądrości.

- Nie powiedziałem, że to jest złe - Tanaka nie ukrywał rozdrażnienia wywołanego nieoczekiwaną odpowiedzią młodszego wiekiem samuraja. - Mówię po prostu, że to lekkomyślnie chodzić wkoło po statku i dziwić się przesadnie z powodu każdej nowości barbarzyńców.

- Nowość i nieznanie zawsze wywołują zdziwienie. Myślę też, że spełnilibyśmy bardzo pożyteczny uczynek, gdybyśmy zawieźli do naszego kraju urządzenia stosowane na statku przez barbarzyńców.

- Czy brać nowe rzeczy, czy nie, to sprawa polityki. O tym decyduje Rada Seniorów klanu. Od kiedy to taki młokos jak ty zaczyna mieszać się do polityki? Skoro myślisz, że wszystko to, co nowe, jest dobre, to znaczy, że jesteś jeszcze młody.

Twarz Tanaki spoważniała, widziana z boku przypominała Samurajowi oblicze stryja siedzącego przy ognisku. I w postaci Tanaki, i w zachowaniu stryja silnie przejawiały się cechy wiejskich samurajów jego klanu: przywiązywanie najwyższej wagi do honoru, traktowanie pogardy obcego jako powodu do największego wstydu, szacunek dla starych zwyczajów, niechęć do nowości. Samuraj również myślał podobnie. Mimo to niekiedy zazdrościł Nishiemu, którego rozpierała ciekawość świata.

- Nishi - tym razem zwrócił się do niego Matsuki, który skończył jeść i zakładał pokrywkę na pudełko - czy byłeś w kajucie, w której mieszkają barbarzyńcy?

- Tak.

- Co sądzisz o zapachu barbarzyńców?

- O zapachu?

- Odkąd jestem na tym statku, najtrudniej mi znieść ich smród. Na przykład kiedy tylko przyjdzie tu Velasco, pozostaje po nim ten silny zapach. Zapach południowych barbarzyńców.

Od rozmowy na pokładzie. Samuraj nie lubił słuchać, kiedy Matsuki się wymądrzał. Nie interesował się chrześcijaństwem ani chrześcijańskimi misjonarzami, lecz czuł się nieustannie zawstydzony od chwili, kiedy Velasco pożyczył Yozó ubranie i pościel, mimo że sam Velasco nie miał wiele. Dla niego Yozó to po prostu służący, Velasco natomiast chyba nie uznaje tego rozróżnienia.

- Mnie też się jego zapach nie podoba - wtrącił - ale żeby wszędzie węszyć zło...

- Zapach Velasco to zapach namiętności południowych barbarzyńców - rzekł Matsuki z naciskiem. - Właśnie dlatego Velasco przybył do odległej Japonii, ponieważ jego ciało wydziela taki zapach. Nie tylko zresztą Velasco. Południowi barbarzyńcy zbudowali wielkie statki i dopływają do wszystkich krajów świata z powodu tejże namiętności. Nishi, nie dostrzegając namiętności południowych barbarzyńców, zostaniesz naśladowcą wszystkich małą, nawet jeśli ci się udało ukraść coś, co oni wymyślili. Nie zapominaj, Nishi, że ich namiętność będzie dla nas trucizną.

- Ale pan Velasco - Nishi mówił cicho, jakby stropiony - jest człowiekiem raczej łagodnym.

- Żeby ukryć swoją namiętność, celowo zachowuje się spokojnie. Nie mogę się oprzeć wrażeniu, że wiara w Chrystusa służy mu do tłumienia własnego pożądanego, nie wiem dlaczego, lecz kiedy widzę tego mężczyznę idącego w promieniach słońca, przeczuwam coś groźnego. - Matsuki spostrzegł, że mówi zbyt głośno. uśmiechnął się gorzko i dodał: - Velasco nie pracuje tu w charakterze naszego tłumacza dla dobra Rady Seniorów. On wsiadł na ten statek, żeby zaspokoić swoje namiętne pragnienia.

- Co on knuje według ciebie? - zapytał Tanaka.

- Jeszcze nie wiem. W każdym razie najważniejsze, aby nie dać się wciągnąć w jego grę.

- Jeśli stanie na drodze i będzie przeszkadzał w wypełnieniu naszej misji

- Tanaka spojrział na miecz - zabiję go, nawet jeśli jest oficjalnym tłumaczem.

- Nie mów głupstw - Matsuki się roześmiał. - Jak wypełnimy naszą misję w Nowej Hiszpanii nie znając języka, jeśli zabijesz tłumacza?

Od kilku dni statek szedł we mgle. Przepływając ocean północnym szlakiem często spotyka się takie gęste mgły. Wielkie fale bezkresnego morza pokrywa teraz szaromleczna mgławica, z pokładu nic nie widać, jakby kto zawiesił grubą zasłonę. Sylwetki marynarzy i ich pomocników poruszają się niczym zjawy. Odgłos gongu obserwatora dobiega skądś co dwie minuty, poza tym panuje cisza. Jest nieprzyjemnie, gdyż mgła przedostała się nawet do kajut; mokra jest nie tylko pościel, lecz także ubrania i papier codziennie spisywanego pamiętnika.

Porcje wydzielanej wody od kilku dni zmalały. Posłowie otrzymywali dotąd dwie miarki, teraz tylko jedną. Na szczęście, nie przyszła druga burza, nie było też ciszy na morzu, dlatego statek - choć bez urozmaicenia - mógł iść prosto na wschód.

Zdarzył się pewien wypadek, który zakłócił monotonnie upływający czas.

Jakiś Hiszpan ukradł zegarek i kilka złotych monet z kajuty kapitan Montaiio. Dlatego czerwony na twarzy kapitan wraz z Velasco zjawił się w kajucie posłów i wyjaśnił, że sprawca tego czynu musi być ukarany.

- Na statku jest regulamin stosowanych kar, a obowiązkiem kapitana jest ich wykonanie - wyjaśnił Montaiio. Na przykład marynarza, który usypia na wachcie, karze się w ten sposób, że wiąże mu się ręce i polewa wodą. A jeśli z tego się nie wyleczy, otrzymuje karę biczowania. Kapitan wyjaśnił, że taki zwyczaj panuje na statku od dawna. Winowajca jest karany publicznie, w obecności całej załogi i wszystkich pasażerów statku. Dlatego chce, żeby Japończycy również wyszli na pokład.

Karę wymierzono na pokładzie we mgle. Zebrali się już kupcy i marynarze japońscy, z dala od nich stali marynarze hiszpańscy i patrzyli na swego kompana, którego przy wleczono z rękami związanymi linką żaglową. Włożono mu w usta szmatę, aby nie pogryzł sobie języka z bólu, postawiono na klęczkach i obnażono mu plecy. Od czasu do czasu wiatr rozpędzał mgłę, która znów po chwili gęstniała. Velasco również stał obok kapitana i przyglądał się egzekucji. Wyglądał jak czarny posąg.

Przez mgłę dobiegały uderzenia bicia i krzyk człowieka. Świst bicia powtarzał się przez dłuższy czas. W końcu, gdy wiatr rozproszył mgłę, ujrzeliśmy skulonego człowieka, przypominającego kupę szmat. Velasco na

oczach wszystkich podbiegł do mężczyzny, wziął go pod rękę, wytarł krew własnym habitem. Podtrzymując go, poprowadził do kajuty.

Samuraj poczuł bardzo silną odrazę. To nie biczowanie było źródłem tego nastroju. To postać Velasco, stojącego spokojnie jak posąg i patrzącego na bat świszczący we mgle. A potem, po wymierzonej karze, podskakującego do pobitego i wycierającego z krwi własnym ubraniem, i wreszcie prowadzącego omdlałego Hiszpana do kajuty. Twarz tego południowego barbarzyńcy wyglądała niesamowicie - to prawda, co mówił Matsuki. Samuraj nie mógł po prostu uwierzyć w to, że Velasco jest tą samą osobą, która przedtem dała swoje ubranie jego słudze.

Płynęli we mgle już sześć dni. I żagle, i pokład oddychały zgnilizną; spoza mlecznej zasłony co dwie minuty dobiegał głos gongu. Od czasu do czasu ukazywało się słońce niby biały dysk i znów zniknęło w gęstej mgle.

Hiszpanie z pośpiechem ustawiali sekstans i oznaczali położenie statku. Pod koniec tygodnia od północnego-wschodu zaczęły rosnąć fale. Pochylony statek kołysał się coraz silniej. Znów zbliżała się burza. Marynarze nerwowo biegali po pokładzie. Stawiali pomocnicze żagle od strony dziobu i rufy.

Ciśnienie spadało. Mgła zniknęła, ale fale wciąż rosły. Wiatr huczał w żaglach, boczny deszcz bezlitośnie siekł ciała pracujących. Dzięki doświadczeniu z poprzedniej burzy tym razem lepiej się przygotowano: kupcy i posłowie pozdejmowali przedmioty z półek i postawili je na bagażach. Również pościel i ubrania przywiązali mocno do stosu bagaży, żeby nie pospadały.

Rozbijające się o statek fale zaczęły przelewać się przez pokład. Uderzały o kadłub pochylonego statku z tak potężną siłą, że skrzypiały wiązania. Na wszelki wypadek posłowie rozciągali sznury między słupami, Samuraj natomiast szkatułę z dokumentami wielmożnego pana przywiązał sobie do pleców, umocował też miecz za pasem. W obawie przed pożarem pogaszono lampki olejne, dlatego w kajucie zrobiło się ciemno, chociaż noc jeszcze nie zapadła.

Statek przechylił się gwałtownie w jedną stronę, a po chwili w drugą.

Bagáže przesuwają się z miejsca na miejsce. Do dużej zbiorowej sali wtargnęła woda, kupcy zaczęli uciekać z niej z krzykiem. Z różnych stron dał się słyszeć cichy głos modlitwy do boga burzy Ryujina. Gdy statek się przechylał, samurajowie chwyтали się linek, żeby nie upaść. Zapadła ciemność. Ciche głosy modlących się do boga burzy ucichły, aż nagle fala przewróciła dwóch mężczyzn przy luku i uderzyła w bagáže. Gdy mężczyźni próbowali chwycić się czegokolwiek i utrzymać, woda z kajuty wypłynęła na korytarz, przewróciła stojących, jednych rzuciła na podłogę, innych na skrzynie. W tym momencie w głębi korytarza rozległ się potężny huk.

Nie słyszeli już rozkazów kapitana ani jego zastępcy. Fale wznosiły się jak góry, atakowały statek. Przelewając się przez pokład zabierały ze sobą różne przedmioty, uderzały o maszty, tworzyły wiry i spływały jak oszalałe po schodach na dół. Japoński marynarz, porwany przez falę, uratował się na chwilę tylko dlatego, że ubezpieczała go linka, ale ledwie się podniósł i stanął na nogi, zaatakowała go następna i jego głowa zniknęła we wzburzonej wodzie.

Posłowie i kupcy przewracali się w wodzie sięgającej do kolan, pętlali,

powstawali na nogi, krzyczeli z przerażenia. Ciężki ładunek przesunął się na wszystkie strony jak opętany przez złe moce. Japończycy, zapomniawszy o rozkazie kapitana, próbowali szukać ratunku na pokładzie, lecz gdy docierali do schodów, odtrącała ich woda lejąca się z góry jak wodospad. Dopiero po czterech godzinach statek wyszedł ze strefy burzy. Fale były jeszcze silne, ale nie zalewały już pokładu, na którym leżały najrozmaitsze przedmioty porwane przez wodę i okrutnie połamane maszty. Nie wiadomo było, co z tym robić. Zaginęło kilku marynarzy japońskich, a z różnych kątów statku dochodziły jęki. Zalana wodą duża sala nie nadawała się do użytku. Zupełnie wyczerpani kupcy, niby zmokłe myszy, schronili się piętro niżej w magazynach Hiszpanów, w mesie i na korytarzu, i tam spędzili całą noc. Nikt nie miał sił nikomu pomagać, wszyscy leżeli oparci o ściany jak trupy, jedynie Velasco poruszał się między nimi i opatrywał rannych. W końcu przyszedł ranek. Jak cud po burzy, różowy horyzont zamienił się w złoty. Gdy pokazało się wielkie bezchmurne niebo, rozjaśniła się powierzchnia morza. Nie dochodził już odgłos fal bijących o burzę. W świetle poranka "San Juan Baptista" z podartymi żaglami unosił się bezwładnie na falującym morzu niby statek-zjawa - bez cienia człowieka na pokładzie, bez odgłosu gongu. Wymęczeni marynarze i ich pomocnicy drzemali, leżąc bez ruchu, gdzie popadło.

Przed południem Samuraj zebrał resztki sił i wyszedł na wprost pełzając z zalanej wodą kajuty w poszukiwaniu Yozo i innych służących. Kajuta posłów, ponieważ znajdowała się powyżej głównego korytarza, z dala od schodów, w odróżnieniu od dużej sali, nie poniosła dużych strat. Woda odpływała z niej szybko. Dokumenty wielmożnego pana nie zmokły tylko dzięki pomocy niebios. Samuraj minął korytarz zalany jeszcze wodą sięgającą do kostek i zszedł na dół, lecz tu nie miał gdzie postawić stopy: wszędzie pokotem leżeli kupcy. I choć niektórzy z nich widzieli Samuraję, nie próbowali nawet doprowadzić siebie do porządku i pozdrowić go, nie mieli na to sił. Inni spali głębokim snem, tylko nieliczni patrzyli nieprzytomnie w jeden martwy punkt.

W towarowych magazynach również było pełno ludzi. Tam Samuraj znalazł leżącego Yozo i pozostałych służących. Stąpając między głowami i nogami podszedł bliżej i zawołał, a wtedy Yozó, Ichisuke i Daisuke z trudem podnieśli się z miejsca, tylko Seihachi leżał bez ruchu.

Wczoraj w nocy spadła mu na pierś skrzynka i porwał go strumień wody, stracił przytomność, lecz trzech służący Samuraję pomogli mu.

- Opatrzył go szanowny pan Velasco - Yozo poczuł się nieswojo w obecności przełożonego, więc spuścił wzrok. - Był tak łaskawy, że czuwał przy Seihachim do rana.

Samuraj przypomniał sobie, że w czasie poprzedniej burzy Velasco pożyczył Yozo swoje ubranie. Yozó wzruszył się tym, że nieznajomy południowy barbarzyńca zatroszczył się serdecznie o kogoś takiego jak on, zwykły sługa. Samuraj również czuł się wtedy zawstydzony. A Velasco po prostu zrobił to, co powinien uczynić Samuraj, pan uszkodzanego Yozo.

Obok Yozó leżał przedmiot przypominający małe liczydło.

- To chrześcijański różaniec, przypomniał go wczoraj Velasco - wyjaśnił Yozó. - Łaskawy pan Velasco - mówił dalej lękliwie, jakby został przyłapano na złym uczynku - na tym. różańcu modlił się za zdrowie

Seihachiego i innych ludzi.

- Coś ci powiem, Yozó - ostro zwrócił się Samuraj. - Jestem wdzięczny panu Velasco, lecz mimo to nie wolno ci przysłuchiwać się jego opowiadaniom o chrześcijaństwie.

Yozó i jego towarzysze milczeli, Samuraj wyjaśnił cicho, żeby nie słyszeli leżący wokół kupy, o co chodzi.

- Kupcy słuchają opowiadań o chrześcijaństwie po to, żeby handlować w Nowej Hiszpanii. Oni muszą poznać nauki chrześcijańskie dla celów handlowych. Lecz wy nie jesteście handlarzami. Dopóki jesteście na służbie u Hasekury, nie wolno wam przyzwyczajać się do wiary chrześcijańskiej. Mówiąc to przypomniał sobie słowa Matsuki Chusaku. Według Matsukiego w sercu Velasco kryje się jakaś groźna namiętność. Żeby tę namiętność ukryć, udaje łagodnego i dobrego człowieka. Przestrzegał też, żeby nie dać się wciągnąć w grę tego południowego barbarzyńcy. Samuraj nie rozumiał dobrze znaczenia słów o namiętności Misjonarza, lecz bał się, żeby jego służba nie przeszła na stronę Velasco.

- Dobrze dbajcie o Seihachiego. O mnie się nie martwcie.

Wyrzekł też kilka współczujących zdań do Seihachiego, lecz odpowiedzi nie dostyszał. Stąpając między ciałami leżących wyszedł na korytarz, a następnie na pokład, gdzie teraz silnie grzało słońce.

Morze uspokoiło się. Maszty rzucały czarne cienie. Wiatr muskał twarz. Sprawiał dużą przyjemność znużonemu ciału. Japońscy marynarze, którzy ledwie zwlekli się z posłań, naprawiali porwane linki według wskazówek hiszpańskich żeglarzy, wymieniali pęknięte żagle. Fale połyskiwały oślepiająco, od czasu do czasu ukazywały się między nimi latające ryby. Samuraj siadł w cieniu żagla i dopiero teraz zdał sobie sprawę, że trzyma w ręku różaniec. Na końcu nanizanych na nitkę paciorków z jakiegoś drewna wisiał krzyż z wyrzeźbionym ciałem chudego Mężczyzny. Patrząc na tego Mężczyznę o rozłożonych ramionach i bezsilnie opadającej głowie, Samuraj nie mógł pojąć, dlaczego Velasco i inni południowi barbarzyńcy takiego człowieka nazwali Panem. Dla Samuraja panem był tylko jego książę, ale książę nie wygląda tak żałośnie, nie jest postacią bezsilną. Choćby tylko dlatego, że modlą się do tak wychudłej istoty, chrześcijanie wydawali się Samurajowi wyznawcami dziwacznej herezji.

Samuraj miał sen, o którym wstyd mu nawet opowiadać. Widział siebie w ciemnym i wilgotnym pokoju w Dolinie, jak obejmuje żonę starając się, aby dzieci tego nie spostrzegły. "Już muszę iść", myślał. Jutro dzień wypłynięcia statku, wyznaczony przez Radę Seniorów, a on jedyny z posłów przebywa jeszcze w Dolinie i ku własnemu niezadowoleniu nie może rozstać się z nagim ciałem żony. "Już muszę iść" - powtarzał sobie od dłuższego czasu. Lecz Riku przyciskała do niego swoją spoconą twarz. "Nawet twoja podróż - mówiła łapiąc z trudem oddech - będzie próżnym wysiłkiem. Ziemię w Kurokawie do nas nie wróca." Przestraszony oderwał się od jej ciała i zapytał: "Czy stryj wie o tym?" Zmieszał się, widząc, że Riku kiwa głową twierdząco, i wstał. W tym momencie się przebudził.

Był brudny. W kacie kajuty, w której utrzymywała się jeszcze wilgoć po morskiej wodzie, rozlegało się chrapanie, głośne i ciche na przemian. Chrapał Tanaka. "Czy to mi się śniło?" Samuraj westchnął. Zrozumiał, że śniło mu się dlatego, ponieważ w głębi świadomości tkwiły mu słowa

Matsukiego. Ani Tanace, chrapiącemu teraz spokojnie, ani Nishiemu Samuraj nie opowiadał, co mówił Matsuki. Zachował to w tajemnicy, ponieważ mówienie o tym oznaczałoby po prostu przyznanie mu racji. Wielmożny pan Shiraishi i wielmożny pan Ishida nie mogli zrobić czegoś takiego - powiedział do siebie Samuraj, zmieniając brudny wewnętrzny pas obi.

Znów zamknął oczy, lecz nie mógł zasnąć. Pod powiekami ukazały się wyraźne sylwetki dzieci bawiących się na podwórku i profil twarzy Riku wieszającej bieliznę do suszenia. Mógł też ujrzeć odrębne pokoje swego domu. Chcąc zasnąć, starał się przypomnieć sobie kolejno różne szczegóły krajobrazu w Dolinie, góry pokryte śniegiem, to znów pola...

"San Juan Baptista" odniósł dość poważne uszkodzenia.

Podczas drugiej burzy stracił żagiel i jedną łódź, wdarło się też dość dużo wody do wnętrza, a na pokładzie ciągle leżało mnóstwo zniszczonych przedmiotów. Ja też zostałem ranny w czoło, co prawda niezbyt ciężko. Marynarze hiszpańscy i japońscy cały dzień wylewali wodę. Lecz w porównaniu z cierpieniami, jakich zaznał przed dziewięćdziesięciu trzema laty kapitan Ferdynand Magellan i jego statek, nasze nieszczęścia okazały się niewielkie. Podobno Magellan i jego ludzie nie mieli żywności, zepsuła się im woda, zjedli myszy, próbowali nawet jeść kawałki drewna. Na szczęście my jeszcze mamy zbiorniki z wodą, nie brak też żywności. W czasie wczorajszej burzy straciliśmy jednak kilku japońskich marynarzy, w dużej kajucie parę osób zostało rannych, kilka zachorowało. Do rana pracowałem nie jako tłumacz, lecz jako kapłan. Chodziłem i opatrywałem jęczących Japończyków. Wśród ciężko rannych jest stary kupiec Yahei, a także Seihachi, służący Hasekury. Obu uderzyły spadające ładunki, Yahei płuł krwią, Seihachi ma na pewno złamane żebro. Podałem im wina, owinałem mokrym płótnem, lecz nie usłyszałem od nich nawet słowa; byli bardzo wyczerpani. Martwię się, czy wytrzymają, nim dopłyniemy do Nowej Hiszpanii.

Minał miesiąc od opuszczenia Japonii, a wydaje się, że płyniemy kilka miesięcy. Warunki życia na statku podczas podróży na Daleki Wschód przed trzynastu laty niewiele się różniły od obecnej wyprawy, lecz teraz jestem bardzo niespokojny, chciałbym jak najszybciej zrealizować swój plan i być może dlatego nazbyt się spieszę i denerwuję.

Po skończonej modlitwie w spokojną noc na pokładzie wciąż zadawałem sobie pytanie, ze zdziwieniem patrząc na siebie jak na kogoś obcego: Dlaczego chcę wrócić do tego kraju? Dlaczego ten kraj tak mnie obchodzi? Chyba nie dlatego, że Japończycy są mniej żarliwymi wyznawcami Chrystusa i że nie są zdolni zrozumieć głębszej prawdy. Przeciwnie, przecież mają większą niż inne narody zdolność rozumowania i są bardzo dociekliwi. Nie ma jednak w świecie drugiego takiego narodu, który by do tego stopnia odrzucał to wszystko, co nie przynosi korzyści w życiu doczesnym, wszystko, co jest nieprzydatne. Nawet jeśli przejściowo wykazywali zainteresowanie nauką Pana, czynili to nie ze względu na tę naukę, lecz na jej użyteczność w walce i w zdobywaniu bogactwa. Ileż razy przeżywałem rozczarowania w tym kraju. Wrażliwość Japończyków na ziemskie korzyści jest nadzwyczaj duża, aż za duża, nie mają natomiast zrozumienia dla rzeczy wiecznych. Mimo to tacy Japończycy i właśnie taki ich kraj rozbudzają moje pragnienie szerzenia u nich chrześcijaństwa. Ponowny wyjazd do Japonii związany jest z powołaniem, chcę tam bowiem kolejno przewycięzać wszystkie trudności, z jakimi

spotkałem się dotąd, chcę tam wracać jakby po to, żeby tresować trudną do opanowania bestię. W moim ciele płynie krew dziadka, który cieszył się względami króla Don Carlosa, służył mu bowiem podczas podboju Indii Zachodnich. Mam w sobie również krew Vasco Balboa, wuja ze strony matki, który został gubernatorem Panamy i sąsiadujących wysp. Moi przodkowie, duma naszego rodu, władali za pomocą statków i mieczy, a ja chciałbym opanować obcy kraj i władać nim za pomocą religii. Krew, jaką odziedziczyłem po dziadku i wuju, nadal płynie w moim ciele, a Pan pragnie ją wykorzystać w Japonii...

Księżyc jest bardzo jasny. Morze błyszczy nocą. O dziesiątej gasi się na statku prawie wszystkie światła poza niezbędnymi, lecz na oświetlonym przez księżyc pokładzie widać wszystko dokładnie. "Panie, uczyni mnie dyrygentem potrzebnym w Japonii. Tak jak Ty poświęciłeś swą krew dla zbawienia, podobnie wykorzystaj moją krew w Japonii!"

O północy pogorszył się stan obu rannych. Z dużej sali wybrano połowę wody, można już było tam mieszkać, dlatego wróciła znaczna część Japończyków, którzy przebywali tymczasowo na korytarzu środkowego poziomu; tylko tych dwóch nie można było ruszyć z miejsca.

Po południu zmarł kupiec Yahei. Następnie, jakby idąc za nim, zakończył życie Seihachi, służący Hasekury Rokuemona. Japończycy otoczyli ich kołem i odmówili sutry malując przed zmarłymi wygląd Gokuraku, czyli Raju. To taki ich zwyczaj. Służący, którzy pielęgowali Seihachiego, posmutnieli tak bardzo, że przykro było na nich patrzeć. Jego pan, Hasekura, w którego oczach pojawiły się łzy, ciało zmarłego okrył szatą bawełnianą zwaną nunoko. Ten mężczyzna nie wyróżnia się korzystnie wśród posłów, mimo to jest chyba dobrym panem dla swojej służby.

Na rozkaz kapitana ciała obu zmarłych miano wrzucić do morza. Jak podczas wymierzania kary, wszyscy Japończycy zebrali się na pokładzie, w szeregu stanęli też marynarze hiszpańscy. Popołudniowe morze było spokojne, ciemne i smętne. Zazwyczaj modlitwy odmawiał kapitan lub ksiądz, jeśli był na statku, lecz Japończycy nie byli chrześcijanami, dlatego kierowanie obrzędem przypadło w udziale Montaho i mnie.

Jeden z kupców znał troszkę buddyzm, wypowiedział więc odpowiednie zaklęcia z sutry, których ja nie znałem, inne odmówiliśmy razem, następnie ciała zmarłych wrzucono do morza. Gdy zwłoki zniknęły pochłonięte przez fale, smętne morze milczało nadal, jakby nic się nie stało, lecz Hasekura i jego służący stali nadal przy burcie, choć inni zeszli z pokładu. Dopiero po dłuższym czasie wrócili do kajut, pozostał jedynie Yozo, który zbliżył się do mnie, gdy przyglądałem się mu z ciekawością.

- Bardzo proszę o modlitwę za Seihachiego - powiedział cicho, jakby z lękiem.

Zdziwiony, zapytałem, czy naprawdę tego sobie życzy, i dodałem :

- Chrześcijańskie modlitwy są przeznaczone dla chrześcijan, dla was są chyba niedozwolone.

Yozb patrzył na mnie ze smutkiem. Czułem, że chce coś powiedzieć i nie potrafi, zacząłem więc odmawiać po łacinie modlitwę za zmarłych, a wtedy mężczyzna też złożył dłonie i patrząc na morze poruszał wargami. Requiescant in pace Dominus vobiscum et cum Spiritu tuo Requiem aeternam dona eis...

Morze, które pochłonięło ciała zmarłych, było spokojne, jakby nic się nie



zdarzyło, tylko latające ryby skakały z fali na falę. Liny żaglowe znów skrzypiały monotonna, a ponad horyzontem unosiły się chmury, zabarwione złotem po brzegach.

- Ja... - szepnął Yozó - ja chciałbym nadal słuchać o chrześcijaństwie. Ze zdziwieniem popatrzyłem mu w twarz.

## Rozdział 4

Statek, który poważnie ucierpiał w czasie burzy, wyglądał jak wrak bezwładnie unoszący się na falach. Wyczerpani Japończycy czuli się bardzo źle. Niektórzy z nich chorowali na szkorbut z powodu niedostatku słodkiej wody i jarzyn.

Gdy minęło sześćdziesiąt dni żeglowania, przyleciały dwa ptaki podobne do bekasów i usiadły na maszcie. Hiszpańscy i japońscy marynarze krzyčeli z radości. Ptaki oznaczały bliskość lądu. Żółte dzioby i brązowo-białe skrzydła ptaków pokazały się jeszcze raz i zniknęły.

O zmierzchu z lewej burty dostrzeżono tu i ówdzie zarysy gór. Był to Przylądek Mendocino. Nie było tu portu, statek zatrzymał się więc z dala od brzegu na otwartym morzu, skąd na łodziach wypłynęło pięciu Hiszpanów i pięciu Japończyków z zadaniem przywiezienia wody pitnej i żywności. Kapitan Montano nie zezwolił innym Japończykom udać się na ląd z powodu mogącego im grozić niebezpieczeństwa.

Następnego dnia statek płynął dalej na południe. Z nowym zapasem wody i jarzyn załoga i pasażerowie jakby odżyli i nabrali wigoru. Po długiej przerwie znów radowali się żeglowaniem po spokojnym morzu. Dziesiątego dnia od opuszczenia wód u Przylądka Mendocino ujrzeli w dali rozległy brzeg lądu pokrytego drzewami. Była to ziemia Nowej Hiszpanii, którą Japończycy oglądali po raz pierwszy w życiu. Stojąc na pokładzie jedni krzyčeli, inni płakali. Nie minęło jeszcze dwa i pół miesiąca od rozstania z Japonią, a im się wydawało, że płynęli nie wiadomo jak długo. Klepali się wzajemnie po plecach z radości, że jakoś udało im się tę podróż zakończyć.

Następnego dnia statek zbliżył się do lądu. Było tu bardzo gorąco. Silne promienie słońca przypiekały bezkresną bielutką plażę i - dalej od brzegu na wzgórzach - równe szeregi nie znanych drzew. Hiszpańscy żeglarze powiedzieli, że były to oliwki, z których wyrabia się oliwę. Z oliwnego gaju wynurzyli się pónadzy, opaleni mężczyźni i kobiety i podnieśli wrzawę. Przed statkiem odsłoniła się małeńka wyspa. Kiedy się do niej zbliżyli, widzieli

(& Tu następuje brak kilkunastu stron z tego rozdziału - dopisek skanującego)

a także dlatego, że był nieśmiały jak wszyscy mieszkańcy Doliny. Wciąż miał wrażenie, że sprzecznanie się z innymi nie przynosi korzyści, podobnie jak noszenie w sobie uczuć nieprzyjaznych. Nie wypowiadał swoich uczuć czy myśli, dopóki się dobrze nie zastanowił. Miał po prostu charakter chłopów z Doliny, był jakby jednym z nich.

- Wobec tego będziemy siedzieć z założonymi rękami i czekać na to, co z nami zrobi pan Velasco?

Ani Tanaka, ani Matsuki nie odpowiedzieli na pytanie Nishiego. Nikt z nich nie umiał zdecydować, co należy zrobić.

- To znaczy, że mamy pozostać w tym Meksyku tak długo? Nishi powtórzył pytanie drwiącym tonem, jakby chciał odpłacić za ustawiczne złośliwości Tanaki.

- Pan Velasco powiedział, że sam pojedzie do Hiszpanii.

- Velasco wcale nie ma zamiaru jechać sam do Hiszpanii - potrząsnął głową Matsuki. - Ten mężczyzna uważa, że my za nim pójdziemy.

Cała trójka skierowała uwagę w stronę Matsukiego. Samuraj nie lubił, gdy Matsuki mówił z ironią i jakby z lekceważeniem innych, ale musiał przyznać, że umysł miał bystry.

- Skąd to wiesz? - zapytał Tanaka.

- Spróbuj znaleźć się na jego miejscu - odrzekł Matsuki. - Ma dobry plan: zawieźć Japończyków do Hiszpanii, zrobić wielkie wejście do stolicy i pokazać zwierzchnikom i kolegom swoje osiągnięcia. Możecie odgadnąć, co knuje, jeśli zauważycie, z jaką dumą obnosi się po mieście tylko dlatego, że z naszych kupców uczynił chrześcijan. Hiszpanie to rodzinny kraj Velasco. W stolicy swego kraju zyska uznanie, jeśli pokaże nas, posłów z Japonii, królowi, dworzanom czy chrześcijańskim kapłanom. To jego cel.

- Byłoby lepiej, gdybyśmy nie dali złapać się Velasco na przynętę i nie pojechali do Hiszpanii. - Powiedział Nishi i popatrzył na wszystkich.

- Jednak - milczący zazwyczaj w takich chwilach Samuraj zaczął mówić jakby do siebie - jeśli wyjazd do Hiszpanii pomoże ustanowić stosunki między Radą Seniorów i Nową Hiszpanią...

Stojący z założonymi rękami Tanaka kiwnął głową potwierdzająco.

- Hasekura ma rację. Niezależnie od tego, co knuje Velasco, my musimy przede wszystkim spełnić naszą misję.

- To jest problem - uśmiechnął się Matsuki. - Po pierwsze Rada Seniorów rozkazała nam wypełnić zadanie i wracać do kraju jak najszybciej. Jeśli pojedziemy do Hiszpanii, nasz powrót bardzo się opóźni.

- Opóźni się czy nie, może trwać nawet dwa lata, to cóż z tego, kiedy najważniejsze jest wypełnienie zadania.

- Wobec tego, panie Tanaka, czy postąpisz zgodnie z wolą Velasco i zostaniesz nawet chrześcijaninem, jeśli to pomoże wypełnić naszą misję? - Matsuki zadrwił, wiedząc jak bardzo Tanaka nie lubi chrześcijaństwa.

- Czy byłoby to takie złe? - wtrącił Nishi. - Kupcy zostali chrześcijanami dla dobra handlu. Jeśli to ułatwi wypełnienie naszego zadania...

- Nie gadaj głupstw! - zaskoczył wszystkich gniew Matsukiego. Uśmiech zniknął z jego twarzy. - Nishi, nie wolno ci zostać

chrześcijaninem, nawet jeśli byłby to środek prowadzący do celu,

- Dlaczego, proszę pana?

- Ty nic nie rozumiesz - Matsuki patrzył na niego jakby ze współczuciem.

- Nic nie wiesz o kłótniach wewnątrz Rady Seniorów. Czy się zastanawiałeś kiedykolwiek, dlaczego my, zwykli samuraje zostaliśmy wybrani na posłów?

- Nie wiem. Czy pan wie, dlaczego?

I Nishi, i Tanaka wpatrując się w Matsukiego czekali na jego odpowiedź.

- Cały czas na statku myślałem tylko o tym. I kilka powodów przyszło mi

do głowy.

- Jakie to powody?

- Po pierwsze, chcę po prostu skończyć raz na zawsze z petycjami o zwrot naszych starych posiadłości. Jeśli kilku spośród nas, samurajów, w czasie tej strasznej, ciężkiej podróży zamieni się przy okazji w morskie wodorosty, tym lepiej dla nich. A jeśli uda nam się wrócić bez wypełnienia wyjątkowo trudnej misji, dla ostrzeżenia innych zostaniemy ukarani pod pretekstem nielojalnej służby.

- Głupia gadanina! - Tanaka chwycił się za kolana i zerwał z łóżka. -

Przecież wielmożny pan Shiraishi powiedział mi wyraźnie, że rozważy możliwość zwrotu mojej dawnej ziemi, jeśli wypełnimy naszą misję.

- Wielmożny pan Shiraishi? - Matsuki znów uśmiechnął się drwiąco. - Pan Shiraishi nie jest jedynym człowiekiem Rady Seniorów. Są również w tej Radzie wielcy panowie, którzy nie traktują poważnie działań pana Shiraishiego. A do tych należy wielmożny pan Ayugai i jego zwolennicy. Pan Ayugai, w odróżnieniu od pana Shiraishi, nienawidzi zarówno Velasco, jak chrześcijan. Od początku był przeciwny wyborowi Velasco na tłumacza. Pan Ayugai uważa, że szerzenie chrześcijaństwa w całym księstwie będzie źródłem wielkiego zła w przyszłości.

- Wobec tego dlaczego zarówno Naifu, jak i shogun wyrazili zgodę na tę podróż?

- Ponieważ pan Ayugai uważa, iż będzie to pułapka dla wielmożnego pana zastawiona przez klan shbguna. Wielmożny pan, podobnie jak inne wielkie klany, dysponuje dużą siłą, której nie można lekceważyć, a pan Ayugai jest zdania, że władca w Edo chce go rozbić i dlatego zastawił tę pułapkę. Dlatego też pan Ayugai i jego frakcja sprzeciwiali się mianowaniu Velasco, który został wygnany z Edo. Lecz zwyciężył pogląd pana Shiraishi, a w rezultacie sporu postanowiono zrezygnować z posyłania starszych, zasłużonych polityków jako posłów. Zamiast nich wybrano posłów spośród samurajów niskiej rangi. Matsuki wyjaśnił bieg zdarzeń tak dokładnie, jak gdyby był świadkiem wymiany poglądów w Radzie. Ani Samuraj, ani powściągliwy Tanaka czy młody Nishi nie mogli nic zarzucić logicznemu wywodowi Matsukiego. Lecz mimo zaskoczenia, nie mogli oprzeć się czemuś, co w dalszym ciągu cisnęło się im na usta.

- Czy to wszystko jest tylko twoim przypuszczeniem? - zapytał Tanaka, nie mogąc dłużej siebie kontrolować.

- Myślę, że tak.

- Aż trudno w to uwierzyć.

- Możecie wierzyć lub nie, wolna wola - odparł Matsuki. - Ale muszę coś powiedzieć panu Hasekurze i Nishiemu. Nie dajcie się wciągnąć w moce Velasco! Jeśli popadniecie w jego sidła, nawet gdy dla dobra misji coś zdziałacie, po powrocie do kraju może to być powodem waszego upadku. Jeśli pan Shiraishi straci swe wpływy w Radzie, a zwycięży frakcja Ayugai, zmieni się też stosunek do nas. W czasie tej podróży musimy również przystosować się do wszelkich zmian zachodzących na terenie ziem wielmożnego pana.

Bolała go głowa. Dyskusja między Matsukim i Tanaką trwała nadal. Samuraj chciał wreszcie zostać sam. Po cichu wyszedł z pokoju, sjeść jeszcze się nie skończyła, więc korytarze w klasztorze pogrążone były w ciszy. Za

stawem w ogrodzie wisiał na krzyżu z opuszczoną głową wychudły Mężczyzna. Z fontanny tryskała woda i rozlewała się ze szmerem. Wokół posągu kwitły jak płomienie jakieś kwiaty, których nigdy nie widział w Japonii.

Prosty Samuraj - wychowany w Dolinie żył myślą, że ten niewielki kawałek ziemi jest jedynym jego światem, nie znał więc polityki, o jakiej mówił Matsuki. Nigdy nawet nie myślał, że w Radzie Seniorów może potajemnie toczyć się jakaś walka. Po prostu wyruszył w drogę, spełniając z oddaniem polecenie pana Shiraishiego.

Tymczasem Matsuki twierdzi, że na posła został wybrany po to, żeby jego pan mógł ukrocić ustawiczne niezadowolenie samurajów wywołane zmianą lenna, a ponadto, że na ten wybór miała wpływ kłótnia między panami Shiraishi i Ayugai.

Potań powieki palcami i bezwolnie przyglądał się kwiatom, przypominającym płomienie, słuchał plusku fontanny.

"Z Nowej Hiszpanii może pojedę do odległej starej Hiszpanii - szepnął do siebie rysując w myśli obraz twarzy żony. - Nie pozostaje mi nic innego, jak tylko wierzyć słowom wielmożnego pana Shiraishiego."

Jednak nie tylko to go gnębiło. W sercu czuł uraz do przemądrzałego Matsukiego. Coś go popychało do przeciwstawienia się jego wyobrażeniu sytuacji w Radzie Seniorów.

Za plecami rozległy się czyjeś kroki. Stał za nim Nishi i westchnął.

- Zmęczony jestem.

- Z powodu Matsukiego? - Samuraj kiwnął głową. - Zawsze widzi najgorszą stronę sprawy. Nie lubię tego.

- Pan Matsuki mówi, że jeden z posłów powinien z kupcami wrócić do Japonii i poinformować Radę o sytuacji, a pozostali powinni zostać w mieście.

Wraz z przekazaniem listu wielmożnego pana wicekrólowi Nowej Hiszpanii misja została wypełniona. Teraz należy po prostu czekać tu na miejscu na wiadomości od Velasco, który uda się do Hiszpanii.

- Nie spełniliśmy jeszcze naszego zadania. Pan Shiraishi powiedział, żeby doprowadzić sprawę do końca. Pamiętam jego słowa. Nie mogę poprzeć propozycji Matsukiego.

- To znaczy pojedzie pan do Hiszpanii? Ja chcę też tam jechać. Nasza misja jest sprawą ważną, oczywiście, ale mnie fascynują nieznanne ziemie i miasta. Chcę wiedzieć, jak duży jest ten świat.

Przed oczyma Samuraja pojawił się ocean, gdzie fala pochłania falę i jak okiem sięgnąć nie widać śladu lądu. A młody Nishi mówi, że chce zobaczyć jeszcze więcej z tego bezkresu. Samurajowi natomiast sama myśl o wyruszeniu w szeroki świat była straszna. Czuł się zmęczony. Chciał wracać do Doliny.

To pragnienie nagle ścisnęło jego serce i z zazdrością popatrzył na Nishiego.

W ogrodzie znalazł się również Tanaka. Kopnął kamień do stawu, wyglądał, jakby gniew jeszcze mu nie minął.

- Ten zarozumialec... - wymyślał Matsukiemu. Lecz wciąż nie mógł się na nic zdecydować, opadł na krzesło stojące w ogrodzie i wtedy spostrzegł Samuraja i Nishiego. - Hasekura, nieważne, co mówi Matsuki, nie możemy mieć nadziei na awans w tym życiu, dopóki nie wypełnimy naszej misji. Ja się nie znam na intrygach w Radzie Seniorów, ale jako zwykły samuraj nie miałem wyboru i musiałem wziąć udział w tej podróży, jeśli chciałem odzyskać swoje stare ziemie.

Smutek zachmurzył opuszczoną twarz Tanaki, głos jego drżał tak, jakby płakał.

Tego wieczoru Samuraj odwiedził kwatery Yozó i innych jego służących. Trudno to nazwać kwaterą, ponieważ zamiast cel kupcy i służący otrzymali w klasztorze słomiane materace i na nich odpoczywali na korytarzach.

Trójka mężczyzn wstała ujrawszy Samuraja, który dał im mak ręką, żeby podeszli na koniec korytarza. W surowym wyrazie twarzy swego pana wyczuli niepokój, więc czekali w skupieniu, jak psy, na jego słowa.

- Musimy jechać dalej - Samuraj przymrużył oczy. - Znów przez morze do dalekiego kraju.

Samuraj spostrzegł, że Ichisuke i Daisuke zadrżeli.

- Zdecydowano, że pan Matsuki i kupcy zostaną tutaj, a pod koniec roku wsiądą na wielki statek i wrócą do Tsukinoury. - Te najprzykrzejsze słowa Samuraj wypowiedział jednym tchem. - My i dwaj posłowie udamy się do Hiszpanii.

Yozó patrzył na Samuraja bez słowa. Lecz Samuraj wiedział, że niezależnie od tego, co uczynią Ichisuke i Daisuke, on jeden, Yozó, nigdy go nie opuści. Wiedział, że podobnie jak on, również Yozó nie przeciwstawi się wyrokowi losu.

## Rozdział 5

Uczyliem wszystko, co należało uczynić. Opuszczam Meksyk bez żalu. Przełożony zakonu i dobroduszny arcybiskup napisali listy do Madrytu o moich misyjnych zasługach, jak również o tym, że to pod moim wpływem wielu kupców japońskich przyjęło chrzest. Wicekról Acuna natomiast zakomunikował doradcom królewskim, że handel z Japonią może przyczynić się do przyhamowania infiltracji krajów protestanckich w Japonii. Te dwa listy są ważniejsze od jakichkolwiek rekomendacji, ponieważ, jak myślę, powstrzymają machinacje Zakonu Piotrowego. Mogę powiedzieć, że mój pobyt w Meksyku kończy się sukcesem.

Zbliża się dzień odjazdu, jest nadal słonecznie. Odprawiam mszę w klasztorze i udzielam komunii świętej niedawno ochrzczonej kupcom japońskim. To prawda, że kupcy zostali chrześcijanami dla korzyści. Bez względu jednak na motywy zbliżyli się do Boga. A kto raz spotkał się z Bogiem, od Boga uciec nie może. Dzięki temu, że przyjęli chrzest, japońscy kupcy mogli sprzedać towary miejscowym handlarzom i nabyć w zamian wełnę owczą i sukno. Za cztery miesiące załadują te towary na statek i wrócą do Japonii, gdzie sprzedadzą je z dużym zyskiem. - Padre, kiedy wrócisz do naszego, miasteczka zamkowego - dziękował kupiec z uśmiechem - wybudujemy kościół i będziemy na ojca czekać.

Wspaniała perspektywa. Przedstawił mi ją po cichu, z dala od innych, ów mężczyzna wyróżniający się żółtymi zębami. Powiedział, że jeśli mu załatwię prawa wyłączności w handlu wełną z Nową Hiszpanią, to dziesięć procent zysku zawsze będzie ? przekazywał mojemu zakonowi. Nie myliłem się w założeniach. Ucieszyłem się, kiedy wyobraziłem sobie, jak to zamkowe miasteczko przemienia się w stolicę chrześcijaństwa w Japonii.

A jednak nie wszystko poszło zgodnie z moimi przewidywaniami. Myślałem, że

wszyscy posłowie - jak mi zresztą chyba mówili - pojedą ze mną do dalekiej Hiszpanii, lecz okazało się, że Matsuki Chiisaku pozostanie w Meksyku i decyduje się na powrót do Japonii razem z kupcami. Wyobrażam sobie, że nie szczędził mi oszczerstw w rozmowach z innymi posłami. Trudno też uwierzyć, że mógł rozstać się z towarzyszami i zrezygnować w połowie z wypełnienia obowiązku. Niewątpliwie musiał mieć jakiś powód, skoro śmiało ryzykować naganę ze strony Rady Seniorów i śpieszyć do Japonii. Możliwe nawet, że w rzeczywistości Matsuki został wysłany nie jako poseł, lecz otrzymał od Rady specjalne zadanie śledzenia mojego zachowania i złożenia raportu na mój temat. Japończycy bowiem zawsze postępują przebiegle. Z drugiej strony nieobecność Matsukiego będzie dla mnie korzystna. Łatwiej mi będzie teraz postępować zgodnie z moją wolą i radzić sobie tylko z wzorem lojalności, jakim jest Hasekura Rokuemon, czy z Tanaką Tarozaemonem, pyszniącym się jak kogut, ale nie tak przebiegłym jak Matsuki, i z Nishim, który jest jeszcze bardzo młody. Dlatego staram się raczej uspokoić Tanakę, kiedy widzę, jak wybuchła gniewem z powodu rezygnacji Matsukiego. Nie są to jednak wielkie zmartwienia. Naprawdę martwię się buntem szczepu Huaxteców na terenie, przez który przebiega nasza trasa do Veracruz. Wicekról powiedział, że nie może nam dać zbrojnej eskorty. Powstanie wybuchło z powodu głupich błędów popełnionych przez hiszpańskich plantatorów. Na początku król hiszpański pozwolił tym, którzy wyemigrowali do Nowej Hiszpanii, mieć ziemie uprawne i pastwiska na własność, jakby byli arystokratami, a oni wykorzystując ten przywilej zaczęli zmuszać bezlitośnie indiańskich wyrobników do bardzo ciężkiej pracy, a nawet odbierali im niewielkie działki przyzagrodowe. Nasz zakon ustawicznie przeciwstawiał się właścicielom ziemskim, których tyrania jest przyczyną obecnego powstania. Huaxtecowie byli pierwotnie ludem spokojnym, nie mieli innego uzbrojenia niż kamienie, a teraz posługują się podobno nawet bronią palną. Takich głupców jak ci właściciele znaleźć można na każdej podbitej ziemi. Nie mają na tyle mądrości, żeby zapewnić sobie zysk, gwarantując najpierw odpowiednie korzyści Indianom. Nie będzie chyba przesady, jeśli powiem, że ta sytuacja jest zupełnie podobna do niepowodzenia pracy misyjnej w Japonii. Niezręczność w propagowaniu chrześcijaństwa, polegająca na wmuszaniu innym naszej woli i ignorowaniu postaw i ducha Japończyków tu przejawiały się w walce między plantatorami a Indianami. Niestety, nasza droga prowadzi przez tereny objęte powstaniem. Nie wspominałem o tym japońskim posłom, poprosiłem też braci zakonnych w klasztorze, aby zachowali milczenie w tej sprawie. Nie mogłbym zrealizować swoich planów, gdyby posłowie zaczęli się wahać. Od kilku dni czytam List do Koryntian i myślę o niebezpieczeństwach podróży misyjnej świętego Pawła. Częstość w podróży: niebezpieczeństwa na rzekach, niebezpieczeństwa od zbójców, niebezpieczeństwa ze strony moich rodaków, niebezpieczeństwa na pustyni, niebezpieczeństwa ze strony pogan, niebezpieczeństwa w miastach, niebezpieczeństwa na pustyni, niebezpieczeństwa na morzu, niebezpieczeństwa od fałszywych braci; trudy i umęczenie, częste noce nie przespane, głód i pragnienie, częste posty, zimno, nagość - pisze Apostoł. A wszystko w tym celu, aby nieść naukę Boga ludom pogańskim. Podobnie jak Paweł, ja także nie boję się nie przespanych nocy, głodu, pragnienia i chłodu. Dlatego, że

mam swoją Japonię. Te małe wyspy podobne do jednorożca to ziemia, którą zostawił mi Pan jako pole bitwy. Muszę ją toczyć, by ziemię podbić. To przeświadczenie po przybyciu do Nowej Hiszpanii wzrasta we mnie za każdym razem, gdy odmawiam modlitwę.

Nocą przed wyruszeniem w drogę nasz dobrotliwy przełożony zaprosił Japończyków na pożegnalne przyjęcie. Kupcy pili wino i śpiewali pieśni jak na uczcie w Kanie Galilejskiej. Japońskie melodie, dla naszych uszu monotonne i nieciekawe, przypominały pieśni indiańskie - powiedzieli bracia zakonni biorący udział w przyjęciu. Podpici Japończycy po raz pierwszy od przybycia na wyżynę meksykańską wyznali ze śmiechem, że trudno im w tym rozrzedzonym powietrzu oddychać, podawane jedzenie śmierdzi, a oliwa jest gorzka. Spośród posłów Tanaka był najodporniejszy na alkohol, w ogóle się nie upił, zresztą wszyscy posłowie zachowali japońską etykietę w czasie posiłku, wzbudzając podziw zakonników.

Przyjęcie się skończyło. Kiedy opuściłem refektarz razem z innymi zakonnikami i ze złożonymi dłońmi szedłem do kaplicy na wieczorną modlitwę, zatrzymał mnie Matsuki. Starając się, żeby twarze niczego nie zdradziły, próbowaliśmy wzajemnie wczytać się w nasze serca, wymieniając jednocześnie słowa pożegnania.

- Padre - mówił spokojnie - już chyba nigdy się nie zobaczymy.

- Dlaczego? Wrócę po zakończeniu misji.

- Nie, proszę już nie wracać do Japonii.

- Dlaczego? - zapytałem zdecydowanie potrząsając głową.

- Padre - patrząc w dół Matsuki podniósł głowę i rzekł niemal błagalnie - dlaczego ojciec chce buntować ludzi w naszej prowincji ?

- Buntować? Nie rozumiem.

- My... nie, nie tylko my. Cała Japonia dotąd żyła spokojnie. Dlaczego przybyliście, padres, zakłócać nasz spokój?

- Nie, to nieprawda, nie przybywamy, aby zakłócać spokój. Niesiemy wam prawdziwe szczęście.

- Prawdziwe szczęście? - Na twarzy Matsukiego pojawił się grymas wymuszonego uśmiechu. - Wasze, padres, prawdziwe szczęście jest nazbyt wielkie dla Japonii. Zbyt silne lekarstwo staje się dla niektórych ludzi trucizną. Prawdziwe szczęście, o którym mówicie, jest dla Japonii trucizną. Dobrze to zrozumiałem po przybyciu do Nowej Hiszpanii. Ten kraj również żyłby w spokoju, gdyby tu nie przyplęły hiszpańskie statki. Wasze prawdziwe szczęście zburzyło ten kraj.

Domyśliłem się, co Matsuki próbował powiedzieć.

- Nie przeczę, że w tym kraju popłynęło wiele krwi. Lecz my odpłaciliśmy za to. Indianie wiele się od nas nauczyli... W każdym razie poznali drogę prowadzącą do szczęścia.

- To znaczy, że padre chce uczynić z Japonii taki sam kraj jak ta Nowa Hiszpania?

- Ja? Ja nie jestem taki głupi. Chciałbym najpierw zapewnić Japonii korzyści, a w zamian uzyskać pozwolenie na nauczanie chrześcijaństwa.

- Japonia będzie chętnie przyjmować od waszych krajów wiedzę i umiejętności techniczne. My jednak nie potrzebujemy niczego więcej.

- Co dobrego przyniesie wam naśladowanie samej techniki? Co przyniesie wam dobrego sama wiedza? Te umiejętności i tę wiedzę stworzyły ludzkie serca dążące do szczęścia, a szczęście pochodzi tylko od Boga.

- Szczęście, o którym padre mówi - Matsuki powtórzył to samo - dla naszych małych wysp jest kłopotliwe.

Nikt z nas nie odstąpił od swego stanowiska. W końcu Matsuki zamilkł i wpatrywał się we mnie, jakby z nienawiścią, odwrócił się i odszedł. I wtedy wydało mi się, że miał rację mówiąc, że nigdy się nie zobaczymy.

W dniu wymarszu pogoda była piękna.

Kupcy zgromadzili się przy klasztornej bramie i żegnali odjeżdżających, życząc im bezpiecznej podróży. Trzej posłowie pozostawili listy i podarki dla rodzin, chcąc, aby one dotarły przed ich powrotem. Samuraj poprzedniego wieczoru napisał listy do wuja i najstarszego syna:

Piszę do Was bardzo krótko. Nic tu szczególnego się nie zdarzyło. Nic złego nie stało się Yozo, Ichisuke i Daisuke. Z ubolewaniem donoszę, że Seihachi zmarł na statku. Bądź posłuszny i dobry dla mamy. Powiniennem Wam wszystko opisać dokładniej, lecz z powodu pośpiechu mogę skreślić tylko tych kilka słów.

Bardzo nie podobał mu się ten list, w którym nie mógł przekazać nawet jednej dziesięciotysięcznej części tego, co czuł. Ujrzał przed oczyma ściśniętą bólem twarz Riku, która wiele razy będzie czytać list skierowany do Kanzaburo.

Posłowie i Velasco dosiedli koni, a służący ruszyli pieszo prowadząc osły obciążone bagażami. Przełożony klasztoru i zakonnicy stojący pośród kupców machali rękami żegnając odjeżdżających. Kiedy w prażącym słońcu Samuraj włożył stopy w strzemiona, nagle podbiegł do niego Matsuki Chusaku.

- Słuchaj - chwycił go mocno za spodnie - Uważaj na siebie. Nie zapominaj o swoim zdrowiu. - Zaskoczyło to Samuraja, lecz Matsuki mówił dalej: - Rada Seniorów nie będzie chronić ani bronić zwykłych samurajów; gdy mianowano nas posłami, zostaliśmy wciągnięci w wiry polityki. A w wirach polityki polegać trzeba tylko na sobie.

Samuraj czuł sprzeciw słuchając tej przemądrzałej mowy. "Ja wierzę Radzie" - chciał mu krzyknąć, ale się opanował. Pochylił głowę przed żegnającymi go zakonnikami i kupcami. Wśród nich stał również Matsuki z założonymi rękami. Na myśl o tym, że oni trochę wcześniej wrócą do Japonii, żal ścisnął serce Samuraja. W Dolinie zawsze słuchał przełożonych dlatego i tu przyjął bez sprzeciwu los mu przeznaczony. Yozó, Ichisuke i Daisuke szli z tyłu w milczeniu prowadząc osły.

I znów jak w drodze pod górę z Acapulco do Meksyku, przed wędrowcami roztoczyły się dzikie pola porośnięte agawami i kaktusami. Robiło się coraz upalniej, gdy schodzili z wyżyny meksykańskiej na równinę. Orzący pola Indianie przerwali pracę, zatrzymywały się dzieci poganiające kozy i długo, długo przypatrywali się tej egzotycznej procesji.

W ostrym świetle słońca niebo jarzyło się raczej barwą miki niż błękitu, a na jego tle rysował się samotny ptak, szybujący z prądem powietrza. Był to sęp, przez Japończyków widziany po raz pierwszy.

Skończyły się tereny pustynne i rozpoczęły pola porośnięte ubogą kukurydzą i oliwkami. Potem znów powracały pustynie z kaktusami. Tam, gdzie były pola uprawne, stało kilka indiańskich chat pokrytych liśćmi i gałęziami o ścianach oklejonych gliną. Na dachach siedziały sępy.

Minęli ruiny kilku wiosek, kamienie dawnych murów leżały między granitowymi pagórkami. Zachowały się jeszcze place zebrzań, dziś pozbawione ludzi. Gdy



grupa przechodziła obok takiej ruiny, prawie zawsze zrywał się suchy wiatr i uderzał z hukiem w kamienisty plac. Słuchając tego łoskotu Samuraj przypomniał sobie słowa, które głośno, jakby ze skargą, wypowiedział Matsuki: "A w wirach polityki trzeba polegać tylko na sobie".

Tanaka zapytał, czy wioski popadły w ruinę z głodu.

- To nie głód - odrzekł Velasco niemal z dumą. - To nasz przodek Cortes mając kilkuset żołnierzy podbił wszystkie ziemie Indian.

"Czy warto tu nad czymkolwiek się zastanawiać? - Samuraj zapytał sam siebie kiwając się w siodle na koniu. - Taki człowiek bez talentu jak ja powinien myśleć tylko o spełnieniu obowiązku. Gdyby żył ojciec, na pewno tak by powiedział."

Zbliżyli się do rzeki. Lecz woda w niej wyschła do ostatniej kropli.

Następnie doszli do nagich gór, jakby obsypanych granitowymi kamieniami. Gdy wspięli się na wierzchołek łysego wzgórza, na horyzoncie ujrzeli zarysy ogromnej góry pokrytej bielejącym śniegiem. Tak wysokiej i potężnej postawie nie widzieli w krainie ich wielmożnego pana. Młody Nishi Kyusuke krzyknął z zachwytu, siedząc nadal na koniu.

- Ach, chyba jest wyższa nawet od góry Fuji!

Velasco uśmiechnął się z wyrazem pożałowania i odwrócił w stronę młodego mężczyzny.

- Oczywiście. A nazywa się Popocatepetl.

- Zaprawdę, świat jest... - Nishi jakby nie mógł opanować wzruszenia, powtórzył kiedyś już wypowiedziane słowa - Świat jest ogromny.

Potężna góra wciąż widniała przed Japończykami, którzy schodzili ze wzgórze jak mrówki... Góra jakby patrzyła w milczeniu na świat ludzi. Samuraj nie mógł oprzeć się wrażeniu, że opinie Matsukiego są po prostu banalne w obliczu tego szerokiego świata. Teraz właśnie on sam, Samuraj, idzie w stronę tego wielkiego świata. Wkrótce weń wkroczy. A Matsuki nie zna i nie dowie się, co się w tym świecie wydarzy.

Piątego dnia wieczorem złani potem i wymęczeni Japończycy dobrnęli w pobliże jakiegoś miasteczka. W dali zarysowały się mury obronne. Gdy dochodzili do murów, powietrze już trochę się ochłodziło, zapachniało aromatem drzew i kwiatów oraz wonią życia. Posłowie, którzy zbyt długo szli przez bezludne dzikie tereny, przypalone żarem słońca, wdychali teraz głęboko w płuca ten zapach, zupełnie jakby pili wodę.

- Miasteczko nazywa się Pueblo.

Kiedy straż przy bramie spostrzegła, że zbliżają się Japończycy, zniknęła nagle wewnątrz. Velasco podniósł rękę, zatrzymał pochód i zsiadł z konia, żeby żołnierzom okazać pozwolenie wicekróla: wtedy nie spostrzegł, że trzej posłowie. wymienili spojrzenia. Pueblo. Już słyszeli nazwę tej miejscowości. Wymieniał ją Japończyk podobny do Indianina. Wieś o nazwie Tecali leży blisko Puebla.

Wieś o nazwie Tecali. Ów mężczyzna wypowiadał nazwę z dużym pośpiechem. Gdy w końcu otrzymali pozwolenie i przekroczyli bramę, ujrzeli plac targowy, podobnie jak w Meksyku. Sylwetki Indian - siedzący na ziemi mężczyźni i kobiety o włosach splecionych w warkocz - przypominały kamienne posągi. Sprzedawali rozstawione przed sobą warzywa, owoce, ceramikę o nazwie talavera, długie sarapy, sombrero o szerokich rondach, a między tym wszystkim przechodziło stadko kóz pobrzękując dzwoneczkami. Indianie nie

dziwili się Japończykom, myśleli, że to jakiś szczep indiański przyszedł z gór. Bolesny ucisk tęsknoty do stron rodzinnych, do Doliny, niespodzianie przyprawił serce o ból. Samuraj zastanawiał się, co teraz robią żona i dzieci. Długo wędrował przez bezludne tereny, aż w końcu dotarł do miejsca zamieszkanego - i pewnie to wywołało jego tęsknotę do wioski rodzinnej. Velasco zaprowadził podróżnych do klasztoru świętego Franciszka w Pueblo. Japończycy przyzwyczaili się już do życia w Meksyku, uścisnęli więc dłonie witających zakonników i choć nie rozumieli języka, jednak uśmiechali się i kiwali głowami na potwierdzenie. Otrzymali jeden duży pokój z szeroko otwartym oknem, przez które napływał zapach kwiatów.

- Co zrobimy? - zdejmując brudne spodnie Nishi zapytał cicho Samuraja. - Czy będziemy mogli odwiedzić tego Japończyka?

- Chciałbym się z nim zobaczyć, ale mam obowiązek do spełnienia - szepnął Samuraj tak, żeby go Tanaka nie usłyszał. - Lecz on również dowie się, że przybyliśmy do Pueblo. I myślę, że tu się zjawi.

Nastała noc. Skończyli kolację i położyli się spać. Znow jak w Meksyku, usłyszeli głos dzwonu. Dochodził z kościoła zbudowanego na rynku przed trzydziestu laty; słuchając tego głosu Japończycy zmęczeni podróżą przez wertepy zapadli w głęboki sen. W końcu rozległy się odgłosy kroków w korytarzu - przyszedł Velasco, aby zająrzeć do celi posłów. Przekonawszy się, że wszyscy śpią spokojnie, odszedł, starając się nie zakłócać ciszy.

W snach Samuraja znow pojawiła się Dolina. Niskie ołowiane niebo, z którego mógł za chwilę posypać się drobny jak pył śnieżek, wisiało nad bagnem.

Samuraj i Yozó, owinięci w słomiane narzutki zwane tam *kera*, w słomianych wysokich butach, wstrzymując oddechy czekają na brzegu wody tu i ówdzie pokrytej zamrożonym śniegiem. Przez kępę wyschniętej trzciny prześwituje czarna tafla wody, a na niej stadko kaczątek. Yozó uderza ręką w ramię Samuraja i pokazuje w stronę bagna, gdzie w głębi pod drzewem siedział w wodzie biały ptak z wyciągniętą długą szyją. Był to przelotny ptak, którego chłopci nazywali po prostu białym ptakiem.

Samuraj kiwnął głową i słuchał oddechu Yozo rozdmuchującego żarzący się węgielek. Zastanawiał się jednocześnie, z jakiego kraju ten ptak mógł przylecieć. Co roku, gdy nadejdzie zima, zawsze stado tych ptaków, szybując po niebie, odwiedza Dolinę. Ptak, który przyleciał przez ocean z nieznanego dalekiego kraju.

Na znak Yozo Samuraj zatkał uszy palcami. Huk wystrzału był potężny.

Kilkadziesiąt kaczątek wzbilo się do lotu. Biały ptak poderwał się, a następnie uderzył o powierzchnię wody. Trzepocąc skrzydłami ślizgał się jak po lodzie. Na tafli wody powstało kilka kręgów, które jak zmarszczki rozeszły się i wygładziły. Podobnie pogłos wystrzału rozniósł się w lodowatym powietrzu. "Dobrze, że nie trafił" - myśli Samuraj. W uszach pobrzmiwa pogłos wystrzału, w nozdrzach wciąż się utrzymuje zapach prochu...

Przewidywanie Samuraja sprawdziło się. Następnego dnia wieczorem, gdy posłowie wraz ze służącymi zwiedzali targ w pobliżu klasztoru, miejscowy Japończyk przyglądał się im z bliska.

Indianie na targu mieli na głowach *sombrera* na wzór Hiszpanów, niektórzy nosili na stopach skórzane sandały, większość z nich była naga do pasa, tylko na grube, nagie karki spadały długie włosy. Towary rozstawione na

ziemi i tajemnicze dziwne nawoływania kupców, przygotowujących się już do powrotu, bardzo interesowały Japończyków. Gdy dziecinny Daisuke włożył na głowę sombrero i wszystkich rozbawił, Samuraj podniósł głowę. I wtedy ujrzał tego Japończyka, patrzącego w ich stronę z zazdrośnym wzrokiem spod grubego zakurzonego płatanu.

- O? - Samuraj szybko zbliżył się do niego. - Przyszedłeś. Dlaczego nas nie odwiedziłeś?

- Podejrzewają mnie. Dlatego tutaj na was czekałem od południa. Do byłego zakonnika podeszli również Tanaka i Nishi.

- Czy Tecali jest blisko?

- Znajduje się koło bagna za miastem.

Jak poprzednio dotknął ubrań Samuraja i Nishiego i zamknął oczy, jakby starał się coś sobie przypomnieć.

Zabrział kościelny dzwon. Wzywał na Anioł Pański, a jednocześnie mówił, że kolacja dla Japończyków jest przygotowana. Velasco im powiedział, żeby wracali, kiedy usłyszą odgłos dzwonu.

- Musimy wracać - rozkazał wszystkim Tanaka. - Gdy się spóźnimy, powiedzą, że nie znamy się na etykecie.

- Proszę mi opowiedzieć o Japonii. Kiedy stąd odjeżdżacie?

- Podobno jutro, zaraz po południu.

- Tecali jest niedaleko. Jutro od rana tu, na placu, będzie czekał indiański przewodnik.

- Nie możemy tego zrobić. - Tanaka nieustępliwie potrząsnął głową. -

Przybyliśmy do tego kraju z misją. Jeśli coś się przydarzy w nieznanym terenie, może to przeszkodzić w wypełnieniu posłannictwa.

Były zakonnik ze smutkiem kiwnął twierdząco głową. Stojąc pod platanem w bezruchu odprowadzał wzrokiem wracających do klasztoru Japończyków.

Zbudził go chłód. W świetle księżycy ujrzał Nishiego, który po cichu zakładał owijacze. Gdy spostrzegł, że Samuraj na niego patrzy, uśmiechnął się wstydliwie. Z tego uśmiechu Samuraj zrozumiał, dokąd się wybiera.

- Nie sprawię kłopotu. Wrócę do rana.

- Nie znając języka - Samuraj spojrzał w stronę pogrążonego we śnie Tanaki - jak sobie poradzisz?

- Powiedział, że przyśle przewodnika.

Samuraj wyobraził sobie mnicha-renegata dotykającego ich ubrań i błagającego, aby mu opowiedzieć o Japonii. Rozumiał też, że najważniejszą dla nich sprawą jest zlecenie Rady Seniorów, na co słusznie zwracał uwagę Tanaka.

- Proszę pozwolić mi pójść - Nishi wstał po cichu.

Samuraj zazdrościł Nishiemu jego nieugiętej ciekawości i nieustraszonego młodzieńczego charakteru. Ani Samuraj, ani Tanaka, myślący tylko o tym, żeby nie powstały jakieś przeszkody na drodze wypełniania misji, tych cech nie mieli.

- Koniecznie chcesz iść?

- Tak.

- Poczekaj. - Samuraj wstał i popatrzył uważnie na chrapiącego Tanakę.

Coś w nim drgnęło, zapragnął zbuntować się przeciw Tanace i przeciw czemuś, co było w nim samym, w Samuraju.

- Idziemy - rzekł i wstał.

Cicho skończył przygotowania i na czubkach palców wyszedł z pokoju. Żaden z nich nie miał świecy, ale światło księżycy wpadające przez okna w korytarzu wskazywało drzwi prowadzące na zewnątrz. Klasztor spał snem głębokim, podwórze kapało się w bladej poświacie, przepełnione aromatem tropikalnych kwiatów.

Gdy niepostrzeżenie wyszli z klasztoru, miasteczko spało jak wymarłe. Pod platanem, gdzie stały przywiązane osły, leżało kilku Indian niby kupki zwiniętych szmat. Jeden z nich otworzył oczy i powiedział coś, czego nie mogli zrozumieć.

- Tecali - powtórzył kilka razy Nishi, dając mężczyźnie własne pudzderko na leki.

Mężczyzna przyjął pudełeczko, powąchał i rzekł: "Vamos"

Odwiązał od drzewa lejce trójki osłów. Zwierzęta stapały wolno przez śpiące Pueblo i wyszły poza czarny wysoki mur.

Gdy osły przekroczyły koryto wyschniętej rzeki, zaczęła się w końcu przełamywać ciemność nocy, a horyzont zabarwił się na różowo. Gdy ta różowa linia stopniowo rozrosła się i rozszerzyła, doszli do bagien. Woda czerwieniła się jak krew, tu i ówdzie rozlegało się trzepotanie skrzydeł, gdy ptactwo wodne przelatywało z trzciny na trzcinę. W dali za bagnami ukazały się grzbiety górskie kąpiące się w złocistym słońcu.

- Para aqui - Indianin zatrzymał osła, wydychającego białą parę. - Tecali.

Dziesięć, a może trochę więcej chat, krytych liśćmi trzciny, kapało się w porannym słońcu. U wejścia do jednej z chat myła się w cebrzyku Indianka o orlim nosie i z włosami splecionymi w warkocz. Gdy Nishi głośno zawołał "Japoneses", zwróciła twarz w jego stronę. "Japoneses" Lecz kobieta, wyglądająca na jakiś relikw z pradawnych czasów, patrzyła bez żadnego wyrazu twarzy i nic nie odpowiadała. Słońce zaczęło już ostro przygrzewać zaoraną za chatą ziemię, porośniętą chudą trzciną cukrową i kukurydzą, i pozwoliło wyobrazić sobie, jaki będzie upał. Gdzeniegdzie powychodzili już z chat półnaczy Indianie, a jeden z nich coś zawołał. Był to mnich-odszczepieniec.

- Dziękuję za przybycie, dziękuję wam.

Podbiegł do postów i wciąż dziękował i dziękował, aż ślina mu się zebrała w ustach. Mówił jak człowiek, który nie miał prawa odzywać się przez wiele lat, aż w końcu dostał pozwolenie.

Powiedział, że pochodzi z Yokoseura w prowincji Hizen. W młodości utracił ojca i matkę w czasie wojny, a wychował go przybyły w jego strony ksiądz katolicki, u którego pracował jako służący i dzięki temu wędrował z księdzem po całej wyspie Kiusiu. Kiedy rozpoczęły się prześladowania chrześcijan i misjonarze zdecydowali się ukryć, ksiądz poprosił przyjaciół, żeby jego wychowanka wzięto na statek do Manili, gdzie miał wstąpić do seminarium duchownego. Chociaż młodzieniec uzyskał tam wykształcenie i został zakonikiem, coraz gorzej czuł się jako duchowny. Za namową znajomego marynarza wsiadł na statek udający się do Nowej Hiszpanii. Był przekonany, że przenosi się do zupełnie innego świata. Po długiej i ciężkiej podróży służył jako pomocnik w klasztorze w mieście Meksyku, lecz tu również nie potrafił zbratać się z zakonnikami i w końcu rozczarował się do wszystkiego i wszystkich. Uciekł. Przyłączył się do grupy Indian, a teraz żyje razem z nimi w tej wiosce - opowiedział historię swojego życia.

- Czy już nigdy nie wrócisz do Japonii? - zapytał Samuraj.

- Były zakonnik uśmiechnął się ze smutkiem: - Nie mam rodziny. Gdybym nawet wrócił, któż by mnie tam powitał i przyjął do siebie. A poza tym chrześcijanie...

- Chrześcijaństwa się chyba wyrzekłeś.

- Nie, nie. Jestem nadal chrześcijaninem. Tylko że... Powiedział "tylko że" i zamilkł. W jego oczach pojawiła się rezygnacja, jakby odczuł, że i tak nie zostanie zrozumiany, niezależnie od tego, jakich by użył słów na przekazanie swoich myśli.

- Tylko że... ja nie wierzę w to chrześcijaństwo, jakiego nauczają padres.

- Dlaczego?

- Nim padres przybyli do Nowej Hiszpanii, w tym kraju zdarzyło się coś bardzo okrutnego. Mianowicie południowi barbarzyńcy zabrali Indianom ziemię, wygonili ich z rodzinnych wiosek i pomordowali okrutnie, a tych, którzy przeżyli, sprzedali w niewolę. Wszędzie w tym kraju są takie wioski, które Indianie musieli opuścić. Nikt tam dzisiaj nie mieszka, pozostały tylko domy z kamienia lub resztki kamiennych murów. Zarówno Samuraj, jak i Nishi przypomnieli sobie kamienne ruiny, jakie widzieli na własne oczy w drodze z Acapulco do Meksyku i w drodze z Meksyku do Puebla. Pokryte piaskiem, porośnięte zieleń placów tych zrujnowanych wiosek nawiedzał tylko wiatr wyśpiewujący żałobne pieśni.

- Wojna zawsze jest taka - szepnął Samuraj. - Tak się dzieje w każdym kraju po przegranej wojnie.

- Ja nie mówię o wojnach - odparł z grymasem na twarzy mężczyzna. - Mówię o tym, że padres, którzy później przybyli do tego kraju, zapomnieli o cierpieniach Indian... Nie, nie chodzi o to, że zapomnieli. Oni udają, że się tu nic nie stało. I z twarzami niewiniątek, z całą powagą w głosie pouczają nas o litościwym i miłosiernym Bogu. To mnie oburzyło. Z ust księży w tym kraju zawsze płyną tylko piękne słowa. Ręce wielebnych padres zawsze są czyste, nigdy nie bywają skalane brudem.

- Dlatego odrzuciłeś chrześcijaństwo?

- Nie, nie - mówiąc to były zakonnik spojrzął za siebie. Przed chatą stali Indianie i przyglądali się nam. - Nie obchodzi mnie, co sądzą księża, ja wierzę w swojego Jezusa. Mój Jezus nie mieszka w pałacach zwanych katedrami. On żyje między tymi biednymi Indianami... Ja w to wierzę.

Jak na coś odległego Samuraj patrzył na tego byłego zakonnika, który jednym tchem wypowiedział wszystko to co przez długi czas milczenia w nim się zebrało. I wydało mu się, że od opuszczenia Tsukinoury do dziś o niczym innym nie słyszał, tylko o chrześcijaństwie. Od wylądowania w Nowej Hiszpanii wszędzie musieli oglądać klęczących w kościołach mężczyzn i kobiety, i wizerunki nagiego Mężczyzny, brzydkiego i wychudłego, a przy tym oświetlonego płomieniami świec. Życie w tym ogromnym świecie, z którym się zetknął po raz pierwszy od urodzenia, wydaje się koncentrować na tym, czy ktoś wierzy czy nie w tego brzydkiego Mężczyznę. Dla niego, dla Japończyka, który się wychował w małej Dolinie, mężczyzna o imieniu Jezus nie wzbudzał ani ciekawości, ani zainteresowania. Był po prostu przejawem obyczaju obcego kraju, z którym nic go chyba nie połączy przez całe życie. Mężczyzna skończył mówić, dotknął palcem ubrania Nishiego, głaskał i

głaskał, aż w końcu zawołał:

- Ach, to jest zapach Japonii!

- A może jednak wrócisz?

Samurajowi żal się zrobiło tego Japończyka, którego nie można już było odróżnić od Indianina. - Kupcy, którzy z nami przybyli, w końcu tego roku odpływają. Czy nie chciałbyś wracać z nimi?

- Na powrót jestem za stary. - Były zakonnik patrzył w ziemię. - Pójdę teraz tam, gdzie pójda Indianie. Tam gdzie się oni zatrzymają, ja też się zatrzymam. Im nawet ja mogę być potrzebny, żeby obetrzeć pot w czasie choroby, podać rękę w godzinie śmierci. Podobnie jak ja, Indianie również utracili swój dom.

- Wobec tego nigdy się już nie zobaczymy?

- Moi Indianie nie będą cały czas tutaj. Przeniosą się w inne miejsce, gdy ziemia przestanie rodzić. Jeśli Pan tego zechce, to znów się spotkamy.

Były zakonnik zapytał, dokąd teraz idziemy.

- Do Veracruz - wyjąwił naiwny Nishi - na wschodnie wybrzeże. Tam znów wsiądziemy na statek.

- Veracruz? - mężczyzna zrobił podejrzliwą minę. - To bardzo niebezpieczne.

- Niebezpieczne?

- Nie wiecie o tym, że szczep Huasteców w tamtym regionie wywołał powstanie? I że pali hiszpańskie wioski, podpala domy...

- Bunt?

- Skoro byli tak ciemiężeni... nawet łagodni Indianie znieść tego dłużej nie mogli.

Velasco nic o tym nie powiedział. O powstaniu usłyszeli po raz pierwszy. Samuraj spojrział na zdumioną twarz Nishiego i zacisnął spocone dłonie. Od wyjazdu z Meksyku Velasco zwracał się do nich pewny siebie i wciąż się pogardliwie uśmiechał.

- Czy to prawda?

- Wszyscy o tym wiedzą. I o tym, że Huastecowie posługują się bronią palną, prochem. Powinniście się zastanowić, czy warto iść do Veracruz.

- Musimy tam iść.

Samuraj powtórzył te słowa mocno, jakby chciał sobie dodać odwagi. - Musimy tam iść. - Dziwne, wcale nie miał ochoty wracać do Meksyku. Przedtem często się wahał, pamiętając, co mówił Matsuki Chusaku, ale teraz wydało mu się, że zdecydował nieodwołalnie.

- Czy wracasz, Nishi?

- Jeśli pan, panie Hasekura, pójdzie dalej, ja uczynię to samo.

Były mnich odprowadził ich do krańca pól uprawnych. Zakurzone liście kukurydzy poruszały się leniwie na wietrze ciągnącym od bagien. Na granicy pól stała drewniana figura Ukrzyżowanego, przypominająca bóstwo opiekuńcze wieśniaków. Ten wychudły Mężczyzna był podobny do Indian sprzedanych Hiszpanom, tak samo miał włosy splecione w warkocz, orli nos i mroczne cierpliwe oczy. U Jego stóp leżał stopiony воск, niby wylane przez Niego łzy.

- Wieczorem Indianie przychodzą tutaj się modlić. Mężczyźni i kobiety opowiadają Jezusowi o swoich cierpieniach i składają skargi.

Wsunął rękę pod brudną koszulę i wraz z chrześcijańskim różańcem z drewnianych paciorków wyjął również jakąś kartkę.

- Nie mam wam co podarować. Proszę przyjąć przynajmniej to. Opowieść o Panu, którą napisałem.

Nie można było mu odmówić. Mężczyzna, który ich odprowadził aż pod trzciny na bagnach, czekał teraz cierpliwie wraz z osłem. Dlaczego oczy tego zwierzęcia wydawały się podobne do oczu mnicha-odszczępieńca?

Gdy wrócili do Puebla, słońce już wzeszło. Kiedy zsiadali z osłów, przyglądało im się kilku Indian stojących na ulicy. Po cichu weszli na podwórzec klasztoru i zajrzeli do pokoju. Tanaka z ponurą miną czyścił pochwę miecza.

- Chodziliście do Tecali? Mimo że tego zabroniłem? - Potępiający wzrok skierował nie tylko w stronę Nishiego, lecz również na Samuraja. Nishi powiedział o powstaniu Indian.

- Czy Velasco myślał, że się przestraszymy? Ta uwaga rozgniewała Tanakę.

- Czy sądził, że stchórzemy jak Indianie? Idę zapytać, co Velasco ma do powiedzenia w tej sprawie - położył miecz i wstał.

- Nie idź - Samuraj potrząsnął głową. - Velasco po prostu zręcznie to wszystko wytłumaczy. Nieważne, co on ma do powiedzenia, i tak nie możemy przerwać tej podróży.

I znów Samuraj czuł, że wyzywał swoje przeznaczenie, udając się w dalszą drogę. Gdy znał tylko Dolinę, nigdy nie myślał, że mógłby żyć gdzie indziej inaczej, teraz zrozumiał, że jednak się zmienił. Jego mała Dolina, stryj, skargi stryja wypowiedane przy ognisku, instrukcje Rady Seniorów... Po raz pierwszy od wyjazdu z Meksyku Samuraj czuł głęboką potrzebę zbuntowania się przeciw przydzielonemu przeznaczeniu jako rzeczom i sprawom niewzruszonym.

Japończycy szli przed siebie jak mrówki dźwigające pożywienie. Zamiast stwierdzić, że szli przed siebie, należałoby raczej powiedzieć, że poruszali się wolno po rozległej wyżynie, która ani trochę się nie zmieniała. Velasco i trzej posłowie jechali na koniach, między nimi stapały osły obciążone bagażami. Służący natomiast za nimi w milczeniu powłóczyli nogami. Na północy widniały grzbiety gór, a na niebie nad głowami szybował sęp niesiony prądem powietrza.

Velasco i trzej posłowie wiedzieli, że jeszcze daleko do strefy zagrożonej przez zbuntowanych Indian. Szli przez wzgórza pokryte bielejącymi kamieniami, przez spaloną słońcem i spękaną ziemię, przez łożysko rzeki, w którym leżały uschłe drzewa jak białe kości, a gdy skończył się wypalony krajobraz, pojawiły się pola zakurzonej kukurydzy. Nic tu nie przypominało łagodności i spokoju japońskiego krajobrazu. Pod powiekami Samuraja ukazała się Dolina, gdzie na polach ryżowych stała chłodna woda i obracały się młyńskie koła wodne. Nie tylko on jeden, pozostali samuraje i ich służba myśleli na pewno o tym samym, ale nikt nic nie mówił ani nie zdradził się wyrazem twarzy. Z powodu gorąca i zmęczenia wszyscy czuli się niezadowoleni i milczeli.

Lecz gdy wieczorem piątego dnia od wyruszenia z Puebla dotarli jakoś na szczyt niewielkiego granitowego wzgórza, roztoczył się przed nimi w dole niespodziewany widok. Sosnowy gaj, który ujrzeli po raz pierwszy od przyjazdu do tego kraju, otaczał grupę glinianych indiańskich chat, a obok

ciągnęło się dobrze uprawione pole. Co prawda sosny różniły się od japońskich, miały bardzo miękkie szpilki, ale w końcu sosna to sosna.

- Ach! - Japończycy wzniesli okrzyk, wbiegli do sosnowego lasu, zaczęli zrywać szpilki i wdychać łączywie ich zapach. Niektórzy chwycili sosnowe szpilki w spocone dłonie i radowali się ich dotykiem. W sośnie odnaleźli niezapomniany zapach Japonii.

- U nas w Dolinie - wołał Ichisuke w stronę Daisuke - na pewno pora mushiokuri.

Na dźwięk tego słowa Samuraj wyteżył wzrok, jakby w dali coś dojrzał. Mushiokuri to święto wypędzania wszelkich plag z Doliny. Zgodnie ze zwyczajem w środku nocy mężczyźni z pochodniami w dłoniach przechodzą przez wioski z zachodu na wschód.

- Chcę wracać do domu - szepnął Daisuke do Ichisuke. - Szybko chcę wrócić.

Usłyszał to Yozo i zwrócił uwagę: "Ty głupcze", lecz wtedy podszedł Samuraj i potrząsnął głową.

- Wiem, że chcesz do domu. Ale nawet ja nie mogę ci powiedzieć, kiedy wrócimy, i co to za kraj ta Hiszpania, do którego teraz idziemy, nie pozwolę jednak, żeby zmarnował się wasz trud.

Trzej służący spojrzeli zapadłymi oczyma na Samuraja i ze smutkiem skinęli głowami. Patrzyli na siebie bez ruchu jak kamienne posągi. Nagle z oczu Yozó potoczyły się łzy, lecz odwrócił twarz, aby nikt tego nie mógł zobaczyć.

Siódmego dnia zbliżyli się do osady, którą można było wreszcie nazwać miastem. Była to Córdoba. Przybyli tu akurat po ulewnym deszczu, więc pod hiszpańskimi domami, pod białymi murami chwiały się na chłodnym wietrze kwiaty jak płomienie, a po niebie powoli przepływały chmury w kolorze słomy. Dzieci przy bramie zaczęły coś krzyczeć, wtedy zbiegli się mieszkańcy.

Gdy podróżni weszli na mały plac, zjawił się tam również burmistrz i inni miejscowi dygnitarze. Burmistrz, jeden z właścicieli ziemskich w tej okolicy, uściśnął dłoń Velasco, a następnie pokrytych kurzem Japończyków obejrzał kolejno takim wzrokiem, jakby oceniał owce, które Indianie przyprowadzili na sprzedaż. Ale nie omieszkał wypowiedzieć słów powitania gestykulując przesadnie, typowo po hiszpańsku.

- Padre - burmistrz nadal przyglądał się badawczo Japończykom - czy mógłby ojciec wyjaśnić, w jakim celu przybyli do nas ci orientalni ludzie?

- Chyba pan otrzymał wiadomość od wicekróla z Meksyku? - odparł Velasco jakby nieco urażony. - Ci ludzie są posłami dyplomatycznymi z Japonii, sądzę więc, że tak jak gdzie indziej również tutaj będą traktowani z należytymi honorami.

Jak na posłów Japończycy wyglądali jednAk zbyt nędznie. Ich ubrania i obuwie były brudne i zakurzone po długiej podróży, a ponadto posłowie nie okazywali przyjaznych uczuć, cały czas milczeli, nie kryjąc niezadowolenia.

- Chcielibyśmy ich zaprosić dziś na kolację. - W końcu po cichej naradzie z kolegami ogłosił burmistrz. Nikt z nich nie miał pojęcia, gdzie Japonia się znajduje ani o tym, co to za kraj.

Samuraj i pozostali posłowie bardziej pragnęli snu niż jedzenia. Ani Samuraj, ani Tanaka nie mieli ochoty na hiszpańskie potrawy. Tylko Nishi



był tu wyjątkiem. Lecz Velasco zignorował ich uczucia i odpowiedział:

- Posłowie wezmą udział z przyjemnością.

Służących odprowadzono do miejskiej sali zebrań, która miała stanowić miejsce ich noclegu, trzech posłowie i Velasco poszli do rezydencji burmistrza. I tam całkowicie wyczerpani musieli znów wysłuchać długiego i zupełnie niezrozumiałego przemówienia, po którym wniesiono potrawy.

- Japończycy nie jedzą mięsa - powiedział Velasco. Burmistrz i jego towarzysze znów zaczęli przyglądać się Japończykom, jakby oceniali wartość zwierząt domowych.

Po posiłku burmistrz kazał słuzącemu przynieść globus z biblioteki. Chciał po prostu zapytać Velasco, gdzie leży kraj zwany Japonią. Na globusie, mającym kształt strusiego jaja, tylko zarysy Indii i Chin były z grubsza zaznaczone. Japonie natomiast przedstawiono jako półwysep na wschodnim krańcu Chin, podobny do małej kropli wody.

- Tu jest błąd. - Nie mogąc dłużej znieść ignorancji swoich ziomeków i niedokładności globusa Velasco wzruszył ramionami. Pomniejszanie Japonii, na którą Velasco postawił swoje życie, było równoznaczne z wykpiwaniem jego samego. - To nie jest Japonia.

- A jak duży jest ten kraj, padre"]

- Jest to mały kraj wyspiarski. Nie zajmuje nawet jednej piątej Nowej Hiszpanii.

- To znaczy stanowi jedną pięćdziesiątą całego obszaru Hiszpanii? -

Roześmiał się miejscowy dygnitarz. - Dlaczego tego wyspiarskiego kraju nie zajmie gubernator Filipin? Praca misyjna ojca byłaby wtedy łatwiejsza. Moglibyśmy również zakładać tam nowe plantacje.

- Japonia jest mała, ale w bitwie nie ustępuje żadnemu krajowi. Nie moglibyście Japończyków tak zniewolić jak Indian.

Posłowie nie rozumieli języka, więc znajdowali się poza kręgiem rozmowy; walcząc z ziewaniem patrzyli na globus. Jeden z "dygnitarzy", słuchający z powątpiewaniem słów Velasco na temat Japonii, wciąż wskazywał na Hiszpanię i jej liczne kolonie.

- Espaha. Si, Espaha - powtarzał, jakby uczył dzieci, a w końcu wskazał na kropelkę przyczepioną do Chin. - Japón - powiedział cicho.

- Pan tego nie rozumie - Velasco spojrzał na niego z gniewem. - Mając dostęp do portu w Japonii można panować nad Pacyfikiem. Właśnie dlatego protestanci z Anglii i z Holandii robią wszystko, żeby nawiązać dobre stosunki z Japonią. Hiszpania musi to uczynić wcześniej. Właśnie w tym celu wicekról Acuña z Meksyku przedstawił petycję z wnioskiem o audiencję japońskich posłów u króla.

Po tych słowach w jadalni na moment zapanowała cisza. Velasco oczywiście sfabrykował tę ostatnią informację na temat audiencji u króla, ale jego słowa odniosły pożądaną efekt. Na właścicielach ziemskich w Nowej Hiszpanii tytuł "król" robił duże wrażenie.

- Słuchajcie mnie - popatrzył na zmęczonych Japończyków i z triumfem mówił dalej powoli i łagodnie. - Gdy usłyszeli, że spotkacie się z królem Hiszpanii, ci głupcy popadli w popłoch.

- Z królem? Co to znaczy? - zapytał Tanaka.

- Król to władca, cesarz. Na przykład w Japonii królem jest chyba Naifu.

- Czy to znaczy, że my będziemy mogli się spotkać z królem Hiszpanii?

- Dlaczego nie? - Velasco jak zwykle przywołał pewny siebie uśmiech. -

Panowie, jesteście przecież ambasadorami Japonii, prawda?

Wyczerpani męczącą podróżą trzech posłowie, zaatakowani zniechęca, nie mogli ukryć zdumienia.

- Czy to prawda?

- Zaufajcie mi. - W końcu Velasco zaczął chyba wierzyć, że jego kłamstwo nie było kłamstwem, bo mogło być zrealizowane. Nie, to nie było kłamstwo.

To był cel, który musiał zrealizować. Był to drogowskaz.

- Posłowie są zmęczeni - frazesami podziękował burmistrzowi. - Są wdzięczni za pańską uprzejmość.

Zaniepokojony burmistrz odciągnął Velasco na bok.

- Padre, czy jutro wyruszacie?

- Taki mamy zamiar.

- Czy wiecie, że droga do Veracruz jest niebezpieczna?

- Huastecowie mają chyba wrogie uczucia wobec was, hiszpańskich właścicieli ziemskich. - Velasco patrzył na niego ironicznie. - Ale wątpię, czy będą odnosić się z nienawiścią do posłów wyspiarskiego kraju, który wam się wydaje taki odległy.

Po powrocie do sypialni w miejskiej sali zgromadzeń posłowie czuli się kompletnie wyczerpani, lecz podniecenie ich nie opuszczało. Zostaną przyjęci na audiencji u króla. Velasco z pewnym siebie uśmiechem wypowiedział coś, czego w ogóle się nie spodziewali.

- Jeśli przyjmie nas król... - po zgaszeniu płomyka świecy zabrzmiał w ciemności podniecony głos Nishiego - to znaczy, że wypełniliśmy naszą misję.

- Jeśli rzeczywiście spotkamy się z królem - odpowiedział Samuraj, obracając się do Nishiego.

- Lecz wcale nie wiadomo, czy to prawda, co mówi Velasco.

- Zgadzam się z Hasekurą.

Głos Tanaki dobiegł od strony szeroko otwartego okna. Potem trzech mężczyźni zamyśliłi się leżąc w milczeniu z otwartymi oczyma w ciemności. Chociaż nie ufali Velasco, to jednak nadal wyobrażali sobie siebie na audiencji u króla. Zwyczajni zaściankowi samuraje przebyli ocean, a teraz będą spotykać się z władzą całego imperium. To tak samo, jakby pojechali do Edo i dostąpili zaszczytu oglądania na własne oczy Naifu czy shoguna, o czym nigdy nawet nie mogli marzyć. Radość jak zmarszczki na wodzie z głębi serca rozeszła się po całym ciele. I dlatego nieufność wobec Velasco stopniała. Znużenie dnia pogrzyżyło ich w głębokim śnie.

Kiedy w następny bezchmurny ranek wyruszyli z Córdoby, posłom wędrowało się lekko z powodu radości, jaką wczoraj przed snem przeżyli. Zapomnieli nawet o niepokoju, jakim napawało ich powstanie Indian. Popędzali konie do szybszego marszu, a tylko Velasco od czasu do czasu przez lunetę obserwował góry przyprószone jakby mąką. Nad pasmem wzgórz wisały kłęby deszczowych chmur obrzeżonych złotym pasmem.

Wyszli na kamienistą równinę. Cienie chmur płynęły tu powoli, sterczące kaktusy, niby poirytowani starcy, z wyrzutem przyglądały się grupie wędrowców, a bzyczące mszyce czepiały się spoconych twarzy wędrowców. Samuraj wpatrując się w oślepiający horyzont rozległej równiny wyobrażał sobie ocean. Myślał też o kraju zwanym Hiszpanią znajdującym się tam, gdzie ocean się kończy. Ocean i kraj, których nigdy nie widział. I o własnym

przeznaczeniu, jakiego nigdy się nie spodziewał. Dotąd był posłuszny temu, co mu wyznaczono w Dolinie, teraz przyjmował nowy los bez najmniejszej skargi.

Tu i ówdzie ukazywały się ruiny ołtarzy opuszczonych przez Indian. Velasco wyjaśniał, że w tych okolicach Indianie podobnie jak Japończycy od dawna czcili słońce. Cokoły zbudowane z czerwonych kamieni wulkanicznych, popękane i leżące na ziemi kamienne filary nosiły ślady wrytych dziwacznych linii, między którymi biegały jaszczurki o błyszczących w słońcu grzbietach.

Wśród takich ruin grupa zatrzymała się po południu na wypoczynek. W ponurych nastrojach wszyscy pili wodę z bambusowych naczyń, patrzyli bezmyślnie na równinę i odganiaли z twarzy mszyce, Nadal ciągnęła się przed nimi pofalowana dolina, po której przesuwaly się cienie chmur. Do nocy zamierzali przejść tę dolinę i zatrzymać się w jakimś majątku na nocleg. W dali ujrzeli wznoszący się powoli słup piasku jak podczas tornado. Mimo zmęczonych oczu, w końcu zrozumieli, że nie jest to trąba powietrzna, lecz żółty dym.

- Wygląda na dymny sygnał... - Tanaka Tarozaemon zerwał się nagle z kamiennego słupa, na którym siedział, osłonił ręką oczy od słońca.

- Nie sądzę, żeby to miał być sygnał - potrząsnął głową

Nishi Kyusuke. Japończycy przypomnieli sobie indiański sygnał, jaki unosił się nad nagimi górami przed Igualą. Jak na sygnał, ten dym był zbyt duży

- nie pokazały się też nigdzie w odpowiedzi inne sygnały.

- Widać, jak ogień się rusza. - Stojący z dala od wszystkich Velasco patrzył przez lunetę. Posłowie wpatrywali się w niego, czekając na wyjaśnienie.

- Na pewno wypalają las na plantacji. W tym kraju często... - i jakby nic się nie zdarzyło, Velasco odsunął lunetę od oczu - wypalają las i przygotowują na tym miejscu pole uprawne.

- Panie Velasco - przemówił Tanaka z gniewem. - Nie musi pan już nic ukrywać przed nami. Wszystko wiemy.

Zaskoczony Velasco poczerwieniał i zaczął się jąkać wyjaśniając.

- Panie Tanaka, niczego nie utrzymuję w tajemnicy z powodu złej woli.

- To już nieważne - potrząsnął głową z niezadowoleniem Tanaka. -

Ta niepotrzebna troska o nas jest nie do zniesienia. Nie jesteśmy kobietami ani dziećmi. Wiemy, że chłopci się zbuntowali. Co pan zobaczył?

- Pałace się gospodarstwo.

Droga do Veracruz prowadziła prosto przez tę nasłonecznioną równinę.

Okrażenie grzbietu górskiego przedłużyłoby ich podróż o wiele dni. Velasco nalegał, żeby dzisiejszą noc spędzić pod gołym niebem, a rano wyruszyć w dalszą drogę, lecz Tanaka zdecydowanie potrząsnął głową.

- Indianie nie powinni mieć żalu do Japończyków. To powstanie nie ma z nami nic wspólnego.

- Musimy unikać niepotrzebnych strat. Myślę, że wypełnienie obowiązku jest dla was sprawą najważniejszą.

- O walce wiemy więcej niż pan, Velasco. Odtąd proszę zdać się na nas. -

Tanaka uśmiechnął się z pewnością siebie. - Hasekura i Nishi, nie macie nic przeciwko temu?

Dziesięć brawura Tanaki denerwowała Samuraja. Szkoda, że nie ma tu Matsuki Chusaku.

- Nie, nie sprzeciwiamy się, ale nie ma chyba żadnej potrzeby rozpoczynać z nimi walki - ostrzegł Samuraj. - Ważne jest to, co powiedział Velasco: nasza misja. Najważniejsze jest spełnienie obowiązku.

W bagażach na osłach było tylko dwanaście strzelb, które wyjęto bezzwłocznie. Samuraje wzięli do środka Velasco i objuczone osły, służących puścili przodem, aby pełnili rolę grupy rozpoznawczej. Teraz wszyscy słuchali rozkazów Tanaki.

W oddali żółtawy dym rozmazywał się po niebie. Im podchodzili bliżej, tym wyraźniej widzieli pomarańczowe płomienie, ruszające się jak skrzydełka ciem. Czasami z oddali dobiegał trzask przypominający otwieranie strączków fasoli.

- Czy to strzały?

Tanaka podniósł rękę i zatrzymał grupę. Chwilę nadśluchiwał, a następnie jak prawdziwy przywódca potwierdził i powiedział z powagą w głosie: - Nie bójcie się. To nie są strzały. To odgłos pożaru. - Inaczej niż Samuraj czy Nishi, Tanaka miał doświadczenie, w młodości brał udział w bitwach prowadzonych przez jego pana.

Weszli w strefę pól uprawnych. Kukurydza była tu podeptana bezlitośnie, a kryte strzechą chaty pośród bananowców spalone.

Dym niby rzadka mgła wydobywał się z bananowego gaju. Czuć było spaleniznę. Nie mogli zobaczyć, czy za dymem kryją się Indianie, czy nie, dlatego Tanaka zsiadł z konia, wziął broń od służącego i poszedł sam w stronę dymu z wypiętą pierśią, jakby chciał popisać się odwagą. Znikł z oczu, słysząc było tylko pokasztywanie. W końcu rozległ się jego głos:

- Nie bójcie się. Pali się tylko budynek gospodarski.

Paliła się wielka stodoła. Jej zawartość zamieniła się w popiół. Płomienie lizały teraz szerniałe słupy i belki dachu, i przypominały małą grupkę biegających krasnoludków. Od czasu do czasu rozlegał się huk spadających belek napawając wędrowców smutkiem zniszczenia. Tanaka jako doświadczony wojownik zbadał uważnie ziemię i odkrył bezładne ślady stóp.

- Tubylcy już tędy przeszli - wyjaśnił Samurajowi i Nishiemu, a następnie przytrzymał konia za lejce i zwrócił się do Velasco, rozglądającego się niepewnie po okolicy: - Co się stało? Przestraszył się pan, panie Velasco? - zakpił. Velasco zmusił się do uśmiechu, nie mogąc ukryć oznak słabości. Zdarzyło mu się to po raz pierwszy w pracy misyjnej.

- Naprzód - Tanaka, jakby podkreślając, że nie Velasco, lecz on teraz kieruje, dał znak do wyruszenia w dalszą drogę. - Idziemy.

Wkrótce zapadnie noc.

Słyszając za plecami trzask dopalającej się stodoły Japończycy weszli w mroczny gaj bananowy, uważnie wsłuchując się w każdy szelest. Między bielejącymi pniami prześwitywało gorące niebo i pokryte drzewkami oliwnymi wzgórza niby zwinięte w kłębki koty. Gdy wynurzyli się z gaju, poczuli na czołach silne uderzenie promieni słonecznych. Jednocześnie spod drzewa oliwnego zerwała się do biegu jakaś postać, przypominająca raczej kupkę podartych szmat. Była to Indianka z trojgiem dzieci. Włosy miała splecione w warkocz.

- Jestem padre. Jestem księdzem! - wołał Velasco. - Nie trzeba uciekać.

Kobieta i dzieci odwróciły się i spojrzały na Velasco ze zwierzęcym strachem w oczach.

- Czy nie rozumiecie po hiszpańsku?

Kobieta krzyknęła coś przejmującym, ptasim głosem, Jęcz Velasco jej nie zrozumiał.

- Cicho - powiedział Tanaka i zaczął nasłuchiwać. Słyszał coś, z czego inni nie zdawali sobie sprawy. Grupa stała bez ruchu w upale i ciszy, wpatrzona we wzgórze.

Rozległ się szelest deptanej trawy. Po chwili ukazała się powoż i ostrożnie czarna głowa. Po spalonych policzkach płynęła krew. Nagle z trawy wynurzyła się grupa uzbrojonych Hiszpanów, którzy przestraszyli się Japończyków i nie spuszczała z nich wzroku, aż dostrzegli Velasco.

- Jestem padre - Velasco podniósł ręce i szedł w ich stronę ku drzewkom oliwnym. Coś powiedział do ociekającego krwią człowieka, następnie zwrócił się do Japończyków.

- Proszę się uspokoić. To właściciel majątku i jego służba, którzy przyszli nam na spotkanie. - Velasco zapytał ich o sytuację. - Czy Huastecowie doszli aż tutaj?

- Nie, padre - potrząsnął głową. - Dowiedziawszy się o buncie część miejscowych Indian również się zbuntowała i podpaliła stodołę. Podpaliła plantację i skryła się gdzieś w pobliżu.

- Musimy iść do veracruz.

- Będziemy wam towarzyszyć. Czy Japończycy potrafią strzelać?

- Bronią posługują się lepiej od was. To naród przywykły do wojny.

Plantator i jego ludzie patrzyli z powątpiewaniem, ale nic nie powiedzieli.

Skulona pod oliwką kobieta podniosła głowę, objęła dzieci obiema rękami i krzyknęła coś ptasim głosem. Plantator zwymyślał ją.

- Co ona mówi?

- Mówi, że postrzeliliśmy jej brata, który teraz umiera. -

Wzruszył ramionami. - To nas nie obchodzi. Lecz ona prosi dla

brata o ostatnie namaszczenie i modlitwę. - Splunął na ziemię i wytarł

krew, której ślad na policzku przypominał medal. - Walczą z nami, lecz gdy coś im nie wychodzi, wtedy błagają. Tacy są ci Indianie.

Proszę się nimi nie przejmować.

- Gdzie jest ten umierający mężczyzna?

- Proszę bez żartów. Ksiądz pójdzie, a wtedy wezmą księdza jako

zakładnika albo zabiją. Indianie często to robią. Posługują się kobietami

i dziećmi, abyśmy niczego nie podejrzewali. A potem przypuszczają atak od tyłu.

- Jestem księdzem - odpowiedział cicho Velasco. - Jeśli pan jest wierzącym chrześcijaninem, powinien mnie pan zrozumieć. Ksiądz ma obowiązki i musi je wykonywać. Nawet w stosunku do Indian...

- Nie ma co ich rozpieszczać. Padre, Indianom nie można. ufać.

- Jestem księdzem.

Twarz i szyja Velasco nagle się zaczerwieniły. Zawsze tak się z nim działo, gdy próbował opanować gniew lub silne uczucie.

- Padre, proszę tego nie robić.

Velasco, nie chcąc nic słyszeć, zaczął wchodzić na wzgórze. Gdy Indianka to spostrzegła, zostawiła dzieci i pobiegła boso za Velasco, jakby goniła zdobycz. Nic nie rozumiejący posłowie również ruszyli za nim.

- Proszę tu zostać! - krzyknął Velasco od strony zbocza góry. - Teraz nie jestem tłumaczem. Idę spełnić obowiązek księdza.

Kobieta i Velasco weszli do mrocznego gaju bananowego. Woń gnijących liści przesycała powietrze, gdzieś zaśpiewał ptak, lecz jego głos przypominał Velasco sępa żerującego na martwej zwierzynie. Kobieta zręcznie biegła między drzewami bananowymi, od czasu do czasu odwracała się w stronę zostającego w tyle księdza. Dziwne, ale Velasco nie czuł strachu ani niepokoju. W cieniu gęstych bananowców stał na wpół obnażony, krótkonosy Indianin i patrzył ponuro. Kobieta coś do niego powiedziała, wtedy pozwolił Velasco wejść głębiej w las.

Półnagi młody mężczyzna leżał we wgłębieniu na plecach i ciężko dyszał. Kobieta usiadła przy nim jak nieprzytomna. Po spodniach można było sądzić, że on również był wyrobnikiem pracującym na plantacji. Na jego szyi wyraźnie rysował się ślad postrzału, umazany krwią i błotem.

- Czy umiesz po hiszpańsku ? - zapytał Velasco, lecz mężczyzna tylko ciężko oddychał i patrzył mętnymi oczyma, jego źrenice przesłaniała mgła. Jak pogłębiająca się ciemność wieczoru, śmierć wchodziła w ciało młodego Indianina.

- Hafoeas requiem aeternam - wyszeptał Velasco ściskając okrwawioną i zabłoconą rękę młodzieńca. W tej chwili nie był misjonarzem opętany przez pragnienie nauczania wiary w Japonii, teraz nie różnił się niczym od księdza w małej wiosce, czuwającego przy umierającej staruszce.

- Requiescat in pace. - Jakby ostatnią bramę życia, Velasco zamknął palcami oczy otwarte szeroko, niby zastygłe od mrozu. Patrząc na tego biednego chłopca przypominał sobie twarz japońskiego chrześcijanina, który przyszedł prosić o rozgrzeszenie w składzie drewna w Ogatsu. Tę twarz Japończyka w łachmanach, obsypanego wiórami.

Wiatr szalał w Veracruz, toczył kłęby uschłej trawy po ścianach otynkowanych domów i popielatych drogach, wzburzył morze, zamieniając je w błotnistą szarą masę.

Była pora monsunu, gdy grupa wyczerpanych Japończyków weszła do miasta. Podobnie jak podczas przybycia do Meksyku czy Puebla przy miejskiej bramie czekali na nich dwaj misjonarze jak brązowe posągi, z kapturami na głowach i ze złożonymi rękami. Jeden z posłów miał złamaną nogę, z trudem więc trzymał się na koniu, a jeden ze służących leżał na wózku ciągniętym przez osła. W drodze zaatakował ich oddział Indian.

Z okien pokoju w klasztorze, - w którym zamieszkali, posłowie mogli oglądać wzburzone morze, obnażające swoje kły. Nie było to co prawda morze, które przepływali przez dwa miesiące, ale ogromem od tamtego się nie różniło. Różnica polegała tylko na tym, że po przeciwnej stronie znajdował się ląd europejski. Samuraj i jego współtowarzysze wiedzieli, że leżą tam takie kraje jak Hiszpania, Portugalia, Anglia i Holandia.

Wpatrując się we wzburzoną wodę Samuraj myślał: "Jakże małe jest dominium wielmożnego pana w porównaniu z tym światem. Dolina, będąca częścią włości pana, a także ziemie w Kurokawie, przypominają po prostu ziarna piasku. Mimo to, dla tej właśnie drobiny piasku, moja rodzina wyruszyła na wojnę, walczyła i przeżyła jakoś do tej pory".

Tego dnia, gdy wyruszyli z Tsukinoury słuchając skrzywienia lin żaglowych i ostrego krzyku mew, Samuraj czuł, że został porwany przez falę nowego losu, czuł też, że w jego sercu zrodziła się zarówno na morzu, jak w Nowej Hiszpanii niewidoczna dla oka zmiana. Czym była ta zmiana? Nie

potrafił tego ująć w słowa i wypowiedzieć, ale miał pewność, że teraz różni się od Samuraja, który mieszkał w Dolinie. Trochę się bał, bo nie wiedział, dokąd go poprowadzi ten los i jak go zmieni?

Wiatr kołatał w klasztorne okna całą noc. O północy zaczął padać deszcz. Do Veracruz przybyliśmy podczas monsunu. I mieszkamy teraz w klasztorze świętego Franciszka.

Jestem przekonany, że tylko dzięki opiece Pana, który chce, żebym szerzył jego nauki w Japonii, mogliśmy bezpiecznie wymknąć się Huaxtecom. To dlatego Bóg dał nam szansę ucieczki z niebezpieczeństwa.

Gdy wyruszyliśmy z Córdoby, w pobliżu pewnej plantacji dałem ostatnie namaszczenie i pomodliłem się za wyrobnika indiańskiego, który został ranny w czasie buntu Huaxteców. Młody Indianin, śmiertelnie ranny od kul hiszpańskiego plantatora, leżał we wgłębieniu ziemi w gaju bananowym i umierał, gdy trzymałem go za rękę. Niech Pan ześle mu wieczne życie. Po prostu wykonałem swój oczywisty obowiązek jako kapłan.

Oglądający tę scenę dwaj wyrobnicy indiańscy z wdzięczności odprowadzili nas w pobliże Veracruz. Stali się dla mnie najsilniejszymi sojusznikami, tym bardziej że właśnie dzięki pomocy tych dwu ludzi uniknęliśmy walki z Huaxtecami.

Stało się to w przeddzień dojazdu do Veracruz. Właśnie szliśmy dłuższą drogą, chcąc ominąć plantację, na której trwały walki.

Jak codziennie słońce świeciło bezlitośnie, ludzie i konie byli bardzo zmęczeni; szli w szeregu między skałami jakby spryskanymi solą. Z trudem opanowując zawrót głowy od czasu do czasu w cieniu kaktusów dostrzegaliśmy grupki ludzi.

Właśnie zatrzymaliśmy się na odpoczynek. Bezmyślnie przyglądając się sępowi krążącemu nad skałą, poczułem jakiś niepokój, ponieważ w dolinie panowała niezwykła cisza.

Nagle ze skały zerwało się coś czarnego i nadleciało w naszą stronę. Początkowo wydawało mi się, że to ptak. Na skale pojawiło się około dziesięciu Huaxteców z siatkami. Odkryli nas z daleka, przyczaili się i ciskali kamieniami w siatkach.

Słyszałem o tym, że Indianie rzucają kamieniami włożonymi do siatki. Gdy nasi przodkowie podbijali tę Nową Hiszpanię, Indianie stawili im opór za pomocą tej broni. Mój koń stanął dęba i nie mogłem go od razu uspokoić, a Japończycy tymczasem na ostry rozkaz Tanaki schowali się za kaktusy.

Ktoś nie zdażył uciec i przewrócił się. Był to sługa Tanaki. Aby go ratować, Tanaka wybiegł zza kryjącego go kaktusa. W promieniach słońca widziałem, jak rosły Huaxtec brał zamach, mierząc w stronę Tanaki i jego sługi. Widziałem wyraźnie jego mopsi nos, białe zęby i warkocz na karku. Widziałem też, jak w stronę obu Japończyków leciał kamień wielkości głowy.

Obaj indiańscy wyrobnicy, którzy służyli za przewodników, również pobiegli za Tanaką. Drugi kamień spadł obok nich. Błagalnie krzyczeli coś w stronę Huaxteców stojących na skale. Pewnie dawali znać, że to Japończycy, a nie Hiszpanie. I wtedy stał się cud: Huaxtecowie zniknęli ze skały, jakby wyparowali.

Wszystko to działo się jak we śnie. W dolinie znów zapanowała cisza, słońce przypalało do białości. Wybiegliśmy spoza kaktusów i zebraliśmy się wokół

rannego. Tanaka miał złamaną prawą nogę, a jego służący zgruchotane kolano, wyglądające jak otwarty owoc granatu. Wypływająca z rany krew pokryła nogę czerwienią. Na pewno staw jest zmiądzony. Mężczyzna chciał wstać, ale nie mógł, więc położono go na wózku ciągnionym przez osła. Mimo to ranny jęczał. Od czasu do czasu przeproszał swego pana mówiąc: "Proszę o wybaczenie. Proszę mnie zabrać ze sobą. Nawet jeśli trzeba będzie uwiązać sznur na szyję i ciągnąć. Tak bardzo chcę wrócić do domu".

Tanaka opanował własny ból i pocieszał go:

- Na pewno zabiorę cię ze sobą, na pewno nie zostawię.

Stosunki między japońskimi samurajami i służbą są podobne do stosunków, jakie panowały między arystokracją i niewolnikami w starożytnym Rzymie, z tą różnicą, że w Japonii kierowano się nie tylko osobistą korzyścią, lecz także niemal rodzinną miłością. Podczas pobytu w Japonii często myślałem o tym, że Bogu należy służyć w ten sposób, jak poddani służą panom w Japonii. Teraz, kiedy się nad tym zastanawiam, widzę, że mogliśmy ująć z zasadzki Huaxteców tylko z takimi uszkodzeniami dzięki dwóm wyrobnikom indiańskim. Nie mogę mieć wątpliwości, że uratowała nas potęga naszego Pana. Do Veracruz weszliśmy w żalonym stanie, lecz tutaj przestałem się już bać.

Kiedy tam dobrnęliśmy, w tym portowym miasteczku szalał monsunowy wiatr. Dwa dni po naszym przybyciu, mimo nadal szalejącego wiatru, w towarzystwie Hasekury i Nishiego poszedłem złożyć wizytę komendantowi fortu San Juan de Ulua, pełniącego rolę zewnętrznego portu. Chciałem przy okazji wystąpić z prośbą o wyrażenie zgody na skorzystanie z okrętu floty hiszpańskiej, która niekiedy zatrzymuje się na okresowy postój przed wyruszeniem w drogę przez ocean, ponadto miałem nadzieję znaleźć dobrego wojskowego lekarza dla Tanaki i jego służącego. Jeśli chodzi o pierwszą sprawę, nie powinno być żadnego problemu, ponieważ przywiozłem ze sobą rozkaz od wicekróla z Meksyku.

Gdy przybyliśmy do portu San Juan de Uliia, wiał tak silny wiatr, że nie mogliśmy oddychać, morze zmętniało i wyglądało jak błoto, trzy statki schroniły się lekko za falochronem. Fort, przypominający budowlę obronną w Acapulco, był otoczony szarym murem: powitał nas jowialnie łysy i bardzo otyły komendant. Szybko przeczytał przywieziony przez nas rozkaz i włożył go do szuflady, ponieważ znał sprawę, wicekról bowiem zdażył go zawiadomić.

- Padre, mam tu list dla księdza od waszego wuja - powiedział i jakby w odpowiedzi z tej samej szuflady wyjął list. - Znam szanownego wuja.

Nie sądziłem, że mój dobry wuj Don Diego Caballero Molina odpowie tak szybko na list pośpiesznie wysłany z Acapulco. Owinałem list wodoodpornym papierem i włożyłem do kieszeni jak coś drogocennego.

Komendant cieszył się jak dziecko z miecza podarowanego mu przez posłów japońskich i wyraził zgodę na zaokrętowanie się na statek "Santa Veronica", który miał odpłynąć zaraz, jak tylko uspokoi się wiatr. Przeprosiłem też Hasekurę i Nishiego, że musieli przeżyć tak wielkie trudy i przykrości.

List od wuja otworzyłem dopiero wieczorem w klasztorze. Wuj donosił, że moje pismo otrzymał w Sewilli i że cała rodzina robi wszystko, co w jej mocy, abym ja, jego bratanek, mógł spełnić swoje pragnienia.

Lecz musisz być przygotowany na poważne przeszkody. Że takie trudności staną na Twojej drodze jest oczywiste, jeśli się przeczyta petycję do króla od Zakonu Piotrowego z Japonii, którą to petycję nasza rodzina zdobyła, posługując się specjalnymi środkami. Do Twej wiadomości załączam kopię tej



petycji. Jest ona pełna oszczerstw i krytyki pod adresem Twojej osoby. Następnie - i tu też opieramy się na informacji, jaką nasza rodzina zdobyła - wydaje mi się, że Zakon Piotrowy od pewnego czasu planuje zwołanie konferencji biskupów po Twoim przyjeździe do Madrytu i chce dopilnować, żeby cele poselstwa japońskiego nie zostały osiągnięte. W czasie tej konferencji najprawdopodobniej zostaniesz zmuszony do pojedynku słownego ze słynnym ojcem Valente, który przebywał w Japonii trzydzieści lat. Sądzę, że nie muszę Ci tego wyjaśniać, lecz ojciec Valente jest bliskim przyjacielem i zaufanym ojca Valignano, który był prowincjałem, jest też uczonym historykiem, jest osobistością szanowaną zarówno przez wysokich miejscowych urzędników, jak i arystokrację, musisz więc dobrze się przygotować do spotkania z taką osobistością.

Również wieczorem silny wiatr nie ustawał, nadal kołatał w moje okna. Wstałem, oparłem czoło o parapet i spoglądałem w dół na dziedziniec klasztorny. Nie dostrzegłem tam nawet cienia człowieka. Jedyne kłęby wyschłej trawy przetaczały się z miejsca na miejsce. Petycja Zakonu Piotrowego, którą wuj mi załączył, brzmiała jak następuje:

Już przedstawiliśmy raport Jego Wysokości dotyczący wizyty japońskich posłów w Nowej Hiszpanii. A teraz, jeśli moglibyśmy zacząć od wniosku w tej sprawie, to sądzimy, że konieczna będzie bardzo wielka ostrożność w stosunku do proponowanego handlu; zgodnie z informacjami zakonników Zakonu Piotrowego w Japonii, brat Valesco z Zakonu Pawła, towarzyszący temu poselstwu, jest człowiekiem nieroztropnym, w działaniu wykraczającym zbyt daleko poza przyjęte zasady. Władca Japonii w dalszym ciągu prześladowuje chrześcijan i zgodnie z oceną naszego zakonu bardzo słabe są widoki na przyznanie swobody szerzenia chrześcijaństwa, o której mówi ten misjonarz. Co więcej, musimy również dodać, że Japończycy posługują się swobodą szerzenia chrześcijaństwa jako przynętą, a w rzeczywistości chodzi im tylko o korzyści uzyskiwane przez handel. Ojciec Velasco z własnej inicjatywy, bez konsultacji z kimkolwiek z nas, nakłonił japońskiego pana feudalnego do zbudowania statku i wysłania wspomnianego wyżej poselstwa, mającego się zwrócić o wysłanie tam misjonarzy, a jeśli jego misja zakończy się sukcesem, bez wątpienia przyniesie wielkie nieszczęście nawet dla tej garstki misjonarzy, którzy przebywają w Japonii jak i wszystkich tamtejszych chrześcijan. Jego wielce wyolbrzymiony, misternie utkany plan jest stekiem kłamstw, zwracamy się do Waszej Wysokości o jak najpoważniejsze rozważenie powyższej kwestii.

Wiatr wpadający przez szpary w oknie zgasił wąty już płomień świecy. Lecz nie próbowałem zapalić światła, przez dłuższy czas siedziałem w mroku z twarzą opartą na rękach i starałem się wyobrazić sobie brata Valente, z którym wkrótce wypadnie mi się spotkać. Jego imię zna każdy misjonarz, który kiedykolwiek był w Japonii, poza tym brat Valente jest autorem Historii nawracania w Japonii. Ten misjonarz, nauczając, wędrował po Kiusiu i Kamigata, cieszył się uznaniem Hideyoshiego i jego wasali, takich jak Konishi Yukinaga i Takayama Ukon. Gdyby tylko o to chodziło, nie rozmyślałbym tak bardzo nad tą sprawą. On nie jest zwykłym księdzem. Od dawna słyszałem, że Valente jest dyskutantem o przenikliwym umyśle i dużych zdolnościach. Jak pisał wuj, będę musiał się dobrze przygotować. Jak żołnierz, który jest gotów na każdą ewentualność, bo nie wie, z której strony i w jakiej postaci nastąpi atak. Będę musiał znaleźć odpowiedź na

wymierzone we mnie pytania i podniesione wobec mnie zarzuty. W ciemności, oparłszy głowę o stół, usnąłem, nie wiedząc kiedy...

## Rozdział 6

Nasz statek płynie teraz w górę rzeki Guadalquivir w stronę Sewilli. Podróż przez Atlantyk trwała bardzo długo, ponieważ "Santa Veronica" spotkała się z bardzo silnym wiatrem, została poważnie uszkodzona i musiała zawinąć do Hawany na sześć miesięcy w celu dokonania napraw. W Hawanie zmarł sługa Tanaki. To ten mężczyzna, który został ciężko raniony w kolano. Po pogrzebie Tanaka wyglądał tak bardzo przygnębiony, że było mi go żal. Często widziałem jego sylwetkę, gdy z ponurą miną, jakby stracił własnego brata, patrzył roztargniony na Morze Karaibskie. Później jeszcze dwa razy przeżywalismy okresowe burze, w końcu po dziesięciu miesiącach od opuszczenia Veracruz ujrzelismy z daleka port Sanlucar w mojej ojczyźnie, w Hiszpanii.

W czasie podróży ani na chwilę nie zapomniałem o przestrożach, jakie mi wuj przekazał listownie z Madrytu. Postać ojca Valente, z którym wkrótce będę musiał prowadzić dysputę w obecności biskupów, wciąż pojawiała się przed oczyma.

W mojej wyobraźni ojciec Valente był wysokim, chudym mężczyzną o zapadłych policzkach ascety. Niezwykła przenikliwość jego umysłu wyrażała się w blasku jego oczu. Wydało mi się, że swym cichym głosem wydziera ze mnie najsłabsze miejsca, poszerzając otwarte we mnie rany. Wystarczy chwila nieuwagi z mojej strony, żeby każdą słabość zręcznie wykorzystał, zastawił słowną pułapkę i czekał na ujawnienie sprzeczności w moim rozumowaniu. Próbowałem przewidzieć każde kolejne pytanie, jakim mógłby mnie zaatakować. Na pewno mnie zapyta, w jakim charakterze i z którymi pełnomocnictwami przysłało to poselstwo. I bez wątpienia dostrzeże i obnaży sprzeczność choćby w tym, że Naifu z jednej strony prześladowuje chrześcijan, a z drugiej przysyła posłów. Na pewno skrytykuje również za to, że ukrywam faktycznie beznadziejną sytuację, w jakiej znajdują się chrześcijanie w Japonii, i co więcej, potępi moje optymistyczne prognozy na przyszłość.

Przewidując kolejne pytania, jakie tylko mogłem wymyślić, próbowałem udzielać odpowiedzi głośno, zupełnie jak uczeń seminarium duchownego przed egzaminem. Gdy mówiłem do siebie, nagle zrozumiałem, że ogarnia mnie uczucie ni to gniewu, ni to smutku. Dlaczego? Dlaczego duchowieństwo, należące do tej samej co ja religii chrześcijańskiej, stara się udaremnić moje wysiłki zmierzające do nawrócenia Japonii na drogę Pana? Dlaczego stara się mi przeszkodzić?

Wtedy pomyślałem o Pawle, który musiał wystąpić przeciw apostołom z Jerozolimy, ponieważ niósł naukę Chrystusa również ludom obcym. Tak więc nawet Paweł spotkał się z przeszkodami ze strony wierzących w tego samego Chrystusa. Potępiali go i drwili z niego. W głównym ośrodku w Jerozolimie chrześcijanie głosili, że Paweł nie miał cnót apostołskich, krytykowali jego działalność misyjną, ponieważ starał się szerzyć naukę o Bogu poza granicami państwa wśród ludów różnych ras. Podobnie Zakon Piotrowy uważa mnie za kapłana niegodnego szerzenia wiary chrześcijańskiej w Japonii. Starając się opanować wzbierający we mnie gniew poczułem w duszy

niewysłowny smutek. Chociaż wierzymy w tego samego Boga, chociaż czcimy tego samego Chrystusa Pana i choć podobnie pragniemy uczynić z Japonii kraj wierzący w prawdziwego Boga, to jednak jesteśmy wrogami i walczymy ze sobą. Dlaczego ludzie muszą być zawsze tacy niegodziwi, egoistyczni? Zamiast się oczyszczać, należąc do religijnego zakonu, stajemy się niekiedy jeszcze bardziej podli niż ludzie świeccy. Teraz jesteśmy chyba dalecy od ufności, dalecy od ciepłości serca i niezgłębionej dobroci naszych świętych. Ostatniej nocy ulewny deszcz siekł o statek płynący nadal w górę rzeki. Zbudziło mnie to potworne łomotanie. Wstyd mi się przyznać, ale właśnie tej nocy miałem zmażyć. Aby w takich chwilach nie popełnić grzechu, związuje sobie ręce. Każdej nocy walczę z nieodpartym pożądaniem, co prawda nie tak silnym jak w młodości. Padłem na kolana i zacząłem się modlić. Jakże żalotne jest ciało człowieka! W czasie modlitwy nagle ogarnęło mnie przerażające rozczarowanie, wydało mi się, że widzę w lustrze swą brzydką twarz, a kropla po kropli w moje serce wsącza się gorycz trucizny. Pożądanie ciała, nienawiść do Zakonu Piotrowego, niemal arogancka pewność siebie, jeśli chodzi o pracę misyjną w Japonii - jedno po drugim przypominało o sobie. Wydało mi się, że Pan już nie będzie wysłuchiwał moich modlitw i pragnień. Miałem wrażenie, że Pan wskazywał na mnie palcem dlatego, że w modlitwie i w moich pragnieniach kryła się przerażająca brzydota egoistycznych ambicji.

"Nie, to nie jest prawda! - protestowałem desperacko w duchu. - Czuje bezgraniczną miłość do Japonii i jej ludu. Właśnie to z powodu tej miłości chcę lud ten rozbudzić z obojętności i otępienia serc. Jako kapłan bez żalu mogę poświęcić całe moje życie dla realizacji tego celu. Wszystko, co czynię, czynię dla Ciebie, Panie!"

Lecz Pan z rozpostartymi ramionami na krzyżu stojącym na stole patrzył na mnie ze smutkiem, i z takimże smutkiem słuchał mojej skargi.

"Wobec tego, Panie, czy chcesz, żebym zrezygnował z Japonii? Czy mam pozostawić Japończyków w stanie obojętnych serc? Japończyków obdarzonych tak wielkim talentem i siłą? Nie wiem dlaczego, lecz wydaje mi się, że ten naród z niewiadomego powodu jest gotów uparcie bronić cech swego ducha, ani zimnego, ani gorącego, jak mówi Biblia. A ja chciałbym wszczepić im trochę żaru, jaki towarzyszy dążeniu do Ciebie, Panie!"

Jest tylko jeden sposób umożliwiający pokonanie ojca Valente. Trzeba po prostu doprowadzić do tego, żeby wszyscy Japończycy przyjęli chrzest w Madrycie. Podobnie jak skłoniłem kupców, żeby się ochrzcili w Meksyku. A dopiero wtedy biskupi uwierzą, że mówię prawdę. Tak samo jak wicekról Nowej Hiszpanii, który zgodził się z moim poglądem po doprowadzeniu do chrztu kupców w całej glorii obrządku.

Tymczasem posłowie płynęli w górę rzeki Guadalquivir. Wkrótce wstąpili na ląd europejski. Stanęli na ziemi hiszpańskiej w Sewilli, której nazwy nie znali, ani o której istnieniu jeszcze przed półtora rokiem nic nie wiedzieli.

Był początek jesieni. Na polach, oblanych łagodnymi promieniami słońca, białe domy ciągnęły się bez końca, a wśród tych białych skupisk tu i ówdzie ukazywały się strzelające w niebo wieże kościołów. Wiele statków przepływało w dół i w górę rzeki, a na brzegach pyszniło się bogactwo młodych kwiatów, skapanych w słońcu. Zapach roznosił się po wszystkich

zakątkach miasta, a na białych parapetach domów stały donice; przez wyszukanie ozdobione bramy wędrowcy mogli dojrzeć wyłożone płytkami podwórza, otoczone rzeźbami i donicami kwiatów. Wewnątrz domów, wśród ścian pokrytych ultramarynowymi wzorami, panował półmrok i unosił się nie znany im zapach.

To pierwsze hiszpańskie miasto, jakie oglądali w życiu. Przed wyruszeniem w tę drogę szeregowi samuraje nic nie widzieli poza krainą swego wielmożnego pana, nie widzieli ani słonecznego Kioto, ani Edo. dlatego wszystko w tym wielkim mieście było powodem do zdumienia. Wyjaśniłem, że Sewilla dawniej, przed podbiciem przez hiszpańskich chrześcijan, należała do Arabów.

Lecz posłowie nie wiedzieli, gdzie znajduje się kraj zwany Arabią i jakie ślady Arabowie tutaj zostawili. Wzdychali na widok takich wspaniałych budowli jak pałac El Alcazar, przytłaczały ich i oszałamiały ogromne gmachy katedr, dlatego zaniemówili, pogrążyli się w milczeniu.

Codziennie byli tutaj znacznie bardziej zajęci niż w Meksyku. Dzięki moim krewnym, Sewilla jest moim miastem rodzinnym, posłowie jeździli powozami na spotkania z burmistrzem, to znów z senatorami, byli też zapraszani przez arystokratów i wyższych rangą kapłanów. Ulegali strumieniom nie znanego im języka, chcąc nie chcąc połykali potrawy, do których wciąż nie mogli przywyknąć. Starali się zachować cierpliwość i we wszystkim wytrwać do końca.

- To jest Europa.

Pewnego wieczoru patrzyli z wysokiej wieży katedralnej w dół na Sewillę i wtedy Velasco wskazał na kolejną wieżę i powiedział, że to kościół Świętego Stefana, a tam dalej Świętego Piotra, a w końcu nie bez ironii dodał:

- To jest Hiszpania, o której wszyscy w Japonii mówią. - I roześmiał się głośno. - W czasie tej podróży spostrzeżliście, jak ogromny jest świat. I nie byłoby przesady w twierdzeniu, że w tym świecie najbogatszym krajem jest Hiszpania. Teraz jesteście właśnie w tym kraju. Przebywacie w kraju barbarzyńców, bo tak określacie zagranicę.

Tanaka Tarózaemon, stojąc z założonymi rękami, zwrócił oczy w bok, żeby nie pokazać swego podniecenia. Tylko Nishi Kyiisuke wyjął przybory do pisania i notował pilnie nazwy budynków i kościołów, o których mówił im Velasco.

- Lecz Sewilli nie można rozmiarem porównywać do Madrytu, stolicy Hiszpanii. Właśnie w Madrycie spotkanie króla Hiszpanii.

Velasco spostrzegł, że Tanaka i Samuraj zadrżeli. Dla zwykłych samurajów zaściankowych, nawet jeśli otrzymali oni tytuły poselskie, audiencja u króla potężnego państwa jest wydarzeniem niezwykłym.

- Jest ktoś, przed kim król Hiszpanii ze czcią pada na kolana. Czy wiecie o tym?

Nikt nic nie odpowiedział.

- Tą osobistością jest papież, król chrześcijan. Jeśli tę sytuację przeniesiemy do Japonii, to Naifu byłby królem Hiszpanii, a cesarz w Kioto odpowiadałby papieżowi. Jego świątobliwość papież ma władzę tak wielką, że nawet trudno pod tym względem porównywać go z cesarzem japońskim. Lecz nawet jego świątobliwość papież jest... po prostu służą w stosunku do kogoś jeszcze innego.

Uśmiechając się Velasco zajrzał w twarze posłów.

- Tym kimś jest... Myślę, że wiecie, kim On jest, nawet jeśli

nie wypowiem Jego imienia. Jego wizerunki widzieliście wszędzie w Nowej Hiszpanii. Nie tylko zresztą w Nowej Hiszpanii. Wszystkie kraje w Europie oddają Mu cześć, padają przed Nim na kolana, modlą się do Niego. Mając określony cel na uwadze, w niedzielę Velasco zabrał posłów do katedry Świętego Franciszka. Tego dnia biskup Lerma miał odprawić specjalną mszę na cześć japońskich posłów. Od wczesnego ranka skrzypiały bez przerwy koła powozów po brukowanej drodze prowadzącej do katedry, a odświętnie wystrojeni arystokraci i kupcy tłoczyli się wokół kolumn w katedrze, w której płomienie tysięcy świec rozjaśniały połączony ołtarz, a wśród kamiennych ścian pobrzmiwały tony muzyki organowej. Z kazalnicy, ozdobionej spiralnymi liniami przypominającymi wiry, biskup Lerma pobłogosławił słuchaczy i obwieścił:

- Dzisiaj w towarzystwie ojca Velasco, syna miasta Sewilli, są z nami posłowie z orientalnego kraju, Japonii, którzy przebyli tysiące mil przez oceany. I dlatego dzisiejszą mszę świętą poświęcamy posłom i Japończykom. Nasi przodkowie zbudowali kościoły na ziemiach wielu obcych narodów i uczynili z nich wierzących w Boga. Pomódlmy się więc o to, aby kiedyś również w kraju naszych posłańców chwalono imię Pana Naszego. Tłum wypełniający kościół padł na kolana, a chór zaintonował hymn. Sanctus, sanctus, sanctus Dominus Deus Sabaoth, Pleni sunt coeli et terra Velasco ukrył twarz w obu dłoniach i poddał się wzbierającym w nim emocjom. "Japonia! Japonia!" - wywoływał z głębi serca ten kraj. "Słuchaj tych głosów, Japonio! Japonio! Nieważne, jak bardzo będziesz ignorować Pana, jak wielu zamordujesz księży, nieważne, jak wiele krwi upuścisz wierzącym. Przyjdzie taki dzień, kiedy zaczniesz służyć Panu." Następnie opuścił głowę i modlił się: "O mój Panie, dlatego spraw, żebym zwyciężył w tej walce. Pomóż pokonać ojca Valente"

Msza się skończyła, tłum wciąż podniecony otoczył posłów i jak wzburzony strumień wypłynął z katedry na zewnątrz. Ściśniętych Japończyków poklepywano po plecach, potrząsano za ręce, i nie opuszczono, dopóki biskup Lerma nie przeprowadził Velasco i posłów do katedralnych podziemi, kryjąc ich przed tłumem.

Schronili się w wilgotnym ciemnym pokoju w podziemiu katedry, a kiedy ucichły okrzyki, biskup Lerma popatrzył na Velasco z troską.

- No tak, mój synu. Ceremonia się skończyła. Teraz musimy wrócić do rzeczywistości. Nie możesz dać się zwieść tej gorącej wrzawie. Twoja sytuacja wcale nie jest pomyślna. Z twego powodu zwołują w Madrycie konferencję biskupów, ale rada dostojników kościoła, jak mi się wydaje, nie będzie przychylna twoim poglądom.

- Wiem o tym. - Velasco potwierdził, rzucając krótkie spojrzenie na posłów. - Lecz ksiądz biskup przed chwilą powiedział, że mszę poświęca posłom i w ogóle Japończykom. Wyraża też nadzieję, że kiedyś Japonia stanie się krajem wierzącym w Boga.

- To prawda, że powiedziałem "kiedyś". Lecz nie nadszedł jeszcze ten dzień. Nawet z tej odległości wiemy, jak bardzo Japończycy nienawidzą i jak prześladują chrześcijan od ostatnich dwudziestu lat.

- Sytuacja się zmienia. - Velasco powiedział to samo, co mówił arcybiskupowi Meksyku. - W przeciwnym razie Japonia nie przysłałaby posłów do Hiszpanii.

- Mój synu. Nasi bracia z Zakonu Piotrowego donoszą, że sytuacja się raczej pogarsza. I że posłowie są jedynie wysłannikami jednego z feudałów. Że wcale nie są oficjalnymi przedstawicielami dworu cesarskiego Japonii... Nie chcemy więcej przelewania krwi naszych kapłanów w tym kraju.

- Wierzę, że działalność misyjna jest podobna do wojny. A ja jestem misjonarzem walczącym z taką Japonią. Misjonarz, jak żołnierz na wojnie, nie boi się ponieść śmierci dla naszego Pana. Apostoł Paweł nie był przeciwny przelewaniu krwi dla dobra obcych ludów. Szerzenie wiary to nie to samo, co spokojne opowiadanie o miłości Bożej w słonecznym zakątku klasztoru.

- Tak - biskup zrozumiał ironię Velasco. - Zgadza się, że praca misyjna jest podobna do walki. Ale wszyscy żołnierze muszą słuchać rozkazów dowódcy, ty również musisz być posłuszny.

- Zdarza się, że dowódca jest bardzo daleko od miejsca walki i nic nie wie o sytuacji na froncie.

- Ty - biskup popatrzył uważnie w twarz Velasco - mój synu, jesteś zbyt niecierpliwy. Musisz przemyśleć wszystko dogłębnie i pamiętać o tym, żeby twoja namiętność nie przyniosła szkody dla duszy.

Velasco poczerwieniał i zamilkł. Biskup powiedział prawdę. Zbyt gwałtowny jego charakter był powodem przestróg ze strony przełożonych przez cały okres nauki. "Lecz jeśli bym nie miał tego żaru - pomyślał - nigdy bym zapewne nie udał się do Japonii. Japonio! Żeby z tobą walczyć, muszę być gwałtowny."

- Teraz udajemy się do Madrytu... Chcę bezpośrednio zwrócić się do arcybiskupa...

- Co to znaczy?

- Chcę, żeby król udzielił audiencji japońskim posłom... Biskup Lerma spojrział na Velasco z politowaniem, wyciągnął rękę podsuwając mu ją do pocałowania. Następnie powtórzył jakby zrezygnowanym głosem:

- Życzę, aby arcybiskup wysłuchał twojej prośby... Lecz jesteś zbyt niecierpliwy. Strzeż się, by ta niecierpliwość nie zniszczyła twej duszy. Tłum się już rozproszył, biskup Lerma zniknął w biurach diecezji, a Japończyków odwieziono powozem do ich pokoi w klasztorze, wtedy Velasco uklęknął samotnie przy ołtarzu. W wielkiej katedrze, prócz kilku smug światła wpadającego przez witraże, panował mrok i cisza. Na ołtarzu przy tabernakulum czerwieniła się lampka, a obok niej Chrystus ze wzniesioną ręką patrzył w dół z powagą. Zapewne tak wyglądał, kiedy mówił swoim uczniom: Idźcie na cały świat i głoscie Ewangelię wszelkiemu stworzeniu. "O Panie! - Velasco złożył dłonie i patrzył w oczy Chrystusa. - Rozkazałeś nam głosić Ewangelię po krańce świata. Poświęciłem życie głoszeniu Twojego Słowa i udałem się do Japonii. Czy pragniesz teraz wycofać swą rękę? O Panie, proszę, odpowiedz mi. Teraz chcę Japonię porzucić, pozostawić bez Twojego Słowa. I to właśnie nikt inny, lecz stworzony przez Ciebie Kościół porzuca Japonię. Arcybiskupi, biskupi i kardynałowie boją się tego kraju, nie chcą, żeby tam popłynęło więcej krwi kapłanów, ale chcą też zostawić na pastwę losu resztę wierzących. O, Panie, odpowiedz! Czy ja również powinienem podporządkować się rozkazom Kościoła?"

Każ mi, żebym walczył. Jestem bardzo samotny. Powiedz mi, żebym walczył z tymi, którzy mi się przeciwstawiają i którzy mnie nienawidzą. Nie mogę

rozstać się z Japonią. Właśnie ten mały kraj na Dalekim Wschodzie, ten jedyny kraj muszę podbić za pomocą Twojej Ewangelii."

Z czoła popłynął pot, przedostał się do oczu, i wtedy dopiero Velasco odchylił głowę i popatrzył na oblicze Chrystusa. Wiele twarzy Japończyków podsunęła mu wyobraźnia. Wszystkie uśmiechały się do Velasco drwiąco. Były podobne do twarzy buddyjskich statuetek, które kiedyś oglądał w mrocznym wnętrzu świątyni w Kioto. Wszystkie szeptały to samo: "Japonia nie chce, żeby przyjeżdżali do niej księża. Japonia nie chce, by budowano u niej kościoły. Japonia może żyć bez Jezusa. Japonia..."

"Możesz jechać." Nagle Velasco usłyszał w głębi siebie to jedno zdanie.

"Ale pamiętaj, posyłam cię niby owieczkę w stado wilków. Musisz być przebiegły jak wąż, a łagodny jak gołąb. I będziesz znienawidzony przez wszystkich z powodu mojego imienia. Lecz będą zbawieni ci, którzy wytrwają do końca. Bądź przebiegły jak wąż."

Były to słowa, które Jezus wypowiedział do swych uczniów, gdy ich wysłał do wiosek w Judei. Bądźcie przebiegły jak węże. Velasco przez dłuższy czas nie ruszał się, trzymając twarz ukrytą w dłoniach. Wydało mu się, że w tych słowach kryło się wszystko: i jego przyszłość, i to, co musi teraz czynić.

"Będą mnie chyba nienawidzić. Członkowie Zakonu Piotra. I tutejsi biskupi. Dlatego udaję się do Madrytu i tam podczas konferencji biskupów stawię czoło Zakonowi Piotra. Żebym odniósł zwycięstwo w tym pojedynku, muszę wykazać się przebiegłością węża. Moją bronią są słowa. I przyprowadzeni przeze mnie Japończycy. Biskupi muszą uwierzyć, że moje słowa są słowami Japończyków, a moje pragnienia są ich pragnieniami. W tym celu..."

Velasco wrócił do klasztoru. Kiedy wszedł do pokoju Japończyków, posłowie wraz ze swoimi sługami stali na osłonecznionym balkonie i przyglądali się powozom i potokowi ludzi przechodzących wokół wieży Giralda, będącej dumą mieszkańców Sewilli. Na rzece Guadalquivir stłoczyło się mnóstwo łodzi, głośnie nawoływania handlarzy dochodziły aż tutaj.

Kiedy służący spostrzegli Velasco, pokłonili się i cicho odeszli. Misjonarz stanął obok trzech posłów na balkonie, wskazał palcem łodzie na rzece przepływające w dół i w górę biegu w łagodnych promieniach jesiennego słońca, i wyjaśnił, że wiele spośród tych statków rozpoczęło podróż w obcych krajach.

- Za dwa dni odjedziemy do Madrytu, stolicy Hiszpanii. Tam spotka was zaszczyt ujrzenia króla Hiszpanii.

- Czy to znaczy, że rzeczywiście jest zgoda na audiencję? - głos Tanaki drżał z podniecenia. W serca posłów, którzy nie dostąpili zaszczytu spotkania się nawet ze swym księciem, radość wywołana tą niespodziewaną łaską wsączała się jak woda w ziemię.

- Muszę z wami być szczerzy... Pojawiła się nieoczekiwana przeszkoda. - Velasco zawahał się przez chwilę, następnie mówił dalej. - Jest ktoś w Madrycie, kto nie myśli o nas dobrze.

Posłowie popatrzyli jeden na drugiego i czekali na wyjaśnienia. Gdy misjonarz mówił, Tanaka patrzył ponuro w pustkę, a Samuraj mrugał oczami jak zwykle i nie miał ochoty powiedzieć nawet słowa. Nie można było wyczytać z tych pachnących ziemią twarzy, o czym oni myślą, tylko młody Nishi Kyusuke stał z założonymi rękami, wyraźnie zaniepokojony.

- Mimo wszystko chyba już znacie sytuację panującą w Kościele i chyba wiecie o rywalizacji dwu zakonów szerzących wiarę w

Japonii. Opowiadałem o tym. I dlatego muszę wziąć udział w dyspucie. Będą wtedy obecni wszyscy dostojnicy duchowni i to oni osądzą, czy rację mam ja, czy moi oskarżyciele. - W tym miejscu Velasco zrobił pauzę. Następnie, jakby mówiąc do siebie, szepnął: - Muszę zwyciężyć. Posłowie stali w bezruchu jak skamieniali.

- Ci, którzy rzucają na mnie oszczerstwa, twierdzą, że chrześcijaństwo zostało zakazane w całej Japonii, a ponadto rozgłaszają pogłoski, że list od wielmożnego pana, zapowiadający chęć przyjęcia nowych misjonarzy, jest fałszywy. Aby rozproszyć te wątpliwości, wystarczyłoby się ochrzcić choćby jednemu z was.

Po tych słowach na twarzach Tanaki i Samuraja, dotąd pozbawionych jakiegokolwiek wyrazu, pojawiło się niemal dziecinne zdumienie. Velasco dalej atakował, aby to zdumienie stłumić.

- Gdyby tak się stało, tutejsi duchowni uwierzyliby w to, co mówię. Uwierzyliby też w prawdziwość słów wielmożnego pana, który obiecuje traktować należycie chrześcijan i przyjmować chętnie nowych misjonarzy. W Hiszpanii bowiem przyjmują nieufnie to, co mówię, z powodu raportów napływających z Japonii o torturowaniu i mordowaniu chrześcijan. Samuraj wpatrywał się gniewnie w Velasco. Po raz pierwszy Velasco zauważył nie skrywany cień gniewu na twarzy tego mężczyzny będącego dotąd wzorem uległości.

- Padre - zaczął drżącym głosem Samuraj - dlaczego nie powiedziałeś o tym w Nowej Hiszpanii? Przecież musiał pan dobrze o tym wiedzieć.

- Wówczas nie wiedziałem, że te oszczerstwa aż takiego nabrały rozgłosu. To prawda. Gdy byliśmy w Nowej Hiszpanii, oni często przesyłali listy z Japonii do Hiszpanii i starali się przeszkodzić nam w tej podróży.

- Ja... ja nie mogę zostać chrześcijaninem - powiedział Samuraj niemal z jękiem.

- Dlaczego?

- Nie lubię chrześcijaństwa.

- Dopóki się nie zna nauk Chrystusa, trudno je lubić lub nie lubić.

- Nawet jeśli je poznam, i tak nie będę miał chęci wierzyć.

- Nie możesz uwierzyć, dopóki nie poznasz.

Na twarzy i na szyi Velasco pojawiły się czerwone plamy. Świadczyły o tym, że coś bardzo głęboko przeżywał. W tym momencie nie był intrygantem, zmienił się w misjonarza, który pragnął przekonać o czymś, w co sam wierzył.

- W mieście Meksyku japońscy kupcy przeszli na chrześcijaństwo nie z pobudek serca, lecz z powodu spodziewanego zysku. Ja to zaakceptowałem, ponieważ wierzyłem, że ci, którzy choć raz posłużą się imieniem Pana, staną się Jego jeńcami.

Jakiś głos zabrzmiał w uszach Velasco: "Czyż nie jest bluźnierstwem to, co chcesz teraz uczynić? Chcesz dla własnych korzyści ochrzcić tych, którzy w Pana nie wierzą? Przez sakrament chrztu włożyć na barki Pana grzechy niewierzących? Czy do tego czynu nie prowadzi cię pycha?"

Próbował zagłuszyć ten głos. Posłużył się jak tarczą słowami Pana Jezusa, zapisanymi w Biblii. Kiedy Jan rozgniewał się, widząc, że niewierzący leczą chorych posługując się imieniem Jezusa, wtedy Pan powiedział: Kto bowiem nie jest przeciwko wam, ten jest z wami.



Samuraj uparcie milczał. W takich momentach tchórzliwy człowiek, właśnie z powodu tchórzostwa, stawał się tym bardziej uparty. Zresztą była to cecha chłopów z Doliny. Tanaka w dalszym ciągu patrzył w pustkę. Nishi jak to Nishi, czekał z niepokojem na odpowiedź starszych, żeby mógł się zdecydować na własną postawę. W końcu Samuraj odpowiedział mocnym głosem, tak ciężkim jak kamień, który trudno ruszyć z miejsca.

- Nie, nie mogę. Nie mogę zostać chrześcijaninem.

Kiedy Velasco wyszedł z pokoju, trzej posłowie usiedli na krzeselkach i dłuższy czas pozostali na tym samym miejscu. Przez otwarte okna dochodził gwar od bramy Toriana. Po południu Sewilla cichnie zupełnie. Mieszkańcy zamykają się w domach i rozkoszują sjęstą.

- Pan Shiraiishi... - zaczął mówić Nishi kierując swój pytający wzrok na zmęczone twarze Tanaki i Samuraja - rozkazał, żeby w czasie tej podróży słuchać wskazówek pana Velasco, jeśli zajdzie taka potrzeba.

- Słuchaj - westchnął Samuraj - ileż to już razy od opuszczenia Japonii pan Velasco nas oszukał? Matsuki powiedział prawdę. Najpierw Velasco mówił nam, że wypełnimy misję od razu, gdy tylko dołyniemy do Nowej Hiszpanii, a gdy już dołynęliśmy, powiada, że pewną odpowiedź otrzymamy, jak będziemy w Hiszpanii... Dziś mówi, że sprawy nie idą po naszej myśli. I jeśli chcemy wywiązać się z naszego obowiązku, musimy przejść na chrześcijaństwo. Nie mogę już wierzyć w to, co on nam mówi. Nie zgadzasz się ze mną, Nishi? Samuraj po raz pierwszy wyznał, co naprawdę czuje. Ten mężczyzna rzadko mówił, dlatego każde jego słowo miało wielką wagę. Kiedy skończył, współtowarzysze milczeli.

- Przecież niczego nie zrobimy bez pomocy Velasco - rzekł Nishi.

- I właśnie to pan Velasco wykorzystuje. Jemu o nic innego nie chodzi, jak tylko o skłonienie nas do przyjęcia chrześcijaństwa.

- Zostać chrześcijaninem tylko z nazwy, dla wypełnienia naszego zadania, nie byłoby chyba sprawą poważną.

Samuraj uniósł twarz i westchnął.

- Ród Hasekura po zmianie lenna otrzymał dzikie tereny, na których nie rodził się ani ryż, ani jęczmień. Lecz mimo to przenieśliśmy groby naszych przodków i groby mojego ojca na te ziemie położone u stóp gór. Jako jedyny w całej mojej rodzinie, nie mogę przyjmować religii barbarzyńców, której nie znał mój ojciec ani inni przodkowie. - Rzekłszy to zamrugał oczami. Czuł krew wielu pokoleń rodu Hasekura płynącą w jego żyłach, czuł też ich zwyczaje w każdym odruchu ciała. Nie potrafił samowolnie zmienić ani krwi, ani obyczajów.

- A poza tym w Meksyku Matsuki mówił, że Velasco rządził namiętności. I że nie powinniśmy się mu poddawać, w żadnym razie nie przechodzić na chrześcijaństwo. Nishi, czy tego nie pamiętasz?

- Pamiętam.

Gdy grupa wychodziła z klasztoru, kierując się w stronę wschodniego wybrzeża Nowej Hiszpanii, Matsuki wybiegł spośród odprowadzających kupców i patrząc w oczy Samurajowi wypowiedział słowa, których dotychczas Samuraj nie zapomniał.

- Pamiętam, ale... - Słuchający Samuraja Nishi chyba się bał, że zostanie złajany, dlatego wciąż pytająco i lękliwie zaglądał w oczy Tanaki i Samuraja.

- Rada Seniorów zapewne uważa, że przyszłość Japonii nie od bitew

zależy, lecz od handlu z krajami południowych barbarzyńców i z Indiami. I wie dobrze, że niezależnie od sytuacji w Indiach w handlu z krajami południowych barbarzyńców nie można zlekceważyć chrześcijaństwa. I dopóki Rada będzie się trzymała tego stanowiska, na pewno zechce zrozumieć, że nasze przejście na chrześcijaństwo było tylko sposobem wypełnienia misji.

- Czy masz zamiar przejść na chrześcijaństwo? - ostro zapytał Tanaka.

- Nie wiem. Muszę się nad tym dobrze zastanowić w czasie drogi do Madrytu. Dotychczas w tej podróży zrozumiałem bardzo dobrze, że świat jest przeogromny. Zrozumiałem też, że narody nazywane południowymi barbarzyńcami przewyższają Japonię bogactwem i rozkwitem. Mam więc zamiar nauczyć się ich języka. Uważam również, że nie można przymknąć oczu na nauki chrześcijan, którym poddali się ludzie tego szerokiego świata.

Jak zwykle Samuraj zazdrościł Nishiemu młodzieńczej wrażliwości. W odróżnieniu od niego i od Tanaki ten młody mężczyzna bez żadnego oporu i z przyjemnością smakował i przyswajał wszystko, co wpadało mu w obcych krajach w oczy. Jednak, mimo że Samuraj zdecydował poddać się nowemu przeznaczeniu, w ostatecznym rozrachunku przywiązanie do Doliny i do własnego rodu, tak silne jak związek ślimaka z muszlą, przeszkadzały mu w podjęciu decyzji.

- Co pan o tym sądzi, panie Tanaka? -

Jakby szukając ratunku, Samuraj zwrócił się do Tanaki, siedzącego z założonymi rękami. Gdy trzeba było nad czymś się zastanowić, Tanaka miał zwyczaj splatać ręce na piersi. Samuraj patrzył na grube dłonie i szeroki kark Tanaki, i odnosił wrażenie, że w jego żyłach płynie również krew wieśniaka, zagrodowego samuraja, krew, która z uporem przez wiele lat nakazywała bronić ziemi i zwyczajów chronionych przez przodków.

- Nie lubię chrześcijaństwa. - Tanaka powiedział to z cichym westchnieniem, czego prawie nigdy przedtem nie robił. - Lecz, Hasekura, tę misję przyjąłem na siebie nie dlatego, że otrzymałem rozkaz od Rady Seniorów. Przyjąłem ją, ponieważ chciałem odzyskać stare lenno w Nihommatsu. I właśnie dlatego wyruszyłem w morską podróż, do jakiej nie nawykłem, właśnie dlatego znosiłem upały obcych krajów i to wstrętne pożywienie...

Samuraj czuł się podobnie. Gdyby panowie Shiraishi i Ishida mówili prawdę, to rodzina Hasekury mogłaby otrzymać zwrot ziemi w Kurokawie w nagrodę za tę ciężką podróż.

- Jeśli nie odzyskam naszych ziem - szeptał ze łzami Tanaka - to wobec przodków i wobec całego rodu nie odzyskam twarzy. Nie będę mógł nikomu śmiało spojrzeć w oczy. Nie lubię chrześcijaństwa. Ale dla uratowania dawnych włości mogę nawet lizać ziemię, jeśli mi każą.

- To dla spełnienia tej misji - dodał Nishi.

- Matsuki powiedział, żeby pod żadnym pozorem nie przechodzić na chrześcijaństwo - Samuraj zdecydowanie potrząsnął głową. - Nie lubię Matsukiego, ale nie mogę też być chrześcijaninem ...

I znów byli w długiej podróży, tym razem zmierzali do Madrytu. Przecinali równinę andaluzyjską. Czerwonobrunatne wzgórza i gaje oliwne, zamiast dzikiej i pustej ziemi spalonej silnym słońcem Nowej Hiszpanii. Szli w jednym szeregu: najpierw Japończycy, następnie toczyły

się ręczne wózki z bagażami, za nimi jechały wozy konne.

Wzniesienia i gaje pojawiały się na przemian jak fale na wodzie. Wzgórza się czerwieniły, a liście drzew, łopocące na wietrze, srebrzyły się jak ostrza tysięcy mieczy. Gdy zapadał zmierzch, ziemia szybko stygła.

Podobnie jak w Nowej Hiszpanii, tutaj też od czasu do czasu pojawiały się skupiska białych domów, przypominające zwały soli. Niektóre z wiosek przylegały do zboczy wzgórz, jakby zostały do nich przyklejone. Na szczytach groźnie wznosiły się starożytne zamczyska.

Gdy skończyły się gaje oliwne i tereny czerwieniejącej ziemi, ukazały się rozległe łany pszenicy, zataczające łuk aż po horyzont. Gdzieś za linią horyzontu ukazało się coś, co przypominało igłę. Okazało się, że to wieża kościelna. Iglica wieży wpijała się w błękit i ginęła, wessana w przestrzeń niebios.

- To jest Europa! - Przed tego rodzaju widokiem Velasco zatrzymywał konie i z dumą pokazywał ręką. - Na tym świecie trwa ziemski trud. Ziemski mozół z kolei staje się kościelną wieżą, pnącą się ku niebu w dążeniu do Boga.

Od opuszczenia Sewilli nie nalegał więcej na posłów, żeby współdziałali w jego zamierzeniach. Nie próbował nawet pośrednio żądać od nich przyjęcia chrztu. Siedząc na koniu uśmiechnął się jednak z ufnością, jakby wiedział, że wszystko jest zdecydowane. A posłowie, jak to posłowie, jakby się obawiali nawiązywania do tej sprawy, o nic nie pytali.

Gdy rzeka Tajo zmieniała barwę i gdy przez pola zaczęła płynąć brązowa woda, grupa wędrowców weszła do starej stolicy Toledo. I tu już z daleka ukazała się wieża kościoła stojącego na wzgórzu. Wielkie wieczorne słońce zachodziło, a na tle złocistego nieba lśnił krzyż na szczycie katedry, odbijając słoneczne promienie. Spoceni Japończycy w milczeniu piełi się pod górę kamienistą drogą w stronę katedry, czując na sobie wzrok przypatrujących się im z zaciekawieniem ludzi miasteczka.

- Japonesel - krzyknął ktoś z tłumu stojącego na poboczu drogi pnącej się pod górę. - Me han encontrado con Japoneses antes - wołał z sympatią mężczyzna z wystającym zębem. Zaskoczony tym wołaniem Velasco zatrzymał konia i coś do niego powiedział.

- Ten człowiek mówi, że w dzieciństwie widział chłopców japońskich, którzy kiedyś odwiedzili to miasto.

- Japońskich?

- Przed trzydziestu laty odwiedziło Hiszpanię poselstwo chrześcijańskie, tak jak wy dzisiaj, z tą różnicą, że składało się z czternasto- czy piętnastoletnich chłopców. Nie wiedzieliście o tym?

Tanaka, Samuraj i Nishi nic o tym nie wiedzieli. Bezpodstawnie więc uważali, że byli pierwszymi Japończykami w tym kraju. A przecież przed nimi czterej młodzieńcy, sprowadzeni przez misjonarzy przed trzydziestu laty, odwiedzili Madryt i Toledo. Podobno dostąpili też łaski ujrzenia papieża w Rzymie.

Velasco nadal rozmawiał z nieznanym. Ponieważ stojący wokół ludzie podsluchiwali, mężczyzna uśmiechał się z zadowoleniem.

Młodych Japończyków, ku ich wielkiemu zadowoleniu, przyprowadzono do domu starca Toriano, zajmującego się wyrabianiem zegarów. W owym czasie dzisiejszy rozmówca był u starca czeladnikiem.

Mężczyzna w średnim wieku wyszczerzył w uśmiechu żółte zęby i pokazując

palcem swoją twarz pokiwał głową twierdząco. Samuraj i pozostali Japończycy dowiedzieli się od niego, że jeden z chłopców dostał bardzo silnej gorączki, lecz dzięki troskliwej opiece i modlitwie miejscowych ludzi wyzdrowiał. Podobno udał się do Madrytu wraz z kolegami, którzy po niego przyjechali powozem.

Japończycy rozejrzeli się po bruku i domach oświetlonych promieniami zachodzącego słońca. A więc ktoś z ich kraju był tutaj wcześniej, stąpał po tej drodze wiodącej pod górę i podobnie patrzył na te egzotyczne domy oblane wieczornym różowym słońcem. Na myśl o tym, opanował ich dziwny, niewysłowiony nastrój.

- Byli to chłopcy czternastoletni... - wyszeptał Tanaka, zresztą nie tylko on, również pozostali Japończycy myśleli o swojej długiej i ciężkiej podróży, i trudno było im uwierzyć, że taką podróż mogli wytrzymać młodzi chłopcy.

- Czy te dzieci bezpiecznie wróciły do Japonii? - zapytał Nishi.

- Oczywiście, że wróciły - zdecydowanie potwierdził Velasco. - Podobnie i wy pewnego dnia bezpiecznie dopłyniecie do kraju.

Po tej odpowiedzi między Japończykami zapanowało głębokie milczenie. Czy rzeczywiście będą mogli kiedykolwiek bezpiecznie powrócić do swego kraju? Wszystkich łączyła ta jedna myśl. Na ich twarzach pojawił się uśmiech, ale tak wątpliwy, jakby był uśmiechem przez łzy.

W Madrycie, niestety, padał deszcz. Zmoczył Plaža de Castilla, pokapał trochę na Calle de Alcalá. Na tle zamglonego i pochmurnego nieba wznosił się pałac El Escorial niby szara zjawa. Po brukowanych ulicach przejeżdżały powozy konne rozpryskując na boki wodę i błoto.

W klasztorze Św. Franciszka, który stał się ich hotelem. Japończycy zapadli w kamienny sen i spali przez cały dzień. Fizyczne i psychiczne zmęczenie od przybycia do Hiszpanii wyszło dopiero teraz, gdy dotarli do Madrytu.

Zakonnicy o tym chyba wiedzieli, nie zbliżali się do budynku, w którym spali przybysze, żeby nie przeszkodzić w odpoczynku, wstrzymali też bicie dzwonu ogłaszającego czas.

Samuraj w snach oglądał sceny z dnia wyjazdu. Konie rżały, starzy wieśniacy gromadzili się przy bramie dworu, Yozó trzymał włócznie Samuraja, Seihachi, Ichisuke i Daisuke prowadzili objuczone konie. Samuraj dosiadł konia, a stryj pochylił głowę. Żona Riku z trudem powstrzymywała się od płaczu.

Uśmiechnął się do najstarszego syna Kanzaburo i do młodszego Gonshiró, trzymanego w objęciach służącej. Nie wiadomo dlaczego we śnie czekał przed bramą na koniu pan Ishida. Samuraj bardzo się dziwił, nie mógł pojąć, dlaczego wielmożny pan Ishida raczył przybyć na spotkanie do Doliny.

- Słuchaj - powiedział pan Ishida, uśmiechnął się i kiwnął głową potakująco. - Jeszcze raz dajemy ci okazję wypełnić obowiązek. Tym razem sprawa ziemi w Kurokawie zostanie załatwiona należycie. - Samuraj pomyślał, że jeszcze raz będzie musiał udać się w straszną podróż i poczuł duszności. Ale gdy zrozumiał, że jest to jego przeznaczenie, musiał ulec. Wytrwałość i uległość - od dawna przywykł do tego, jak chłop w Dolinie...

Gdy się przebudził, wiele czasu upłynęło, nim sobie uświadomił, że nie jest w Japonii, lecz w klasztorze, w egzotycznym kraju południowych barbarzyńców. Deszcz spływał po szybach okna nie znanego mu budynku w obcym

mieście. Panowała cisza. Samuraj poczuł się tak samotny, że chciało mu się płakać.

Ubrał się po cichu, żeby nie obudzić Nishiego i wykradł się na korytarz.

Zajrzał do pokoju służby i zobaczył Yozó siedzącego półprzymkniętym na brzegu łóżka. Obok niego Ichisuke i Daisuke spali twardym snem.

- Nie śpisz? - zapytał cicho Samuraj. - Śniła mi się Dolina.

- W Dolinie zaczynają gromadzić opał na zimę.

- Chyba tak.

Upłynęło już chyba półtora roku od wyruszenia w podróż. Samuraj myślał teraz, że mniej więcej o tej porze przed dwoma laty razem z chłopami ścinał drzewo na opał. Gdy siekiery uderzały o drzewa, rozlegał się donośny pogłos po milczącym lesie, w którym liście zaczęły już spadać z drzew. W tym lesie Kanzaburo z młodszym bratem zbierali grzyby.

- Jeszcze tylko trochę cierpliwości - szepnął Samuraj patrząc w okno zamglone deszczem. - Gdy w stolicy wypełnimy zadanie, pozostanie nam tylko powrót do naszej Doliny. Yozo potwierdził, trzymając ręce na kolanach.

- Pod warunkiem, że wszystko się powiedzie... Pan Velasco chce nas w tym celu nawrócić na chrześcijaństwo.

Yozo podniósł głowę ze zdziwieniem.

- Co wtedy zrobisz? - zapytał Samuraj.

- Odkąd Seihachi umarł... - zaczął Yozo, lecz powstrzymał się i odpowiedział: - Nic, zrobię, co pan rozkaże.

- Jak mogę rozkazywać? - uśmiechnął się ze smutkiem Samuraj. - W rodzie Hasekura nic takiego jeszcze się nie zdarzyło. Mój wuj nigdy by mi tego nie wybaczył.

Samuraj wciąż jeszcze przeżywał sen o Dolinie. O Dolinie wypełnionej chatami chłopów tak gęsto, jakby ściśnięto je siłą. Tam wszyscy żyli wspólnie, wzajemnie ze sobą współdziałając, skupieni wokół domu Samuraja.

Nie tylko wspólnie żyli, ich sposób życia również był jednakowy. Każda rodzina miała ziemię, w podobny sposób siała, podobnie też świętowała.

Jeśli ktoś umarł, wszyscy uczestniczyli w obrzędzie pogrzebowym. Samuraj przypominał sobie hymn na cześć Buddy, który niekiedy śpiewali. On wtedy siedział przy piecu irori, a wuj rozcierał prawą ranną nogę.

Ileż to wieków minęło odkąd Budda Amida odszedł do Nirwany, a wciąż blask z jego ciała bije, oświeca piekielne ciemności tego świata.

Gdy kończyli śpiewać, wuj z wyrazem spokoju na twarzy zawsze powtarzał cicho: "Niech będzie pochwalony Budda Amida! Niech będzie pochwalony Budda Amida". Głos wuja brzmiał teraz w uszach Samuraja. Tak, w Dolinie wszystko było jednością. Samuraj nie śpiewał hymnów, ale nie mógłby teraz odrzucić tego, w co wierzyli tak głęboko najbliżsi, ojciec i wuj. Oznaczałoby to zdradę więzów krwi, zdradę Doliny.

Pojechałem powozem do rezydencji kuzyna Don Luisa. Jego ojciec Don Diego Cabañero Molina, który razem z nim mieszka, był poprzednio burmistrzem Sewilli i mimo podeszłego wieku ma nadal znaczne wpływy w kościele i na dworze królewskim. Don Luis jest przewodniczącym Sądu Inkwizycyjnego. Widocznie uprzedzono go o mojej wizycie, ponieważ gdy dojechałem do domu, na schodach pojawiło się mnóstwo mężczyzn, kobiet i dzieci. Kobiety jak zwykle obejmowały mnie z przesadną czułością, dzieci wskakiwały na mnie, a

mężczyźni witali się przez podanie ręki z należytą godnością. Otoczyli mnie, swego krewniaka, który powrócił z nie znanego im kraju Dalekiego Wschodu i wypytywali o przeżycia. W salonie, to znów w jadalni przysłuchiwali się moim opowieściom, jakby słuchali historii o tym, jak nasi przodkowie-zdobywcy opanowywali lądy i dalekie wyspy.

Gdy skończyła się wieczerza i rozmowa w salonie, wuj Molina dał mi znak mrugnięciem i z synem Luisem zaprowadzili mnie do biblioteki. Pozostali biesiadnicy, jakby wiedzieli, co dalej nastąpi, bez protestu pożegnali się ze mną.

Dosyć długo rozmawialiśmy o strategii, jaką teraz należy przyjąć. Chudy i wysoki wuj chodził po pokoju i wyjaśniał, że nie można oczekiwać pomyślnego - dla mnie - wyniku konferencji biskupów, która wkrótce się rozpocznie.

Luis stał prosto jak wartownik słuchając naszej rozmowy.

- Mówisz, że praca misyjna to walka, ale przecież w bitwie również są takie sytuacje, kiedy trzeba się wycofać. Tutejsi biskupi pragną teraz wycofać się z Japonii. Jeśli podczas konferencji podejmą decyzję niekorzystną dla ciebie, to przez naszą rodzinę otrzymasz stanowisko przełożonego klasztoru, nie w Japonii, lecz na Filipinach. - Wuj wyjaśniał dalej, że ma zamiar dołożyć wszelkich starań, abym mógł zostać opatem klasztoru Świętego Pawła w Manili. - Szanse są duże. Sądzę, że kardynałowie i biskupi nie będą się przeciwstawiać.

Zamarł odgłos stąpania po pokoju. Wuj usiadł na krześle, splótł ręce i spojrzał na mnie, żeby poznać, jak zareaguję.

- Nie jestem pewien, czy dobrze zrozumiałem...

- Nikt nie chce, żebyś się narażał na niebezpieczeństwa, nawet dla Pana Boga. Sądzę, że będziesz miał więcej okazji do wykorzystania swego talentu jako ojciec przełożony w klasztorze w Manili.

Zamknąłem oczy i przypominałem sobie ten żebraczy szałas, w którym mieszkałem razem z Diego w Edo. W szpitalu dla trędowatych były tylko trzy pokoje. Wszędzie łążyły karaluchy i biegaly szczury, ponieważ obok budynku znajdował się kanał ściekowy. W klasztorze w Manili, zamiast karaluchów i szczurów, śpiewają ptaki w ogrodzie, nie ma też chyba potrzeby spożywać śmierdzących ryb i stęchłego ryżu.

- Jestem misjonarzem - szepnąłem wciąż zachowując wąty uśmiech na twarzy. - Chyba urodziłem się już jako misjonarz. I chyba przeznaczone mi głosić nauki Pana tam, gdzie grożą prześladowania, a nie modlić się w pięknych, bezpiecznych katedrach.

Wuj wzruszył ramionami i westchnął. Ten gest był zupełnie taki sam jak biskupa w Sewilli po wysłuchaniu moich wyjaśnień.

- Taki byłeś od dziecka. Jako chłopiec zazdrościłeś żeglarzom podobnym Kolumbowi...

- Gdyby nieżyjąca dzisiaj matka nie posłała mnie do seminarium duchownego, na pewno zostałbym wojskowym albo żeglarzem - roześmiałem się.

- Matka posłała cię do seminarium duchownego po to, żeby nieco stłumić twoje namiętności...

- W moim ciele jednak płynie krew zdobywców.

Trudno było przekonać o moich racjach wuja i kuzyna, którzy nie widzieli nigdy Japonii ani jej nie znali. Przy tym w oczach stojącego niby wartownik kuzyna pojawił się niepokój. Po prostu bał się, że on i jego rodzina może spotkać się z drwinami ze strony arystokracji i kościoła Madrytu, jeśli da

się wciągnąć w moje intrygi.

- Chciałbym się spotkać z arcybiskupem. A gdyby jego wysokość król obdarzył łaską i przyjął posłów japońskich...

- Już zwracaliśmy się do sekretarza arcybiskupa - wuj potrząsnął głową z zakłopotaniem. - Otrzymaliśmy odpowiedź, że wszystko zależy od rezultatów konferencji biskupów. Arcybiskup nie może ignorować biskupów i bez ich zgody pośredniczyć w organizowaniu audiencji dla Japończyków. To nie tylko kwestia handlu. To jest problem, który wiąże się z misyjną działalnością w Azji. Lecz zrobię wszystko, co będzie można.

Ze słów wuja wyczułem, że arcybiskup chciałby uniknąć kłopotliwego problemu. Uścisnąłem dłoń gospodarzy, którzy odprowadzili mnie na podwórze, gdzie wsiadłem do powozu.

Padła zimna deszcz. Brukowaną drogą wróciłem do klasztoru. Uliczne latarnie oświetlały figurki Matki Bożej, stojące w niszach ścian i zaułkach, gdzie indziej w mieście panowała ciemność i cisza. Słuchając odgłosu końskich kopyt zamknąłem oczy i wyobraziłem sobie postać ojca Valente, którego nigdy nie widziałem. Próbowałem przewidzieć, jak ten kapłan będzie zbijać moje argumenty i jak atakować. Z okna rozległ się donośny śmiech kobiety. Otworzyłem drzwi domu gościnnego, zapaliłem świecę stojącą w sieni i gdy już szedłem długim korytarzem do swego pokoju, spostrzegłem cień Japończyka stojącego przed moimi drzwiami.

- Kto tam?

Światło świecy padło na twarze i ubrania trzech posłów japońskich. Spostrzegłem, że na moim habicie błyszczą krople deszczu.

- Jeszcze nie śpicie?

- Panie Velasco - zwrócił się Hasekura z napięciem w głosie - kiedy przyjdzie wiadomość o audiencji u króla?

~- Dlaczego o to pytaacie? Staram się uczynić w tej sprawie, co mogę. Za miesiąc... W połowie stycznia rozpocznie się konferencja biskupów. W czasie posiedzenia stoczę pojedynek z Zakonem Piotrowym - odpowiedziałem, trzymając w jednej ręce świecę. Służba Japończyków już spała, w budynku było zimno. Wyjaśniłem posłom, którzy mnie słuchali z wyrazem napięcia na twarzach, jak potężny wpływ mają w tym kraju decyzje kleru na politykę zagraniczną formułowaną przez dwór.

- Wobec tego, jeśli dyskusja zakończy się dobrze...

- Tego pragnę. Od wyniku zależy również audiencja u króla.

- Czy pan wygra w tej walce?

- Tego nie wiem - uśmiechnąłem się. - Nawet bez nadziei zwycięstwa do walki trzeba stanąć. Jako samuraje wiecie o tym lepiej. Jestem tego samego zdania.

- Panie Velasco - Nishi zrobił krok do przodu - jeśli to służyło sprawie... to ja mogę przejść na chrześcijaństwo...

W świetle świecy dostrzegłem, że w twarzy Tanaki nie było już tej pewności siebie, która go zwykle cechowała.

- A panowie Tanaka i Hasekura? - zapytałem. - Czy panowie czują podobnie? Tanaka ani Hasekura nic nie odpowiedzieli. Lecz ja wyczułem, że obaj nie są już tak zatwardziali, jak w czasie rozmowy z nimi w Sewilli.

W dniu konferencji biskupów padał deszcz. Z dachu Sądu Inkwizycyjnego woda spływała na dziedziniec, gdzie powstawały czarne kałuże. Rozbryzgując błoto

i wodę pod gmach zajeżdżały kolejne powozy. Strażnicy otwierali drzwi powozów, biskupi w szerokich szatach i czerwonych okrągłych kapeluszach na głowach wchodzili pod parasole zgięci w pół i znikali w gmachu Sądu. Dwaj mężczyźni w czarnych mundurach stali przed ciężkimi grubymi drzwiami i odprowadzali kolejno wchodzących biskupów na właściwe miejsca. Velasco usiadł twarzą do nich obok ojca Valente.

"I to jest ojciec Valente?"

Z lekkim zdziwieniem popatrzył na małego staruszka, siedzącego na sąsiednim, nieco odsuniętym krześle i trzymającego złożone dłonie na kolanach. Więc ojciec Valente to ten stary człowiek o przymkniętych oczach i zmęczonej twarzy, w ubogim zniszczonym habicie?

Od chwili otrzymania listu od wuja w Veracruz cały czas Velasco starał się wyobrazić sobie sylwetkę tego duchownego, z którym w końcu przyjdzie mu stoczyć pojedynek. Wyobrażał go sobie jako mężczyznę o twarzy wskazującej na bystry umysł, od czasu do czasu uśmiechającej się ironicznie. Lecz nigdy nie przyszedł mu na myśl starzec o tak zmęczonym wyrazie twarzy. Teraz siedzi obok niego drobny, ze splecionymi dłońmi na kolanach, z opuszczonymi ramionami, jak gdyby zniszczonymi przez trudy życia. Jego postać, zamiast Velasco uspokoić, uraziła jego dumę. Nie mógł sobie wybaczyć, że z powodu takiego starca przeżył tyle niepokoju.

Jakby wyczuł przeszywające go spojrzenia Velasco, ojciec Valente otworzył oczy, zwrócił twarz w jego stronę, uśmiechnął się niemal ze współczuciem i ukłonił się lekko.

Mężczyzna w mundurze nagle zadzwonił. Był to znak rozpoczęcia debaty. Biskupi, którzy wyglądali w oczach Velasco jak stado jastrzębi, zajęli miejsca w rzędzie na wprost Velasco i ojca Valente, pochrząkiwali przez pewien czas, potem zbliżyli do siebie twarze i zaczęli o czymś rozmawiać. Biskup pełniący funkcję przewodniczącego wstał i czytał z kartki trzymanej w ręku, że zgodnie z kompetencjami konferencja biskupów w Madrycie rozważy nieporozumienia, jakie powstały między Zakonem Piotra i Zakonem Pawła na tle metod szerzenia chrześcijaństwa w Japonii, jednocześnie zdecyduje, czy przybyli do Madrytu Japończycy mają pełnomocnictwo poselskie.

Gdy jego cichy głos płynął przez salę pogrążoną w milczeniu, pozostali biskupi nawet nie drgnęli. Wzrokiem umarłych wpatrywali się w Velasco i ojca Valente.

Przewodniczący skończył czytać i zwrócił się do swoich współtowarzyszy z wyjaśnieniem.

- Przed piętnastu laty papież Klemens VIII ogłosił bullę Onerosa pastoralis, w której prawo szerzenia chrześcijaństwa w Japonii, pierwotnie zastrzeżone tylko dla Zakonu Piotra, przyznał również innym zakonom. Zakon Pawła natychmiast wysłał do Japonii jedenastu misjonarzy, a ojciec Velasco jest jednym z nich. On uważa, że niepowodzenia w działalności misyjnej w Japonii od przybycia tam Francisco Xaviera w roku 1549 są rezultatem błędów popełnionych przez Zakon Piotra, pragnie więc poprawy sytuacji, ma też uzasadnione nadzieje, że uda się to uczynić. Z drugiej strony Zakon Piotra twierdzi, że działalność misyjną utrudniły zbyt nagłe zmiany panujących w Japonii, a nie wadliwe metody nawracania, po prostu o niepowodzeniu zadecydowało co innego. Chciałbym, żeby obie strony kolejno wyjaśniły sytuację.

Biskupi siedzący w pierwszym rzędzie naradzali się cicho



między sobą i zgodzili z propozycją. Przez ten czas Velasco patrzył na nich ze zwykłą pewnością siebie, a ojciec Valente siedział nadal bez ruchu trzymając złożone ręce na kolanach. Velasco wstał, kiedy wywołano jego imię. Starał się zachować uśmiech na twarzy. Z szacunkiem dla zebranych wyraził podziękowanie za przyznanie mu zaszczytu przedstawienia poglądów w i doświadczeń związanych z nawracaniem na chrześcijaństwo w Japonii.

- Nie ma wątpliwości, że działalność misyjna w Japonii przez pół wieku rozwijała się bez przeszkód dzięki poświęceniu braci z Zakonu Piotra. Z tego też względu żywię głęboki szacunek dla ich wysiłków i ofiarności. Czuł pewną przyjemność, kierując słowa pochwały do tych, którzy obrzucali go oszczerstwami. Wiedział, że przez to jego wypowiedź brzmieć będzie bardziej obiektywnie. Gdy w końcu w oczach biskupów pojawiły się iskry zaciekawienia, z naciskiem wypowiedział słowo "jednak".

- Jednak... nie zdając sobie sprawy z tego, bracia z Zakonu Piotra zaczęli popełniać błędy. Nie przewidywali, że spowodują tak poważne zahamowanie w pracy misyjnej w Japonii.

Mówiąc to Velasco zwrócił się w stronę ojca Valente, który reprezentował tu Zakon Piotra. Lecz ojciec Valente nawet się nie poruszył, nadal siedział ze zmęczoną twarzą, jak gdyby nie słyszał tego, co dotąd tu powiedziano.

- Po prostu misjonarze Zakonu Piotra uważali, że Japonia jest takim samym krajem jak inne, i to było źródłem ich błędów. Lecz Japonia różni się od krajów, które podbili nasi przodkowie. Japonię ochrania wielki ocean, a jej lud potrafi utrzymać ład, mimo że nie zna chrześcijaństwa, broni go również potężna armia. Japończycy nie są rasą leniwą, są mądrzy i przebiegli, o dużym poczuciu godności osobistej, a jeśli ktoś ich lub ich kraj obrazi, jednoczą się jak pszczoły i atakują. W takim kraju należy, jak sądzę, stosować inne metody nauczania. Nie wolno Japończyków znieważać. Nie wolno ich doprowadzać do gniewu. Lecz Zakon Piotra postępował wbrew tym zasadom.

W tym miejscu Velasco zamilkł. I stwierdził, że na twarzach biskupów, wpatrujących się dotąd w niego oczyma nieboszczyków, pojawiły się oznaki zainteresowania i ciekawości, opuścił więc głowę i zapytał:

- Czy wolno mi będzie podać konkretne przykłady?

- Właśnie po to się tu zebraliśmy - potwierdził jeden z biskupów.

- Na przykład w porcie o nazwie Nagasaki bracia z Zakonu Piotra niepotrzebnie przyjęli dobra ziemskie. Były one wprawdzie źródłem dochodów wykorzystywanych do prowadzenia działalności misyjnej, lecz dla heretyckiej Japonii stały się powodem niepokoju

i podejrzeń. Japończycy nie mogą pozwolić na kolonie obcych ludów na żadnej ze swoich małych wysp. Co więcej, z nadmiernego zapału do pracy misyjnej niektórzy bracia Zakonu Piotra palili posągi Buddy, w którego wierzy wielu Japończyków. To prawda, że w Nowej Hiszpanii spalenie ołtarzy Indian nie stało się przeszkodą w nawracaniu na naszą wiarę. Lecz robiąc to samo w Japonii wywołuje się niepotrzebnie wrogość w sercach tych, którzy mogliby pewnego dnia zostać dziećmi Boga. Dowodem na to jest fakt następujący: kiedy władca Japonii noszący tytuł Taiko dowiedział się, że misjonarze posiadają majątki ziemskie, natychmiast odrzucił postawę wspaniałomyślności i rozpoczął prześladowania. Tak więc prześladowania są wynikiem błędów popełnionych w pracy misyjnej. Zakon Piotra nie może uniknąć za to odpowiedzialności. Lecz jego misjonarze tego nie widzą, piszą do Rzymu, a

także i do Madrytu, że uczynili wszystko, co mogli, lecz mimo to nic nie osiągnęli, bo działalność misyjna stała się nadzwyczaj trudna.

Wypowiedział to jednym tchem i znów z szacunkiem schylił głowę i zamilkł. Tym milczeniem chciał dać słuchającym czas na pobudzenie zainteresowania. I znów od mocno wypowiedzianego słowa "jednak" podjął ciąg dalszy swej wypowiedzi.

- Jednak... jest jeszcze nadzieja na działalność misyjną w Japonii. Na pewno obecna sytuacja temu nie sprzyja, ale można ją zmienić.

Jestem o tym przekonany. Ta nadzieja nie jest częścią fantazją oderwaną od rzeczywistości, jak zarzuca mi Zakon Piotra. W przeciwnym razie nie zadałbym sobie tyle trudu, żeby przywieść tutaj japońskie poselstwo z listem od władcy.

W tym momencie ojciec Valente podniósł głowę. Velasco dostrzegł, że na jego twarzy powoli rozszerzał się gorzki uśmiech. Ten uśmiech przypominał grymas współczucia dojrzałego człowieka patrzącego na nieudolnego błazna. Velasco stłumił wzbierający w nim gniew i zaczął mówić dalej.

- Posłowie, nie, powiedzmy: w ogóle Japończycy liczą na korzyść z handlu z Nową Hiszpanią. Japonia jest mała i biedna. Dlatego Japończycy dla korzyści gotowi są uczynić wszystko. To ich mocna, a jednocześnie słaba strona. Kościół chyba nie ucierpi, jeśli za udostępnienie im niewielkich korzyści otrzyma swobodę szerzenia chrześcijaństwa w Japonii. Jeśli nie będziemy ich obrażać ani doprowadzać do gniewu, a przeciwnie, damy im możliwość odnoszenia pewnych korzyści w zamian za pozwolenie na działalność misyjną, na pewno skończą się prześladowania.

Szum deszczu dochodził do sali. Biskupi milczeli i słuchali propozycji Velasco.

- Japończycy chyba na wszystko się zgodzą w zamian za korzyści - powtórzył Velasco. - Mogą nawet oddać nam swoje serca.

Ciągle szumiał deszcz. Zmartwiony Samuraj siedział na łóżku i rozglądał się po pokoju. Była to taka sama> cela jak w wielu innych klasztorach, w których się zatrzymywali na nocleg, poczynając od Nowej Hiszpanii. Stało tu jedno proste łóżko, jeden stolik z miednicą i ceramicznym dzbankiem ozdobionym arabeską. Na gołej ścianie wisiał z opuszczoną głową wychudzony Mężczyzna, którego obie ręce były przybite gwoździami do krzyża.

"Taki Mężczyzna... - Samuraja znów ogarnęły wątpliwości. - Dlaczego oni modlą się do Niego?"

Przypomniawszy sobie, że kiedyś widział przestępcę w podobnej sytuacji. Przestępcę z przywiązanymi do drzewa rękami, usadowionego na koniu i obwożonego po mieście. Ten Mężczyzna jest podobnie brzydki i chudy jak ów więzień. I tamten miał wystające żebra, zapadnięty brzuch, jakby nie dostawał pokarmu przez długi czas, biodra osłonięte płótnem i podtrzymywał się na koniu cienkimi jak szpilki nogami. Mężczyzna na ścianie wydawał się Samurajowi podobny do tamtego przestępcy.

"Co pomyśleliby ludzie w Dolinie, gdybym modlił się do takiego Mężczyzny?" Wyobraził sobie siebie w postawie modlącego się i od razu ogarnęło go nieznośne uczucie wstydu. Nie wierzył w Buddę tak głęboko jak jego stryj, lecz kiedy chodził do świątyni, zawsze chętnie schylał głowę przed pięknymi wizerunkami Buddy; a gdy stawał przed chramem shintoistycznym, gdzie płynęła czysta woda, czuł wewnętrzną potrzebę przywołania bogów klaskaniem.

Nie mógł jednak wyczuć niczego świętego ani godnego czci w tym bezsilnym i nędznym Mężczyźnie.

"Ci kupcy..."

Na pewno kupcy, którzy zostali w Nowej Hiszpanii, czuli to samo, co on teraz. Lecz oni uklękli w katedrze i przyjęli chrzest od południowych barbarzyńców, żeby można było bez przeszkód utrzymywać stosunki handlowe z Nową Hiszpanią. Patrząc wtedy na nich Samuraj doznał dziwnie mieszanego uczucia pogardy i zawiści. Gardził ich podłością, która bez wahania dopuszczała sprzedaż serc dla zysku, a zazdrościł im zuchwalstwa, dzięki któremu gotowi byli uczynić wszystko dla korzyści materialnych. Teraz również Nishi Kyusuke mówi, że jest gotów przyjąć chrzest, żebyśmy wypełnili naszą misję. Byłby to akt czysto formalny, nie wpływający z pobudek serca. Samuraj wiedział, że i on gotów byłby na wszelkie kłamstwa i oszukaństwa, gdyby służyły dobru jego pana i spełnieniu obowiązku. Wiedział o tym, ale nie potrafił tego uczynić.

"Nie, ja nie mogę..."

Zostać chrześcijaninem to znaczy zdradzić Dolinę. A przecież Dolina jest światem jedynie tych ludzi, którzy w niej dzisiaj mieszkają. Żyjących bowiem strzegą tam potajemnie przodkowie i krewni. Dopóki będzie istniał ród Hasekury, dopóty zmarły ojciec Samuraja i jego dziadek nigdy nie rozstaną się z Doliną. Zmarli nie mogą pozwolić mu na zmianę religii, na przyjęcie wiary chrześcijańskiej.

Ojciec Valente z Zakonu Piotra powoli wstał z krzesła. On również uklonił się nisko biskupom i złożył dłonie. Zaczął mówić nieco ochrypłym głosem.

- Przez trzydzieści lat mieszkałem w Japonii i widziałem na własne oczy te błędy Zakonu Piotra, o których mówił ojciec Velasco. Dlatego nie zaprzeczam temu, co dziś powiedział. Na pewno nasz zakon nazbyt się spieszył. A ponieważ się spieszył, niekiedy działał z przesadną gorliwością. Lecz prześladowania w Japonii nie są wyłącznie rezultatem naszej działalności. W słowach ojca Velasco kryje się bardzo zręczne wyolbrzymienie. A w jego nadziejach na przyszłość naiwny optymizm. Velasco zacisnął pięści na kolanach. Lecz jednocześnie uśmiechnął się. Chciał przed biskupami okazać całkowity spokój ducha.

- Muszę jednak powiedzieć, że japońscy posłowie, których tu sprowadził ojciec Velasco, nie są posłami władcy Japonii zwanego tam shogunem. Ich panem jest jeden spośród wielu arystokratów, który ma swoje księstwo we wschodniej Japonii. Nawet jeśli wysłannicy mają upoważnienie władcy, to jednak, nie mogą być uznani za oficjalne poselstwo reprezentujące cały kraj.

Przyłożył rękę do ust i cicho chrząknął. Ojciec Valente nie starał się zwrócić na siebie uwagi biskupów, więc w odróżnieniu od Velasco nie mówił głośno, nie robił znaczących przerw. Po prostu przedstawiał sytuację głosem monotonnym i powolnym. Lecz od samego początku uderzał w najsłabsze punkty obrony Velasco.

- Ojciec Velasco stwierdził, że nie można lekceważyć Japończyków.

Powiedział też, że są mądrzy i przebiegli, a także wrażliwi na korzyści do tego stopnia, że nie można ich traktować tak samo jak inne narody Dalekiego Wschodu. My również myślimy podobnie i dlatego właśnie proszę wielbnych biskupów o rozważenie następującej oceny.

Japońskie poselstwo, które przybyło tę samą drogę co brat Velasco, nie jest poselstwem oficjalnym, i w związku z tym bez względu na to, jak słodkie obietnice popierania chrześcijaństwa zawiera przywiezione przez nich pismo, Japończycy mogą zawsze, kiedy tylko zechcą, temu zaprzeczyć. Mogą po prostu powiedzieć, że nie były to obietnice panującego władcy, lecz jednego z arystokratów. Powiedzą, że nie było to oficjalne, lecz po prostu prywatne poselstwo. Ojciec Valente przerwał na chwilę i znów zakasłał.

- Poprzez długie doświadczenie mogłem stwierdzić, że Japończycy często posługują się tą taktyką. Z góry przewidują powody wycofania się z obietnicy, to należy do japońskiego sposobu działania. Na przykład rozpoczyna się bitwa i kiedy nie ma pewności, która strona zwycięży, często bracia stają po różnych stronach walczących. Niezależnie od tego, kto zwycięży, ród arystokraty zawsze może wytłumaczyć, że nie jest odpowiedzialny za to, co brat uczynił. Może powiedzieć, że po prostu brat postąpił samowolnie, bez porozumienia. Poselstwo wysłano do Nowej Hiszpanii, stosując tę samą japońską przebiegłość. To nie znaczy, że Japończycy pragną szerzenia chrześcijaństwa, chcą po prostu zyskać zupełnie co innego, posługując się przynętą swobody szerzenia naszej wiary.

- Wobec tego, czego oni pragną? - zapytał jeden z biskupów, przypominający czarnego jastrzębia, przytrzymując dłonią brodę. - Na czym Japończykom zależy, prócz handlu z Nową Hiszpanią?

- Chcą po prostu przejąć drogi morskie przez Pacyfik i wykraść nasze uniejętności nawigacyjne. Niewątpliwie zdołali zebrać niezbędne informacje podczas tej podróży.

Rozległ się szmer wśród biskupów. Kiedy znów wróciła cisza, spojrzenia biskupów z ojca Valente przeniosły się na Velasco, który siedząc na krześle nie mógł ukryć napięcia. Velasco uniósł rękę i poprosił o głos. Jeden z biskupów wyraził znak zgody, wtedy Velasco zaczerwienił się i zaczął mówić drżącym głosem.

- Wielebni księża biskupi. Proszę przyjąć do wiadomości, że bez pozwolenia władcy żaden arystokrata w dzisiejszej Japonii nie może zwolnić uwięzionego Hiszpana. Przyjechaliśmy do Nowej Hiszpanii razem z hiszpańskimi żeglarzami, którzy wcześniej zostali zatrzymani w Japonii. To dowodzi również, że japońscy posłowie otrzymali upoważnienie panującego władcy. Nie ma więc wątpliwości, że Japonia pragnie handlu z Nową Hiszpanią, ponieważ bezpośrednio do Filipin przed dziesięciu laty jej władca wysłał pismo. Przy tej okazji pragnę wielebnym ojcom przypomnieć, o czym zresztą wszystkim dobrze wiadomo, że przed trzydziestu laty Zakon Piotra, do którego ojciec Valente należy, w funkcji oficjalnego poselstwa przysłał do naszego kraju i do Rzymu czterech synów z niemal żebraczych rodzin japońskich twierdząc kłamliwie, że są synami sławnych książąt.

Kiedy Velasco usiadł, powoli ze skrzypiącego krzesła powstał ojciec Valente. I znowu złożył ręce na piersi i zakasłał kilkakrotnie.

- To prawda, że władca Japonii kiedyś pragnął handlu z Nową Hiszpanią. Lecz nawet i wtedy chodziło o to, żeby zezwolić na handel, zakazując jednocześnie działalności misyjnej, i przecież wielu chrześcijan spalono na stosach w stolicy, a misjonarzy wygnano ze wszystkich księstw Japonii. To jasne, że również panowie tych posłów muszą podporządkować się określonej polityce. I z tego powodu, nawet

jeśli książę obiecuje ochronę misjonarzy i swobody szerzenia chrześcijaństwa, i tak to nie oznacza, że mamy obietnicę władcy Japonii.

- Ojciec... - Velasco przerwał nie wstając z miejsca. - W Zakonie Piotra straciliście chyba całą nadzieję na zakończenie prześladowań.

Lecz ja... ja wierzę, że można znów wygasić nienawiść, którą wy wywołaliście.

Velasco podniósł głos, zapominając, że obserwują go biskupi. Widząc czerwoną twarz Velasco, ojciec Valente uśmiechnął się z politowaniem.

- Czy ojciec może ją wygasić? Nie sądzę, że jest to taka prosta sprawa.

- Dlaczego?

- Ponieważ Japończycy, a mówię to po długim okresie życia w Japonii, spośród wszystkich ludów tego świata mają najmniej zrozumienia dla naszej wiary.

Ironiczny uśmiech zniknął z twarzy kapłana, jego oczy wpatrywały się w Velasco ze smutkiem.

- W istocie rzeczy Japończycy nie są wrażliwi na absolut wykraczający poza sferę ludzką, na byt pozaprzyrodniczy, na coś, co my nazywamy bytem nadprzyrodzonym... Zrozumiałem to w końcu, w ciągu trzydziestoletniej pracy misyjnej. Bardzo łatwo było ich nauczać o tym, że życie jest przemijające. A to dlatego, że od dawna żyli z tym przeświadczeniem. Przerażający jest jednak fakt, że Japończycy mają również zdolność akceptowania z radością nietrwałości życia. Ta zdolność jest u nich powszechna. Potrafią więc poprzestawać, a nawet rozkoszować się świadomością przemijania i tworzyć bogatą poezję w tym duchu. Nie usiłują wyjść poza tę świadomość. Nie pragną wyrwać się z tego stanu i poszukiwać spraw absolutnych. Nie lubią widzieć jasnej granicy między Bogiem a ludźmi. Dla nich, nawet jeśli się zgodzą z myślą, że jest coś wyższego od ludzi, i tak będzie to coś, czym człowiek może w końcu zostać. Na przykład Budda to istota, którą może zostać każdy człowiek, jeśli przestanie błędzić. Nawet przyroda, dla nas odrębna od człowieka, dla nich jest jednością obejmującą człowieka. My... My ponieśliśmy klęskę, ponieważ nie udało nam się wyleczyć ich z tego stanu uczuć.

Niespodziewane słowa ojca Valente biskupi przyjęli z głębokim milczeniem. Spośród wszystkich misjonarzy, których wysyłano do odległych krajów, nikt jeszcze nie wypowiedział słów przepelnionych tak głębokim rozczarowaniem.

- Ich wrażliwość zawsze pozostaje w wymiarze świata przyrody, nigdy nie wykracza poza tę sferę. W tym wymiarze są zdumiewająco subtelni i delikatni. Lecz nie są w stanie pojąć niczego w wymiarze innym, wykraczającym poza świat przyrody. Dlatego też Japończycy nie potrafią pojąć naszego Boga, należącego do innego wymiaru niż ludzie.

- Wobec tego... - jeden z biskupów potrząsnął głową nie mogąc zgodzić się z tym rozumowaniem. - Wobec tego, w co wierzyli japońscy chrześcijanie, których było czterysta tysięcy?

- Nie wiem - odpowiedział cicho patrząc w dół ojciec Valente. Zamknął oczy z wyrazem cierpienia na twarzy. - Gdy władca zakazał praktykowania i szerzenia chrześcijaństwa, połowa rozplynęła się jak mgła.

- Rozplynęła się jak mgła?

- Tak. Nawet ci, których uważaliśmy dotąd za głęboko wierzących, stracili wiarę wraz z rozpoczęciem prześladowań. Takich przykładów jest

bez liku. Kiedy pan feudalny odrzucał chrześcijaństwo, cała jego rodzina, wszyscy jego wasale czynili podobnie, a gdy naczelnik wioski odstępował od wiary, prawie wszyscy wieśniacy oddalali się od Kościoła. To było zdumiewające, ponieważ w dodatku wszyscy odszczepieńcy zachowywali się tak, jakby nic się nie zdarzyło.

- Nie czuli lęku z powodu odrzucenia Boga?

- Kiedy spoglądałem na mapę - mówił szeptem ciągle mając oczy zamknięte - kształt Japonii przypominał mi czasem jaszczurkę. Nie tylko ziemia tego kraju, również natura Japończyków jest taka jak u jaszczurki. Zrozumiałem to później. My, misjonarze, cieszyliśmy się jak dzieci, które obcinały ogony jaszczurkom. A te żyły nadal, nawet po utracie ogona, który zresztą po pewnym czasie odrastał. Mimo sześćdziesięciu lat nawracania na chrześcijaństwo przez nasz zakon, Japończycy w ogóle się nie zmienili. Wrócili do stanu, w jakim znajdowali się pierwotnie.

- Wrócili do stanu pierwotnego? Proszę to wyjaśnić, ojcze Valente.

- Japończyk nigdy nie przeżywa życia jako jednostka. My, europejscy misjonarze, nie wiedzieliśmy o tym. Załóżmy, że jest tu jeden Japończyk. Staramy się nawrócić go na naszą wiarę. Lecz ten jeden człowiek nigdy w Japonii nie był sam. Za nim zawsze stała wioska. Był dom. Nie, nie tylko to. Byli jego umarli rodzice, przodkowie, tak ściśle z nim związani, jakby wciąż byli żywi. Dlatego Japończyk nie jest odrębną jednostką ludzką. Jest całością, która dźwiga w sobie wieś, ród, rodziców, wszystkich przodków. Mówiąc "wrócili do stanu pierwotnego", miałem na myśli fakt, że oni wrócili do świata, z którym byli silnie związani.

- Nie możemy cię zrozumieć, ojcze Valente.

- Proszę wybaczyć, że posłużę się przykładem. Gdy pierwszy nasz misjonarz w południowej Japonii, Francisco de Xavier, rozpoczął działalność, ta sprawa była dla niego największą przeszkodą. Japończycy mówili tak: "Wierzę, że nauki Chrystusa są dobre. Lecz zdradzę swoich przodków, jeśli pójdę do raju, w którym moich przodków nie ma. Nasze związki z nieżyjącymi rodzicami i przodkami są bardzo silne". Pragnę podkreślić, że nie chodzi tu tylko o kult przodków. Jest to po prostu ich silna wiara. Sześćdziesiąt lat to za mało, żeby wymazać w nich tę wiarę.

- Przewielebni księża biskupi! - krzyknął Velasco przerywając mówiącemu.

- Słowa ojca Valente są dużą przesadą! W Japonii są również męczennicy, którzy oddali życie za naukę Chrystusa. Jak można mówić, że Japończycy nie wierzyli w naszego Boga? Poza tym nie straciliśmy jeszcze nadziei na szerzenie chrześcijaństwa w Japonii.

W tym momencie na potwierdzenie tego, co powiedział, wyciągnął swą kartę atutową.

- Dowodzi tego również fakt, że trzydziestu ośmiu kupców japońskich, których zawiodłem do Nowej Hiszpanii, wzięło chrzest w kościele Świętego Franciszka. A teraz jeden spośród trzech posłów japońskich, cierpliwie czekających na sprawiedliwą decyzję wielebnych biskupów, powiedział mi, że tu, w Madrycie, pragnie zostać dzieckiem naszego Kościoła.

Samuraj leżał na łóżku z rękami pod głową i patrzył na obnażonego Mężczyznę wiszącego na ścianie, słuchając szumu deszczu. ' W pokoju nie było nikogo prócz Samuraja i tego Mężczyzny.

Otworzyły się drzwi i wszedł Tanaka. Na jego ubraniu błyszczały jak rosa

krople deszczu.

- To musiało być przykre. Czy Nishi również wrócił?

Samuraj podniósł się z łóżka i usiadł krzyżując nogi. Chociaż miał tę samą rangę, jednak czuł pewien respekt przed starszym wiekiem Tanaka.

- On nadal chodzi po mieście i moknie. Mnie zmęczyli

gapiący się ludzie, więc wróciłem - rzekł Tanaka z irytacją, wyjął miecz zza pasa i wytarł płótnem mokrą pochwę. Ludzie przyglądali im się tak jak w Nowej Hiszpanii, tutaj okazali się jeszcze bardziej natrętni.

Chodzący za nimi ciekawscy dotykali ich ubrań i mieczy, coś do nich mówili.

Niektóre dzieci prosiły o pieniądze. Nawet dorośli wrywali sobie z rąk

papier, który Japończycy wyrzucali po wytarciu nosa. Początkowo Japończycy śmiali się z ich zachowania, potem stopniowo poczuli się zmęczeni

bezcelnym przyglądaniem się gapiów i ich pytaniami.

- Velasco chyba już skończył debatę - rzekł cicho Tanaka i zdjął zmoczone buty. Skórzane buty kupił w Sewilli również Samuraj oraz Nishi i służba.

- Jeszcze chyba nie.

- Niepokoję się.

Samuraj kiwnął głową potwierdzająco. Tanaka również usiadł na łóżku ze skrzyżowanymi nogami.

- Co będzie, jeśli w tej dyskusji Velasco zostanie pokonany? Przyjmujemy to spokojnie i zgodnie wrócimy do Japonii?

Samuraj milczał mrugając oczyma. Nie wiedział, jak ma zareagować. Velasco mówił im, że wszystko zależy od wyniku tej narady, i audiencja u króla, i przedłożenie mu pisma wielmożnego pana. Od czasu, gdy Velasco wyjechał powozem dzisiejszego ranka na konferencję, trzech posłowie nie mogli znaleźć spokoju. Nic dziwnego, że Nishi nadal spaceruje po deszczu.

- Czy mamy się z tym pogodzić? - zapytał Tanaka świdrując oczyma Samuraja.

- Nie mógłbym spojrzeć w twarz swoim krewnym. Straciłbym honor i nie mógłbym się przed nimi pokazać.

Samuraj znajdował się dokładnie w tej samej sytuacji. Spojrzał na deszcz spływający po szybie.

- Słuchaj, Hasekura - zaczął poważnie Tanaka, jakby po długim namyśle - podobnie jak Nishi ja również muszę chyba zostać chrześcijaninem. Nie lubię chrześcijan. Ale w takiej sytuacji nie ma wyjścia. Tak mi się wydaje. W czasie wojny czasem pada człowiek na ręce i na kolana i kłania się z uległością. Ale w sercu się nie zmienia. Wczoraj powiedziałeś mi, co czujesz w tej sprawie.

- Matsuki Chusaku ostrzegął...

- Czy nam pomogą teraz słowa Matsukiego? Matsuki twierdził, że Rada Seniorów wysłała nas w tę podróż, aby zamknąć nam usta w sprawie zwrotu naszych dawnych włości. A to, co trzymało mnie przy życiu przez tę całą drogę, to była obietnica pana Shiraishiego. Chyba Matsuki miał poparcie wrogów Shiraishiego w Radzie... Co o tym myślisz, Hasekura?

- Zostać chrześcijaninem... Nawet jako środek do celu... Wydaje mi się, że byłoby to odwrócenie się od rodu Hasekura i jego przodków...

- Myślę tak samo. Ja też nie chcę odrzucić religii, w którą wierzyli moi przodkowie. Nie chcę wyrzucić jej z serca. Ale wyrazem większej niewdzięczności i nieposłuszeństwa wobec przodków byłoby nieodzyskanie ziemi odziedziczonej po przodkach.

Samuraj starał się opanować, nie dopuścić do całkowitego załamania. Plusk

deszczu nagle przypomniał mu porę deszczową w Dolinie. Dzień po dniu zamknięci w deszczu, mieszkanie przepełnione dziwnymi zapachami, kopące uschłe gałęzie wrzucone do pieca irori, kaszlące dzieci - to pora deszczowa w Dolinie. Rozpada się i osuwa w deszczu ziemia

- Pomyśl o tym, Hasekura.

Samuraj spojrział na figurkę Mężczyzny wiszącą na ścianie. Codziennie w czasie podróży przez wielki ocean kupcy słuchali opowieści Velasco o tym Mężczyźnie. Velasco powiedział, że ten Człowiek umarł, biorąc na siebie ludzkie grzechy. Pan zamku, pokonany w wojnie, z własnej woli odbiera sobie życie, żeby w ten sposób uratować życie swoich wasali - wyjaśnił kiedyś z uśmiechem Velasco. A On umarł, żeby prosić Boga o wybaczenie ludziom, którzy wystąpili przeciw Niemu. Czy wobec tego ten Mężczyzna połączył się z innymi ludźmi i wystąpił przeciw Bogu? Nie, nic podobnego. Ten Człowiek nie popełnił żadnego grzechu. Nigdy nie wystąpił przeciw Bogu. A mimo to umarł poświęcając się dla innych.

Chociaż kupcy nie wierzyli w tę absurdalną historię, kiwali twierdząco głowami. Dla nich taki człowiek nie był niczym więcej niż kamieniem przy drodze, którym można się posłużyć zamiast młotka. Kamień przydrożny można wyrzucić, jeśli przestanie być potrzebny. Jeśli składanie dłoni przed tym Mężczyzną w modlitewnej pozie posłuży rozwojowi handlu z południowymi barbarzyńcami, to kupcy mogą udawać, że się do Niego modlą, a następnie mogą z tego zrezygnować. Tak na pewno kupcy myśleli.

"Czym ja - Samuraj pomyślał i zamrugał oczami - czym ja się różnię od tych kupców? Ten brzydki, wychudły Mężczyzna, bez godności i piękna, tak nędzny, że aż przykro na Niego patrzeć, Mężczyzna istniejący tylko po to, aby Go porzucić, urodził się na ziemi, której nigdy nie widziałem, i zmarł już dawno temu. Nie mam z Nim nic wspólnego."

~ Nie zaprzeczam faktowi przyjęcia chrztu - ojciec Valente westchnął i wstał z krzesła. Ciężko dyszał, aż ruszały się jego ramiona, jakby przykro mu było sprzeciwiać się Velasco. - Ale jednocześnie nie wiadomo, czy tego pragnęli ze szczerego serca.

- Co ojciec ma na myśli?

- Już o tym mówiłem. Gdy rozpoczęły się prześladowania, połowa japońskich chrześcijan rozplynęła się jak mgła. Jeśli prześladowania będą narastać, druga połowa również porzuci wiarę chrześcijańską, jak gdyby nic dla nich nie znaczyła. Zamiast chrzczyć, powinniśmy się zastanowić, jak im pomóc obronić wiarę, zamiast powiększać liczbę krótkotrwałych wiernych w tym okresie prześladowań...

- Przewielebni księża biskupi - Velasco znów wtrącił się jakby nie mógł wytrzymać, mimo że ojciec Valente nie skończył mówić. - Muszę zaprotestować przeciw obraźliwym słowom ojca Valente ze względu na honor tych trzydziestu ośmiu Japończyków, a także posłów, którzy z radością oczekują na przyjęcie naszej wiary. To godne ubolewania, że te słowa wyszły z ust duchownego. Słowa te bowiem obrażają wielu japońskich wiernych, którzy otrzymali chrzest również z rąk ojca Valente.

- Ja ich nie obrażam. Podaję tylko fakty...

- Jeśli to jest prawda - krzyczał Velasco - wobec tego ojciec zapomina, że sakrament chrztu wykracza poza ludzką wolę i przynosi łaskę Boga tym, którzy ten sakrament przyjmują. Nawet jeśli przyjęli chrzest powodując



się nieczystymi motywami, Pan ich od tego dnia nie opuści. Nawet jeśli posłużą się Bogiem dla własnej korzyści. Pan ich nie odrzuci od siebie. A poza tym... - przerwał na chwilę, a następnie ciągnął dalej - myślę o słowach Pana zapisanych w Biblii, którymi oświecił Jana. Kiedy Jan chciał upomnieć tych, którzy leczyli chorych posługując się imieniem Pana, Chrystus powiedział: Kto bowiem nie jest przeciwko wam, ten jest z wami.

Przez ułamek sekundy nagły ból przeszył pierś Velasco, jakby został ugodzony ostrym mieczem. Wiedział, że japońscy kupcy nie wierzyli w jego kazania. I godził się na chrzest przyjęty dla odniesienia korzyści w handlu. Zdawał sobie z tego sprawę, jednak przymykał oczy na wszystko.

- Konferencja biskupów nie jest poświęcona teologicznym debatom na temat chrztu - siedzący na brzegu biskup podniósł rękę i dodał: - Przede wszystkim musimy tu ustalić, czy przybyłe poselstwo jest oficjalnym, czy też prywatnym poselstwem jednego z arystokratów. Lecz najpierw musimy wiedzieć, czy prześladowanie chrześcijaństwa w Japonii jest zjawiskiem przejściowym, czy też będzie trwało długi czas.

- Nie uważam, żeby prześladowania w Japonii były zjawiskiem przejściowym ani też stałym. - Velasco skierował swą uwagę do pytającego biskupa. - Jest faktem, że w Edo, gdzie znajduje się wielki zamek obecnego władcy, i na obszarze jego wpływów chrześcijanie byli prześladowani. Zakon Piotra uważa, że te prześladowania będą trwały nieskończenie długo, my natomiast jesteśmy innego zdania. Na pewno obecny władca nienawidzi chrześcijan, ale nie jest tak głupi, żeby ignorować korzyści z handlu z Manilą i Macao. Jesteśmy zdania, że chętnie złagodzi prześladowania, jeśli Nowa Hiszpania zaoferuje mu korzyści większe niż Manila czy Macao. Mówiłem o tym wiele razy. Chodzi o to, że przez zaoferowanie korzyści temu władcy otrzymamy zgodę, może z pewnymi ograniczeniami, na szerzenie przez nas chrześcijaństwa. To jest mój pogląd. Prześladowania ani nie są przejściowe, ani nie są trwałe. My możemy je przerwać.

- Teraz proszę o pogląd ojca Valente - biskup godząc się jakby z poglądem Velasco zwrócił się do ojca Valente, siedzącego ze złożonymi rękami i spuszczoną głową.

- Sądzę, że prześladowania nie ustaną. - Zakonnik zakasłał i mówił wolno głosem zniekształconym przez flegmę. - Zakaz wyznawania chrześcijaństwa, stosowany w części tego kraju, prawdopodobnie zostanie rozszerzony na cały obszar państwa. Przed dziesięciu laty była jeszcze słaba nadzieja, a to dlatego, że władca, o którym mówił ojciec Velasco, miał potężnego wroga o nazwisku Toyotomi. Lecz ród Toyotomi stopniowo tracił władzę, został odizolowany w mieście o nazwie Osaka, a wkrótce zostanie zapewne pokonany i całkowicie wyniszczony. W Japonii nie ma ani jednego arystokraty, który mógłby się przeciwstawić obecnemu władcy. Na pewno liczy na korzyści z handlu zagranicznego, lecz zamierza zwrócić się raczej do krajów protestanckich. Protestanci obiecują, że przestaną na handlu i że nie będą szerzyć wiary.

- Więc dlatego - Velasco podniósł głos - właśnie dlatego mamy zostawić Japonię protestantom? Przecież handel z Japonią będzie wpływał na znaczenie Hiszpanii na Dalekim Wschodzie...

Dysputa trwała bardzo długo. Ciemności otuliły podwórze Sądu. Biskupi byli zmęczeni, z trudem hamowali ziewanie, poruszali ramionami. Velasco czuł

znużenie w każdej cząstce ciała. Zamknął oczy i wyszeptał do siebie ostatnie słowa, które wypowiedział Chrystus nim wyzionął ducha: Ojcze, w ręce Twoje oddaję ducha mego. Uczyniłem wszystko. Bądź wola Twoja...

Kiedy zszedł ze schodów, wydzielających spleśniałą woń charakterystyczną dla starych klasztorów, usłyszał monotony ochryply głos:

- Samuraj

O Boże pól naszych, witaj nam, usiądź z nami, wieczór już zapadł.

Tę pieśń Samuraj znał dobrze. Na pańskich włościach w czasie sadzenia ryżu śpiewały ją kobiety, które wciskały w ziemię młode pędy. Samuraj zatrzymał się na chwilę i zwrócił się w stronę tego nieudolnego śpiewu. Mężczyzna oparty dotąd o ścianę nagle umilkł, spuścił głowę i znikł w pokoju. Był to służący samuraja Nishi Kyusuke.

Na korytarzu rozległ się gniewny głos Yozó wymyślającego Ichisuke i Daisuke.

- Każdy chce wrócić. Nasz pan również chciałby jak najszybciej wypełnić swoje zadanie... Dlaczego myślicie tylko o sobie?!

Następnie dobiegł odgłos uderzenia gołą dłonią i płaczliwa prośba o wybaczenie.

Samuraj stał w ciemności i słuchał mrugając oczyma. Ichisuke i Daisuke skarżą się, ponieważ chcą już wracać do Doliny. Samuraj dobrze, aż do bólu serca, rozumiał pragnienie służących powrotu do domu, a jednocześnie wiedział, co czuł Yozu, który ich karcił.

"Dlaczego się wstrzymujesz? - Słyszał jeszcze jeden głos w uszach. - Z powodu twojego egoizmu opóźnia się powrót służących do Doliny. Dla dobra sprawy, dla dobra tych ludzi, dlaczego nie mógłbyś zostać chrześcijaninem, choćby tylko dla pozoru?"

- Ty bezczelny egoisto! - I znów rozległo się chłaśnięcie jakby moką ścierką.

"Już dość, już dość, jestem zmęczony" - mówił do siebie Samuraj. To ja byłem egoistą, a nie Ichisuke czy Daisuke.

- Yozó - zawołał cicho. Trzy szare cienie zwróciły się w jego stronę i pochyliły głowy w geście przeproszenia. - Wystarczy, przestań ich karać. Nic dziwnego, że Ichisuke i Daisuke tęsknią do stron rodzinnych. Nawet ja czuję to samo. Ostatnio ciągle mi się śni Dolina... Yozo, zdecydowałem zrobić to samo, co pan Tanaka i Nishi, i zostać chrześcijaninem...

Gdy skończył mówić, trzy cienie poruszyły się, jakby zadrżały.

- Pomoże to spełnić obowiązek w tym kraju i ułatwi wasz powrót do Doliny. Yozo przez chwilę wpatrywał się współczująco w twarz swego pana, a następnie cichym, ledwie słyszalnym głosem powiedział:

- Ja też się nawrócę na chrześcijaństwo.

Kiedy w oddzielnym pokoju biskupi podejmowali decyzje, Velasco siedział na twardym drewnianym krześle w małym przedpokoju i szeptał: "Boże, wszystko jest w Twojej mocy. Jeśli, Panie Boże, nie odtrącisz Japonii, nie' wyrzucisz ze swego rozległego świata, i jeśli poniesiesz krzyż również dla Japonii, to ja uczynię, co postanowisz.

Japonia. Przebiegła Japonia. Japonia będąca chytrą nad chytrą.

Niepokonana w walce Japonio! Jesteś taka, jaką opisał cię ojciec Valente. W

tym kraju nie ma cienia tęsknoty poszukiwania bytów wieczystych, wykraczających poza świat człowieka. To prawda. Ani jednej pary uszu w tym kraju, które chciałyby Ciebie wysłuchać. To prawda. Pokutują, udają, że słuchają, lecz w duchu myślą o czym innym. To prawda. Jeśli jaszczurce utniesz ogon, on znów odrasta. Tego wyspiarskiego kraju, przypominającego jaszczurkę, czasami nienawidziłem, ale silniejsze było pragnienie pokonania go, choćby tylko dlatego, że jest właśnie taki. Właśnie dlatego, że nie daje się pokonać zbyt łatwo, chcę z nim walczyć".

Drzwi do przedpokoju zaskrzypiały. Stał w nich Don Luis, kuzyn Velasco, trzymający kapelusz o szerokim rondzie, ociekający deszczem. Bawiąc się rondem kapelusza spojrział ze współczuciem na swego kuzyna.

- Biskupi już odeszli.

- Czy jest szansa na naszą wygraną? - zapytał Velasco, odejmując dłoń z twarzy i wdychając jak człowiek bardzo zmęczony.

- Nie wiem. Biskup Seroin i jego grupa ostro się sprzeciwiali, lecz biskup Salvatierra mówił, że nawet jeśli posłowie nie są oficjalni, powinni być traktowani z należytą kurtuazją.

- Czy to oznacza, że dostaną rekomendację i król udzieli im audiencji?

Luis wzruszył ramionami nie mogąc nic pewnego powiedzieć.

- W każdym razie coś musi się zdarzyć, co mogłoby poruszyć serca biskupów.

- Czy biskupi zmiękną, kiedy Japończycy przyjmą chrzest?

- Nie wiem. Musisz spróbować wszystkich środków, jakie są dostępne. A my ci pomożemy.

## Rozdział 7

W pierwszym rzędzie od ołtarza siedzieli Tanaka, Samuraj i Nishi, za nimi ich służący, również gotowi do przyjęcia chrztu. Po obu stronach ołtarza siedzieli ojcowie chrzestni: wuj Velasco i jego kuzyn, dalej znajdowali się zakonnicy w brązowych habitach, przepasanych nad biodrami. W katedrze panował niebywały tłok, ponieważ zezwolono wszystkim wiernym brać udział w ceremonii, miejsca siedzące i stojące zostały całkowicie zajęte aż po drzwi wejściowe, głównie przez członków rodu Velasco i ich przyjaciół.

Tanaka siedział z zamkniętymi oczyma. Nishi wpatrywał się w migocące, ruchliwe płomienie niezliczonej liczby świec ustawionych przed ołtarzem. Od czasu do czasu rozlegało się siąkanie nosem, pokasływanie Yozó i innych służących. Samuraj zastanawiał się, o czym oni teraz myślą siedząc w kościele.

Miał wrażenie, że śni: w Dolinie puszysty śnieg muska go po twarzy, gdy z chłopami ścina drzewo przygotowując się do nadchodzącej zimy. W domu zaś przy palenisku przytakuje nie kończącym się żalom wuja. To wszystko zdarzyło się przecież tak dawno. Wtedy nawet przez myśl mu nie przeszło, że będzie musiał jechać w tak dalekie strony i że zostanie ochrzczony przez południowych barbarzyńców w ich kościele. Jak bardzo wstrząśnięci byłiby jego stryj i żona, gdyby to wszystko mogli zobaczyć na własne oczy, lecz nie potrafił nawet wyobrazić sobie ich twarzy.

Ukazał się chłopiec w szkarłatnej szacie pod białą komżą ze świecą w ręce. Następnie wszedł biskup kościoła franciszkanów, a za nim Velasco i inni kapłani, którzy przyklęknęli przed ołtarzem. Na znak dany przez ojców chrzestnych Japończycy - zgodnie z wcześniejszymi wyjaśnieniami - uklęknęli na starej, popękanej marmurowej posadzce.

Modlitwa w niezrozumiałym dla nich języku łacińskim ciągnęła się nieskończenie długo. Samuraj patrzył przed siebie na wielki krzyż wiszący za ołtarzem, patrzył prosto w twarz ukrzyżowanego, wychudłego Mężczyzny. "Ja... Ja nie potrafię się modlić do Ciebie" - wyszeptał przepraszająco Samuraj mrugając oczyma. "Dlaczego ci południowi barbarzyńcy otaczają Ciebie taką czcią? Podobno umarłeś biorąc na siebie ciężar ludzkich grzechów, lecz nic na to nie wskazuje, żeby dzięki temu życie ludzi stało się lepsze. Dobrze wiem, jak nędznie żyją chłopcy w mojej Dolinie. Nic się dla nich nie zmieniło, chociaż dla nich umarłeś."

Samuraj myślał o zimie w Dolinie, gdzie wiatr hulał pośród stłoczonych chat. Przypominał sobie opowieści o chłopach, którzy w czasie głodu, gdy już wszystko we wsi zjedli, opuszczali domy i szli w nieznaną w poszukiwaniu pożywienia. Velasco mówił, że ten godny politowania Mężczyzna zbawi ludzi, ale co znaczy "zbawi", Samuraj nie wiedział.

Przez ostatnich kilka dni od rana do wieczora Velasco przygotowywał Japończyków do ceremonii chrztu. Uczył ich podstaw nauki chrześcijańskiej i wciąż opowiadał o życiu tego wychudzonego Mężczyzny. Wszystko dla Japończyków było bardzo odległe i wprost niewiarygodne. Niektórzy z nich z trudem tłumili ziewanie, inni natomiast drzemali, siedząc z pochylonymi głowami. Na twarzy Velasco pojawił się gniew, kiedy spostrzegł śpiących, lecz nie dał po sobie poznać, co czuł, pokrywając twarz wątlym uśmiechem. Życie Jezusa, o którym opowiadał Velasco, wydawało się Japończykom czymś dziwnym. Urodziła go matka, która nie miała kontaktu, z mężczyzną, w dodatku urodziła go w stajni, a dopiero potem w tajemnicy została żoną cieśli. Jezus od początku wiedział, że ma zostać królem i zbawiać ludzi i narody, dlatego słuchając głosu niebios opuścił strony rodzinne, uczył się życia w ascezie od kapłana o imieniu Jan. W końcu wrócił do domu, otoczył się wielu uczniami i zadziwił ludzi swoimi uczynkami, nauczał, jak mają żyć, aby osiągnąć szczęście. Z powodu dużej popularności spotkał się z zawiścią Zakonu i kapłanów, przeszedł rozmaite cierpienia i udręki. Przyjmował je jako wolę niebios, poddawał się im bez sprzeciwu. W końcu został skazany na śmierć, chociaż był niewinny. Pochowany w grobie, po trzech dniach jednak zmartwychwstał i wstąpił do nieba.

Samuraj nie mógł zrozumieć, dlaczego taki mężczyzna jak Velasco wierzył w tak absurdalne historie. Nie tylko zresztą Velasco, lecz także wszyscy południowi barbarzyńcy wierzą w to, że tak rzeczywiście się stało. To dziwne, że nawet w Japonii znaleźli się ludzie, którzy przyjęli tę niepoważną naukę.

- Wszyscy wiecie, jak trudno jest człowiekowi uniknąć grzechu. I w zależności od tego czy człowiek chce sam siebie zbawić, czy też poleca się opiece Jezusa, rozchodzą się ludzkie drogi, Kapłani z Jerozolimy, którzy nienawidzili Jezusa, fałszywie wierzyli w to, że osiągną zbawienie dzięki własnej sile. Chrześcijanie jednak wierzą, że do Raju Prawdy dostaną się tylko dzięki pomocy Jezusa. Bowiem Jezus wziął na siebie nasze najcięższe grzechy z własnej woli, dlatego cierpiał i poszedł na

męki. Samuraj bezmyślnie słuchając słów Velasco, ukradkiem spoglądał na Tanakę siedzącego z zamkniętymi oczyma, i na Nishiego. "To wszystko tylko dla dobra sprawy, dla wypełnienia obowiązku" - słowa Tanaki odżyły w uszach Samuraja. "Zmartwychwstał po śmierci. Kto mógłby w to uwierzyć."

- Wszyscy boicie się śmierci. I opłakujecie nietrwałość tego świata.

Kapłani w Japonii mówią o możliwości transmigracji, nazywają to metempsychozą. Lecz my w chrześcijaństwie uczymy o odrodzeniu się w raju na wyżynach, podobnie jak odrodził się Jezus. Jest to możliwe tylko dzięki Jezusowi. Z wiarą i siłą przekonywania mówił o mocy, która pozwoli nam wydostać się z błota grzechu, i o nadziei, która pozwoli nam uniknąć śmierci.

I dlatego nazywamy Jezusa królem, który nami kieruje - mówił Velasco.

W tym miejscu nagle przerwał, i dalej mówił szeptem, chcąc poruszyć serca słuchaczy.

- Czy chcecie żyć na tym świecie z wiarą w reinkarnację i metempsychozę, czy też pragniecie odrodzić się w raju, gdzie czekają na was liczne nagrody? Czy jesteście przekonani, że droga do zbawienia prowadzi przez czynienie dobra, jak zresztą uczą japońscy kapłani? Czy przyznajecie, że wasze siły są niewystarczające i dlatego oczekujecie miłosierdzia Jezusa? Jeśli potraficie określić, która z dróg jest drogą mądrości, a która drogą głupoty, wtedy odpowiedź wasza będzie jasna, jednoznaczna.

Skąd jednak Velasco może wiedzieć, że niebo obdarzyło Jezusa tajemną cudowną mocą? Odpowiadał, że o tym wiadomo było już przed narodzinami Chrystusa, dzięki słowom Bożym przekazywanym z dawien dawna.

"To tylko w celu wypełnienia naszej misji - powtarzał sobie Samuraj. -

Wszystko ma służyć wypełnieniu naszego zadania."

Spośród grupy ludzi stojących po obu stronach samurajów wystąpiło do przodu trzech ojców chrzestnych i dało znak gestem, aby Tanaka, Samuraj i Nishi podeszli do ołtarza. Zbliżyli się do nich księża: z jednej strony biskupa stał Velasco z naczyniem napełnionym wodą, z drugiej zaś ksiądz trzymający srebrną łyżkę.

Lekka poruszyły się wargi biskupa, starannie odżywionego i dobrze wyglądającego mężczyzny. Biskup pytał po łacinie o coś, czego Tanaka, Samuraj i Nishi nie rozumieli. Velasco pospieszył z tłumaczeniem na japoński. Szepnął do nich aby odpowiedzieli: "Wierzę".

- A ty? - pytał biskup - czy wierzysz w Pana naszego Jezusa Chrystusa?

- Wierzę.

- Czy wierzysz w zmartwychwstanie Pana Jezusa Chrystusa i w żywot wieczny?

- Wierzę.

Za każdym razem gdy Velasco przynaglał do odpowiedzi, Tanaka, Samuraj i Nishi odpowiadali po prostu "wierzę", powtarzali za nim jak głupie papugi.

Tak przynajmniej pomyślał Samuraj, który odczuwał coraz silniejszy żal. "To nie z potrzeby serca, tylko z obowiązku i konieczności wypełnienia misji" -

mówił do siebie. Zrobiło mu się gorzko i smutno, jakby w jednym momencie zdradzał stryja, ojca i Riku. Czuł taką odrazę, jaką przeżywa kobieta zmuszona do spania z mężczyzną, którego ani nie kocha, ani nie ceni.

Kiedy trójka mężczyzn pochyliła głowy, biskup wziął do ręki srebrną łyżkę i polał wodą ich czoła. Na oczy i nos Samuraja spływała woda i spadała do

naczynia, które trzymał Velasco. Był to chrzest. Dla Japończyków tylko formalność, dla Kościoła - niewzruszony sakrament.

Jezus Deus, amor meus Cordis aestum imprime Urat ignis urat amor  
Od strony wejścia do katedry rozległ się szmer. To parafianie zaczęli razem modlić się z wdzięcznością za to, że japońscy posłowie ugięli się przed chwałą Boga. Biskup wręczył posłom świece z drgającymi płomykami i odesłał ich na poprzednio zajmowane miejsca wraz z towarzyszącymi im z obu stron krewnymi Velasco, którzy pełnili rolę ojców chrzestnych. Samuraj zauważył, że stojący obok Velasco patrzył na nich i na modlących się wiernych z typowym dla siebie uśmiechem.

"To tylko formalność - powiedział do siebie z goryczą Samuraj, trzymając złożone dłonie. - Nie powiedziałem, że wierzę z całego serca. Z biegiem czasu zapomnę ten dzień. Zapomnę wszystko, co zdarzyło się w tym dniu..."  
Za przykładem swoich panów podeszli do ołtarza służący i pochylili głowy nad naczyniem z wodą.

Gdy wszyscy wstawali z miejsc, podnosili się również Tanaka, Samuraj i Nishi, a kiedy wszyscy klękali - klękał też Samuraj i jego towarzysze. Po ceremonii chrztu rozpoczęła się msza. Biskup rozpostarł ramiona przed ołtarzem i czytał z mszału, następnie pochylił głowę przed chlebem i kielichem. Była to ceremonia przeistoczenia chleba w Ciało Chrystusa, a wina - w Jego Krew, ale Japończycy nie rozumieli znaczenia sakramentu. Zachowanie biskupa wydało im się dziwne i tajemnicze. Klęczący obok nich Velasco wyjaśnił szeptem:

- Właśnie ten chleb jest Ciałem Pana. Złóżcie więc hołd Jego Ciału i Krwi, tak jak ja to czynię.

W katedrze panowała głęboka cisza. Biskup wziął palcami białe, cienkie i małe opłatki i po cichu wypowiadał jakieś słowa modlitwy. Mnisi i księża klęczeli z nisko opuszczonymi głowami. Samuraj i jego towarzysze nic z tego nie rozumieli, wiedzieli tylko jedno, że przyszła dla nich uroczysta chwila.

"Chodzi tylko o formę - powtórzył do siebie Samuraj, zamiast się modlić. - Nie mam chęci modlić się do tego żalostnego Mężczyzny."

Zadzwieczał dzwonek. W milczeniu i ciszy biskup położył Chleb, wziął w obie ręce szczerozłoty kielich i podniósł go ponad głowę. W tej chwili wino przeistoczyło się w Krew Chrystusa.

"Chodzi tylko o zwykłą formalność - powtórzył Samuraj, opuszczając głowę na wzór innych wiernych. - Ja w nic nie wierzę."

Samuraj sam sobie się dziwił, że tyle uwagi poświęca temu wychudłemu Mężczyźnie, którego dłonie przybito gwoździami do krzyża. Jeśliby chodziło tylko o formę, nie byłoby chyba potrzeby powtarzać tych samych słów tyle razy. Nie musiałyby doznawać uczucia tak gorzkiego jak smak płynu żołądkowego, podchodzącego do gardła. Nie miałby powodu odczuwać tak głębokiego smutku, jakby rzeczywiście zdradził swego ojca, stryja i żonę Riku.

Zamrugał oczyma i potrząsnął głową tak, żeby nie dostrzegli tego ani Velasco, ani ojcowie chrzestni. Potrząsając głową chciał pozbyć się z serca nastroju niechęci. Starał się siebie przekonać, że i tak o wszystkim zapomni i dlatego nie ma powodu do lęku.

Zakończyła się wreszcie długa ceremonia chrztu. Biskup, Velasco i jego wuj jako ojciec chrzestny wyciągnęli przed siebie ręce i uściśniły dłonie

posłów, i przez dłuższą chwilę nie przerywali uścisku, chcąc zapewne, żeby ten gest został dobrze zauważony i rozumiany przez zebranych. Gdy Japończycy skierowali się ku drzwiom wyjściowym, spadło na nich kilka bukietów kwiatów, rzuconych od strony ławek zajętych przez wiernych. Velasco tłumaczył słowa życzeń, wypowiedzianych przez zebranych w katedrze. - Niech kraj wasz, Japonia, stanie się krajem Boga. Deszcz nadal moczył brukowane drogi na zboczach wzgórz Madrytu. Posłowie chodzili z Velasco składać wizyty różnym dygnitarzom i arystokratom. W powozie Velasco wyjaśniał wielokrotnie, jak ważne jest dla nich poparcie takich ludzi. Chociaż dobrze wiedział, że czyni to dla dobra powierzonej mu misji, wychowanemu w Dolinie Samurajowi wielką przykrość sprawiało schyłanie głowy przed dygnitarzami i wygłaszanie długich podziękowań. Zwłaszcza podczas obiadów czy kolacji posłowie musieli spędzać wiele godzin w napięciu, żeby nie stracić autorytetu, tym bardziej że nie rozumieli ani słowa z prowadzonych rozmów. Wysilek psychiczny i różne przykrości towarzyszące wizytom i posiłkom były jeszcze do zniesienia w porównaniu z głupimi pytaniami o Japonię, zadawanymi przez odwiedzających ich dygnitarzy i kler. Gdy rozumieli, że Japończycy są traktowani tak samo jak Indianie Nowej Hiszpanii, posłowie poczuli się urażeni.

- Cieszymy się, że możemy gościć Japończyków, którzy odrzucili przesady buddyjskie oraz pogańskich bogów i uwierzyli w naszego Pana. Gdy duchowni wypowiadali protekcyjnie takie słowa, Samuraj wyczuwał w nich dumę bogaczy łaskawie wspomagających żebraków. W każdym razie nie sprawiało mu przyjemności pogardliwe traktowanie Buddy, otaczanego czcią przez jego ojca, stryja i żonę Riku.

"Nie jestem chrześcijaninem - wyszeptał i zamrugał powiekami. - Nigdy nie będę modlił się do Chrystusa, przed którym oni padają na kolana."

Skoro jednak przyjęli chrzest w obecności świadków, musieli codziennie uczestniczyć w mszy odprawianej w klasztornej kaplicy. W chłodne poranki, jeszcze przed ostatecznym załamaniem się nocy, rozlegał się głos dzwonu, wtedy Japończycy stawali w szeregu za mnichami trzymającymi świece, a następnie szli długim korytarzem do kaplicy. Przy ołtarzu, oświetlonym tylko świecami, stał Mężczyzna z rozpostartymi ramionami. Ksiądz cicho intonował po łacinie słowa liturgii, potem podnosił nad głowę Chleb i święty kielich. Za każdym razem Samuraj przypominał sobie Dolinę. Przypominał sobie te chwile, kiedy szedł na groby ojca i innych członków rodu. "To nie jestem ja. To nie jest moja prawdziwa dusza" - mówił do siebie.

- Czy nie sprawia ci przykrości, że zrobiono z ciebie chrześcijanina? - spytał cicho Nishiego po zakończeniu mszy.

Nishi roześmiał się beztrąsko.

- Wszystko dla mnie jest nowe i ciekawe, i msza, i pieśni kościelne, i organy. Kiedy słucham pieśni i muzyki organowej, wydaje mi się, że jestem pijany. Dobrze rozumiałem, że nie można lekceważyć chrześcijaństwa, jeśli się chce poznać i zrozumieć Zachód.

- Wobec tego, czy zacząłeś się modlić do tego Mężczyzny? - zapytał zazdroszcząc młodości i zainteresowania światem Nishiemu, nie znajdującemu niepokoju, jaki on przeżywał.

- Nie, nie czuję potrzeby modlenia się do tego Mężczyzny. Lecz... nie mogę powiedzieć, że nie podobała mi się msza. Takich uroczystości nie ma w

świątyniach shintoistycznych ani buddyjskich w Japonii.

Velasco czuł się dumny. Księża bowiem zaczęli okazywać sympatię dla ochrzczonych Japończyków i z każdym dniem wzrastała liczba głosów uznających ich za oficjalnych posłów.

- W rezultacie - mówił - dwór również z czasem wyrazi wolę udzielenia oficjalnej audiencji u króla. Wtedy też zostanie zaakceptowany i przyjęty list do wielmożnego pana, a prośba w nim zawarta spotka się z należyłą uwagą - wyjaśniał.

Jeśli to prawda, wkrótce będą mogli wrócić do kraju. Na myśl o tym serca Samuraja i jego towarzyszy przepełniła radość, jaka ogarnia chłopów w czasie topnienia śniegu w Dolinie na początku długo oczekiwanej wiosny po ciężkiej zimie.

- Przyjęcie chrztu zostanie wam wynagrodzone - rzekł Velasco z właściwym mu uśmiechem. - Nasz Pan zawsze coś daje tym, którzy przeszli bramę Kościoła.

Przedstawiciele Kościoła w Madrycie od razu odrzucili zadawnione uprzedzenia wobec Japończyków, kiedy dowiedzieli się, że przybyli z krańca świata i przeszli na chrześcijaństwo. Dlatego musieliśmy niemal codziennie odwiedzać duchownych najwyższych rang i przyjmowaliśmy od nich błogosławieństwa. Teraz wszystko obróciło się na naszą korzyść.

Decyzja konferencji biskupów zostanie wkrótce ogłoszona publicznie, a w odczuciu mojego wuja i kuzyna większość biskupów skłania się do poglądu, że wysłannicy z Japonii winni zostać uznani za oficjalnych posłów Japonii i spotkać się ze stosownym potraktowaniem i że należy wystąpić o przyznanie im prawa do audiencji królewskiej. Natomiast ojciec Valente i stojący za nim Zakon Piotra zachowali milczenie. Jeszcze nie wiadomo, czy to złowieszcze milczenie należy rozumieć jako wyraz ich przegranej czy przeciwnie.

- Oni przegrali. I ja też przegrałem w walce z tobą. -

Mój wuj był w dobrym nastroju. - To cecha naszej rodziny walczyć z tym większym uporem im większe są przeszkody, a ty krew przodków odziedziczyłeś w wyjątkowo dużym stężeniu. Niekiedy żałuję, że nie zostałeś politykiem.

Gdy mnie obejmował, pozwoliłem sobie na szczerość.

- Możliwe, że jestem podobny do jednego z uczniów Pana Jezusa, do Jakuba zwanego Synem Gromu. Do owego Jakuba, którego namiętności nie mógł nawet Pan poskromić...

Dzisiaj po zakończeniu narady w sprawie decyzji konferencji biskupów zostawiłem powóz w domu kuzyna i poszedłem pieszo do klasztoru. Brukowaną drogą wciąż jeszcze wilgotną po deszczu wchodziłem już na wzgórze, i wtedy podniosłem głowę, żeby spojrzeć na płynące po niebie chmury. Na poboczu siedziało na becze kilku woźniców i o czymś rozmawiało. Prócz nich nikogo nie było. Sięgnąłem po różaniec do kieszeni, żeby podziękować Panu, jak to zwykłem czynić.

I wtedy to się zdarzyło. Wtedy wydało mi się, że dobiegł skądś śmiech. Był to jakby zduszony śmiech kobiety. Odwróciłem się, lecz ani woźniców, ani nikogo na drodze nie było.

Przez chwilę ogarnęło mnie uczucie pustki i miałem wrażenie, że wszystko,



co dotąd zrobiłem, spadło na mnie jak lawina. Wydało mi się, jakbym to wszystko ujrzał bezpośrednio przed oczyma: wszystkie moje wysiłki jako syzyfową pracę, wszystkie plany pozbawione znaczenia i moją wiarę, która przeistoczyła się w zwykłe samozadowolenie. I znów rozległ się śmiech. Głośniejszy niż przedtem, zwielokrotniony echem.

Nie mogłem się poruszyć. Wpatrywałem się uparcie w niebo, po którym płynęły szare chmury. Pośród nich wyczułem istnienie czegoś, czego nigdy przedtem nie widziałem. Mój własny upadek.

Zadałem sobie pytanie, czy Bóg mnie już nie kocha? Pomyślałem, że Pan mnie opuścił. "Nie wódz nas na pokuszenie - modliłem się. - Teraz i w godzinę śmierci mojej..."

O Boże pól naszych, witaj nam, usiądź z nami. Wieczór już zapadł, witaj nam, przybywaj szybko, A pieśń nasza zabrzmiała inaczej niż dotąd...

Tanaka, Samuraj i Nishi siedzieli na krzesłach i słuchali, jak śpiewał jeden ze służących. Jeszcze nigdy od wyruszenia w podróż nie byli tak szczęśliwi jak teraz. Dotąd na twarzach rysowało się tylko znużenie i rezygnacja, teraz ich oblicza biły blaskiem radości. Już wkrótce zakończy się misja i będą mogli myśleć tylko o powrocie do kraju. Dziś rano bowiem powiedział o tym Velasco z właściwą mu pewnością siebie, powiedział o tym wsiadając do powozu, który miał go zawieźć do gmachu Sądu Inkwizycji.

- W mojej wiosce przygotowują się teraz do święta oczyszczenia - zwykle ponury Tanaka powiedział do Nishiego z radością na twarzy. - "Malowanie tuszem." Po prostu czatujemy na ludzi, którzy spodziewają się złego roku dla siebie, i malujemy ich twarze tuszem. Wedle wierzeń, dzięki temu znika czyhające na nich nieszczęście.

- U nas też jest podobny zwyczaj - powiedział Nishi. - Młodzi mężczyźni mieszają ze śniegiem popiół ze spalonych sznurów słomianych, chodzą od domu do domu i smarują nim twarze komu popadnie. Dorastające dziewczęta uciekają przed nimi, jak tylko mogą, a kiedy skończą zabawę, wszyscy razem powtarzają: "Z kwiatów zawiązały się owoce. Będzie urodzaj". I zaczynają pić sake.

- Ciekawe, czy o tej porze przyszłego roku będziemy już w Japonii - Tanaka przechylił głowę licząc na palcach. - W takim razie trafimy akurat na święto oczyszczenia. Oczywiście, pod warunkiem, że wszystko się tak dobrze skończy, jak mówi Velasco.

- Jestem pewien, że wszystko pójdzie dobrze. - Nishi zwrócił się do Samuraja. - Skoro już mamy nadzieję na powrót, zaczynam odczuwać żal, że będę musiał opuścić ten kraj. Szczerze mówiąc, chciałbym tu zostać, poznać język, zobaczyć więcej i posłuchać różnych rzeczy, wiele się nauczyć i dopiero wtedy wracać do kraju,

- Zazdroszczę ci, że jesteś tak młody - Samuraj się roześmiał. - Pan Tanaka i ja chcielibyśmy wrócić jak najszybciej i znów posmakować zupy sojowej i ryżu. Ostatnio często w snach o moim domu widzę siebie przy posiłku.

W wielkiej sali Sądu Inkwizycyjnego Velasco zajął to samo miejsce obok ojca Valente. Na wprost nich w jednym rzędzie i z taką powagą jak poprzednio siedzieli biskupi w czarnych szatach. Wraz z brzmieniem dzwonka rozpoczęły się obrady.

Siedzący pośrodku biskup powstał z miejsca i trzymając w ręku kartkę papieru o barwie kości słoniowej odczytał, jękając się, decyzję konferencji biskupów.

- Po przestudiowaniu ostatnich raportów ojca Lope de Valente, inspektora Azji z ramienia Zakonu Piotra, i ojca Vrais Luis Velasco z Zakonu Pawła, w dniu trzynastym miesiąca stycznia na podstawie upoważnienia konferencji biskupów Madrytu przedstawiamy następującą odpowiedź zainteresowanym stronom oraz radzie religijnej jego wysokości króla Hiszpanii. Konferencja biskupów akceptuje wniosek ojca Vrais Luis Velasco, aby uznać posłów jako oficjalnych ambasadorów Japonii i zapewnić im przyjęcie zgodne z ich pozycją, zgodzić się na opłacenie kosztów ich pobytu oraz zapewnić im wszelkie środki bezpieczeństwa umożliwiające powrót do Japonii. Co więcej, konferencja przedstawi rekomendację jego wysokości, aby przyznał poselstwu prawo audiencji, proponuje również, aby przywieziony przez posłów list został przyjęty z należytą uwagą.

Ojciec Valente patrzył w podłogę i pokastywał od czasu do czasu jak poprzednio. Z niezrozumiałych powodów zachowywał się tak obojętnie, jakby słuchał słów, które go w ogóle nie dotyczyły. Velasco chciał się odwrócić, żeby spojrzeć za siebie. Jego wuj, kuzyn i inni krewni słuchali z miejsc przeznaczonych dla publiczności.

"O Panie, składam Tobie wyrazy wdzięczności - zacisnął dłonie leżące na kolanach - Czynisz zawsze dobro. Teraz wiem, że mnie potrzebujesz." Był jednak zdziwiony tym, że nie czuł głębokiej radości. Przeciwnie, w piersiach czuł narastający rodzaj chłodu, jakby fałdy małych fal zwilżały brzeg. Miał wrażenie, że to postanowienie zapadło dawno, dawno temu, i że od początku takie rozwiązanie przewidywał.

- Zanim biskupi ostatecznie zatwierdzą decyzję, gotowi jesteście wysłuchać uwag ze strony ojca Velasco oraz ojca Valente.

Biskup, zwijając papier barwy kości słoniowej spojrzął w dół na obu mężczyzn. Pytanie o uwagi było przyjętym tu zwyczajem, zwykłą formalnością. Po przeczytaniu orzeczenia czy wyroku w Sądzie Inkwizycyjnym nikt już na ogół nie zgłaszał żadnych obiekcji.

Velasco potrząsnął głową.

Ojciec Valente powoli wstał z miejsca, a biskupi spoglądali podejrzliwie, gdy ten duchowny z kieszeni zniszczonego habitu wyjmował złożoną kartkę papieru. Dotknął ręką ust, odchrząknął i zaczął cicho mówić.

- Zanim z należytą czcią przyjmę decyzję konferencji biskupów, chciałbym poprosić o przeczytanie pilnego listu przysłanego generałowi Zakonu Piotra w Madrycie przed tygodniem przez ojca de'Vivero z Macao.

Biskup siedzący w środku wziął od niego list, rozłożył na ławce i zaczął cicho czytać. Ojciec Valente usiadł, opuścił głowę i zamknął oczy. Biskup podał list sąsiadowi. Po przeczytaniu obaj chwilę naradzali się, co należy zrobić.

- Proszę o pozwolenie przeczytania tego listu wszystkim tu zgromadzonym - biskup popatrzył na prawo i na lewo. - Uważamy, że list ma poważne znaczenie dla całej sprawy.

Powstał i zaczął powoli czytać, jękając się jak poprzednio.

- W sytuacji Japonii zaszły nowe zmiany. Po pierwsze, chociaż nasi wrogowie Anglicy często i przedtem przekazywali władcy Japonii różnego rodzaju oszczerstwa na temat naszego kraju, tym razem

władca ich wysłuchał i oficjalnie uznał stosunki handlowe z Anglią i przygotowując się do zerwania handlu z Luzonem i Macao dał zgodę Brytyjczykom na budowę factorii w Hirado, w południowo-zachodniej Japonii. Po drugie, pewien magnat z okręgu północno-wschodniego, który dotąd zachowywał się dość tolerancyjnie wobec naszej działalności misyjnej - ten sam magnat, który ostatnio posłał misję handlową do Nowej Hiszpanii - zaczął prześladowania chrześcijan. Zgodnie z informacjami, które do nas dotarły, niewielką grupę wiernych umęczono na śmierć. Uważamy, że ten magnat uczynił tak, aby zaprzeczyć pogłoskom na temat zamiaru połączenia jego sił z nami w celu obalenia japońskiego władcy.

Velasco usłyszał śmiech. Ten sam śmiech, który rozległ się kilka dni temu, gdy na wzgórzu szedł mokrą po deszczu drogą, przy której siedzieli na beczce woźnice, ten sam zdławiony śmiech kobiety. Wtedy ten śmiech uniósł się w górę i zniknął w popielatych chmurach płynących po niebie. Teraz taki sam śmiech zabrzmiał w jego uszach.

O Boże pól naszych, witaj nam, usiądź przy nas. Wieczór już zapadł, witaj nam, przybywaj szybko A pieśń nasza zabrzmiała inaczej niż dotąd...

Pieśń służących urwała się nagle.

Velasco stał w drzwiach, budził litość był jakby zmoczony do suchej nitki.

Oczy Japończyków skupiły się na nim.

- Pan Velasco! - uradowany Nishi zerwał się z krzesła. - Wszyscy czekamy na dobrą wiadomość. - I wskazał Velasco krzesło, na którym dotąd sam siedział.

Velasco uśmiechnął się jak zwykle. Lecz tym razem uśmiech był wątyły i smutny.

- Szanowni posłowie - odpowiedział bezsilnym głosem - muszę wam powiedzieć o czymś, co się wydarzyło.

Samuraj nie spuszczał wzroku z Velasco. Starając się słumić w sercu złowieszcze przecucie, odwrócił się w stronę swoich służących, którzy siedzieli grzecznie na podłodze. Wszyscy wyczuwali coś nieprzewidywanego i z lękiem patrzyli na Velasco.

- Co się stało? - zapytał Samuraj drżącym głosem i dając znak gestem, żeby Nishi pozostał w pokoju, wyszedł za Velasco, Tanaka powstał również. Trzech mężczyzn szło bez słowa korytarzem słabo oświetlonym popołudniowymi promieniami zimowego słońca, a następnie skryło się w pokoju Velasco. Szczelnie zamknięte za nimi drzwi nie otwierały się długo, jakby miały pozostać zamknięte na zawsze. Z pokoju służących nie dochodził już śmiech ani śpiew.

Tego wieczoru wcześniej wygaszono światła w klasztorze. Budynek, w którym mieszkali Japończycy, tonął w gęstej ciemności i ciszy tak głębokiej jak śmierć. O godzinie jedenastej nocny strażnik, otulony szerokim płaszczem, niosąc żelazną latarnię w jednej ręce, a pęk kluczy w drugiej, wolno szedł stukając jak zwykle drewniakami po oblodzonej drodze na zboczu. Kiedy doszedł do rogu ulicy, zwrócił się w stronę uspijonych domów i jakby coś sobie przypomniał nagle zawołał:

- Hart dado las once y sereno!

Płomień stojący na stole świecy rzucał drżący cień na twarz Velasco, pozbawioną pewności siebie, zmizerowaną, naznaczoną przygnębieniem pokonanego mężczyzny.

- Straciliśmy nasze nadzieje - szepnął głucho Velasco. Trzech posłów wpatrywało się w płomyk świecy tak, jakby miał wkrótce oddać ostatnie tchnienie. Płomień trzepotał się rozpaczliwie jak ćma, która wyczerpała siły.

- Nie pozostało nam nic innego, tylko wracać do Japonii. Pieśń o sadzeniu ryżu, którą przed chwilą śpiewali służący, zabrzmiała cicho w uszach Samuraja. Śpiewali ją upojeni radością nadziei, radością powrotu do stron rodzinnych. Do swojej Doliny. Teraz zmieniło się tam wszystko. Japonia w końcu wprowadziła w życie ten edykt. Zakaz wyznawania chrześcijaństwa równocześnie oznacza rezygnację z handlu z Nową Hiszpanią. Wobec tego powierzona im misja i uciążliwa podróż stają się daremnym wysiłkiem, pozbawionym wszelkiego sensu.

Długa podróż. Rozległe, wielkie morza. Spalone słońcem równiny Nowej Hiszpanii. Słońce jak biały dysk. Gołe pustkowia, naznaczone tylko agawami i kaktusami. Wioski omiatane wiatrem. Wszystko to pojawia się kolejno pod powiekami, ledwie zamajaczy i już znika. W jakim celu? W jakim celu? Po co to wszystko? Te słowa brzmią w uszach Samuraja, powtarzają się monotonicznie w jednostajnym rytmie jak odgłos bębna.

Młody Nishi Kyusuke szlochał. Nie mógł znieść żalu i gorzkości, i opanować drżenia pleców.

- Czy straciliśmy już wszystkie nasze nadzieje? - zapytał słabym głosem Tanaka.

Velasco nie odpowiedział. Ten południowy barbarzyńca również walczył z własnym cierpieniem.

- Czy to prawda, co w tym liście napisano?

- Myślę, że prawda. Żaden ksiądz nie przesłałby kłamliwych wiadomości.

- Mógł być źle poinformowany.

- Myślałem o tym również. Lecz w odległym od Japonii Madrycie nie ma sposobu sprawdzenia tych informacji. Kto wie, może do Rzymu, gdzie przebywa papież, doszły inne wieści...

- Wobec tego pojedę do Rzymu, nawet jeśli miałby się znajdować na końcu świata - Tanaka wyrzucił z siebie te słowa jednym tchem. Velasco odjął od twarzy obie dłonie.

- Pojedziecie do Rzymu?

- Nie wiem, co zamierzają Hasekura i Nishi. Lecz ja, właśnie ja nie mogę wracać do Japonii z pustymi rękami. Gdybym chciał wracać, wsiadłbym na statek w Nowej Hiszpanii razem z Matsukim. - Jego głos zabrzmiał jak jęk. - Wytrwałem tę drogę do Hiszpanii tylko z powodu szczerego pragnienia wypełnienia misji. Teraz nie mogę wrócić do Japonii z niczym. Mogę jechać nawet na koniec świata...

Samuraj również był przerażony. I choć wiedział, że Tanaka bardzo pragnął odzyskania dawnych włości - przyjął tę misję pod naciskiem oczekiwań całego swego rodu - naprawdę dopiero teraz zrozumiał, jak gorące i silne jest to pragnienie, to oczekiwanie jego rodziny. Powiedział, że pojedzie nawet na koniec świata. Ale co pocznie, jeśli nie uzyska spodziewanego rezultatu, niezależnie, dokąd pojedzie. Nieprzyjemne przecucie nagle zakiełkowało w

sercu i umknęło jak wielki ptak przelatujący nad Doliną. Jeśli się mimo wszystko nie powiedzie, pozostanie mu tylko jedno wyjście. Jego prostoliniowy charakter nie pozwoli mu dostrzec innej możliwości prześlągnięcia krewnych. Po prostu popełni samobójstwo. Rozetnie sobie brzuch. Patrząc z boku na twarz Tanaki Samuraj starał się odepchnąć od siebie tę mroczną myśl jak najszybciej.

- Co pan robi, panie Hasekura?

- Jeśli pan pojedzie... - zaczął Samuraj i dodał - ja też udam się z panem.

W tym momencie Velasco po raz pierwszy pozwolił sobie na wątpliwy uśmiech.

- Wszystko to wygląda bardzo dziwnie. Przed wyruszeniem w drogę i w czasie podróży wydawało mi się, że idę w innym niż wy wszyscy kierunku. Szczerze mówiąc, czułem, jak bardzo się nie rozumiemy. Nie wiem dlaczego, lecz dzisiaj po raz pierwszy odniosłem wrażenie, jakbyśmy byli związani jednym sznurem. Was i mnie będzie odtąd moczył ten sam deszcz, dąć w nas będą te same porywy wiatru i będziemy szli ramię w ramię tą samą drogą. Takie odniosłem wrażenie.

Zadrgał płomień świecy. Rozległ się głos dzwonu zapowiadający koniec dnia. Samuraj zamknął oczy i zastanawiał się, jak zawiadomi służących, którzy nic jeszcze nie wiedzą, że będą musieli znów udać się w podróż. Z Yozu to sprawa odrębna, lecz trudno mu będzie znieść widok pozostałych dwóch ludzi ponuro wpatrujących się w ziemię. Jak odpływ oddala się ukochany pejzaż Doliny, oddala się zapach domowego ogniska, twarze żony i dzieci.

"Jutro będę musiał im powiedzieć. Dzisiejszej nocy zapomnę o wszystkim i pójdę spać. Jestem już zmęczony."

Tej nocy Samuraj znów widział Dolinę we śnie. Widział dwa białe ptaki przelatujące po zimowym zachmurzonym niebie. Pływały z prądem powietrza, zataczały łagodny łuk i powoli zniżały się w stronę bagien. Wtedy Yozo chwycił strzelbę. Samuraj nie zdążył go powstrzymać. Pośród bezlistnych drzew rozlega się ogłuszający huk wystrzału, przelotny ptak nagle traci równowagę, staje się czarnym wirem i spada w bagno jak kamień. Samuraj wpatruje się w Yozó poprzez obłok gryzącego dymu i czuje jak ogarnia go gniew. Żałosny mord - chciał powiedzieć, lecz zacisnął wargi. - Dlaczego zabiłeś? Przecież te ptaki, podobnie jak my, muszą wrócić do dalekiego kraju...

Japończycy i ja przypominamy wędrujących nomadów szukających dla siebie spokojnej ziemi. Jak wędrowcy wypatrujący domu w ciemną deszczową noc. Syn człowieczy nie ma miejsca, gdzie by głowę mógł położyć - te słowa naszego Pana każdej nocy pojawiały się w moim sercu po opuszczeniu Madrytu. Natychmiast po ogłoszeniu decyzji konferencji biskupów ludzie zaczęli nas traktować chłodno. Nikt już nie zapraszał, nikt nas nie odwiedzał. Nawet przeor klasztoru, w którym mieszkaliśmy, napisał list do diecezji uskarżając się, że dłuższe wypożyczenie części budynku Japończykom utrudnia życie zakonnikom.

Jedynie wuj i jego rodzina trochę nam pomagali. I ku naszemu zdziwieniu pewien ksiądz, który dotąd odnosił się do nas chłodno, teraz stał się sojusznikiem. Przeciwstawiał się temu, by chrześcijańscy Hiszpanie odnosili się wrogo do Japończyków nawróconych na wiarę chrześcijańską niezależnie od

sytuacji i zwrócił się o pomoc dla nas do wpływowego kardynała rzymskiego Borghese. Dlatego, chcąc nie chcąc, mój wuj przygotował dla nas żaglowiec udający się z Barcelony do Rzymu oraz dwa tysiące dukatów, lecz uczynił to pod warunkiem, że jeśli Watykan nie spełni naszych życzeń, ja zrezygnuję z dotychczasowych zamiarów i osiadę spokojnie w klasztorze w Nowej Hiszpanii lub na Filipinach.

W wietrzny dzień opuściliśmy Madryt, przekroczyliśmy wyschniętą wyżynę Guadalajara, minęliśmy tak bogate miasta jak Saragossa i Cervera, i dotarliśmy do Barcelony.

Było zjżno i wietrznie. Gdy patrzyłem na Japończyków odbywających tę podróż w milczeniu, czułem w sercu ból z powodu niewysłowionego żalu i winy. Ich twarze nie zdradzające nastrojów sprawiały mi tym większą przykrość. Zacząłem myśleć o sobie, jak o jednym z fałszywych proroków Izraela wyprowadzających lud na włóczęgę bez celu. Nawet jeśli dojdziemy do Rzymu, i tak nie mogę mieć żadnej pewności, że Watykan nas powita, a tym bardziej, że spełni nasze życzenia. I Japończycy, i ja szliśmy przed siebie, licząc jedynie na cud.

Byliśmy załamani. Podobni do koczującego szczepu, wędrującego przez pustynię dziś i jutro w poszukiwaniu zwodniczego źródła wody. Chociaż tego nie wypowiadają, noszą w sercu żal, uważają się za zdradzonych przez ich wielmożnego pana i Radę Seniorów, którym tak wierzyli. Podobnie ja tłumiłem w sobie ból, jaki sprawiała mi myśl, że Pan Bóg mnie i moje marzenia porzucił. Wydało mi się, że dopiero teraz między zdradzonymi i porzuconymi zrodziła się w końcu przyjaźń ludzi liżących rany, współczujących sobie. Poczulem, jak bardzo ci Japończycy są mi bliscy. Czułem, że zrodziły się między posłami i mną prawdziwe więzy solidarności, jakich dotąd nie znałem. Do dnia dzisiejszego posługiwałem się wielu sposobami, starając się nimi kierować dla swych skrytych celów. Wykorzystywałem ich słabość: nieznajomość języka kraju, do którego się udawaliśmy. Oni ze swej strony chytrze usiłowali posłużyć się mną dla wypełnienia misji. To oddalenie obojętnych serc - między mną a posłami - dziś chyba już zniknęło.

Czy jednak Chrystus naprawdę mnie opuścił? Gdy patrzyłem na popielate niebo rozciągające się nad nami, wspominałem smak samotności, jaki przeżywał Pan, czując się opuszczony przez Boga Ojca. To prawda, Chrystus wcale nie odbywał podróży pełnych chwały i szczęścia. Wędrował przez Transjordanie, a także poprzez różne miasteczka od Tyru do Sydonu jako wygnaniec, pośród niezrozumienia i drwin. I dziś, i jutro, i dnia następnego - ze smutkiem rzekł wtedy Pan - muszę iść dalej. Dawniej te żałośnie smutne słowa Pana nie wywierały na mnie głębokiego wrażenia. Lecz teraz, jadąc z Japończykami do Barcelony, myślałem o cierpiącym obliczu wypowiadającego kiedyś te słowa.

I dziś, i jutro, i dnia następnego muszę dążyć do celu. Lecz czy Japończycy potrafią znieść tak rozpaczliwą sytuację? Szczyptę radości wydarto im z korzeniami, muszą więc znów odbywać długą podróż do nieznanego kraju. Nie dziwiłbym się, gdyby się mną rozczarowali, mieli do mnie żal, czy nawet nienawiść. Nigdy o tym nie wspominali. Przestali się uśmiechać, rozmawiali coraz rzadziej. Widząc, jak w milczeniu szli za mną, często siebie potępiłem. I tak w Barcelonie wsiedliśmy do małej, nędznej brygantyny - tego dnia na morzu padał lodowaty deszcz.

Drugiego dnia burza zmusiła nas do szukania schronienia we francuskim

porcie Saint-Tropez. Mieszkańcy tego miasteczka, zdumieni pierwszym spotkaniem z Japończykami, powitali nas ciepło, ofiarowując nocleg w miasteczku miejscowego feudała. Pan i pani tego zamku, a także mieszkańcy nie mogli opanować przyjaznego zaciekawienia, i dlatego przez cały dzień przypatrywali się wszystkim, nawet najdrobniejszym gestom i ruchom Japończyków. Dotykali szat posłów, chcieli też popatrzeć na miecze i mówili, że są podobne do tureckich szabli wygiętych na kształt półksiężyca. Nishi Kyusuke kładł na ostrzu kawałki grubego papieru i przecinał je jednym spokojnym ruchem miecza, co wywoływało okrzyki podziwu. Przeczekaliśmy burzę i opuściliśmy Saint-Tropez, lecz w ciągu zaledwie dwóch dni pobytu w miasteczku ponure dotąd twarze Japończyków rozjaśniły się uśmiechem wątlm jak zimowe słońce.

Kiedy jednak Saint-Tropez zniknęło z pola widzenia i roztoczył się widok śródziemnomorskiej wody, na twarzach skulonych na pokładzie Japończyków znów pojawiła się melancholia. Zwłaszcza kiedy ujrzałem oblicze Hasekury przyglądającego się morzu w samotności, zrozumiałem, że podróżuje teraz bez najmniejszej nadziei na powodzenie. Jego mina wyrażała całkowitą rezygnację wobec losu, tak charakterystyczną dla postawy Japończyków.

- Nikt nie wie, co przyniesie jutro - rzekłem do niego. - Przecież nawet w czasie deszczu może zaświecić słońce, dlatego nikt chyba nie może powiedzieć, że nic się nie odmieni na lepsze, kiedy dotrzemy do Rzymu. Ja do ostatka nie tracę nadziei. Nie znamy wyroków Boskich.

Mówiąc te słowa spojrzałem w stronę horyzontu. I zapewne podniosłem na duchu nie tyle Hasekurę, co swoje wymęczone i przygnębione serce. Szczerze mówiąc przestałem już rozumieć intencje Boga. Nie mogłem pojąć, czy Bóg akceptuje, czy też może odrzuca moją wolę siania ziaren nauki Pana.

Jedynym, ostatnim, moim oparciem było przeświadczenie, że człowiek nie może przewidzieć niezgłębionej woli Boga. To, co dla nas wydaje się zastoje, w historii Boskiej może być cennym ziarnem lub też fundamentalnym kamieniem dla przyszłych sukcesów. Myśl tę powtarzałem każdej nocy w czasie modlitwy. Lecz to nie wystarczyło, żeby pocieszyć i uspokoić moje serce.

"O Boże - wołałem teraz w głębi serca - oświeć mnie! Czy chcesz, żebym porzucił Japonię? Czy też mówisz mi, żebym do końca nie tracił nadziei? Chciałbym wiedzieć.

Przede mną panuje cisza. Bóg wciąż milczy skryty w głębokiej ciemności. Chwilami słyszę jedynie ten śmiech. Jak gdyby głos śmiejącej się kobiety.

Bóg jest ośrodkiem ładu wszystkich rzeczy, jest również celem dziejów. Pod powierzchnią historii człowieka ustala bieg wydarzeń zgodny z własną wolą. O tym również wiem dobrze. Jednak w tej Boskiej historii nie ma miejsca dla moich marzeń, zamiarów i czynów ani dla Japonii. Czy wobec tego jestem zwykłym wyrzutkiem czy zawadą?

Ale przecież nawet Chrystus w ciągu swego życia poznał smak rozczarowania, taki sam, jaki ja teraz przeżywam. Kiedy wisząc na krzyżu zawołał: Eloi, Eloi, lama sabachthani, niewątpliwie nie mógł pojąć woli Pana Boga, podobnie jak ja teraz nie pojmuję. Przed wydaniem ostatniego tchnienia, Chrystus przewyciężył rozczarowanie. W Twoje ręce, Panie, powierzam siebie - jak dziecko skierował do Boga słowa ufności. - Wiem o tym. I chciałbym umieć tak postępować."

- Panie Velasco.

Nagle zwrócił się do mnie Hasekura, przerywając rozmyślania. Mówił z wahaniem, jak wierzący, który otwiera przed księdzem tajemnice swego serca.

- Chciałem o to zapytać już dawno. Jeśli po przyjeździe do Rzymu nie spełni się nasza nadzieja, czy wtedy pan pozostanie w Hiszpanii?

<- Ja... Ja wrócę z wami do Japonii. Poza Japonią nie ma już dla mnie ojczyzny. Teraz myślę, że to właśnie Japonia jest bardziej moim krajem niż strony rodzinne czy miasto, w którym się wychowałem. - Mówiłem kładąc nacisk na "mój kraj". - Pójdę razem z wami do samego końca.

- Panie Velasco, czy pan tego nie rozumie? Jeśli w Rzymie nasze nadzieje ostatecznie się rozwieją... - Hasekura zdecydowanie wyrzucił z siebie wszystko, co dotąd starannie ukrywał - pan Tanaka popełni harakiri. - Żeby już nie powtarzać tego drugi raz, odwrócił wzrok w stronę popielatego morza i zamilkł.

- Jeśli jest chrześcijaninem, nie może sam odebrać sobie życia, które otrzymał przecież od Boga - odpowiedziałem drżącym głosem.

- W sercach nie jesteśmy chrześcijanami. Chrześcijaństwo przyjęliśmy bez przekonania, dla wypełnienia misji.

Po raz pierwszy Hasekura odniósł się do mnie chłodno, jak nigdy dotąd. Jakby chciał się na mnie zemścić.

- Dlaczego ma popełnić samobójstwo? To nie miałoby żadnego sensu.

- Jeśli pan Tanaka tego nie zrobi, nie będzie mógł zachować twarzy. Nie będzie mógł z godnością spojrzeć w oczy swoim krewnym i bliskim.

- Co to jest twarz? Co to jest godność? Ja, Velasco, dobrze wiem, jak wiele wycierpieliśmy dla spełnienia powierzonej nam misji. O wszystkim powiem waszemu panu i waszej Radzie Seniorów jako świadek tej podróży.

- Panie Velasco, pan nie zna Japończyków - Hasekura westchnął głęboko. Hasekura odszedł, a ja pozostałem na pokładzie w nastroju bardziej mrocznym niż barwa morza. Tanaka natomiast rozmawiał o czymś ze służącymi na brzegu pokładu. Nic w jego postaci nie wskazywało, żeby mógł zrobić, to, o czym wspominał Hasekura.

Wieczorem drugiego dnia po opuszczeniu Saint-Tropez dostrzegliśmy w oddali Genuę w królestwie Savona. Ukazało się białe miasteczko na tle żółtobrązowych wzgórz, skąpane w białych promieniach słońca. W środku wznosiła się szarzejąca wieża. Wskazałem na tę wieżę i powiedziałem postom i ich służącym, że mężczyzna, który tutaj się urodził, nazywający się Krzysztof Kolumb, przepłynął ocean w poszukiwaniu kraju złota na Dalekim Wschodzie i że tym krajem złota, którego poszukiwał, była właśnie Japonia. Mijamy portowe miasteczko Genua, jedyny zakątek oświetlony popołudniowym słońcem, wszędzie zapadł już mrok. Oparty o balustradę myślałem o złotym kraju, podobnie jak Kolumb. Dla niego był to tajemniczy kraj skarbów, który chciał podbić, dla mnie natomiast ten wyspiarski kraj jest drogocenną krainą, w której chciałbym siać ziarna nauki Boga. Kolumb szukał kraju złota, ale go nie znalazł, ja tam dotarłem, ale mnie złoty kraj nie przyjął. "Japonio! Jakże dumna jesteś! Kraju, który wiesz, jak brać, niczego nie dając."

Przez pięć dni płynęliśmy na południe wzdłuż brzegów Italii, zbliżając się do Civitavecchia, zewnętrznego portu Rzymu. Przybiliśmy tam nocą. Przez mgłę padał deszcz. Na przystani, zasłutej mgłą, błyszczącej od deszczu, kilku mężczyzn trzymało latarnie, stojąc cierpliwie jak zjawy przy czterech



powozach. Przysłał ich kardynał Borghese. Z postawy witających, poprawnej ale chłodnej, mogłem wyczytać stopień zakłopotania. Na nocleg przydzielono nam co prawda zameczek Santa Severa, należący do kardynała Borghese, lecz nie potraktowano nas w żadnym razie jak posłów zagranicznych.

Nie było wątpliwości, jakiego rodzaju listy i jakie instrukcje w naszej sprawie przysłało z Madrytu. Co noc budziłem się i myślałem tylko o naszej sytuacji.

Delegacja posłów japońskich zachowywała się skromnie i spokojnie. Wszyscy mężczyźni byli niscy, mieli opalone twarze. Tanaka, Hasekura i Nishi mieli krótkie płaskie nosy, a długie włosy na głowie związane białą wstążką. Powiedzieli, że jest to znak rycerzy japońskich. Wychodząc na dwór zakładali ciemnofioletowe szaty japońskie, na co dzień zaś nosili mnisie habity, na szyi małe kołnierzyki, a na głowach hiszpańskie kapelusze. Ich miecze, zarówno długie, jak i krótkie, były bardzo ostre i lekko zakrzywione. W czasie posiłku posługiwali się dwiema pałeczkami bardzo zręcznie, z apetytem jedli zupę z kapusty i cebuli.

(Z Dziennika wdowy Costo z Genui).

Te same podejrzliwe spojrzenia, jakimi witano nas w Madrycie. Powtarzanie tych samych pytań, te same odpowiedzi. Przez ostatnich kilka dni tu, w Civitavecchia, przesłuchiwał mnie ojciec Cossuda-cudo, prywatny sekretarz kardynała Borghese i Monsignore Don Padło Alla Leone. Od początku moje opinie wielokrotnie nie zgadzały się z ich zdaniem. Twierdzili, że nie ma nadziei na działalność misyjną w Japonii i dlatego nie można wysłać tam misjonarzy, podczas gdy ja twierdziłem, że wciąż pozostała nadzieja, która zależy tylko od dania Japończykom korzyści z handlu i zademonstrowania, że nie mamy wobec nich agresywnych intencji. Oni ze swej strony przekonywali mnie, że Watykan utrzymywał tradycję nieingerencji w wewnętrzne sprawy polityczne innych państw i twierdzili, że papież nie ma prawa obalenia decyzji króla Hiszpanii. Ja znów przekonywałem, że chodzi tu o nawracanie na chrześcijaństwo, dlatego papież nie powinien pozostawić japońskich chrześcijan, którzy teraz stracili księży i kościoły, na wieczną izolację.

Posłowie, nie znając języka, nie brali udziału w dyskusji, mogli jedynie w zimnym zamku Santa Severa dowiadywać się ode mnie o rozwoju wydarzeń. Nawet najbardziej optymistyczne słowa czy przypuszczenia nie mogły rozpromienić ponurej twarzy Tanaki i Hasekury. Nic dziwnego. Już nazbyt często przeżywali rozczarowania. Nishi miał wysoką gorączkę. Ten mężczyzna, który starał się ze wszech sił być pogodny i przeciwnie niż pozostali Japończycy młodzieńczo rozciekawiony, teraz nie mógł już przewyciężyć zmęczenia ducha i ciała. Podobnie jak ja czuł się zupełnie wyczerpany. Gdy patrzyłem na jego senną twarz, która wyglądała młodziej niż wskazywały lata, wydawało mi się, że nic go już nie obchodzi, co się w przyszłości zdarzy. Musieliśmy czekać jeszcze dwa albo trzy dni do decyzji kardynała Borghese. Piątego dnia zostałem wezwany do willi tego kościelnego dostojnika w Palidoro. Paraliżowała mnie sama myśl o przesłuchaniu prowadzonym przez słynnego purpurata, krewnego papieża Pawła V, jednego z najzdolniejszych ludzi w Watykanie, ale jednocześnie miałem słabą nadzieję, że ten człowiek mógłby zrozumieć mój żarliwy stosunek do Japonii i znaczenie misyjnych wysiłków w tym kraju.

W gabinecie z widokiem na dobrze utrzymany ogród i staw, po którym pływały

kaczki, kardynał w pelerynie na ramionach i czerwonym birecie powitał mnie siedząc na krześle. Przybyłem tu celowo w habicie spłóviałym w ciągu długiej podróży. Czego miałbym się wstydzić? Pomyślałem bowiem, że podobnie jak zabłocone mundury oznaczają krwawą bitwę żołnierzy, tak ten skromny strój wyraża ciężary szerzenia chrześcijaństwa w Japonii, jakich nie doświadczył ten wysoki duchowny Rzymu. I chociaż pokornie przyklęknąłem przed nim i ucałowałem pierścień, zaraz uniosłem głowę niemal wyzywająco.

- Wstań, mój synu. - Kardynał Borghese udawał, że nie dostrzega mojej postawy. Przypatrywał mi się jednak uważnie, gdy tak stałem, lecz mówił głosem łagodnym i spokojnym, jakby zwracał się do siebie. - Watykan zawsze jest sprawiedliwy, czyni wysiłki, aby osądzać bezstronnie. Wydaje się nam, że wiemy o tym, jak ty i twój zakon walczyliście w Japonii o szerzenie wiary. W każdym razie nie przyjęliśmy dosłownie oskarżeń, jakie spadły na ciebie.

Odrzucił pelerynę, wyciągnął wielką i ciężką rękę, i położył na moim ramieniu. I, jak mi się zdawało, ciągle uważnie mi się przyglądał, czekając na moją reakcję.

- Watykan bardzo gorąco pragnął, aby wasze wysiłki dały w Japonii owoce. Pragnął bardziej niż czegokolwiek, aby światło Pana Naszego dotarło właśnie do kraju zwanego Japonią, w którym toczyłeś walkę. - Kardynał w tym miejscu przerwał, następnie oczyma barwy winogron wpatrywał się w moją twarz. - A teraz chcę ci powiedzieć, żebyś był dzielny. Nalegam, abyś był cierpliwy.

Przez mgnienie czułem się pokonany pod wpływem głosu kardynała. Jego winogronowe oczy i głos wyrażały czułość i miłość ojca zwracającego się do syna. Był chyba świadomy efektu tej gry. Po chwili spostrzegłem, że kardynał Borghese zachowuje się jak chytry polityk, a nie osoba duchowna.

- Musisz zrozumieć - pouczał trzymając rękę na moim ramieniu. - Watykan chciałby uniknąć posyłania misjonarzy do tych krajów, w których są prześladowania. Podobnie jak generałowie, którzy nie posyłają na bitwę żołnierzy, gdy wiedzą, że walka jest przegrana...

- Nie - odzyskałem równowagę duchową - wasza wielebność, uważam, że Japonia nie jest polem bitwy nie rokującej nadziei zwycięstwa. Jeśli nasze wysiłki misyjne nie zakończyły się sukcesem, to tylko z powodu niedojrzałej taktyki stosowanej przez Zakon Piotrowy. Misjonarze różnią się od żołnierzy. Śmierć żołnierzy bywa bezsensowna. Śmierć męczeńska misjonarza jest zasianym ziarnem niewidocznym dla ludzi. Ziarnem manifestującym chwałę Pana...

Kardynał lekko się uśmiechnął. Był to gorzki uśmiech starego nauczyciela zwracającego się do rozgniewanego chłopca.

- Masz rację. Dawniej, w czasie prześladowań w Rzymie, pierwszy papież, Piotr, przez swoje męczeństwo zasiał te niedostrzegalne ziarna w sercach ludzi.

- Pan nasz nie bał się śmierci na Golgocie.

- To, co mówisz, jest prawdą.

Kardynał wciąż powtarzał, że mam rację. Lecz nagle uśmiech zniknął z jego warg, a rysy twarzy się wyostriły.

- Nie żyjemy w epoce Pana Jezusa i jego apostołów, mój synu! Mamy teraz wielką organizację. Ponosimy więc odpowiedzialność za Kościół chrześcijański i jego narody. Gdy jest organizacja, musi mieć swoją

politykę, dzięki której może uchronić się przed rozpadem. Gdy ład jest utrzymany, wierni Kościoła chrześcijańskiego mogą wierzyć z ufnością, nawet jeśli coś wygląda na tchórzostwo czy niekonsekwencję.

- W Japonii również są wierni, chociaż liczba ich niewielka. Dla obrony wiary muszą opuszczać domy, porzucać majątki i ukrywać się w kopalniach lub w górach.

Przypomniała mi się twarz zalęknionego mężczyzny podobnego do żebraka, proszącego, żebym go wypowiadał na budowie w Ogatsu. Nie wiem, czy on jeszcze żyje, czy już umarł. Lecz dla dobra takich ludzi jak on muszę kardynałowi powiedzieć coś, czego nie mogę przemilczeć.

- Tamci chrześcijanie już nie mają kościoła. Nie ma tam też misjonarzy podnoszących ich na duchu, dających przykład do naśladowania i siłę. Jeśli Watykan jest wielką matką broniącą swoich wiernych dzieci, to czyż oni również nie mają prawa do czułego objęcia jej ramion? Czyż oni teraz nie są podobni do jagnięcia, które oddaliło się od stada, opisanego w Biblii?

- A jeśli poszukiwanie tego jednego jagnięcia naraża na niebezpieczeństwo wiele owieczek... - mówił ze smutkiem kardynał - wtedy pasterz musi je opuścić. Nie ma innego wyjścia, jeśli się chce bronić organizacji.

- To mi przypomina arcykapłana Kajfasza i jego słowa, które wypowiedział po ukrzyżowaniu Chrystusa. Dla obrony całego narodu trzeba poświęcić jednego człowieka i nie ma innego wyjścia. Tak powiedział wtedy Kajfasz.

- Tak, dla arcykapłana Kajfasza ład i bezpieczeństwo były bardzo ważne. Dla tego celu poświęcił Pana Jezusa w ofierze.

Kardynał odwrócił głowę. Włożył czerwony biret, otulił się wielką peleryną i przez dłuższy czas milczał. Nie miałem wątpliwości, że rozgniewałem tę wpływową osobistość Watykanu. Nie czułem jednak lęku. Świat nazbyt często pragnie ładu i bezpieczeństwa.

- Masz rację. - Na twarzy kardynała, który zwrócił się do mnie, pojawiło się znużenie, a może smutek, w każdym razie nie gniew. - Mój synu! Nie chcę się zgadzać ze słowami arcykapłana Kajfasza. Lecz Pan wtedy nie miał jeszcze organizacji, a Kajfasz ją miał. Ci, którzy mają organizację, zawsze postępują jak Kajfasz, muszą poświęcić jednostkę dla obrony większości. Nawet my, którzy wierzymy w Pana od momentu stworzenia Kościoła i ustanowienia organizacji, znaleźliśmy się w sytuacji arcykapłana Kajfasza. Nawet święty Piotr dla dobra organizacji religijnej musiał opuścić swego towarzysza Stefana i narazić go na śmierć przez ukamienowanie.

Stałem cicho, bez ruchu i słuchałem. Nigdy nie przypuszczałem, że tego rodzaju sądy wyjdą z ust kardynała. Pochylił głowę i powiedział z przykrością, cicho, jakby mówił sam do siebie:

- To zawsze było powodem cierpienia dla mnie.

- Czy to się nazywa sprawiedliwością organizacji?

- Tak.

- Czy Watykan zawsze tak postępuje?

- Tego nie wiem. Ale w granicach mojej odpowiedzialności, nie mam wyboru i muszę przyjąć postawę Kajfasza wobec wiernych w Japonii. Jednak... proszę nie myśleć, że w chwili podejmowania takiej decyzji nie czuję w sercu smutku i żalu. Ktoś musi wziąć na siebie ten rodzaj udręki.

Kardynał podniósł głowę. Jego twarz, jeszcze przed chwilą jaśniejąca pewnością siebie, teraz strasznie wykrzywiona, wyglądała żałośnie. Nie znalazłem właściwych słów, ponieważ wciąż nie wiedziałem, co naprawdę czuje kardynał. Trudno mi było uwierzyć, że tak poważna osobistość może uskarżać się na własne cierpienia tak szczerze i bezpośrednio.

- Oczywiście, ja wiem, że niezupełnie jest to zgodne z nauką Pana o miłości... Być może inni kardynałowie wystąpią przeciw tego rodzaju opinii. Ale na razie nie mogę zmienić swego zdania.

- Dlaczego? Dlaczego jego eminencja popiera coś, co nie jest zgodne z nauką Pana o miłości?

Byłem tak podniecony, że omal nie zapomniałem, iż przede mną znajduje się kardynał.

- Wobec tego, dlaczego Pan Jezus umarł na krzyżu? Wielebny ksiądz kardynał oświadczył, że dla dobra organizacji. Lecz do dziś wierzyłem, że Watykan nie jest organizacją państwową. Że wykracza poza państwowe granice, myślałem, że jest ponadnarodową wspólnotą miłości. Kardynał Borghese przyglądał się mojemu wzburzeniu z wyrazem zmieszania. Zacisnął palce na krzyżu, wiszącym na piersi, jakby się wahał, czy ma coś powiedzieć czy nie, następnie się zdecydował i rzekł:

- Mój synu, czy wierzysz, że można realny świat pokonać jedynie za pomocą miłości?

- Jezus był samą miłością.

- Ponieważ kierował się miłością, został pozbawiony życia przez świat polityki. To jest smutne, bowiem organizacja nie może uciec od świata polityki. Watykan nie może więc podejmować żadnych kroków, które mogłyby osłabić siłę narodów katolickich.

- Jaki to ma związek z działalnością misyjną w Japonii?

- Protestantyczne kraje, takie jak Anglia i Holandia również zabiegają o wpływy w Japonii. I właśnie dlatego nie chcemy pogłębiać w Japonii nienawiści do krajów katolickich, do Hiszpanii i Portugalii, z powodu działalności misyjnej. Moim zdaniem będzie korzystniej zarówno dla Hiszpanii, jak i Portugalii nie prowokować władcy Japonii, wycofać się i obserwować rozwój sytuacji przez pewien czas. Watykan nie jest jednostką izolowaną. Jako organizacja odpowiada za przeciwstawianie się narodom protestanckim i popieranie katolickich. Człowiek Miłości został zamordowany z powodu miłości.

Kardynał wypowiedział te słowa tak, jakby wypluwał gorzką truciznę. Wpatrywałem się w jego czerwony biret i szeroki płaszcz: symbole jego urzędu.

- Mój synu, musisz zrozumieć.

To był punkt kulminacyjny mojej długiej podróży.

- Odtąd będę się modlić za ciebie i za Japonię. Ukłoniłem się nisko i opuściłem pokój. Kardynał pozostał w fotelu i patrzył w okno. Nie mogłem wiedzieć, o czym myślał.

Z zamku Santa Severa, zanieczyszczonego przez gołębie i mokrego od deszczu, wyszła grupka obdartusów. Japończycy wzięli do środka Nishiego, chcąc go w ten sposób podtrzymać, aby nie upadł, i wolno schodzili w dół. Samuraj idący na czele razem z Tanaką i Velasco od czasu do czasu odwracał się, jakby niepokojąc się o młodszych współtowarzyszy, i cierpliwie na nich

czekał. Gdy podróżował przez Nową Hiszpanię pod palącymi promieniami słońca, nawet w ich marszu wyczuwało się siłę, teraz, kiedy nadzieje się rozwiały, wszyscy z trudem wlekli się nogą za nogą. Nikt nie myślał, że sytuacja ulegnie zmianie na lepsze w stołecznym mieście zwanym Rzymem. Wszyscy dobrze wiedzieli, że ta podróż nie ma większego sensu, niezależnie od tego, dokąd się udadzą: do Rzymu czy jakiegokolwiek innego kraju. Musieli jednak doprowadzić do jakiegoś zakończenia. W przeciwnym razie nie mieliby pretekstu do powrotu. Podróż, którą odbywali, zwodzeni kolejnymi iluzjami, dochodziła do finału.'

Nadeszła wiosna. Migdałowce, zieleniejące tu i ówdzie na polach, pokryły się bladonoróżowymi płatkami kwiatów. Jakiś chłop w pobliżu drogi zawzięcie kopał motyką. Zaskoczony niespodziewanym widokiem, podniósł głowę i przyglądał się dziwacznej procesji. Myślał chyba, że przybysze pochodzą z gorącego kraju, ponieważ noszą długie, jakby arabskie ubrania, a włosy mają związane z tyłu głowy. Rzucił motykę i pobiegł do domu.

Ani białe kwiaty jabłoni, ani śpiewające ptaki nie wzbudziły w sercu Samuraja żadnych wzruszeń. Nie miał ochoty na wspomnianie wiosny w Dolinie. Po prostu poddał się ruchom konia postępującego za Velasco. Ileż to już razy - zastanawiał się - został zdradzony przez tego człowieka. Karmiony wielokrotnie nadzieją po to, żeby ją znów całkowicie utracić. W wyczerpanym ze zmęczenia sercu, nawet nie odczuwał nienawiści do tego misjonarza. Wydawało mu się, że Velasco, podobnie jak on sam, był mężczyzną godnym politowania.

Gdy mijali jakąś wioskę, stojący przy drodze wieśniacy przypatrywali im się z przerażeniem, a niektórzy pokrzykiwali coś wesoło, lecz Japończycy parli przed siebie z obojętnymi minami, niczego nie dostrzegając. Wyglądali po prostu na kondukt żałobny.

O zmierzchu padał wiosenny deszcz, a kiedy zaczęło się rozpogadzać, wchodzili już na szczyt Torre Vecchia. Wieczne Miasto zasnuwała lekka mgła, Tybr wił się sennie, w oddali ukazało się wzgórze Pincian otulone jasnozielonym lasem, brązowawe domy piętrzyły się jeden nad drugim, wieże licznych kościołów wpijały się w niebo.

Velasco zatrzymał konia na wzgórzu i jakby z obowiązku wskazał na Colosseum i Forum Romanum, lecz tym razem Japończycy nawet nie poruszyli głowami na znak, że widzą.

- A tam jest Watykan, gdzie rezyduje papież.

Okrągła biała kopuła prześwitywała między brązowymi domami. Po okrągłym placu ludzie chodzili jak mrówki.

W końcu Japończycy dotarli do Rzymu. Gdy stąpali po brukowanej drodze, mokrej jeszcze po niedawnym deszczu, najpierw pojawiły się za nimi dzieci. Następnie dołączyli się dorośli, którzy nie mogli opanować zaciekawienia. Po długich schodach posłowie weszli do Campidoglio i zniknęli wewnątrz klasztoru Ara Coeli. Gdy drzwi się za nimi zamknęły, nie pokazali się więcej. Rozeszła się pogłoska, że to poselstwo z Węgier, i wtedy tłum stracił zainteresowanie.

Cały ten tydzień Rzym, pośród oznak deszczowej wiosny, czekał na Wielkanoc.

W kościołach ołtarze okryto żałobnym fioletem z powodu śmierci Jezusa, wygasły też płomienie świętych świec, wszyscy modlili się o zmartwychwstanie Ukrzyżowanego. Tylko wokół wizerunków Matki Bożej migotało mnóstwo świec, przed którymi wieczorem gromadził się tłum mężczyzn i kobiet

i odmawiał litanie. Nikt z modlących się nawet nie wspomniał, że widział Japończyków wychodzących z klasztoru Ara Coeli.

W wielkanocny poranek, jeszcze przed świtem, na placu Świętego Piotra w Watykanie zaczęły pojawiać się sylwetki wiernych, tworzyli grupy i ustawiali się w szeregu. Były to pielgrzymki mężczyzn, a także mnisi przybyli z dalekich stron. Zatrzymywali się przed Bazyliką i na coś czekali. W mlecznej mgłę ludzie cierpliwie znosili chłód poranka - słyszało się ich nieustanny cichy głos modlitwy. Nim mgła się rozproszyła, prawie cały plac wypełnili pielgrzymi i mnisi, a na kamiennych schodach stali w szeregu młodzi gwardziści w srebrzystych hełmach i czerwonych mundurach z lancami skierowanymi ukośnie w bok od siebie.

O godzinie ósmej rozległ się głos pierwszego dzwonu. Na ten znak kolejno rozdzwoniły się dzwony na wieżach wszystkich kościołów Rzymu. Rozpoczęło się święto Wielkanocy. Przed wejściem na plac zrobiło się tłoczno od wytwornych powozów, należących do arystokratów zaproszonych na uroczystą mszę. Moźni przechodzili przez tłum i znikali jeden za drugim w Bazylice.

Tuż przed dziewiątą otwały się boczne drzwi z prawej i lewej strony Bazyliki. I wtedy zgromadzeni na schodach pielgrzymi i mnisi rzucili się do wejścia, chcąc dostąpić łaski błogosławieństwa z rąk Ojca Świętego.

Napierający tłum powstrzymywali lancami gwardziści formując kolejkę. !! Wielka Bazylika, wspierająca się na murowanych kolumnach, wypełniła się ludźmi po brzegi, już nigdzie nawet stopy nie można było postawić.

Kardynałowie, w ozdobionych złotem nakryciach głowy, siedzieli po obu stronach ołtarza i czekali w milczeniu na pojawienie się papieża. Złocisty ołtarz, od wczoraj udrapowany fioletowym płótnem, dziś został ozdobiony mnóstwem srebrnych świeczników. Z honorowego miejsca przeznaczonego dla wyższych duchownych kardynał" Borghese obojętnie patrzył w dół na głowy klęczącego tłumu, w którym nikt nie śmiał zakaszleć. Rozległ się szmer od wejścia. Wielkie drzwi frontowe, którymi przychodzi papież, teraz się otwały. Zabrzmiała muzyka organowa, a watykański chór zaintonował wielkanocną Vidi aquam.

- Pontifice nostro! Pontifice nostro! - krzyk z kąta Bazyliki przetoczył się przez wszystkich zebranych i podchwycony przez zgromadzonych na placu stał się teraz jednym wielkim wołaniem.

- Pontifice nostro! Pontifice nostro!

W tym momencie sylwetka Pawła V ukazała się w polu widzenia jak rzeźba na dziobie statku wyłaniającego się spośród fal. W palankinie niesionym przez kilku duchownych widać było papieża w białej szacie i wysokiej mitrze trzymającego z trudem uniesioną w górę rękę. Błogosławił tłum entuzjastycznie go witający i przesuwając się powoli przez ludzkie morze w stronę Bazyliki Świętego Piotra.

- Oremus pro Pontifice nostro - zaintonowała grupa mnichów znajdująca się w jednym zakątku tego ludzkiego morza. Błoto na ich ubogich habitach dowodziło, że przebyli długą drogę, aby uczestniczyć w tym wielkanocnym święcie.

- Dominus conserveto eum.

Papież zwrócił w stronę mnichów zadowolone oblicze i pobłogosławił ich znakiem krzyża. Na ten widok nastąpiło poruszenie i rozpadły się równe dotąd szeregi wiernych. Ci, którzy chcieli choćby o krok przybliżyć się do palankinu i także otrzymać błogosławieństwo, natarli i przebili się przez

pierwsze szeregi. Jednak pałankin papieża, unoszony jak łódka na morzu, oddalił się od napierających ludzi i wpłynął do Bazyliki. Gdy powoli wznosił się po kamiennych schodach, gwardia w srebrnych hełmach i czerwonych uniformach utworzyła zapórę, aby powstrzymać tłum pielgrzymów. I wtedy pałankin został wessany przez główne wejście Bazyliki Świętego Piotra.

W tym momencie w całym kościele jak grzmot potężnej lawiny zabrzmiał śpiew chóru. Alleluja na cześć Pana. Silne niskie głosy męskie uderzyły wysoko w sufit kopuły i ogromne ściany.

Alleluja, Alleluja, Confitemini Domino.

Gdy przechodzili z pałankinem, klęczący po obu stronach arystokraci, duchowni i pielgrzymi podnosili głowy, aby zobaczyć znak błogosławieństwa czyniony ręką wystającą z czysto białej szaty papieskiej, a następnie wszyscy razem niby kłosa pszenicy chylili się z nabożną czcią. Z przodu, w absydzie, dwunastu kardynałów reprezentujących Apostołów powstało na powitanie zbliżającego się pałankinu, zadrgały płomienie w wielu dziesiątkach srebrnych lichtarzy. Wszystko było przygotowane na rozpoczęcie uroczystej mszy, celebrowanej przez papieża Pawła V.

Nagle wśród tłumu z lewej strony kilka osób powstało z klęczek. Podbiegło do mijającego ich pałankinu i wtedy jedna z nich zawołała coś głośno, a były to pierwsze słowa przerywające milczenie, jakie zgromadzeni w Bazylice usłyszeli.

Papież podniósł prawą rękę i przybliżył do twarzy, a następnie w milczeniu czynił nią znak krzyża. Powstrzymał jednak ruch ręki, kiedy u dołu ujrzał pełen napięcia wzrok trzech mężczyzn. Spostrzegł, że ich twarze były brązowe jak u Arabów, nosy małe, a włosy związane z tyłu głowy. Azjaci. Nie wiedział jednak, z jakiego pochodzili kraju. Mieli na sobie szaty sięgające stóp odzianych w białe, jakby krótkie skarpetki i jakieś dziwaczne sandały. Papież domyślił się, że jeden z nich o coś prosił, lecz nie rozumiał języka.

- Jesteśmy Japończykami! - krzyczał Tanaka jak szalony. - Przepłynęliśmy morza, jesteśmy posłańcami z Japonii!

Trzech mnichów usiłowało Japończyków odciągnąć od pałankinu, lecz oni nie dali się ruszyć z miejsca, zaparli się, jakby wrośli w ziemię.

- Bardzo prosimy! - Nie wiedzieli, co mają mówić. Nie mogąc opanować uczuć, jakie nagromadziły się im w sercach, podnieśli głowy i spojrzeli na Pawła V. Słowo "petycja" utkwilo im w gardłach. Z oczu Tanaki, Samuraja i Nishiego popłynęły łzy i potoczyły się po spalonych słońcem zapadłych . policzkach.

- Prosimy!

Kiedy trzech Azjaci pochylili znowu nisko głowy z głęboką czcią, trzymający ich z tyłu mnisi rozluźnili uścisk. Zrozumieli bowiem, że to nie szaleńcy ani też ludzie o złych zamiarach.

Papież spoglądał na wiernych klęczących za Azjatami, jakby szukając u nich ratunku. Wyczuł, że ci trzej mężczyźni tak o coś błagają, jakby od tego zależało ich życie lub śmierć. Chciałby się dowiedzieć, o co proszą.

Velasco, kiedy papież spojrział w jego stronę, nie poruszył się nawet. I nie odezwał się. Wśród ludzi wypełniających Bazylikę nikt nie znał japońskiego. I tylko on jeden wiedział, co ci trzej mężczyźni chcą powiedzieć. A mimo to nawet nie drgnął, jakby go coś potężnie przycisnęło do ziemi. Patrzył tylko

uparcie na otyłego, spokojnego papieża siedzącego w palankinie. Na tego starego człowieka w białych szatach, wyczekująco wznoszącego palce ozdobione drogocennymi kamieniami. W sercu Velasco rozległ się szept. "Nikt z was nie rozumie rozpaczy tych Japończyków. Nikt z was nie rozumie goryczy, jaką przeżywałem podczas walki.

którą prowadziłem w Japonii." Uczucie bliskie mściwości zamknęło mu mocno usta. Kiedy papież pojął, że nikt mu nie powie, o co proszą ci mężczyźni, popatrzył na nich ze smutkiem. Nie mógł przecież z powodu tych Azjatów opóźnić ceremonii święta Zmartwychwstania, na którą czekają wierni świata. Nie mógł pozostawić bez opieki całego stada owieczek z powodu jednego baranka. Niosącym palankin cicho dał rozkaz, żeby szli dalej.

- Prosimy... - Tanaka, Samuraj i Nishi zawołali po raz ostatni. Jakby lekceważąc ich błagania, palankin ruszył z miejsca. Papież z uśmiechem na twarzy znakiem krzyża, błogosławił arystokratów i duchownych. Wszyscy jednocześnie podnosili głowy, a następnie opuszczali w dół. Przed ołtarzem kardynał Borghese schylił się, witając zbliżający się papieski palankin.

Velasco czekał na kardynała w mrocznym pokoju w Bazylice Świętego Piotra. Nie domagał się spotkania z kardynałem, lecz został przez niego wezwany. Pokoik, jak większość pomieszczeń w tym budynku, był cichy, zimny i pogłębiał uczucie samotności. Podłoga wyłożona marmurem, sufii. ozdobiony freskiem przedstawiającym Michała Archanioła z włócznią, unoszącego się na szeroko rozpostartych wielkich skrzydłach, był popękany i nie miał tej siły wyrazu co dzieła Michelangelo.

Velasco wiedział, dlaczego kardynał go wezwał. Po całym Rzymie rozeszła się już wiadomość, jak niestosownie zachowali się japońscy posłowie, a on, Velasco, ich nie powstrzymał, więc to rozumiałe, że jest również odpowiedzialny.

"Jak mogłem ich wtedy powstrzymać... ?"

Velasco najlepiej znał ciężkie przeżycia Japończyków, dlatego nie zamierzał ich powstrzymać, gdy wyskoczyli z tłumu i rozpaczliwie wołali. On również wraz z nimi chciał się poskarżyć papieżowi, wypowiedzieć swą gorycz i wyświadczyć się z wszystkich dręczących myśli. Nie miał nic na swoją obronę, gdyby został potępiony przez kardynała Borghese. Zresztą nie czułby żalu.

Z oddali dobiegł odgłos kroków. Kardynał w tym samym czerwonym birecie i szerokiej pelerynie przyprowadził młodego, wyglądającego prostodusznie księdza, WSzedł do komnaty nie kryjąc zmęczenia rysującego się na twarzy i od razu usiadł na krześle.

- Wiem, dlaCzego ksiądz kardynał dzisiaj mnie wezwał. - Velasco pochylił się nad wyciągniętą dużą tłustą dłonią i z własnej woli zaczął się usprawiedliwiać. - Wiem, że jestem odpowiedzialny za zachowanie Japończyków. Ale ja, który znam ich cierpienia...

- Nie wezwałem cię, żeby potępić. - Kardynał przerwał tłumaczenia Velasco. - Papież dowiedział się o wszystkim ode mnie i wyraził się o nich z głębokim współczuciem.

Velasco milczał nie podnosząc oczu. Współczucie i żal nic nie kosztują. Ani posłowie, ani on nie przybyli z Japonii znajdującej się na krańcu świata, nie szli stamtąd przez lądy kontynentu tylko po to, żeby usłyszeć



wyraży współczucia i ubolewania.

- Wezwałem cię tutaj... - Kardynał spojrział na Velasco ze smutkiem - żeby się dowiedzieć, czy ocalałeś jeszcze choćby nić nadziei, a jeśli tak, muszę ci poradzić, żebyś się jej pozbył.

- Zrezygnowałem z wszelkiej nadziei po ostatniej rozmowie z waszą eminencją. - Velasco wyczuł w swoim głosie ton sprzeciwu.

- Nie, jeszcze nie zrezygnowałeś - powiedział szeptem kardynał i nachmurzył się. - Bo niczego nie wiesz.

Sekretarz, młody ksiądz towarzyszący kardynałowi, po tych słowach wyjął jakiś dokument z pudełka.

- To list od gubernatora Filipin, przyszedł do Watykanu kilka dni temu. Możesz przeczytać.

Velasco wziął do ręki brązową, wypaloną słońcem kartkę papieru i starał się szybko zrozumieć sens słów, które wprost uciekały sprzed jego oczu.

Kardynał milczał pocierając dłonią o dłoń.

- Musisz zrezygnować. Jak napisano w tym liście, władca Japonii wprowadza w życie decyzję o wydaleniu za granicę wszystkich misjonarzy i zakonników, którzy dotąd tam mieszkali. Zakazał przyjeżdżać jakimkolwiek misjonarzom. I ty, i japońscy posłowie... musicie już zrezygnować.

List był oficjalnym dokumentem datowanym na jedenasty miesiąc roku 1614. Podpis gubernatora Juana de Silva podskakiwał jak karzeł na ostatniej linijce tekstu. Velasco zamknął oczy i zachował spokój jak nigdy dotąd. Pod powiekami migały teraz sceny z konferencji biskupów w Madrycie. Widział w wyobraźni biskupa o głowie kruka, czytającego list wysłany z Macao.

- Watykan nie chce więcej narażać ludzi na niebezpieczeństwo. Nie może radzić ani Hiszpanii, ani Portugalii, aby prowadziły handel z

Japonią, która całkowicie odrzuca naszą naukę i prześladowuje chrześcijan.

Musisz zrozumieć, że list posłów japońskich stracił wszelkie znaczenie.

"O Panie, niech się stanie wola Twoja." Starał się przypomnieć sobie tę

modlitwę. "Jeśli jest to wola Pana, będę więc jej posłuszny. Moje plany widocznie nie zostały włączone do historii, którą Pan Bóg ukształtował.

Teraz zrozumiałem to jasno." Usłyszał śmiech. Jakby kobiecy śmiech gdzieś w dali, gdzieś bardzo daleko.

- Oni chyba umrą. - Te słowa wysunęły się z ust Velasco, jak czasem wypada lekarstwo z ust krańcowo wyczerpanego, schorowanego człowieka.

- Jeśli usłyszą te wiadomość - dodał. Kardynał patrzył podejrzliwie. - Po prostu nie będą mieli innego wyjścia. - Dlaczego? - W tonie głosu kardynała wyczuwało się raczej gniew niż zdumienie. - Dlaczego mieliby to zrobić?

- To są Japońscy samuraje. Nauczono ich umierać, kiedy zostanie zraniona ich duma.

- Oni swoje zadanie wypełnili. A przy tym są chrześcijanami, prawda? Nie wolno im odbierać sobie życia.

Velasco poczuł nienawiść do twarzy nic nie rozumiejącego kardynała. Dlatego próbował przestraszyć swego przeciwnika. - W konsekwencji to Watykan ich zabije. Zmusi tych Japończyków, którzy zostali chrześcijanami, do popełnienia śmiertelnego grzechu, do samobójstwa.

- Czy nie potrafisz ich powstrzymać?

- Teraz już nie wiem - potrząsnął głową Velasco. - Chciałbym, żeby Watykan pomógł im zachować twarz.

- Czego więc żadasz?
- Audiencji u papieża. Potraktowania ich jako oficjalnych posłów Japonii.
- Nawet jeśli przyznamy im prawo do papieskiej audiencji, i tak nie będziemy -mogli wypełnić ich życzeń. Nasza polityka została już określona.
- Nie mówię o tym, żeby spełnić ich życzenia. Posłowie są bardzo nieszczęśliwi. Dlatego należy przyznać im przynajmniej prawo audiencji.
- Na spłóviałym od słońca habicie pojawiły się plamy łez, jedna po drugiej. - To wszystko, o co proszę.

Nadszedł dzień przyjęcia posłów japońskich przez papieża rzymskiego. Po mszy i śniadaniu w klasztorze, w którym mieszkali, posłowie, korzystając z pomocy swej służby, po raz pierwszy włożyli oficjalne stroje przywiezione z Japonii na takie okazje.

Powóz wysłany po nich przez kardynała czekał już przed klasztorną bramą. Ponieważ miała to być wizyta nieoficjalna, nie przybyła więc gwardia honorowa, a jedynie trzech umundurowanych stangretów w hebanowych powozach ozdobionych złotymi wzorami. Kiedy Japończycy pożegnali się z mnichami i swoją służbą, Samuraj siedzący obok Tanaki, Nishiego i Velasco, wyjrzał przez okno powozu i dostrzegł Yozó patrzącego w jego stronę ze złożonymi dłońmi jak w modlitwie.

On chyba tak zachęcał Samuraja, żeby do końca nie tracił nadziei. Dawał mu znak, że niezależnie od tego, co się stanie, on jest gotów iść ze swoim panem nawet na koniec świata. Samuraj jednak nie miał złudzeń, wyruszając na tę pozorowaną audiencję. Wiedział, że będzie to tylko ceremonia, w czasie której zostanie postawiony znak kończący tę długą podróż. ? A jednak gest Yozó wzruszył Samuraja do łez. Wydało mu się teraz, w ponurym nastroju człowieka przez wszystkich porzuconego i zdradzonego, że pozostał mu tylko ten wierny od dziecięcych lat sługa jako jedyny człowiek, któremu mógł ufać. Mrugając oczyma pokiwał głową w stronę Yozó ze zrozumieniem. Powóz ruszył. Na brukowanej drodze rozlegał się ostro i regularnie stukot kopyt. Tanaka, Samuraj i Nishi siedzieli w milczeniu. Jeszcze przed dwoma miesiącami spotkanie króla czy uzyskanie audiencji u papieża mogło się wydawać wspaniałym snem. Wtedy dla tych wiejskich Samurajów, którzy nigdy nie oglądali nawet swojego feudalnego pana, byłoby to nadzwyczajne wydarzenie, trudne nawet do wyobrażenia.

Lecz teraz nie czuli w sercu żadnej radości. Najmniejszego nawet wzburzenia. Posłowie wiedzieli, że ta audiencja jest wynikiem współczucia kardynała, który usłuchał błagań Velasco. Wiedzieli też, że jest to rodzaj teatralnej i "ukwieconej drogi", która ma ich doprowadzić do zakończenia sprawy i łatwiejszej rezygnacji. W ten sposób ich długa podróż dobiegnie końca. Pozostanie im tylko powrotna droga do domu - również pusta i bezowocna.

Sosnowa aleja ciągnęła się już dłuższy czas. Odgłos kopyt końskich stał się jeszcze donośniejszy. Na tle pochmurnego nieba ukazała się w dali kopia Bazyliki Świętego Piotra. Powóz przejeżdżał z ulicy Palleone w ulicę Borgo i wjeżdżał na plac przed Watykanem.

- Kiedy papież się zjawi - Velasco powtórzył jeszcze raz - po trzykroć dotknijcie prawym kolanem podłogi i zniżcie twarze do jego stóp.

Gdy przejeżdżali przez spizową bramę z prawej strony Bazyliki, powitali ich gwardziści w czerwonych mundurach z lancami w dłoniach. Powóz się zatrzymał, drzwi otworzył mężczyzna w srebrnej peruce i w białych pończochach, o twarzy bez wyrazu, potem stanął z boku i przyglądał się chłodno Velasco i posłom ubranym w dziwaczne szaty.

Kamiennymi schodami weszli na korytarz. Dwaj księża bez słowa wprowadzili czterech przybyszów do komnaty dla gości. Na ścianach widniały freski, natomiast na wyłożonej grubym dywanem podłodze stały wytworne krzesła o złożonych oparciach.

Musieli czekać na sygnał dzwonka. Pouczono ich bowiem, że do sali audiencyjnej mogą wejść tylko wtedy, kiedy rozlegnie się dzwonek.

- Pójdę pierwszy - Velasco powtórzył z naciskiem. - Następnie pan Tanaka, pan Hasekura i pan Nishi, w tej kolejności.

Wydało mu się, że upłynęło bardzo dużo czasu. Tanaka i Samuraj siedzieli na krzesłach z zamkniętymi oczyma, Nishi poprawiał ceremonialne nakrycie głowy. Po długim, długim czekaniu z oddali dobiegł głos dzwonka i otworzyły się drzwi.

- Opanuj się, Nishi - cicho pocieszał Tanaka, choć nigdy tak się nie zachowywał.

Wyżsi duchowni stali po obu stronach kardynalskiej sali konferencyjnej, w której miała zostać udzielona audiencja. Velasco z trójką posłów przeszedł między czerwonymi szatami i kapeluszami. Czuł na sobie skoncentrowane spojrzenia z prawej i z lewej strony. Paweł V w białej mitrze siedział na podwyższeniu, samotnie.

Papież był niski, otyły, patrzył w ich stronę oczyma przyjaznymi i ciepłymi. Bez najmniejszych oznak majestatu króla nad królami, dlatego zdawało się, że za chwilę wstanie z fotela i podejdzie do nich.

Velasco zatrzymał się i uklęknął na prawe kolano. Japończycy zamierzali zrobić to samo, lecz Samuraj spostrzegł, że Nishi lekko się zachwiał, pośpieszył mu więc z pomocą. Stojący obok papieża kardynał Borghese pochylił się i coś mu powiedział do ucha.

- Proszę czytać,.. List od waszego pana - Velasco ponaglił Tanakę, który wyjął pismo i rozwinął oburącz.

- Wielki władca całego świata, Jego Świątobliwość Papież Rzymu

Paweł V. - Samuraj spostrzegł, że również Tanace głos się załamał i zaczęły drżeć mu ręce. - Oto mnich Velasco z Zakonu Pawła przybył do naszego kraju

i nauczał wiary chrześcijańskiej, odwiedził również moje księstwo i

wyjaśnił tajemnicę wiary Chrystusa. W rezultacie po raz pierwszy

mogłem pojąć sens tej nauki i postanowiłem przyjąć ją bez

wahania... Jednak obecna wyjątkowa sytuacja stała się dla mnie

przeszkodą... Dlatego jeszcze nie mogłem wypełnić swojej woli.

Znów głos Tanaki się załamał. Gdy się zatrzymywał, czytając, w duszy

Samuraja pojawiło się niewysłowione uczucie pustki. Przecież nikt wśród

licznie zgromadzonego duchowieństwa nie rozumie treści słów czytanych przez japońskiego posła. Rozumieli je tylko Japończycy i Velasco.

- Jednak z powodu mojego szacunku dla mnichów tej religii pragnę zbudować

dla nich kościoły i uczynić wszystko, co możliwe, aby przyczynić się do

szerzenia dobra. Jeśli Wasza Świątobliwość uzna, że jest konieczne

rozszerzenie świętej nauki, z radością przystąpię do wykonania tego

działa w moim kraju. Zapewnię niezbędne fundusze i ziemie dla

kościółów, dlatego też Jego Świątobliwość nie będzie miał powodu do niepokoju.

"Już dość" - Samuraj stłumił w sobie słowa, które podeszły mu do gardła.

"Już dość" - chciał w ten sposób powstrzymać biednego Tanakę od grania głupiej farsy. Powstrzymać potok słów pisma bez znaczenia. I tęgi mężczyzna w białym nakryciu głowy, który słuchał ich w milczeniu, i znajdujący się obok niego kardynał Borghese znosili tę farsę chyba bez najmniejszego wysiłku.

- Chociaż Nowa Hiszpania jest położona bardzo daleko od naszego kraju, szczerze jednak pragnę nawiązać stosunki handlowe z tym krajem, w związku z tym zwracam się uniżenie z prośbą do Jego Świątobliwości o użycie posiadanych wpływów i udzielenie nam pomocy w osiągnięciu tych zamierzeń. Staną się one bowiem rzeczywistością dopiero wtedy, gdy Jego Świątobliwość nie uchyli się od udzielenia poparcia naszym pragnieniom.

Na czole Tanaki, który z jękami i przystankami skończył czytać, pojawiły się - ku zgorszeniu - krople potu. Velasco czekał na moment wręczenia listu przez Tanakę i dopiero wtedy zrobił krok do przodu, aby - posługując się pretekstem tłumaczenia listu - wypowiedzieć życzenia posłów. Nieoczekiwanie papież wstał z miejsca. Tego nie przewidywał protokół ceremonii posłuchania, w komnacie powstało pewne poruszenie, ponieważ w tym momencie duchowni zwrócili się w stronę tronu papieskiego.

- My... - Paweł V lekko pochylił się do przodu i zaczął mówić do Tanaki, Samuraja i Nishiego. Głos jego pobrzmiwał nutą smutku - obiecujemy wam, że będziemy się modlić przez pięć dni podczas każdej mszy za Japonię i za was. Wierzmy, że Bóg nigdy nie opuści Japonii.

Papież zszedł po schodkach z tronu i jeszcze raz uważnie przyjrzał się posłom. A następnie pobłogosławił obecnych wznosząc rękę w górę i zniknął w sąsiedniej komnacie wraz z Borghese i trzema innymi kardynałami.

Pod uważnym wzrokiem duchownych posłowie i Velasco wycofali się do przedpokoju. Gdy zamknęły się za nimi grube drzwi, czterej mężczyźni opadli bezsilnie na krzesła. Każdy z nich pogrzyżył się we własnych myślach. W głębokiej ciszy Velasco siedział ze spuszczoną głową, trzymając dłonie na kolanach.

## Rozdział 9

Długi czas nie notowałem nic w pamiętniku. Zbyt wielki ból sprawiało mi opowiadanie o tym, jak - po utracie wszelkich nadziei - patrzyliśmy z zasnutego deszczem morza na oddalający się europejski kontynent.

Tylko jeden człowiek - ksiądz pełniący funkcję prywatnego sekretarza u kardynała Borghese - odprowadził nas do portu Civitavecchia. Jako wyraz dobrej woli kardynała ksiądz przekazał każdemu z posłów zaświadczenie o nadaniu obywatelstwa rzymskiego. Dla nich, nie mających szans na odwiedzenie tego kraju kiedykolwiek w życiu, dokument był kawałkiem bezwartościowego papieru. My przekazaliśmy papieżowi list bez znaczenia, w zamian kardynał przysłał nam bezsensowne wyróżnienie.

Rząd hiszpański również potraktował nas wyjątkowo chłodno. Nie przyznał nam nawet prawa przejazdu przez Madryt, musieliśmy się udać wprost do Sewilli.

Nikt nie witał nas w Sewilli prócz mojej rodziny. Japończycy stracili

wszelkie przywileje, stali' się po prostu ubogimi włóczęgami. W zamian za przyznanie nam - pozbawionym całkowicie środków do życia - przez zakon i moją rodzinę trzech tysięcy trzystu dukatów na koszt podróży powrotnej, musiałem złożyć obietnicę, że pozostanę w Nowej Hiszpanii lub Manili. Oznaczało to, że poniosłem całkowitą klęskę.

Teraz nie wiedziałem, czego Bóg ode mnie żądał. Przez wiele lat byłem przekonany, że pragnął, bym szerzył Jego nauki w Japonii, i wierzyłem, że w tym właśnie celu dał mi życie. Wierząc głęboko, mogłem znosić największe cierpienia. Nie jestem już o tym przekonany, co więcej, niekiedy mi się wydaje - to straszne, ale prawdziwe - że Bóg naigrawa się ze mnie. Zawsze myślałem, że historia człowieka jest ściśle związana z historią ustanowioną przez Boga. Okazuje się, że Boska historia istnieje poza zasięgiem mojej myśli i woli.

Z Civitavecchia do Sewilli jeden miesiąc. Z Sewilli wypłynęliśmy na Atlantyk, a w ciągu trzech następných miesięcy przeżyliśmy dwa razy burzę. Każdego dnia naszej morskiej podróży dręczyło mnie uczucie upokorzenia. Japończycy natomiast początkowo w ogóle nie ujawniali swoich uczuć, wpatrywali się tylko w morze roztargnieni, oczyma bez wyrazu; ale - inaczej niż Europejczycy - w nieszczęściu szybko godzili się z sytuacją, dlatego rozlegał się czasem nawet śmiech, kiedy zbierali się na pokładzie.

Wyzwoleni z długotrwałej męczącej niepewności na pewno przeżywali radość na myśl, że w końcu będą mogli stąpać po rodzinnej ziemi, co napawało ich nadzieją i wyzwalalo objawy radości.

Poseł Nishi Kyusuke - podobnie jak w czasie podróży przez Ocean Spokojny - podchodził do marynarzy, zadawał im różne pytania łamanym hiszpańskim lub porozumiewał się na migi. Ten młody człowiek bardzo poważnie interesował się cywilizacją i techniką i zapisywał dokładnie wszystko, co usłyszał od marynarzy.

Tanaka Tarózaemon nie upominał już Nishiego. Zrezygnował z dotychczasowego uporządkowania i powagi, niekiedy nawet klaskał do rytmu śpiewającym na pokładzie rodakom. Widząc, jak klaszcze w dłonie, nie mogłem sobie wyobrazić, że ten człowiek mógłby zrobić to, o czym mówił Hasekura. Wyglądał tak, jakby sądził, że uczynił już wszystko, co mógł uczynić, i co dało jego sercu poczucie spokojnej rezygnacji.

Większość Japończyków nie brała jednak udziału w codziennej mszy odprawianej na statku. Chociaż wiedziałem, że chrzest przyjęli nie z przekonania, lecz tylko w celu wypełnienia misji, przeżywałem jednak uczucie trudne do opisanía, kiedy w jadalni intonowałem słowa mszy i wtórował mi tylko jeden Japończyk.

"To całkowicie Twoja wina. Gdybyś nie dopuścił do takiego rezultatu, naszą powrotną podróż przepełniałaby radość, na statku rozbrzmiewałby głos Japończyków, śpiewających hymny na Twoją cześć. Zdecydowałeś jednak Japończyków opuścić."

Na mszę przychodził ukradkiem. Pojawiał się w połowie ceremonii, żeby inni Japończycy go nie spostrzegli, i po przyjęciu komunii od razu zniknął, jakby przed kimś uciekał. Jego sylwetka przypominała mi chrześcijanina podobnego do żebraka, którego spotkałem koło składu drewna w Ogatsu.

Tym Japończykiem nie był poseł. Tanaka, Hasekura i Nishi nie przychodzili na mszę od dnia audiencji papieskiej. Nigdy jednak nie gniewali się na mnie otwarcie, ale swoją nieobecnością pokazali wyraźnie, co czują. Na mszę

przychodził jedynie Yozó, sługa Hasekury. Jego oczy przypominały mi psie ślepia. Zalęknione, samotne. Myślę, że on nigdy nie zdradzi swego pana, któremu przysięgał wierność. Przypominam go sobie jako oddanego sługę podczas długiej podróży i czuję, że podobnie nie opuści już naszego Pana... I znowu dłuższy czas nie brałem pióra do ręki. Po dwukrotnej burzy na Atlantyku w końcu stanęliśmy na lądzie w Veracruz. Kiedy zatrzymywaliśmy się tu poprzednio, szalał w mieście wiatr monsunowy. Teraz również mało było ludzi na ulicach, wokół panowała atmosfera pustki, podobnie jak w naszych zrezygnowanych sercach.

Nic się nie zmieniło. Klasztor, w którym zatrzymaliśmy się na nocleg, również był ten sam, co poprzednio, a na placu nie opodał rozległ się głos dzwonu obwieszczający czas co dwie godziny. Kiedy poszliśmy do fortu San Juan de Uliia złożyć wyrazy uszanowania, na czole dowódcy, podobnie jak przedtem, rysowały się ślady odcisnięte przez wojskową czapkę, na ścianie natomiast wisiał japoński miecz przekazany mu w darze i odtąd demonstrowany z dumą.

Komendant zaprosił nas na kolację. Na przyjęciu pojawili się oficerowie i kobiety: wszyscy witali nas ciepło. Tym razem Japończycy byli bardziej rozluźnieni, pili nawet wino i jedli niezbyt smaczne potrawy. Kiedy przyjęcie zakończyło się po długiej i nudnej konwersacji, w imieniu gości podziękował uroczyście Tanaka. Stwierdził, że mimo iż nie osiągnęli wytkniętego celu, jednak mieli przyjemność zobaczenia wielu krajów, poznania nowych obyczajów, dlatego też niczego nie żałują - powiedział zdecydowanie Tanaka.

Gdy powóz wjeżdżał na plac klasztorny, w knajpie obok trzech mężczyzn w sombrero i białych garniturach grali na jakichś instrumentach. Wtedy Tanaka szepnął jakby do siebie, że ta melodia przypomina mu pieśń często śpiewaną w jego rodzinnych stronach.

Posłowie udali się do cel pogrążonego w mroku klasztoru. Zapaliłem świecę, usiadłem przy stoliku i napisałem dwa listy. Jeden do wuja w Sewilli, drugi do przeora klasztoru w Meksyku. Przełożonego klasztoru prosiłem o zamówienie miejsc na statku udającym się na Filipiny, którym Japończycy mogliby wrócić do kraju. Zawiadomiłem, że ja również udaję się do Manili zgodnie z wolą przełożonych z zamiarem podjęcia służby w tamtejszym klasztorze i pełnienia jej do końca życia.

Gdy skończyłem pisać listy, ku własnemu zdziwieniu doznałem spokoju. Zrozumienie, że nadająca sens mojemu życiu namiętność już się wypaliła, dało mi poczucie spokoju, jakiego nie mogłem zaznać po opuszczeniu Rzymu. Odłożyłem gęsie pióro i patrząc na mrugający płomień świecy myślałem, że tak oto zakończyło się moje długie przywiązanie do Japonii.

Teraz, gdy o tym myślę, przypominam sobie, że nazwę "Japonia" po raz pierwszy usłyszałem w roku 1595 będąc w klasztorze w San Diego w Sewilli. Przełożeni zachęcali mnie do pracy misyjnej w Nowej Hiszpanii, lecz nie byłem z tego zadowolony. Przypuszczam, że kierowała mną siła charakteru odziedziczonego po przodkach. Czułem, że mojemu temperamentowi nie odpowiada służba w spokojnej Nowej Hiszpanii wśród łagodnych i bezpiecznych Indian. W głębi serca zagnieździło się pragnienie wyjazdu do kraju, w którym prześladowano za wiarę, ponieważ chciałem walczyć tam jako żołnierz naszego Pana. Przełożeni zawsze mnie przestrzegali, że cechy mojego charakteru stają często na przeszkodzie

realizacji cnoty posłuszeństwa i uległości.

Dwa lata później w roku 1597 nazwa Japonii i fakt jej istnienia stały mi się bliskie. Mianowicie, poprzedniego roku przyszedł raport od miejscowego Zakonu Piotra o tym, że Taikb, władca ówczesnej Japonii zaczął prześladować chrześcijan. Między innymi dwudziestu sześciu misjonarzy i japońskich chrześcijan kazał ze stolicy przewieźć do Nagasaki na wyspie Kiusiu i tam spalić na stosie. To wydarzenie stało się głośne również w Sewilli. Wtedy pomyślałem, że właśnie Japonia jest tym krajem, w którym chciałbym zostać pogrzebany. Usłyszałem głos Pana nakazującego Apostołom, żeby szli na cały świat i głosili Ewangelię.

W roku 1600 papież Klemens VIII ogłosił bullę *Onerosa pastoralis*, która była dla mnie wyrazem bezgranicznej łaski. Dzięki niej bowiem prawo do szerzenia wiary chrześcijańskiej w Japonii otrzymały również wszystkie inne zakony, nie tylko Zakon Piotra, korzystający dotąd z przywileju wyłączności. Nasz zakon na Filipinach wezwał z kraju ochotników do służby misyjnej w Japonii, i jak rozpoczęło się przygotowanie do nauki języka japońskiego.

Moja rodzina nie wyraziła zgody. Zwłaszcza matka i ciotka, a także inne kobiety w rodzinie życzyły sobie, abym udał się do bezpieczniejszej Nowej Hiszpanii. Czyniły nawet o to rozmaite starania, chcąc zmienić moje zamiary.

Tego samego roku przyłączyłem się jednak do misjonarzy udających się na Filipiny, zebranych przez Juana de San Francisco, i dwunastego czerwca wsiadłem na statek odpływający do Manili. Tamta podróż była znacznie cięższa od obecnej, w której ze mną przypłynęli tu Japończycy; przeszliśmy przez burze, brak wody i żywności, a także epidemię, dlatego też do Manili dołynąłem na pół żywy. Cierpienia podczas tamtej podróży były jednak drobnostką w porównaniu z Drogą Krzyżową Chrystusa.

Manila, pierwsze azjatyckie miasto, jakie ujrzałem, była brudna, wprost natrętna i niezdolnie hałaśliwa. Była miastem, w którym Hiszpanie, Murzyni, Chińczycy i autochtoni stapiali się jak w tyglu hutniczym, przepychali, krzyczeli i biegali bez ustanku pod palącymi promieniami słońca. Nasi bracia przeżyli rozczarowanie poznawszy skutki działalności misyjnej wśród miejscowych Chińczyków. Ponieważ każdy Chińczyk, który przyjął chrzest, był zwalniany w tym czasie od płacenia podatków na okres dziesięciu lat, liczba wiernych szybko rosła. Nie było jednak wątpliwości, że Chińczycy naprawdę nie wierzyli w Chrystusa. Mimo że dali się ochrzcić, jednak nie postępowali zgodnie z chrześcijańskimi zasadami życia, nadal poddawali się dziwnym zwyczajom i uwłaczającym godności przesądom i rytuałom.

W porównaniu z dwudziestoma tysiącami Chińczyków, liczba Japończyków w Manili była mała, wynosząca może jedną dziesiątą kolonii Chińczyków.

Większość z nich zajmowała się handlem. Chrześcijan wśród Japończyków było zaledwie około dwustu.

Od nich właśnie, od japońskich chrześcijan uczyłem się języka, zdobywałem wiedzę o ich kraju i ludziach. Zauważyłem, że umysł Japończyków pracował znacznie szybciej niż u innych ras i że lud ten był bogato obdarzony ciekawością świata i głodem wiedzy. Cechowało ich znacznie silniejsze niż u Hiszpanów poczucie godności osobistej i zwyczajowych zasad współżycia. Zastanawiające, że tacy ludzie mogli tak długo żyć bez znajomości łaski Bożej.

Przez dwa i pół roku w Manili obraz Japonii, którą pragnąłem kiedyś zobaczyć, rysował się w mojej duszy jak mgła w letni dzień. Przed laty Kolumb przepłynął szeroki ocean w poszukiwaniu kraju złota. W moich marzeniach złotym krajem stała się Japonia, wyspa, którą chciałem opanować dla Boga. Rozegrać tam prawdziwą bitwę.

Władca Japonii zmarł, kontrolę nad krajem przejął shōgun Tokugawa. Słyszeliśmy, że ten władca wprowadził w życie politykę prześladowań w stosunku do chrześcijan, i że misjonarze Zakonu Piotra zostali wypędzeni na wyspę Kiusiu, gdzie nadal prowadzili skromną działalność misyjną.

Wiadomości o tym docierały do Manili jedna po drugiej, ale nie wywoływały u mnie zniechęcenia, raczej zagrzewały do walki.

Okazja nadarzyła się w czerwcu 1603 roku. Gubernator Filipin zdecydował posłać do Japonii ambasadora w odpowiedzi na przyjazny gest japońskiego władcy, a ja zostałem przydzielony do tej misji jako tłumacz, nie jako misjonarz. Nasz statek płynął z prądem na północ i po miesiącu na krańcach horyzontu mogłem zobaczyć moją wymarzoną Japonię. Ptaki tańczyły nad wodą. Mnóstwo łodzi rybackich zajmowało się połowem pod palącymi promieniami słonecznego lata. Miękkie, łagodne zbocza gór i zarysy wysp powoli wynurzały się spoza linii horyzontu. To była Japonia. Jakże odmienna od kraju prześladowań i ucisku, jaki sobie wyobrażałem.

Gdy statek wszedł do zatoki, nagle pojawiło się kilka łodzi.

Groźnie spoglądający na nas dowódca z bronią palną w ręku wszedł na statek z kilkoma żołnierzami. Następnie wyprowadził nas

na ląd jak więźniów i kazał nam długo czekać na gorącej plaży. Dopiero po jakimś czasie zgodził się uznać nas za wysłanników gubernatora Filipin.

Wylądowaliśmy w zatoce zwanej Ajiro, w pobliżu Edo, gdzie rezydował shōgun.

Patrząc na płomień świecy wyobrażam sobie japońskie piękne góry i morze, które wtedy widziałem. W promieniach słońca Japonia wyglądała na bardzo spokojny wyspiarski kraj. Wtedy naprawdę czułem, że jest to ziemia godna obdarzenia łaską Pana: Błogosławieni ubodzy w duchu.

Rzeczywista Japonia nie była jednak krajem tak łagodnych obyczajów. Przed oczyma ożywa teraz postać starego człowieka siedzącego na welwetowym krześle w głębi zamku Edo. W mieście panował ład nie mniejszy niż w jakimkolwiek mieście europejskim. Długie czerniejące mury otaczały rezydencje książąt i samurajów, czarny kanał opływał majestatyczny i groźnie wyglądający, wielokondygnacyjny zamek. Wnętrze pawilonu, do którego nas zaprowadzono, różniło się od przepychu królewskiego zamku w Madrycie. Było poprzecinane zdradliwymi korytarzami, mrocznymi i połyskującymi czernią rozsowanymi ścianami, pozłacanymi i stonowanymi patyną czasu. Po przejściu wzdłuż kilku krętych korytarzy, niby przez mrowisko, ujrzeliśmy wreszcie starego człowieka o przeciętnej tuszy, w wieku około sześćdziesięciu lat, siedzącego na krześle okrytym welwetem. Starzec przyjmował właśnie na audiencji najpotężniejszych książąt w kraju, a jednak ci dostojni panowie wychodzili z komnaty jak niewolnicy, pełzając i niemal liżąc podłogę. Starzec, nie spuszczał z nas oczu, ale się w ogóle nie odzywał. O wszystko wypytywał sekretarz oddalony od tronu około pięćdziesiąt kroków. Z jego ust dowiedzieliśmy się, że shōgun nie tylko pragnął handlować z Filipinami, lecz także poszukiwał możliwości nawiązania podobnych stosunków z Nową Hiszpanią, pragnął też, by Hiszpania przysłała do Japonii swoich górników. Posłowie obiecali przedyskutować sprawę w



Manili.

Gdy poselstwo opuszczało Japonię, po radzie z kilku misjonarzami z Zakonu Pawła, postanowiłem zostać w Edo. Posłużyłem się pretekstem, że muszę na miejscu zająć się pewnymi sprawami, które zleciło mi poselstwo, i że będę służył jako tłumacz przyszłym delegacjom zagranicznym odwiedzającym Japonię. Ponieważ Japończycy wiedzieli, że jestem kapłanem, sekretarz ostro mi przypomniał o liście ich władcy, wysłanym do Manili w roku 1602. Zgodnie z treścią tego listu obcokrajowcom pozwalano mieszkać w Japonii pod warunkiem, że nie będą szerzyć wiary chrześcijańskiej.

Oczywiście, nie rezygnowałem, nie słucałem zakazów. W Asakusa miałem budować nędzny szpitalik dla porzuconych ludzi trędowatych, tajemnie więc rozpocząłem pełnić swe obowiązki kapłańskie, opiekując się jednocześnie chorymi wspólnie z dwoma innymi misjonarzami. Chrześcijanie japońscy zaczęli nawiązywać ze mną kontakty, mogłem więc rozpocząć działalność kapłana, lecz w konspiracji nie miałem szansy wypełnić swoich ambitnych zamierzeń. Wciąż widziałem przed oczyma sylwetkę starca siedzącego na krześle w jednej z komnat zamkowych, szczerze pragnącego ustanowienia stosunków handlowych z Nową Hiszpanią.

Skończyłem walkę ze starcem. Japonia, która stanowiła dla mnie sens życia, odeszła w dal i znalazła się poza moim zasięgiem. Pojadę do Manili jako pokonany i będę żył za białym ogrodzeniem w klasztorze, gdzie kwiaty na klombach są starannie pielęgnowane. Codziennie zakonnika, który rozdziela uwagi i porady tak, aby nikogo nie obrazić, sprawdza księgi rachunkowe, pisze sprawozdania. Spokojne życie przeora błogosławiącego matki i głoszącego dzieci po główkach... To jest to, co Pan nasz przeznaczył mojemu życiu.

Uklęknąłem na podłodze, związałem przeguby rąk sznurem i modliłem się: "Bądź wola Twoja..." W czasie modlitwy spostrzegłem, że niedokładnie związane ręce pokryły się potem. Starłem się ze wszelkich sił stłumić wzbierające we mnie pożądanie.

W tym momencie zauważyłem, że ktoś stoi u wejścia.

- O co chodzi, panie Hasekura?

- Pan Tanaka... - Hasekura nie ruszając się z miejsca odpowiadał spokojnie - pan Tanaka odebrał sobie życie.

Hasekura mówił tak, jakby zawiadamiał o nadejściu godziny odjazdu. "Pan Tanaka odebrał sobie życie." Pozostałem na klęczkach, wpatrując się w płomień świecy, którą trzymał w ręku. Płomień nad dłonią Hasekury drgał konwulsyjnie. "Bądź wola Twoja..." Lecz ta wola okazała się teraz chłodniejsza od lodu.

Bez słowa Hasekura zaprowadził mnie do sypialni Tanaki. Nasze cienie odbijały się na ścianie ciemnego korytarza. Milczeliśmy. W jednym tylko pokoju w głębi paliło się światło, a przed drzwiami stał Nishi i kilku służących. Gdy weszliśmy do środka, ujrzeliśmy ciało Tanaki z głową przechyloną, leżące na okrwawionym materacu, obok spoczywał krótki miecz, którym posłużył się, odbierając sobie życie, położony wraz z pochwą równo u wezłowia. Dwaj służący siedzieli wyprostowani przy świeczniku i wpatrywali się w oblicze pana, jakby czekali na jego rozkazy.

Gdy mnie ujrzeni, ustąpili miejsca. Zachowywali się tak spokojnie, jakby się spodziewali śmierci swego pana. Miałem wrażenie, że biorę udział w jakiejś konwencjonalnej ceremonii. W całym klasztorze

nie wyczuwało się śladu życia, wszyscy spali, nikt jeszcze nie wiedział, co się zdarzyło.

Na twarzy zmarłego rysował się spokój. Zniknęła całkowicie arogancja i niezadowolenie, które tak często przejawiał, twarz się wygładziła, jakby śmierć wyzwoliła go z wszystkich cierpień, które go dręczyły podczas podróży. Zmieniła się do tego stopnia, że mogłem myśleć, iż taka właśnie śmierć dała mu głębsze ukojenie, niż przynosi Pan.

Służący chciał przy wezłowskiu zmarłego położyć figurkę Buddy. Widząc to, przypomniałem sobie, że zmarły przyjął chrzest i że ja jestem kapłanem, lepszym lub gorszym, jednak księdzem.

- Posążek Buddy jest niepotrzebny - powiedziałem. - Pan Tanaka jest chrześcijaninem.

Sługa zmarłego popatrzył na mnie ze złością. Zabrał jednak figurkę i postawił sobie na kolanach.

Habeas requiem aeternam.

Kiedyś w pobliżu Veracruz w bananowym gaju wziąłem do ręki dłoń rannego Indianina i wypowiedziałem tę samą modlitwę. Tanaka jednak popełnił samobójstwo, to znaczy wybrał ten rodzaj śmierci, jakiej Kościół nie toleruje, traktując taki czyn jako grzech śmiertelny. Kościół nie dopuszcza sakramentu ostatniego namaszczenia w wypadku odebrania sobie życia. Mnie jednak teraz nie obchodziły regulaminy Kościoła. Znałem cierpienia, jakich Tanaka doświadczył w czasie podróży. Wiedziałem, co nurtowało duszę tego Japończyka i jego współtowarzyszy, Hasekury i Nishiego. Z jakimi myślami odbywali tę ciężką podróż. Wiedziałem, dlaczego Tanaka musiał rozpruć sobie brzuch mieczem. Podobnie jak nie mogłem opuścić młodego Indianina w godzinie jego śmierci, nie mogłem też potępić i opuścić Tanaki.

Requiescat in pace.

Zamknąłem otwarte szeroko oczy Tanaki, jakbym zamykał ostatnią bramę życia. Przez cały czas ani służący, ani Hasekura czy Nishi, którzy stali drzwiami, nie poruszyli się nawet, żeby mi przeszkodzić w chrześcijańskiej modlitwie i ostatniej posłudze wobec zmarłego: sfoczyli się w kącie pokoju i stali bez ruchu.

Później służący obciął pukiel włosów i paznokcie swego pana i włożył je do swej torebki zawieszanej na piersi. Następnie przyniesiono białe jedwabne płótno, którym owinięto zwłoki samuraja. Tej czynności dopilnował Hasekura, który po chwili zwrócił się do mnie. - Gdy wstanie ranek, muszę przekazać słowa ubolewania i przeprosić księży i zakonników za wszystko, co się tutaj wydarzyło. Proszę mi w tym pomóc.

Zgodnie z buddyjską tradycją przy ciele zmarłego czuwali

Japończycy do rana. Pozostałem z nimi całą noc przy ciele okrytym białym całunem.

Nadszedł blade poranek. Za specjalnym zezwoleniem klasztoru Tanakę pogrzebaliśmy w sąsiedztwie grobów indiańskich, znajdujących się między wioską i portem San Juan de Ulua. Ani jeden ksiądz lub zakonnik nie przyszedł na pogrzeb. Nikt z nich nie chciał towarzyszyć grzebaniu człowieka, który popełnił samobójstwo, jeden z najcięższych grzechów w; chrześcijaństwie. Z dwu suchych gałęzi zrobiłem krzyż i wbiłem w kopczyk. Las zabarwił się w porannym słońcu, grupka nagich indiańskich dzieci, ssących palce, przypatrywała się z zaciekawieniem. Nishi przysiadł na ziemi, podczas gdy Hasekura stał wyprostowany z mocno zaciśniętymi

powiekami.

Po pewnym czasie dowódca fortu San Juan de Ulua przybył na koniu razem z zastępcą.

- Oni są zupełnie tacy sami jak Indianie. - Zsiadł z konia i otarł pot z policzków. - Im z niższej rasy, tym częściej popełniają samobójstwo.

- Japończycy wyżej cenią wybór śmierci niż życie ze wstydem - odpowiedziałem patrząc na niego uważnie. - Japoński poseł wierzył, że tylko śmierć może tę misję zakończyć z honorem.

- Niestety, ja tego nie rozumiem. - Dowódca wzruszył ramionami ze zdziwieniem. - Lecz z tego, co powiedziałaś, ojczy, wynika, jakbyś pochwałiał samobójstwo, które przecież jest czynem w chrześcijaństwie zakazanym.

W jego oczach kryło się zakłopotanie i przestroga. Możliwe, że z listów nadesłanych z Hiszpanii już wiedział, iż jestem człowiekiem ambitnym, nie podporządkowującym się woli Kościoła.

Tak, to prawda, w mojej duszy panuje zamęt. Bez reszty poddałem się rozczarowaniu i nie potrafię już zrozumieć, na czym polega wola Pana. Mimo wszystko czuję niewysłowiony lęk na samą myśl, że może się zachwiać moja wiara w Boga.

Ta podróż rozpoczęła się wyłącznie z powodu mojego żarliwego pragnienia: po prostu chciałem uczynić z Japonii kraj naszego Pana. Czy jednak nie jest to wygodne usprawiedliwienie siebie samego, ukrywające w gruncie rzeczy egoistyczną żądzę podboju? Czy w duchu nie kierowałem się ambicją osiągnięcia wysokiej godności biskupa Japonii, umożliwiającej mi kierowanie całym Kościołem w tym kraju? A Pan przejrzał moje serce całkowicie i ukarał mnie teraz?

"Rzeczywiście, Kościół traktuje samobójstwo jako grzech śmiertelny - szepnąłem do siebie patrząc w ziemię - Lecz nie chciałbym wierzyć, że Pan porzucił tego Japończyka, który popełnił samobójstwo... Nie chcę w to wierzyć."

Dowódca nie mógł zrozumieć mojego charczącego szeptu.

- "Jeśli ktokolwiek pchnął Tanakę do spełnienia tego śmiertelnego grzechu, byłem nim ja. To moje zamierzenia podyktowane pychą doprowadziły go do śmierci. Jeśli ktoś chciałby karać Tanakę, winien najpierw ukarać mnie. O Panie, nie opuszczaj jego duszy. Ukarz mnie za ten grzech."

Przyszedłem rzucić ogień na ziemię i jakże bardzo pragnę, żeby on już zapłonął.

Chrzest mam przyjąć i jakiej doznaję udręki, aż się to stanie.

Przybyłem tu, żeby służyć wielu ludziom i oddać swoje życie dla odkupienia ich grzechów.

Kiedy Pan wypowiadał te słowa, na pewno był przygotowany na śmierć.

Droga z Veracruz do Córdoby. Grzbiety gór pokrywają chmury burzowe, od czasu do czasu przebiegają po niebie błyskawice. Dzikie pola, na których rosną tylko agawy i kaktusy, podobne do dziwacznych hieroglifów. Idąc z Japończykami przez jałowe pola, myślałem o Panu przygotowanym na śmierć, idącym przez podobną pustynię w stronę Jerozolimy. Przeczując własną śmierć powiedział wtedy: Chrzest mam przyjąć i jakiej doznaję udręki, aż się to stanie. Są na tym świecie takie cele, które się osiąga jedynie poprzez śmierć. Przekonało mnie o tym samobójstwo Tanaki Tarózaemona.

Jednak jest różnica między znaczeniem śmierci Tanaki i śmierci Jezusa. Japończyk nie mógł wypełnić misji poselskiej, więc popełnił samobójstwo, żeby uzyskać przebaczenie. Pan natomiast umarł, żeby służyć ludziom. Błyskawica, po chwili rozlega się w dali grzmot. Blask przenika do serca. I zdają sobie sprawę, że ja również nam wielu bliskich, którym nadal muszę służyć. Kapłan istnieje po to, żeby służyć innym, nie żyje dla siebie. Pomyślałem o mężczyźnie pragnącym wyznać grzechy w Ogatsu, o człowieku w łachmanach obsypanych wiórami. Takim jak on będę służyć, takim Japończykom jak tamten biedak. Przybyłem tu, żeby służyć wielu ludziom... Powłócząc nogami mówiłem do siebie: "Ja tu po to, aby oddać swoje życie". Pan nie czyni niczego bez sensu. Również śmierć Tanaki nie jest pozbawiona znaczenia - pozwoliła mi zrozumieć te wszystkie sprawy.

- Co się teraz z nami stanie - Nishi Kyusuke usiadł na swoim łóżku w domu zebrań w Córdoba i wpatrywał się w okno.

Otrzymali ten sam pokój, w którym mieszkali poprzednio. Wtedy żył jeszcze Tanaka. Poza tym nic więcej tu się nie zmieniło. Na ścianie nadal wisiał wychudły Mężczyzna z rękami przybitymi do krzyża, oświetlony wątym płomieniem padającym z lichtarza.

- Co teraz będzie? - powtórzył znużony Samuraj. Był zmęczony nie tylko fizycznie, miał dusze wyczerpaną do granic wytrzymałości. Myślenie o tym, co dalej będzie, przyprawiało go o melancholię i głęboką zgryzotę.

- Co będzie po naszym powrocie do Japonii?

- Nie wiem. Jestem przekonany, że wielmożny pan i starsi politycy zrozumieją nasze cierpienia.

- Nawet jeśli wrócimy z niczym?

Samuraj przypomniał sobie świeżą dawniej i młodzieńczą sylwetkę Nishiego. Oczy tego mężczyzny, zwykle uśmiechniętego, pokazującego białe zęby na tle śniadej cery, dawniej błyszczały ciekawością wywołującą u Samuraja niekiedy uczucie zazdrości. Ten blask teraz zniknął, blada twarz przypominała chorego, który całkowicie stracił siły.

- Gdybym mógł, zostałbym w Hiszpanii i nauczyłbym się wielu różnych rzeczy. - Nishi patrzył na świecznik i mówił słabym głosem.

- Naprawdę myślałem o tym, że świat jest ogromny i nawet nie marzyłem, że będę mógł wrócić do domu.

Słuchając go Samuraj ujrzał przed sobą obraz chwili, w której ich statek opuszczał Tsukinourę. Kiedy statek wypłynął na otwarte morze, rozległo się skrzypienie lin, o burtę uderzały fale, a mewy z krzykiem latały nad dziobem skierowanym w stronę oceanu, i wtedy Samuraj pomyślał, że w tym momencie zmienił się jego los. Wówczas nawet nie przypuszczał, że świat może być tak wielki. Lecz kiedy zobaczył te ogromne przestrzenie, o jakich nigdy nie myślał, pozostało mu tylko zmęczenie. Czuł się znużony do najgłębszych zakamarków swej duszy.

- Czy nie sądzicie, że pan Tanaka bał się jednak tego, co ma nastąpić potem?

- Czego miał się bać według ciebie?

- Wielmożnego pana i Rady Seniorów, którzy chyba odwrócą się do nas plecami.

Swoim zwyczajem Samuraj zamrugał oczami. Zbyt głębokie myślenie o śmierci Tanaki sprawiało mu ból i napawało przerażeniem. Poprzez śmierć Tanaka

chciał zachować swą godność wobec najbliższych i całego rodu. Kiedy Samuraj przypomniał sobie stryja o zapadniętych policzkach, siedzącego przy ogniu i niecierpliwie, z bólem czekającego na powrót naczelnika rodu, naprawdę myślał, że powinien raczej umrzeć. Dlatego zazdrościł Tanace, który odebrał sobie życie. Nie mógł jednak pozwolić sobie na 'śmierć. Musiał zdać sprawę z całej podróży Radzie Seniorów w imieniu Nishiego i służby, która przecierpiała tak wiele. Ktoś powinien przeżyć i wykonać zadanie sprawozdawcy. Samuraj sądził, że jest to jego obowiązek.

- Nie mają powodu nas odtrącić - nie wiedząc kiedy, podniósł głos. - Są przecież sprawy, których załatwić nie można nawet przy największym poświęceniu. Musimy o tym powiedzieć członkom Rady.

Chociaż powtarzał to sobie, w duchu nie miał pewności czy Rada ich wysłucha. Ogarniał go nawet lęk, kiedy starał się sprawę przemyśleć głębiej. Zresztą, co dobrego przyniesie zastanawianie się nad rozwojem zdarzeń w przyszłości. Samuraj przełknął gorycz rezygnacji.

Przez otwarte okno napłynęło nocne powietrze. Zapach ziemi przypominał mu rodzinne strony. Nawet jeśli nie przywróca mu dawnych ziem w Kurokawie, będzie zadowolony z posiadania Doliny. W odróżnieniu od ojca i stryja Samuraj czuł się z nią związany sercem i ciałem.

- Czy Rada Seniorów nie potępi nas za to - upierał się przy swoim Nishi - że choćby zwykłego listu od króla Hiszpanii nie przywieziemy?

- To nie ma znaczenia. Nie warto tym się zadręczać. Nic już nie możemy uczynić, lepiej więc o tym nie myśleć.

Samuraj wstał, żeby skończyć rozmowę. Nishi zaczął go denerwować.

Postanowił więc wyjść na podwórze i odetchnąć nocnym powietrzem, przesyconym zapachem ziemi.

Mimo żaru w południe, teraz niespodziewanie się ochłodziło.

Trzech mężczyzn siedziało w kucki i o czymś rozmawiało. Był to Yozo z dwoma służącymi. Surowo ich za coś karmił.

- Nie możecie spać?

Służący powstali wyraźnie zaniepokojeni. Obawiali się, że pan mógł usłyszeć ich wcześniejszą rozmowę.

- Zapach tej nocy przypomina Dolinę - roześmiał się Samuraj, jakby chciał nieco uspokoić służących. - Nocą w Dolinie podobnie pachnie ziemią i drzewami. Wkrótce tam będziemy.

Dobrze zrozumiał ze sprzeczki tych trojga, że zmęczenie i zdenerwowanie nie tylko wpłynęło na zachowanie Nishiego, lecz także zaraziło służących.

"Przynajmniej ja muszę pozostać silny" - szepnął do siebie.

Następnego dnia opuścili Córdobę. I znów przed nimi rozgrzane pustkowie.

Kiedy je minęli, pojawiły się gaje oliwne, szałas Indian i dachy hacjend hiszpańskich właścicieli ziemskich. Powtarzały się obrazy, które oglądali, idąc w przeciwną stronę. Lecz w oczach nawykłych do podróży Japończyków nie tym razem nie budziło ich zaciekawienia. Oczywiście, myśleli, że każdy krok zbliża ich do Japonii, mimo to nie przeżywali najmniejszego wzruszenia.

Samuraj spojrział na Velasco, który obok niego kołysał się na koniu, i zauważył, że już od dłuższego czasu nie widział na jego twarzy charakterystycznego uśmiechu. Szczerze mówiąc Samurajowi nie sprawiało przyjemności ten uśmiezek pewnego siebie południowego barbarzyńcy. Velasco uśmiechał się tak wtedy, kiedy podporządkowywał Japończyków swojej woli.

Gdy Samuraj dostrzegł uśmieszek knującego coś Velasco, zawsze wątpił w jego szczeróść, ale też, posługując się tym uśmieclem, Velasco wielokrotnie zwodził. Lecz od wyjazdu z Rzymu arogancki uśmieszek zniknął z jego twarzy.

Pojawił się natomiast wyraz samotności i jakby bolesnego zamyślenia.

- Teraz nie możemy już nic uczynić, prawda? - Siedzący na koniu Samuraj zagadnął Velasco, lecz od razu umilkł. Ten południowy barbarzyńca, który przysporzył im tyle niepokoju, gniewu i nienawiści, patrzył ponuro na grzbiety gór pokrytych deszczowymi chmurami. Jego wygląd budził współczucie. Samuraj dobrze wiedział, że ten mężczyzna nie może już wrócić do Japonii. Nie wypełnił obietnicy, którą złożył wobec Rady Seniorów. Popielate mury otaczające Pueblo pokazały się dziesięć dni później o zmierzchu. Jak owego dnia, podobnie i teraz w pobliżu obronnych murów znajdował się targ, gdzie ceramikę, tkaniny i owoce rozłożyli na ziemi Indianie. Siedzieli w milczeniu jak kamienne posągi i obejmowali rękami kolana.

- Panie Hasekura, czy pamięta pan tego Japończyka?

- Tego, który był kiedyś zakonnikiem?

Samuraj myślał o ziomku, który odwiedził ich podczas pobytu w Meksyku, zanim Nishi zapytał. Myślał o zakonniku-odszczępieńcu, mieszkającym z Indianką w chacie krytej trzcina w pobliżu bagien Tecali, czerwieniejących w porannym słońcu jak krew. Wtedy powiedział, że już chyba się nigdy nie spotkają. Ciekawe, w której części Nowej Hiszpanii teraz przebywa?

- Ja... Ja jeszcze raz chcę pójść nad bagna. - Nishi wyszeptał do ucha Samurajowi, żeby go nie usłyszał Velasco.

- Nawet jeśli pójdziesz, i tak na nic się to nie zda. Indianin nie orze dwa razy tej samej ziemi - powiedział nam wtedy ów były zakonnik.

- Nie szkodzi. Nawet jeśli go nie spotkam.

- Wobec tego, po co tam pójdziesz?

- Ponieważ wydaje mi się... - Nishi uśmiechnął się ze smutkiem. -

Ponieważ wydaje mi się, że teraz rozumiem, dlaczego ten mężczyzna nie chce wrócić do Japonii.

- Czy ty też chcesz tu zostać?

- Dla człowieka, który zobaczył, jak wielki jest świat, Japonia wydaje się ciasna, tak ciasna, że trudno w niej oddychać. Ciężko mi się robi na sercu, gdy myślę o Japonii, w której każdy, kto urodził się zagrodowym szlachcicem czy w rodzinie piechura, musi tym samym pozostać do końca życia. Ale ja również mam kogoś, kto czeka na mnie w domu.

Nie mogli postępować zgodnie z własnymi życzeniami. Na ich powrót czekali bliscy. Samuraj myślał podobnie. Stryj, rodzina i chłopci będący jego podporą jako naczelnika rodu nadal żyją w Dolinie. Chyba wróci. I będzie tam żył, jak przedtem. Już się z Doliną nie rozstanie i po raz drugi nie wyjedzie. To tylko sen. Wystarczy pomyśleć, że to tylko sen, a wtedy zniknie ten ogromny świat.

Następnego ranka przed świtem Samuraj i Nishi wyszli z uśpionego jeszcze klasztoru, jak to uczynili poprzednio. Drogę znali. Szli przez pogrążone we śnie i w ciszy miasteczko, przypominające pustynię, której nie zaatakował jeszcze upał, a gdy zagłębili się w las, na niebie pojawiły się różowiejące pęknięcia. Rozśpiewały się ptaki. Woda pryskała spod kopyt końskich, kiedy przekraczali czysty górski strumień. Na bagnach w Tecali panowała cisza.

Taka sama cisza jak wtedy, gdy przybyli tu po raz pierwszy. Cicho szeleściły liście trzciny. Spomiędzy drzew niby wiązki strzał padały na ziemię promienie porannego słońca. Nishi zsiadł z konia, przyłożył rękę do ust i zawołał Japończyka, a wtedy kilku Indian nagich do pasa wychyliło głowy z szałasów. Pamiętali Samuraja i Nishiego, uśmiechnęli się marszcząc spłaszczone nosy.

Były zakonnik pojawił się na niepewnych nogach, podtrzymywany przez grubą żonę, przypominającą bryłę mięsa. Chory mężczyzna rozpoznał w słońcu Samuraja i Nishiego i zawołał do nich radośnie!

- Cieszę się, że was tu widzę. - Wyciągnął obie ręce, jakby się spotykał z bliskimi krewnymi po dłuższym rozstaniu. - Myślałem, że nigdy was nie zobaczę za życia, tak myślałem... - Nagle umilkł. Przyłożył rękę do piersi i z trudem zaczerpnął powietrza.

- Nie martwcie się. To wkrótce się skończy. Wkrótce.

Lecz atak minął dopiero po godzinie. Słońce wzniosło się wysoko, promienie rozszczepiały się leniwie po całym bagnie, zaczynał się codzienny upał. Zdziwieni Indianie przyglądali się trójce obcych z daleka, lecz wkrótce poznikali. Znudziło ich to patrzenie.

- Wracamy do kraju, gdy tylko znajdziemy statek udający się do Luzonu. Jeślibyś chciał przekazać coś znajomym w Japonii...

- Nie mam co - uśmiechnął się ze smutkiem. - Gdyby ktokolwiek się dowiedział, że spotykaliście się ze mną, mielibyście nieprzyjemności.

- My również - Samuraj ze wstydem spojrzął w dół - zostaliśmy chrześcijanami. Nie z przekonania.

- Teraz też nie wierzycie?

- Nie wierzymy. Zrobiliśmy to z obowiązku, bo chcieliśmy wypełnić powierzoną nam misję. A co z tobą? Czy naprawdę wierzysz w Mężczyznę zwanego Jezusem?

- Tak wierzę., Już wam mówiłem. Lecz Jezus, w którego ja wierzę, nie jest tym, o którym naucza Kościół i księża chrześcijańscy. Nie mogę być sercem z tymi padres, którzy w imieniu Boga palą domy i pod pretekstem szerzenia wiary w Chrystusa wypędzają Indian z ich wiosek.

- Jak możesz czcić tak nędznego, żalosego Mężczyznę? Dlaczego modlisz się do Niego? Tego nie mogę zrozumieć...

Samuraj tym razem po raz pierwszy zapytał z całą powagą. Siedzący Nishi również spojrzął na byłego zakonnika i nie wstając, w skupieniu czekał na odpowiedź. Od strony bagien dochodził dziwny śpiew piorących Indianek.

- Dawniej też miałem podobne wątpliwości - potwierdził. - Lecz mogłem uwierzyć w Niego, ponieważ żył biedniej niż jakikolwiek inny człowiek. Ponieważ był brzydki i wynędzniały. Ponieważ wiedział wszystko co można wiedzieć o smutkach ziemskiego padołu. Nie przymykał oczu na cierpienia i ból tego świata. Nic dziwnego, że zmizerniał i zbrzydł. Gdyby mieszkał tam, gdzie nie sięgają nasze ręce, wyniosły i silny,

'? chyba nie mógłbym darzyć Go tymi uczuciami, jakimi darzę Go teraz. Samuraj nie mógł zrozumieć słów byłego zakonnika.

- On rozumie serca ludzi żyjących w nędzy, ponieważ sam 'doświadczył nędzy i nieszczęścia. Zna rozpacz umierającego żalosem śmiercią, bo sam też umarł podobnie. Nie był silny. Nie był też' piękny.

- Lecz spójrz na kościoły. Spójrz na Rzym - odparł Nishi. - Wszystkie

kościół, które widzieliśmy, są podobne do złotych pałaców, nawet mieszkańcy Meksyku nie potrafią wyobrazić sobie przepychu pałacu, w którym mieszka papież.

- Czy sądzicie, że On pragnął tego dla siebie? - Były zakonnik potrząsnął głową rozgniewany. - Czy sądzicie, że znajdziecie Go w tych oślepiających bogactwach katedr? Wcale nie. On nie mieszka w takich budowlach. On mieszka w tych nędznych chatach, gdzie żyją Indianie, jestem o tym przekonany.

- Dlaczego?

- Całe Jego życie o tym świadczy.

Powiedział to z najgłębszym przekonaniem, następnie spuścił wzrok w dół i powtórzył, jakby mówił sam do siebie:

- Takie było całe Jego życie. On nigdy nie odwiedził domu, w którym ludzie żyli w przepychu i przesycie. Odwiedzał tylko brzydkich, ubogich, godnych politowania, ludzi nieszczęśliwych. Teraz biskupi i kapłani w tym kraju są bogaci, przesyleni. Nie są tymi, o których troszczył się nasz Pan.

Powiedział to jednym tchem i nagle przyłożył rękę do piersi. Znowu dostał ataku. Samuraj i Nishi w milczeniu czekali, aż atak minie.

- Indianie pozostali przy tych bagnach tylko z mojego powodu. W przeciwnym razie ja również... - uśmiechnął się jakby nieco zawstydzony - przeniósłbym się daleko od Tecali. Od czasu do czasu wśród moich Indian znajduję Chrystusa...

Z opuchniętej, szerniałej twarzy Japończyka nietrudno było odgadnąć, że niewiele życia mu pozostało. Umrze zapewne nad brzegiem tego parnego bagna. I zostanie pochowany w rogu kukurydzianego pola.

- Jednak w żaden sposób nie potrafię o Nim myśleć tak jak ty - wyszeptał Samuraj z ubolewaniem.

- Nawet jeśli nie będziecie mieć Go w sercu, On zawsze będzie o was się troszczyć.

- Wcale nie musimy o Nim pamiętać, żeby żyć.

- Czy naprawdę tak myślicie?

Odstępca patrzył na Samuraja z pewnym współczuciem, obrywając liście z kukurydzy. Słońce grzało coraz mocniej, owady w trzcinach zaczęły pojękiwać z gorąca.

- Jeśli ludzie mogą żyć w samotności, dlaczego krzyk rozpaczony przepęlnia każdy zakątek świata? Przewędrowaliście tyle ziemi i mórz, okrążyliście świat. Lecz wszędzie widzieliście ludzi rozpaczających, ludzi płaczących i wciąż czegoś poszukujących.

Mówił prawdę, nie mylił się. W każdym kraju, we wszystkich wioskach i we wszystkich domach, które Samuraj odwiedził, oglądał wizerunek wychudłego Mężczyzny z rozpiętymi ramionami i opuszczoną głową.

- Płaczący poszukują tych, którzy mogą płakać razem z nimi. Rozpaczający szukają ludzi, którzy uważnie przysłuchują się głosowi rozpaczony innych.

Nieważne, jak bardzo świat się zmieni, pogrążeni w płaczu i rozpaczony zawsze będą dążyć do Niego. I na tym polega sens Jego istnienia.

- Nie rozumiem tego.

- Kiedyś pan zrozumie. Kiedyś na pewno to zrozumiecie. Samuraj i Nishi chwycili za lejce i pożegnali się z chorym człowiekiem.



- Czy nie chciałbyś czegoś przekazać swojej rodzinie w kraju?  
- Nie mam nic do przekazania. Wreszcie udało mi się odnaleźć Go takim, jaki odpowiada mojemu sercu.

Na bagnie iskrzyły się promienie słońca. Konie ruszyły wolno wzdłuż brzegu. Samuraj na grzbiecie konia odwrócił się do tyłu. Indianie wciąż stali zbici w ciasnej gromadzie, przypominali mu twardą grudę ziemi. Odprowadzali ich wzrokiem. Pośród nich stał w bezruchu u boku podtrzymującej go żony były zakonnik w łachmanach.

Trzeci listopada, Chalco. Zmierzamy w stronę Meksyku przez takie same pustkowia jak poprzednim razem.

Czwarty listopada. Nocleg na przedmieściu stolicy. Wysyłamy gońca z prośbą o pozwolenie na wejście do miasta. Widzimy stąd ulice i pnące się w górę wieże kościołów; w dali bieleje mur okalający miasto. Wśród wież strzelających w lasur nieba dostrzegamy wieżyczkę katedry franciszkańskiej, w której Japończycy brali chrzest, widać też klasztor, w którym kiedyś mieszkaliśmy.

Tym razem nie dostaliśmy pozwolenia na wejście do miasta, wicekról nakazał nam udać się prosto do Acapulco. Wyjaśnił, że nie jest przygotowany do przyjęcia Japończyków. Dobrze wiedziałem, o co chodzi: chciał uniknąć spotkania z nami. Niewątpliwie postąpił zgodnie z instrukcją z Madrytu. Przełożony naszego klasztoru współczuł nam i dlatego kazał przysłać wino i żywność. Dwaj zakonnicy, którzy przywieźli prowiant na mułach, przekazali mi również list od przeora. W liście znalazłem odpis raportu z klasztoru podległego naszemu zakonowi w Manili. Dzięki temu dowiedziałem się dokładnie niż. w Rzymie o sytuacji w Japonii.

Okazało się, że prześladowania chrześcijan w całej Japonii rozpoczęły się na dobre od lutego następnego roku po naszym wyjeździe. Akurat wtedy czekaliśmy na wypłynięcie do Hawany. Tymczasem w Japonii starzec siadający na welwetowym krześle niespodziewanie wydał edykt o wypędzeniu poza granice kraju nie tylko wszystkich misjonarzy, lecz także najwyższych rangą japońskich chrześcijan, zakazał też praktykowania wiary w Chrystusa we wszystkich rejonach Japonii.

Nic o tym nie wiedzieliśmy ani ja, ani posłowie. Nieświadomi niczego, goniąc ułudę za ułudą, zmierzaliśmy w stronę Hiszpanii. A przed nami - jak się okazało - był tylko urojony zamek.

Podobno po wydaniu edyktu wszystkich misjonarzy w Japonii spędzono do Nagasaki. Oczekujący mojego powrotu w szafasie w Edo ksiądz Diego znalazł się na pewno pośród nich. Wyobrażam sobie teraz sylwetkę tego dobrodusznego brata o zaczerwienionych oczach jak po płaczu, zastrachanego i bezradnego w chwili opuszczania Edo.

Misjonarzy i zakonników zgromadzono w miejscowości Fukuda w pobliżu Nagasaki i przez blisko osiem miesięcy trzymano ich jak bydło w szopach krytych słomą. Nagasaki stało się miejscem niebywałego zamieszania, ludzie podzielili się na obozy: tych, którzy wyrzekali się wiary, i tych, którzy chcieli się ukryć; nasi zakonnicy razem z dominikanami i augustianami zorganizowali dwudniowe wspólne modły, a następnie w święto Wielkanocy poprowadzili przez miasto procesję wołającą: "Męczeństwo, Męczeństwo!".

Siódmy listopada. Dzień deszczowy, osiemdziesięciu ośmiu przetrzymywanych w obozie misjonarzy i japońskich duchownych załadowano na pięć dżonek i

wysłano do Macao.

Ósmy listopada. Natomiast trzydziestu księży i zakonników, a także grupa wierzących Japończyków wyruszyła do Manili na rozpadającej się ze starości łodzi. Wszyscy zostali skazani na wieczyste wygnanie, a wśród nich tacy wpływowi wojownicy jak Takayama Ukon i Juan Naito.

Gdy czytałem ten opis, przed oczami miałem sylwetkę i oblicze starca siedzącego na welwetowym krześle. Ten nieco otyły władca, podobny do Chińczyka, zwyciężył nas, chrześcijan, jako polityk, podobnie Neron pokonał apostołów. Apostołowie natomiast zwyciężyli w świecie ducha. Ów starzec prawdopodobnie jeszcze nie wie, że wbrew stanowczym zarządzeniom, czterdziestu dwu misjonarzy ukrywa się na jego wyspach, korzystając z potajemnej pomocy japońskich wiernych. Ukrywający się misjonarze zdają sobie sprawę z tymczasowej przegranej, czy po prostu przegranej we współczesnym świecie, mimo to chcą poświęcić własną krew temu krajowi, podobnemu kształtem do jaszczurki.

To przypomina mi warunki, w jakich działał i cierpiał kiedyś Pan Jezus. W świecie polityki, w którym panował arcykapłan Kajfasz. Jezus również został podstępnie wykorzystany, po czym odrzucony i ukrzyżowany na Golgocie. Lecz pokonany Jezus odniósł zwycięstwo w ludzkich duszach. Na pewno w czasie tej podróży przegrałem w walce ze światem polityków. Kraj podobny do jaszczurki pokonał mnie tylko pod tym względem.

"O Panie! Wskaż, czego oczekujesz ode mnie.

O Panie! Niech się stanie wola Twoja.

O Panie! Jeśli ziarno, które we mnie poczęło kiełkować, jest Twoją wolą, proszę, daj mi znak, żebym o tym wiedział."

Acapulco. W połyskującej w mroku zatoce stoi na kotwicy galeon, który powiezie nas do Manili. Otaczające zatokę cyple i wysepka są pokryte oliwnymi gajami. Jest tu znacznie bardziej gorąco niż na płaskowyżu meksykańskim.

Japończycy otrzymali noclegi w klasztorach fortu Acapulco, posnęli jak umarli w ciągu dnia, nie czekając nocy. Cierpienia i długie zmęczenie podróżą powaliło ich natychmiast po przybyciu, nie wychodzili więc nigdzie, spali cały czas. Wokół koszarów panowała cisza. Od czasu do czasu z zatoki dolatywał jedynie przejmujący krzyk mew, jakby tylko po to, żeby zakłócić spokój.

Zgodnie z planem statek odpłynie za miesiąc. I znów przetnie ocean opierając się szalejącym falom, przewyciężając burze, i z Bożą pomocą na początku wiosny dotrze do Manili. Ja pozostanę w tym mieście, natomiast Japończycy z załogą wrócą do Japonii. Rozstanę się z nimi. Postąpię zgodnie z rozkazami wuja i moich przełożonych. Zamieszkać w bieluteńkim klasztorze, otoczonym dobrze utrzymanym ogrodem z klombami kwiatów.

Albo też...

"O Panie! Wskaż, czego oczekujesz ode mnie.

O Panie! Niech się stanie wola Twoja.

O Panie! Jeśli ziarno, które we mnie poczęło kiełkować, jest Twoją wolą, proszę, daj mi znak, żebym o tym wiedział..."

Obudzono go o świcie. Zasnute mgłą oczy powoli rozpoznawały twarz Yozó. Uśmiechał się jak matka patrząca na śpiące dziecko. Z wyrazu jego twarzy Samuraj zrozumiał, co sługa miał do powiedzenia.

- Co? - wyskoczył z posłania jak oparzony i potrząsnął Nishim, który spał obok głębokim snem.

- To Rikuzen! - zawołał Samuraj z najgłębszym uczuciem. Japończycy wybiegali przepychając się na pokład. Słońce oświetlało całą powierzchnię morza, lekko pomarańczową, spokojną. W pobliżu ujrzeli znajomą wyspę, a w dali - zamgloną górę Kinkazan. Rosły na niej również bliskie ich sercom znajome drzewa. Na plaży stały łodzie. Przez dłuższy czas wszyscy milczeli i patrzyli na wyspę, na brzeg lądu i na łodzie.

Niepojęte, ale nie rozpierała ich radość. Nie płynęły nawet łzy. A przecież tak długo myśleli z utęsknieniem o tej chwili i oglądali ten krajobraz w marzeniach sennych. Tyle razy przeżywali w snach tę scenę.

Z masztu chiński żeglarz wskazał na wyspę i coś krzyknął. Być może powiedział, że dopłynęli. Może zameldował, że przed nimi Tsukinoura.

Wszyscy milczeli, nie ruszali się z miejsc. Patrzyli tępo na ojczysty krajobraz, który przesuwiał się powoli przed oczami, każdy myślał o czym innym i poddawał się własnym wspomnieniom. Tylko fale uderzające o statek dudniły głucho, połyskiwały jak kawałki rozbitego szkła i znikwały. Mewy dotykały grzbietów fal, to znów kołysały się jak liście na wietrze.

W Samuraju odżyła godzina ich odjazdu. Skrzywienie fałów, bicie fal o burtę, mewy szybujące nad dziobem i odlatujące tak samo jak teraz. Wówczas patrzył na otwarte morze, po którym tańczyły języki fal niby wystające kły i myślał, że ten moment zaczyna nową tajemnicę jego losu.

Ten nie znany los wypełnił się i teraz zmierza ku końcowi. Zamiast radości pozostało uczucie pustki i znużenia. Dlaczego tak się działo? Może dlatego, że widział nazbyt wiele, co znaczy tyle samo, co nie widzieć nic. Czy smakowanie nazbyt wielu rzeczy może być tym samym co nie smakowanie niczego?

- Strażnicy! - ktoś krzyknął.

Z głębi zatoki zbliżała się ku nim łódź z zatkniętym proporcem miejscowego feudała. Spoza proporca spoglądał w ich stronę niski urzędnik. Za nim płynęły dwie łodki. Urzędnik przesłonił oczy od słońca i studiował kolejno twarze Japończyków. Następnie zadawał pytania. Wymiana zdań trwała dosyć długo, w końcu wszystko chyba zrozumiał.

Samuraj wraz z towarzyszami przesiadł się do łódki i zbliżając się do portu patrzył na zatokę Tsukinoura. Na cyplach po obu stronach stały rozwalające się chaty kryte słomianą strzechą. Spoza nich wystawała maleńka czerwona brama torii, na której powiewała cynobrowa flaga. Po drodze biegły dzieci. Tak, niewątpliwie była to Japonia, był to krajobraz japoński.

"Wróciliśmy..."

Dopiero w tym momencie Samuraj poczuł wielką radość. Mimo woli spojrział na twarz Nishiego, na twarze Ichisuke i Daisuke.

- Brzezi... Japonii... - Nishi westchnął głęboko i nic więcej nie mógł powiedzieć.

Kiedy postawili nogi na plaży zaśmieconej czarnymi wodorostami, przezroczyście zmarszczki fal zwilżały im stopy. Długo stali z zamkniętymi

oczyrna, jakby rozkoszując się pieścnotami wody. Przyglądali się im urzędnicy, którzy wyszli na spotkanie i nagle się zatrzymali.

- Oj! - zawołał jeden z nich i ruszył biegiem rozkopując stopami piasek. - Wróciliście? - Chwycił za ręce Samuraja i Nishiego i przez chwilę nie puszczał. - Wróciliście?

Urzędnicy nic nie wiedzieli o powrocie posłów. Widocznie nie dotarł jeszcze list wysłany drogą okrężną przez Makao z Luzonu, gdzie posłowie przebywali ponad rok, ponieważ nie było statku udającego się do kraju. Urzędnicy byli więc bardzo zaskoczeni wydarzeniem i nie wiedzieli, co mają robić.

W porównaniu z pożegnaniem w dniu odjazdu teraz było spokojnie. Samuraj i Nishi zostali powitani przez urzędników, przyglądające się z daleka dzieci oraz plusk fal omywających posępnie plażę. Samuraj patrzył na morze, gdzie kiedyś unosił się statek przypominający ogromną fortecę, którym odpłynęli. Dzisiaj bezkresna powierzchnia połyskiwała spokojnym blaskiem. Kiedyś mnóstwo łódek wypełnionych towarami stało przy brzegu, wszędzie uwijali się kulisi. Dzisiaj niczego tu nie ma.

W towarzystwie urzędników udali się do buddyjskiej świątyni, w której nocowali przed odjazdem. Nie zmieniła się od tamtego czasu. Pamiętający ich kapłan zaprowadził posłów do pokoju, w którym Samuraj zobaczył zbrązowiałe od słońca maty i przed oczami zamajaczył mu Tanaka. Na tej macie spędzali noc. Ani Tanaki, ani Matsukiego teraz nie ma. Skromny grób Tanaki pozostał w zagajniku pod Veracruz. Do Japonii przywieźli tylko kosmyk włosów i ścinki paznokci.

Urzędnicy jeden po drugim wchodzą to znów wychodzą z pokoju. Nie ma czasu na odpoczynek. Posłaniec na szybkim koniu opuścił już Tsukinourę, żeby zawiadomić Radę Seniorów. Samuraj i Nishi musieli być gotowi do wyjazdu choćby nawet jutro, jeśli przyjdzie od Rady wezwanie do zamku.

Wszystko wokół wywoływało miłe wspomnienia. I zapach pokoju, i znajdujące się w nim meble, i postawiona przed nimi taca na nóżkach z posiłkiem dotąd przez długi czas pojawiały się tylko w snach jako znaki Japonii. W oddzielnym pokoju służący płakali głaszcząc drewniany filar.

Główny kapłan i urzędnicy z wyrazem niedowierzania słuchali opowieści Nishiego o krajach południowych barbarzyńców. A Nishi opowiadał o domach zbudowanych z poczwórnie czy pięciowarstwowo ułożonych kamieni, o katedrach, których wieże strzelały w niebo. W dodatku trudno było to wszystko tak wytłumaczyć, żeby słuchacze zrozumieli.

- Świat... - Nishi uśmiechnął się zrezygnowany - jest tak wielki, że tu, w Japonii, nie można go sobie nawet wyobrazić. - Na próżno wyjaśniał, jak wyglądają rozległe pustkowia Nowej Hiszpanii, gdzie nie ujrzysz żadnych roślin prócz kaktusów i agaw.

Kiedy Nishi skończył, urzędnicy i kapłan zaczęli opowiadać co się wydarzyło po ich wyjeździe. Właśnie w tym czasie, kiedy Samuraj i jego towarzysze opuszczali Rzym, w Japonii rozegrała się ostatnia wielka bitwa. Były shogun pokonał i zniszczył ród Toyotomich. Na szczęście wielmożny pan posłał swoje wojsko na samym końcu do stolicy Kioto i nie zdążył wziąć udziału w walkach w Osace. Książę Ishikawa zginął. Kupcy i żeglarze, którzy jeździli z Samurajem za morza, powrócili wtedy z Luzonu do Nagasaki, a następnie do domów. Wielki galeon pozostał w Luzonie, do kraju przyплыnęli innym statkiem, należącym do południowych barbarzyńców.

- I pan Matsuki?

Urzednicy kiwali glowami na potwierdzenie. Podobno Matsuki zostal mianowany pomocniczym inspektorem przy Radzie Seniorow. To wielkie wyrozniczenie dla czlowieka niskiego stanu. Samuraj zastanawial sie, co jest teraz ze sprawa zakazu praktykowania chrzescijaństwa. Chcial tez wiedziec, czy pan Shiraishi i jego wasale, ktorzy poslali ich do Nowej Hiszpanii, nadal maja wplywy w Radzie Seniorow, lecz te pytania nie przeszly mu przez gardlo. Nie wypowiedzial ich ani Samuraj, ani Nishi. Niejasno wyczuwali, ze tego rodzaju pytan nalezy unikać. Ani kaplan, ani urzednicy nic im na ten temat nie wspominali.

Nadeszla noc. Samuraj polozyl sie obok Nishiego, lecz nie mogl usnac, moze z powodu zbyt duzego napiecia. Dokoła panowala cisza, z daleka dochodzil tylko szum fal. Pierwsza noc w Japonii po czterech latach. Na mysl o tym ozył pod powiekami obraz Doliny, do ktorej wróci za piec albo sześć dni. Pokryta zmarszczkami twarz stryja, który chyba sie rozplacze, Riku patrzaca na niego w milczeniu, twarze dzieci... Przypomniał sobie list napisany dzis do rodziny:

Spieszę Wam doniesć, ze przybyłem do Tsukinoury. Wszyscy jesteśmy zdrowi. Kiedy wypelnimy nasze obowiazki, pośpieszymy do domów. Chociaz powinieniem napisac bardziej szczegolowo...

Nishi rowniez chyba nie mogl spac, bo wciaz przewracal sie z boku na bok.

Gdy Samuraj zakaslal, Nishi wyszeptal:

- Nie wierzę, ze wróciliśmy.

- Ja tez nie. - Samuraj jednoczesnie westchnal, a moze wzial po prostu glębszy oddech.

Następnego dnia po południu wrócił szybki posłaniec. Przywiózł instrukcje Rady Seniorów.

Poslowie siedzieli uroczyście wyprostowani, sluchajac rozkazu. Urzednik poinformowal, ze Rada Seniorow nakazuje im czekac w zatoce do przyjazdu czlonka Rady; nie wolno im w tym czasie spotykac sie z rodzinami ani wysylac listow.

- Kto przeslal ten rozkaz? - Samuraj zapytal nie kryjac zdziwienia.

- Pan Tsumura Kageyasu.

Pan Tsumura, podobnie jak panowie Shiraishi, Ayugai i Watari, byl jednym z czlonkow Rady Seniorow. Jesli rozkaz przyszedl od pana Tsumury, nie maja wyboru, musza sie podporzadkowac.

- Proszę sie nie martwic - z pośpiechem staral sie ich pocieszyc jeden z urzednikow. - Kupcy i marynarze, ktorzy wrócili, zostali poddani podobnym dochodzeniom.

Nic z tego nie mogli zrozumiec. Przeciez wszystkim wiadomo, ze wyjezdźzali do dalekich krajow jako poslowie wielmoznego pana. Czlonkowie Rady winni takze o tym wiedziec. To upokarzajace, ze maja byc traktowani podobnie jak kupcy i zeglarze.

Ponadto przez jedna noc zmienilo sie calkowicie zachowanie urzednikow, juz nie odwiedzali ich w pokoju. Mozna bylo wywnioskowac, ze zabroniono im swobodnych rozmow z poslami.

- Zupełnie jakbyśmy zostali zamknięci w areszcie. - Zagniewany Nishi patrzył przez werandę na zewnatrz domu. Wyczuwal, ze urzednicy ich pilnuja.

Siedzac w pokoju oswietlonym wieczornymi promieniami slonca, Samuraj

zastanawiał się, dlaczego są tak traktowani. Może dlatego, że nie wypełnili poselskich zadań? A przecież po prostu wypełnić nie mogli. Jeśli tylko to wyjaśnią, Rada Seniorów zapewne ich zrozumie.

Rankiem - po trzech dniach, które spędzili w świątyni bez wychodzenia na zewnątrz nawet na krok - z pośpiechem wszedł jeden z urzędników, który w tym czasie nie pokazywał się przybyszom na oczy.

- Dzisiaj łaskawie przybywa do nas - obwieścił - wielmożny pan Tsumura. Po południu Samuraj, Nishi i ich służba stanęli w szeregu przed świątynią, czekając na orszak Tsumury. W końcu od strony morza na drodze prowadzącej pod górę do świątyni rozległ się tętent i rzenie koni, po chwili ukazały się bambusowe kapelusze Tsumury i jego pięciu lub sześciu przybocznych. Samuraj i Nishi pochyliłi głowy na powitanie, lecz pan Tsumura minął ich bez słowa i zniknął we wnętrzu świątyni.

Musieli jeszcze długo czekać przed świątynią. Tsumura widocznie najpierw tam słuchał dokładnych informacji, sprawdził liczbę, nazwiska i tożsamość osób. W końcu wyszedł urzędnik i zawołał posłów na przesłuchanie.

Gdy weszli do pokoju, pan Tsumura, członek Rady Seniorów, przyglądał się im uważnie. Blask jego oczu zahartowanych w wielu bojach był mocny i przenikliwy. Obok niego siedziało trzech przybocznych, wśród nich Samuraj rozpoznał wychudłą sylwetkę Matsuki Chusaku, z którym rozstał się w Meksyku. Matsuki unikał jednak zdumionego i zarazem ciepłego spojrzenia Samuraja i nie wiadomo dlaczego odwrócił twarz w stronę werandy.

- Dobrze wytrwaliście tę długą podróż. Chcielibyście jak najszybciej wrócić do domów - pan Tsumura rozpoczął od wyrazów uznania dla obu posłów.

- Lecz ostatniego roku shōgun rozkazał, żeby przesłuchiwać każdego, kto wraca z zagranicy. Proszę zrozumieć, wypełniamy tylko nasze obowiązki.&

Następnie Tsumura wypytywał posłów, dlaczego ich statek przybył bezpośrednio do Tsukinoury zamiast do Nagasaki lub Sakai. Samuraj odpowiedział, że statek zostawił ładunek na wyspie chińskiej zwanej Tajwanem, a następnie płynął na północ, ponieważ wracał do Nowej Hiszpanii.

- Czy na tym statku był ktokolwiek wyglądający na misjonarza lub zakonnika? Czy nikt nie wysiadł potajemnie w Japonii? - zadawał kolejne pytania Tsumura.

- Nie.

W końcu Samuraj z wyrazu twarzy i głosu Tsumury wyczuł, że podczas jego nieobecności w kraju konsekwentnie wprowadzano w życie edykt antychrześcijański. Zawahał się, czy szczerze wyznać, że wraz z Nishim nawrócili się w Hiszpanii na chrześcijaństwo.

- Gdzie jest Velasco?

- Został w Manili.

- Co on tam robi? - Tsumura wypytywał szczegółowo. - Czy mówił, że znowu przyjedzie do Japonii?

Samuraj zdecydowanie potrząsnął głową. Oczywiście, bardzo dobrze pamiętał wyznanie, które uczynił mu Velasco w Meksyku i w Manili, lecz czuł, że teraz nie może tego powiedzieć.

- Nasz pan nie potrzebuje już Velasco. Rząd w Edo zakazał praktykowania chrześcijaństwa w całej Japonii, w każdym jej zakątku. Nasz pan nie zezwoli na przebywanie u siebie nikogo, kto wyznaje i szerzy chrześcijaństwo.

Dotyczy to również Velasco.

Samuraj poczuł, jak krople potu zbierają mu się na czole. Wyczuł również,

że drgają konwulsyjnie kolana Nishiego, który siedział wyprostowany.

- Czy nikt ze służby nie przyjął chrześcijaństwa?

- Nikt. - Głos Samuraja zabrzmiał ostrzej.

- Na pewno?

Samuraj spuścił głowę i milczał.

- To wszystko. - Tsumura w tym momencie po raz pierwszy się uśmiechnął. -

O ile mi wiadomo, kupcy, którzy wam towarzyszyli w podróży, przyjęli wiarę chrześcijańską, wyznali, iż uczynili to dla zysku w handlu, posłużyli się tym jako metodą. Dlatego im wybaczone, kiedy napisali, że się wyrzekają tej wiary. Ale wy jesteście samurajami. Bardzo niepokoiłem się o wasze powiązania z tą religią.

Samuraj wyczuwał wzrok Matsukiego, siedzącego obok Tsumury. Z bólem przypomniał sobie teraz słowa, które wypowiedział ten mężczyzna, kiedy opuszczali Meksyk. Matsuki nadal patrzył w bok.

- Musicie o tym wiedzieć, że nasz wielmożny pan- i Rada Seniorów zmienili swoje poglądy i stanowisko. W naszym księstwie już się nie przyjmuje barbarzyńskich statków ani nie dąży się do uzyskiwania od nich jakichkolwiek korzyści... Zrezygnowano również z zamiaru nawiązania stosunków handlowych z Nową Hiszpanią.

- Wobec tego... - zaczął Samuraj zduszonym głosem - również okoliczności, w których nas wysłano...

- Czasy się zmieniły. Na pewno wasza długa podróż musiała być gorzkim przeżyciem. Lecz Rada Seniorów nie ma teraz spraw w Nowej Hiszpanii. Nie potrzebuje też dużych statków mogących przepływać oceany.

- Wobec tego.... nasza misja...

- Nie macie już żadnej misji.

Samuraj usiłował powstrzymać drżenie kolan. Powstrzymywał też gniew i jęk wydobywający się z gardła. Zacisnął dłonie i przetrzymał wzbierający w nim żal i smutek. Pan Tsumura z całkowitą obojętnością stwierdza, że ich podróż nie miała żadnego sensu i nie służyła jakimkolwiek celom. Po co więc przemierzali bezkresne pustkowia Nowej Hiszpanii, po co wędrowali po Hiszpanii, a nawet dotarli do Rzymu? Po co Tanaka Tarozae-mon musiał zostać pogrzebany w tak żałosny sposób w lesie pod Veracruz? Śmierć Tanaki. Czemu ona służyła?

- Ani ja... - Samuraj wciąż miał spuszczoną głowę. - Ani ja, ani Nishi nigdy tego nie przypuszczaliśmy.

- Nie mogliście o tym wiedzieć. Rada Seniorów nie miała możliwości zawiadomienia was o tym.

Gdyby nikogo nie było, Samuraj wybuchnąłby śmiechem na myśl o tym bezsensownym wysiłku. Jednak Nishi, który siedział podobnie jak Samuraj z opuszczoną głową i zaciśniętymi na kolanach dłońmi, nagle głośno zawołał:

- Byliśmy głupcami!

- To nie wasza wina - powiedział Tsumura pocieszająco. - Edykt zakazujący wyznawania chrześcijaństwa zmienił wszystko.

- Ja zostałem chrześcijaninem!

Na krzyk Nishiego pan Tsumura podniósł nagle głowę, po pokoju powiało chłodem, lecz panowała nadal cisza. Tylko Matsuki w milczeniu poruszył głowę i wreszcie spojrział w tę stronę.

- Czy to prawda? - cicho zapytał Tsumura. - Czy to jest...

- Uczynił to bez przekonania - Samuraj ze wszech sił starał się przerwać Nishiemu, który nie mógł się opanować. - Myśleliśmy, że to pomoże w wypełnieniu powierzonej nam misji.

- Hasekura, czy ty również przeszedłeś na chrześcijaństwo?

- Tak. Lecz podobnie jak kupcy, bez wewnętrznego przekonania.

Tsumura milczał, świdrując Samuraja i Nishiego groźnym wzrokiem. Wreszcie dał znak ręką, wówczas jeden z towarzyszących mu przybocznych wyśliznął się bezszelestnie z pokoju. Pan Tsumura powstał, inni również poszli za nim.

Pozostał po nich tylko szelest szat. Wychodzący na końcu Matsuki nagle się zatrzymał i popatrzył na Samuraja, a po chwili on też zniknął.

Samuraj i Nishi siedzieli nadal sztywno, bez ruchu, z dłońmi na kolanach jak poprzednio. W pokoju zaległa cisza, promienie słońca sięgały podłogi.

- Ja... - oczy Nishiego przepełniły się łzami - powiedziałem coś, czego nie powinienem był mówić.

- Trudno. I tak Rada Seniorów kiedyś by to wykryła. „Rozumiem, dlaczego tak głośno krzyczałeś, że przyjąłeś wiarę

chrześcijańską." Samuraj chciał mu to powiedzieć, lecz zacisnął usta i milczał. On również pragnął wyrzucić z siebie niewysłowiony żal i gniew, zaprotestować wobec Tsumury i wobec stojącej za nim Rady Seniorów. Chciał podjąć walkę z potężną siłą, kryjącą się za Radą Seniorów.

- Co się z nami stanie?

- Nie wiem. Zdecyduje pan Tsumura.

- Czy to jest nagroda, którą mieliśmy otrzymać? - Nishi uśmiechnął się przez łzy.

"Nie, to było nasze przeznaczenie - szepnął w duchu Samuraj. - Nasz los zdecydował się w chwili wypłynięcia statku z Tsukinoury." Samurajowi wydało się, że wiedział o tym już od dawna.

Pozostawwszy Yozó i innych służących w Tsukinourze, samurajowie wyruszyli w drogę w towarzystwie pana Tsumury i jego orszaku, żeby przedstawić raport z podróży Radzie Seniorów i doręczyć inspektorowi religii pisemną przysięgę, że wyrzekają się wiary chrześcijańskiej. Takie rozkazy wydał pan Tsumura.

Zamek wielmożnego pana rozbudowano podczas ich nieobecności. Dodano nowe narożne wieżyczki, bielejące nad fosą, główną bramę natomiast, strzegącą groźne wejścia, podobno przywieziono z zamku Nagoya na Kiusiu. Dalej za bramą zobaczyli kamienne mury zakrzywione niby ostrze szabli i ściany z otworami strzelniczym w kilku miejscach, broniące dostępu do środka.

Samuraja i Nishiego pozostawiono w jednym z budynków.

W ciemnym pokoju połyskiwała drewniana podłoga. Mimo południowej pory panował tu mrok i zupełna cisza. Oprócz prostopadłych schodów w kącie, niczego więcej tu nie było.

- Trudno wytrzymać w tej ciemności - wyszeptał Nishi.

- Co przez to rozumiesz?

- W Nowej Hiszpanii i w starej Hiszpanii domy są zupełnie inne, jasne, do wnętrza wpada światło słoneczne. Tam kobiety i mężczyźni rozmawiali z uśmiechem. Tutaj nie możemy mówić, jak chcemy, nie możemy się śmiać.

Nawet nie wiemy, gdzie znajduje się nasz pan i władca. - Nishi

westchnął głęboko. - Dopóki żyjemy, nie uda nam się uciec z tej ciemności.

W tym kraju książe pozostaje księciem, generał generałem, a nasz protektor panem protektorem, natomiast tacy wiejscy wojownicy jak my pozostają



przez całe życie wieśniakami.

- Możliwe, że zobaczyliśmy coś, czego nie powinniśmy oglądać. To jest naprawdę Japonia. Ta ściana z okienkami, nie większymi od otworów strzelniczych, służy do obserwacji tych, którzy tu wchodzą, a nie do oglądania wielkiego świata.

Samuraj pragnął spotkać się z panem Shiraishim. Zarówno Shiraishi, jak i pan Ishida nie wpatrywaliby się w nich tak surowo i groźnie. Potrafiliby zrozumieć, dlaczego nie mogli wypełnić tej misji, i obdarzyliby ich łaskawym słowem podziękowań.

Rozległy się kroki i po chwili ukazała się sylwetka pana Otsuki, inspektora religii, i jego asystenta. Wychudły starzec, podobny do stryja Samuraja, ponownie wypytywał, dlaczego zostali chrześcijanami.

- Dlatego, że zarówno w Nowej Hiszpanii, jak i w królestwie Hiszpanii nie mogliśmy nic uczynić, dopóki nie przeszliśmy na chrześcijaństwo - szczególnie wyjaśnił Samuraj. Skończył opowiadać o Velasco i o śmierci Tanaki, i dodał: - Wszystko to zrobiliśmy dla wypełnienia powierzonego nam zadania. - Zostaliśmy chrześcijanami tylko zewnętrznie, dla formy, podobnie jak nasi służący. - Teraz w naszych sercach nie ma już tej wiary nawet na grubość włosa.

- Napiszcie to w przysiędze wyrzeczenia się obcej wiary.

Otsuka popatrzył na nich z politowaniem i dodał: - Napiszcie to. - Urzędnicy przynieśli stolik, papier i pędzle, postawili przed przesłuchiwanymi i kazali pisać. Podczas pisania Samuraj przypomniał sobie postać wychudłego brzydkiego Mężczyzny z rękami rozpiętymi na krzyżu. Tego Mężczyzny, którego musiał oglądać w czasie długiej podróży w każdym miasteczku, w każdym klasztorze; w dzień i w nocy musiał na Niego patrzeć. Zresztą nigdy w Niego nie uwierzył. Nigdy nie czuł potrzeby oddawania Mu hołdu. A mimo to z Jego powodu przeżywa takie trudności. W dodatku teraz ten Mężczyzna zaczyna decydować o jego losie.

Skończyli pisać przysięgę, wyszli z budynku i udali się do nowego pawilonu, w którym urzędowała Rada Seniorów. Lecz nie zastali tu ani jednego członka Rady. Trzech prostych urzędników obojętnie wysłuchało opowieści Samuraja i Nishiego. Bez najmniejszych oznak współczucia, bez słów wyrażających podziękowanie za trud. Zatem Rada Seniorów wydała instrukcje, aby tak właśnie ich traktować.

- Czy nie ma wiadomości od wielmożnych panów Shiraishiego i Ishidy? - zapytał Samuraj, nie mogąc już dłużej wytrzymać.

Jeden z urzędników chłodno poinformował, że nie słyszał o żadnych wiadomościach, a poza tym nie widzi potrzeby spotykania się z tymi osobami. Następnie dodał:

- Przez pewien czas nie będziecie mogli ze sobą się porozumiewać. Taki jest rozkaz Rady Seniorów.

- Dlaczego zakazują? - Nishi zacisnął pięści i zbliżył się do urzędnika.

- Książę zdecydował, że przez pewien czas nie mogą się porozumiewać ci, którzy przyjęli chrześcijaństwo, niezależnie od powodów - powiedział urzędnik z uśmiechem na twarzy. I dodał, że teraz mogą wrócić do miejsca zakwaterowania, następnie, jeśli chcą, mogą udać się do domu.

Na podstawie sposobu ich traktowania i słów urzędnika przypuszczali, że dla zamku ich powrót z zagranicy był sprawą wielce kłopotliwą, którą należało

załatwić po cichu.

Samuraj i Nishi wyczuwali wyraźnie, że członkowie Rady celowo unikali spotkania. Nikt ich nie odprowadził nawet do głównej bramy. Nikomu nie potrzebni wyszli na podwórze. Promienie słońca padały przez gałęzie rosnących po obu stronach drzew na dróżkę wyłożoną kamieniami. Otwory strzelnicze ziały chłodem śledząc wychodzących. Samuraj i Nishi nie wiedzieli, gdzie w tym zaniku rezyduje książę. Nie wiedzieli, czy został poinformowany o tym, że wrócili z dalekiej podróży.

Gdy schodzili w milczeniu opustoszałą drogą w dół ku głównej bramie, Samuraj nagle powiedział do siebie:

- Ziemia w Kurokawie...

Przypomniał sobie słowa pana Ishidy, który obiecał, że rozważy możliwość przywrócenia mu lenna w Kurokawie, jeśli dobrze wypełni powierzoną misję. Panowie Shiraishi i Ishida muszą wiedzieć o ich powrocie do Japonii, a jednak... Dlaczego nie chcą im udzielić audiencji?

Nawet kiedy przyszedli do kwatery znajdującej się w pobliżu czarnej wody wypełniającej fosę zamkową, nie mieli sił, żeby ze sobą rozmawiać. Niczego już nie rozumieli. Jutro udadzą się do Tsukinoury, a następnie wraz ze służącymi wrócą do domu.

- Przez jakiś czas nie będziemy mogli się spotykać - powiedział Samuraj mrugając powiekami. - Jeśli taki jest rozkaz, nie ma na to rady, musimy się zastosować. Jestem przekonany, że w końcu zechcą nas zrozumieć.

- Niczego nie pojmuję. Nie mogę się pogodzić z tym, jak nas potraktowano w pokojach Rady Seniorów.

Po powrocie do kwatery młody Nishi do wieczora skarżył się, wypowiadając zbędne słowa. Rozczulał się bez sensu nad okrutnym losem.

Zapadła noc. Po spożyciu kolacji Nishi siedział zgięty w pół obejmując kolana, obok niego przy płomieniu świecy Samuraj pisał dziennik z podróży. Wraz z każdym zapisanym znakiem powracały wspomnienia, ożywały pejzaże, barwy i zapachy. Ze znaków pisma i spomiędzy linijek sączyły się nieskończenie głębokie wzruszenia i smutki. Drgał płomień świecy i od czasu do czasu rozlegał się cichy, suchy trzask.

Zjawił się gość. Jakby ptasi cień poruszył się wzdłuż ściany. Był to Matsuki Chusaku.

- Przyszedłem się pożegnać. Oparł się o ścianę patrząc w bok jak poprzednio. Nie wiadomo dlaczego unikał ich wzroku, może czuł się winny, że nie dzielił ich losu, a może po prostu nie mógł oglądać ich nieszczęścia.

Samuraj i Nishi milczeli, dlatego zaczął mówić Matsuki, jakby chciał się wytłumaczyć:

- Teraz musicie tak się zachowywać, jakbyście nigdy nie odbyli tej podróży.

- To niemożliwe - rzekł Nishi ze złością w oczach. - Słyszeliśmy, że został pan asystentem inspektora przy Radzie Seniorów. Powiodło się, prawda? My nie potrafimy iść przez życie tak chytrze jak pan, panie Matsuki.

- Nishi, uważaj, co mówisz! Przecież jeszcze na statku ostrzegałem. Wielokrotnie przestrzegałem mówiąc, że są różnice zdań w sprawie tej podróży między panem Shiraishim i panem Ayugaim. Ty mnie nie słuchałeś!

- Co robi pan Shiraishi? - włączył się Samuraj, chcąc obu uspokoić. - Czy

jeszcze jest starszym członkiem Rady?

- Opuścił Radę. Klanem rządzą teraz pan Ayugai i jego zwolennicy.

- To dlatego tak nas traktują? Nie otrzymaliśmy ani słowa podziękowania ze strony Rady. - Nishi z grymasem na twarzy znów przystąpił do ataku.

Matsuki spojrział na niego chłodno i zignorował pytanie.

- To jest polityka.

- Co to jest polityka?

- Nowa Rada Seniorów, rozumiesz, musi odrzucić wszystko, co przedsięwziął Shiraishi i jego stronnicy. Wszystko, co pan Shiraishi planował, wszystko bez wyjątku, musi zostać odrzucone. Przykro mi, ale ci, którzy byli symbolami takich przedsięwzięć, nawet jeśli o niczym nie zostali uprzedzeni, są sądzeni i eliminowani. To jest świat polityki.

- Jestem zwykłym wiejskim wojownikiem, nie znam się na polityce.

Zostałem posłem, zgodnie z rozkazami Rady... - Nishi opuścił głowę, drżały mu ramiona. Matsuki odwrócił twarz, jakby nie chciał tego widzieć.

- Słuchaj, Nishi - szepnął niemal pocieszająco. - Czy ty wciąż myślisz, że byłeś posłem? Czy nie spostrzegłeś jeszcze, że byłeś jedynie przynętą pod postacią posła?

- Co to znaczy "przynętą"? - mimo woli zdumiony Samuraj podniósł głos. Matsuki wahał się.

- Ani Edo, ani klan nie traktowali wtedy zbyt poważnie sprawy ustanowienia handlu z Nową Hiszpanią. Po powrocie do Japonii dobrze to rozumiałem...

- Czy to prawda?

- Słuchaj! Nie mieli najmniejszego zamiaru zapraszania chrześcijańskich misjonarzy. Władca w Edo posłużył się naszym klanem, chcąc się dowiedzieć, jak się buduje duże statki i jak się nimi kieruje. Chciał też poznać wodne drogi nawigacyjne. Dlatego na ten statek załadowano tak wielu żeglarzy wraz z kupcami. I kupcy, i my byliśmy tylko przynętą. Przynętą pozwalającą na odwrócenie podejrzeń południowych barbarzyńców, dlatego na posłów wybrano ludzi o niskiej pozycji społecznej, żeby mogli umrzeć i zgnić gdziekolwiek i żeby to nikogo nie obchodziło.

- I to jest polityka? - Nishi jak oszalały uderzył pięściami o kolana. - I to nazywacie drogą rządzenia?

- Właśnie na tym polega działanie polityczne. I wiem, że być inaczej nie może. Jeśli nie jest użyteczne, co było dobre przed czterema laty, teraz należy to osądzić jako zło. Na tym polega droga rządzenia. W tamtym okresie plan Shiraishiego, który oczywiście myślał o rozkwicie księstwa, był słuszny. Lecz teraz shogun nie życzy sobie, żeby któreś z księstw szczególnie rozkwitało, dlatego plan Shiraishiego stał się złem. Pana Shiraishiego wyrzucono z Rady Seniorów, a lenno mu odebrano. To rozumiałe. Na tym polega droga rządzenia.

Podobnie jak Nishi Samuraj zacisnął dłonie i wpatrywał się w płomień świecy. Nie mógł zdławić w sobie żalu, dopóki nie zacisnął dłoni tak mocno, aż paznokcie wpijały się w ciało. Przypomniawszy sobie współczujące słowa pana Ishidy. Jego ciepły uśmiech.

- Większy wojownicy to też ludzie - Samuraj po raz pierwszy przemówił językiem zranionego zwierzęcia. - Jesteśmy ludźmi! Nawet jeśli

pochodzimy z ubogich wiosek!

- Droga polityki jest tak brutalna jak wojna. Nie można prowadzić wojny, rozczulając się nad losem wiejskich wojowników.

- Czy wielmożny pan myśli tak samo?

Samuraj nie mógł uwierzyć, żeby jego pan myślał podobnie, bez względu na to, co Rada Seniorów i jej poszczególni członkowie sądzą. Swego pana widział tylko z daleka. Taki wieśniak, jakim był Samuraj, zajmował pozycję zbyt niską, żeby mógł bliżej poznać wielmożnego pana. Rodzina Samuraja, ojciec i stryj, poświęcili swemu panu wszystko. Niektórzy z rodu stracili dla niego życie. Ich pan nie jest tak bezsilny jak ten wychudły Mężczyzna o rozpiętych na krzyżu ramionach. Winien wiedzieć o wszystkim.

- Wielmożny pan? - zapytał szeptem Matsuki jakby współczująco. - Wielmożny pan to przecież polityk, prawda?

Chmury szczelnie pokrywają niebo, od czasu do czasu lasem wstrząsa drżenie spadających kropli deszczu. Chłopi w słomianych okryciach obcinają gałęzie. Przy domowym ognisku Samuraj łamie suche gałęzie. Obok niego stryj wpatruje się w ogień. Suche gałęzie pękają z głuchym trzaskiem. Następnie padają w płomienie. I od razu wznoszą się jęczyczki ognia.

"Zachowywać się tak, jakby nigdy nie odbyli tej podróży."

Wyraźnie pamięta te słowa, które niemal im współczując, wypowiedział Matsuki Chusaku. Zapomnieć. Myśleć, że nic się nie zdarzyło. Nie ma innego sposobu na przywrócenie jego rozczarowanemu sercu pierwotnego spokoju. Nic teraz nie da rozmyślanie nad tym, że nie pełnił zaszczytnej funkcji posła, lecz był tylko przynętą, która miała zwieść południowych barbarzyńców. Samuraj zrozumiał, co Matsuki miał na myśli, kiedy mówił, że w Radzie Seniorów panuje niezgoda między panem Shiraishi i innymi członkami i że Shiraishi stracił wpływy. Pojął także, czym jest polityka. Czuł się całkowicie bezsilny.

Kiedy jednak patrzył na ponurą twarz stryja, który pokładał wszystkie nadzieje w zasługach swego bratanka, robiło mu się bardzo przykro. Riku smętnie się tylko uśmiechała. Nie pytała go ani o śledztwo prowadzone w zamku, ani o to, co ma nastąpić w przyszłości. Naprawdę zachowywała się tak, jakby nic się nie zdarzyło. Lecz jej delikatność napawała Samuraja goryczą.

- Od pana Ishidy... - Pewnego wieczoru stryj zapytał, jakby nie mógł już dłużej wytrzymać milczenia. - Czy nie miałaś jeszcze żadnych wiadomości od pana Ishidy?

- W Nunozawie trwają jeszcze żniwa. Kiedy nie będzie tak zajęty, na pewno wezwie mnie do siebie.

Nawet Ishida, jego patron, od powrotu Samuraja zza oceanu nie odezwał się słowem. Z jakichś powodów chyba unika wszelkich kontaktów z rodziną Hasekury. Samuraj wysłał do niego Yozo z pozdrowieniami i prośbą o przyjęcie na rozmowę, ale on odpowiedział, że zawiadomi go wtedy, kiedy przyjdzie na to pora. Wszyscy inni są obcy, ale Samurajowi trudno było uwierzyć, że nawet pan Ishida go opuścił.

"Przemierzyłem bardzo szeroki świat. Lecz przestałem wierzyć w ludzi." Te słowa wypowiedział Nishi Kyusuke, trzymając mocno lejce w dłoniach, jakby chciał stłumić wzbierający w nim żal, w chwili gdy rozstawali się w Tsukinourze po powrocie z zamku.

Te gorzkie słowa często ozywają w uszach Samuraja. Tak, obaj o niczym nie wiedząc, niczego nie przeczuwając, musieli wędrować przez ten wielki świat. Władcy Edo postanowili wykorzystać do swych celów księstwo, książe posłużył się Velasco, natomiast misjonarz chciał oszukać Japończyków. Zakon Piotra prowadził niegodziwą rywalizację z Zakonem Pawła, a w samym centrum tych oszustw, zakłamania i walki znajdowali się dwaj mężczyźni, skazani na tę długą podróż.

- Zastanawiam się, czy również Ishida opuścił naszą rodzinę - powiedział stryj bezsilnym szeptem.

Dawniej stryj nigdy nie mówił tak słabym, niezdecydowanym głosem. Teraz wciąż siedział przy ogniu, wpatrując się pustymi oczyma w płomienie poruszające się niby owady późną jesienią. Schudł i skurczył się jak nigdy przedtem, Samuraj pocieszał tego starego człowieka, wypowiadając z całą powagą słowa, w które sam nie wierzył. Riku natomiast, siedząc obok nich, słuchała jego opowiadań z zamkniętymi oczyma. Od czasu do czasu wstawiała, jakby współczuła i nie mogła dłużej słuchać męża, który musiał opowiadać stryjowi kłamstwa. Ona dobrze wiedziała, że to tylko kłamstwa. Samuraj opowiadał te nieprawdziwe historie, aby przedłużyć choćby o dzień szybko gasnące życie stryja. Powrócić do Kurokawy, do dawnych włości przodków i umrzeć - to jedyne pragnienie stryja, podobne do chronicznej choroby.

Kiedy Samuraj nie mógł znieść patrzenia na twarz stryja, wychodził z domu i o niczym nie myśląc pracował razem z chłopami od rana do nocy. Nosił drewno na opał na zgiętych plecach, gromadząc je wokół obejścia na stosach przypominających mur, to znów, wytrzymując ból ramion, dźwigał gałęzie pod górę do szop węglarzy, wypalających węgiel drzewny. Jedyne sposobu ucieczki od troski. Yozo chodził za panem w milczeniu ze swoją wiązką na barkach. O czym myślał ten mężczyzna? Od powrotu Samuraj go o to nie pytał. Ale nawet nie pytając mógł wszystko zrozumieć, kiedy siadali na odpoczynek w dolinie ogrzanej złotym słońcem. Promienie padały na górskie kasztany leżące w trawie, a on milczał i patrzył wzrokiem utkwionym w jeden punkt.

"Yozu i jemu podobni - myślał Samuraj biorąc grzyb do ręki - są jeszcze bardziej godni pożałowania."

Samuraj nie mógł wynagrodzić trudów podróży Yozó, Ichisuke i Daisuke, ponieważ Rada Seniorów w ogóle nie nagrociła rodu Hasekura. Możliwe nawet, że Yozu zazdrości zmarłemu Seihachiemu, pewnego rodzaju wolności, którą osiągnął. Oni muszą do końca życia zadowolić się tym, co los ofiarował im dawniej.

Pod koniec jesieni pojawił się posłaniec od pana Ishidy i przekazał polecenie, żeby Samuraj przybył do niego potajemnie, ponieważ chce mu coś powiedzieć.

Wyruszył więc do Nunozawy w towarzystwie Yozó. W fosie otaczającej dwór pana Ishidy woda była mętna, pływały w niej gnijące liście lotosu i jakieś inne wodne rośliny. Smutek rozczarowania z powodu utraty wpływów w Radzie Seniorów wyraźnie wyczuwało się już tu, w zbrązowiałych liściach lotosu.

- Dziękuję, że przyszedłeś. - Pan Ishida odkaslnął i wpatrywał się uważnie w Samuraja pochylonego na klęczkach i niemal dotykającego czołem podłogi. Kiedy Samuraj uniósł głowę, zobaczył, że jego patron postarzał się tak samo jak stryj i że wychudł, choć kiedyś miał dobrze zbudowane, silne ciało.

- Wiem... - Znów zamilkł na chwilę, następnie powiedział zmęczonym głosem: - Wiem, jak było ci ciężko.

Samuraj starał się opanować wzbierające emocje. Po raz pierwszy od powrotu usłyszał dobre, współczujące słowa. Chciało mu się głośno płakać. "Wiem, jak było ci ciężko..." Powstrzymał się i tylko pochylił nisko głowę, trzymając dłonie na kolanach.

- Ale nic nie można poradzić. Kiedy wyjechałeś, wszystkie decyzje księstwa się zmieniły, nasz pan porzucił swoje marzenia i ty też musisz zrezygnować z ziem w Kurokawie.

Samuraj był na to przygotowany, ale kiedy usłyszał wyrok z ust pana Ishidy, pod powiekami przemknął mu obraz bezżębnej twarzy stryja.

- Nie możesz nawet złożyć protestu. Powiedz o tym stryjowi. Powinieneś być raczej wdzięczny, że ród przetrwał, mimo że byłeś chrześcijaninem, nieważne, że przez krótki czas.

- Uczyniłem to, aby wypełnić obowiązek.

"Nie wierzyłem w chrześcijaństwo. Nigdy nawet nie myślałem o tym, żeby uwierzyć. Wszystko uczyniłem z poczucia obowiązku." Samuraj zażawionymi oczyma starał się powiedzieć panu Ishidzie, że zrobił to tylko w celu wypełnienia misji.

- Czy wiesz, że takie rody jak Semmatsu i Kawamura zostały całkowicie pozbawione posiadłości dlatego, że panowie ci byli chrześcijanami?

- Rody pana Semmatsu i pana Kawamury?

Usłyszał o tym pierwszy raz. Rodziny Semmatsu i Kawamura cieszyły się znacznie lepszym pochodzeniem niż ród Hasekura. Zwłaszcza Kawamura Magobei z klanu Kawamury wyróżnił się pracami irygacyjnymi i leśnymi w księstwie, został za to nagrodzony dodatkowym przydziałem w dochodzie ponad trzech tysięcy koku ryżu w Sarusawie, Hayamata i Okagi. I ten ród został zniszczony z powodu przyjęcia chrześcijaństwa?

- Musisz się z tym pogodzić - pan Ishida jakby go ostrzegał. -

Teraz musisz żyć tak, żeby cię nikt nie zauważał, po cichu.

- Po cichu?

- Tak, nie zwracając na siebie niczyjej uwagi. Nikt nawet przez moment nie może cię podejrzewać o związki z wiarą chrześcijańską.

Nawet ja nie mogę już cię chronić. Dawniej książę posługiwał się rodem Ishidy w działaniach wojennych i innych rozgrywkach, lecz teraz czasy się zmieniły, zostałem porzucony jak nikomu nie potrzebny kamyk. Nie mówię tego, żeby się zalić. Książę dobrze zna zasady polityki. - Ishida, jakby drwiąc z siebie samego, zaśmiał się głosem stłumionym przez flegmę. - U ciebie przecież nic się nie zmieniło, prawda? Kilka lat temu w młodym wieku, będąc zwykłym wiejskim samurajem, zostałeś wybrany na posła do południowych barbarzyńców, lecz teraz musisz żyć tak, żeby nie zwracać na siebie uwagi. Stosunki między jednym człowiekiem a drugim, jak widzisz, są zimne, są również okrutne, pomyśl o tym. Wezwałem cię po to, żeby o tym powiedzieć.

Samuraj z pochyloną głową uważnie słuchał melodyjnego głosu swego patrona. Wydawało się, że pan Ishida mówi nie tyle do Samuraja, co do siebie samego, żeby stłumić smutek i gniew.

O zmierzchu opuścił Nunozawę. W uszach dźwięczał mu jeszcze matowy głos pana Ishidy. Yozo człapał z tyłu za koniem. Życ w Dolinie niepostrzeżenie, bez zwracania czyjejkolwiek uwagi. Taka czekała go przyszłość.

Gdy tej nocy wrócił do Doliny, przekazał nic nie podejrzewającemu stryjowi krótką informację, że panu opowiadał jedynie o krajach zamorskich. Prawdę mówiąc, Ishida nawet słowem nie zapytał o obce kraje czy o przebieg podróży. Nie tylko zresztą Ishida, wszyscy z księstwa stracili zainteresowanie odległymi krajami.

- Jeśli nie wspomniał o ziemiach w Kurokawie - stryj zamknął oczy z rezygnacją - to może coś wspomniał o nagrodzie?

- Teraz nic nie może zrobić. Powiedział, żeby czekać na odpowiedni czas.

Samuraj nie potrafił przeciąć jedynych więzów, które stryja łączyły z życiem. Musiał tak powiedzieć, aby została mu choćby wątpliwa nadzieja. Kłamstwo pozostawiło gorycz na języku, lecz ostatnie słowa Samuraj powiedział bez intonacji. W takich momentach pomagała mu zwykle twarz, nie zdradzająca żadnych emocji.

Kiedy wszyscy już posnęli wokół ogniska, Samuraj otworzył pudełko na listy, które przywiózł z podróży, wielokrotnie zmoczone morską wodą i spieczone żarem słońca Nowej Hiszpanii. Zgodnie z poleceniem pana Ishidy musiał spalić wszystkie rzeczy, które mogły mieć choćby najmniejszy zapach chrześcijaństwa. Pudełko zawierało kartki papieru, na których księża i zakonnicy w klasztorach zapisywali swe imiona i modlitwy, zapewniające bezpieczną podróż.

Było tam kilka małych świętych obrazków, jakie zazwyczaj trzymają w modlitewnikach. Nie wyrzucił tych bezwartościowych drobiazgów, lecz przywiózł, sądząc, że kobiety i dzieci będą je podziwiać i cieszyć się nimi.

Samuraj porwał te kartki i obrazki na kawałki i wsunął pod popiół w ognisku. Rada Seniorów mogłaby na nie spojrzeć podejrzliwie i posłużyć się jako dowodami. Papier zwinął się na brzegach, zbrązowił, w końcu poruszył się w płomyku i zniknął.

Noc w Dolinie była głęboka. Ci, którzy nie znają tutejszej nocy, nie wiedzą, co to prawdziwa ciemność i milczenie ciemności. Cisza nie jest tylko wyrazem braku dźwięków. Cisza to szmer liści w lesie za domem, to dolatujący od czasu do czasu ostry krzyk ptaka, a także cień mężczyzny wpatzonego w płomień domowego ogniska. "Przemierzyłem świat bardzo szeroki. Lecz przestałem wierzyć ludziom." Słowa, które powiedział Nishi Kyusuke, przeżuwa teraz Samuraj wpatrzony w popiół ogniska. "Teraz muszę żyć tak, żeby nikt mnie nie dostrzegł, po cichu." Myśli również o tym, co mu powiedział Ishida. Tej nocy wyobraził sobie postacie Nishiego i Ishidy, podobnie jak on siedzących z opuszczonymi głowami, w milczeniu.

Z dna pudełka wyjął małą paczuszkę starego papieru. Wręczył mu ją dyskretnie w czasie rozstania ów Japończyk znad bagien Tecali w Nowej Hiszpanii. Czy ten mężczyzna, który związał sobie włosy na karku jak Indianin, opuścił już bagna Tecali, żeby gdzieś się znów zatrzymać? A może oddał ostatnie tchnienie na brzegu tego parnego bagniska? Świat jest szeroki, lecz w tym ogromnym świecie ludzie duszą się pod ciężarem rozpaczki podobnie jak w Dolinie.

On jest zawsze z nami

On zawsze wysłucha skargi cierpiących

On płacze razem z nami

On mówi nam:

Błogosławieni będą ci, którzy płaczą na tym świecie,  
oni bowiem będą śmiali się w Raju.

"On" to wychudły jak drut, bezsilny Mężczyzna, ze zwisającą głową, ramionami rozpiętymi i przybitymi gwoździami do krzyża. Samuraj znów zamknął oczy i wyobraził sobie owego Mężczyznę, który patrzył na niego każdej nocy z góry, ze ścian w pokojach, w Nowej i starej Hiszpanii. Nie wiadomo dlaczego Samuraj nie czuł dziś tej pogardy i obcości, jaką odczuwał dla Niego dawniej. Wydało mu się raczej, że ten nieszczęsny Mężczyzna podobny jest do niego samego, siedzącego w roztargnieniu przy domowym ognisku.

Kiedy był na ziemi, często udawał się w podróż, lecz nigdy nie składał wizyt bogatym i silnym, odwiedzał tylko biednych i chorych i tylko z nimi rozmawiał. Nocą, gdy śmierć przychodziła do chorych, On siadał obok, trzymał za ręce aż do świtu i opłakiwał ich razem z tymi, którzy przeżyli... I mówił, że przyszedł na ten świat, aby służyć ludziom...

Słuchajcie! Była kobieta, która przez miesiące i lata żyła sprzedając swe ciało. Gdy usłyszała, że On przybył z za morza, pobiegła do miejsca, w którym się zatrzymał, podeszła do Niego, nie powiedziała nawet słowa, tylko płakała, a jej łzy moczyły Jego stopy. Wtedy rzekł do niej: Te łzy wystarczą za wszystko. Pan Bóg zna już twój żal i smutek. Teraz już niczego się nie obawiaj.

Gdzieś zakrzyczał raz i drugi przerażony ptak. Samuraj złamał suchą gałąź i wrzucił do ogniska, mały płomień wznosił się leniwie, opadł i lizał suche liście.

Samuraj wyobraził sobie mężczyznę o włosach związanych na karku, piszącego te słowa w szałasie nad brzegiem bagien w Tecali. Noc nad bagnami w Tecali musi być tak samo głęboko ciemna jak noc w Dolinie. Samurajowi wydało się, że zaczął trochę rozumieć, dlaczego mężczyzna z Tecali musiał pisać te słowa. On chciał mieć Jego tylko dla siebie. Chciał mieć takiego Boga, który jest razem z nim, człowiekiem porzuconym, z Indianami, a nie Chrystusa, o którym uczą bogaci księża w kościołach Nowej Hiszpanii.

"On jest zawsze z nami, On zawsze słucha skarg cierpiących. On płacze razem z nami..." Samurajowi wydaje się, że widzi przed sobą twarz mężczyzny, który pisał te nieudolne znaki.

Nadeszła zima, pierwsza od powrotu z podróży. W zagajniku otaczającym dom sypały się zwiędłe liście jak drobny śnieg, lecz pewnego dnia Samuraj spostrzegł, że las jest już zupełnie nagi, a srebrzące się, splątane i skrzyżowane gałęzie przypominają oka sieci.

Jak zwykle Samuraj wraz z Yozó i innymi służącymi poszedł do lasu ścinać drzewo. Zgodnie ze zwyczajem powalone drzewa pocięto na kawałki z przeznaczeniem na opał i układano wokół domu stosy przypominające wał obronny lub zamieniano na węgiel drzewny. Samuraj nosił taką samą jak inni kurtkę o wąskich rękawach i podobne spodnie, pracował cały dzień obcinając siekierą suche gałęzie i piłą przecinając pnie. Praca fizyczna pozwalała mu zapomnieć o przykrych sprawach. Z dużym jak góra pękiem gałęzi na plecach szedł krok za krokiem do domu ze swymi ludźmi powtarzając w duchu słowa, które wyszeptał mu Ishida:

"Żeby nikt nie dostrzegął, po cichu", „Nie rzucając się w oczy, po cichu".

Od czasu do czasu przy pracy Samuraj, jakby coś sobie przypominał,



spoglądał w stronę Yozu, który pracował nie wypowiadając ani słowa. Twarz Yozó nie zdradzała emocji, odpowiadał na spojrzenia pana obojętnością. Lecz Samuraj wiedział, że głęboko w oczach Yozo kryje się podobne jak jego rozczarowanie.

Od powrotu Samuraj nigdy nie rozmawiał z wiernym sługą o tym, jak ich potraktowano, nie mówił mu też o swym żalu. Yozó także o nic nie pytał. Jednak Samuraj wiedział, że bardziej niż ktokolwiek inny, bardziej niż Riku, Yozó rozumiał jego smutki. Czuł pewną, może niewielką, pociechę na myśl o tym, że ma przy sobie człowieka, który dzieli z nim ciężary ich długiej podróży.

Skończyły się zbiory prosa i rzepy. Na polach stały teraz jak papierowe kukły wiązki suchej trawy, która będzie służyć na podściółkę w stajni. Po zwiezieniu trawy nie będzie już poważniejszej pracy do Nowego Roku. Przygotuje się jeszcze węgiel drzewny.

Pewnego dnia, gdy skończono ostatnią pracę oznaczającą koniec jesieni. Samuraj ujrzał biały cień na niebie nad Doliną.

Znajdujący się obok jego syn Gonshiro zawołał:

- Biały ptak!

- Rzeczywiście - potwierdził Samuraj. Często śnił o nim w podróży.

Następnego dnia Samuraj zabrał ze sobą Yozó nad bagno znajdujące się u stóp szczytu góry, na którym był kiedyś zamek. Dawniej stała tam warownia miejscowego samuraja, dziś wzgórze jest pokryte bezlistnymi krzewami, a w niewidocznym zakątku kryje się bagnisty staw. Gdy zbliżali się do bagna, zerwało się do lotu cztery albo pięć kaczek.

Krajobraz, jaki widział we śnie. Na powierzchni wody, oświetlonej słabymi promieniami słońca, pływały stadka kaczek, popiskiwały jak na flecie, dotykały się dziobami, to znów oddalały, następnie ustawiały się w rzędzie i płynęły do brzegu. W niewielkiej odległości od małych kaczek pływało stadko krzyżówek o ciemnozielonych szyjach. W odróżnieniu od wzlatających grupami zykłych kaczek, krzyżówki zrywały się do lotu pojedynczo.

Z dala od kaczek w oddzielnym zakątku, w głębi stawu, pływały powoli łabędzie. Wyginały długie szyje z boku na bok i zanurzały je w wodzie.

Gdy wznosiły głowy, w ich żółtych dziobach srebrzyły się ryby. Kiedy się zmęczyły pływaniem, wychodziły na brzeg, szeroko rozpościerały skrzydła i muskały pióra.

Samuraj nie wiedział, skąd te ptaki przyleciały i dlaczego wybrały ten mały staw jako swój dom na całą długą zimę, tym bardziej że w czasie długiego lotu część ptaków na pewno zginęła z wyczerpania lub z głodu.

- Również te ptaki - szepnął Samuraj mrugając oczyma - przebyły wielkie morze i na pewno widziały wiele krajów.

Yozó położył obie dłonie na kolanach i przyglądał się powierzchni wody.

- Na pewno... była to długa droga.

Rozmowa urwała się. Po tych słowach Samuraj poczuł, że nie ma już nic do powiedzenia. Nie tylko podróż była przykra. Samuraj chciał wyrazić także to, że przeszłość ich była pasmem życia w cierpieniu.

Powiał wiatr, poruszyły się drobne fale na powierzchni wody. Kaczki i łabędzie powoli zaczęły płynąć w zmienionym kierunku. Patrzący wciąż w dół Yozo mocno zamknął oczy. Samuraj wiedział, że jego sługa starał się w ten sposób opanować wzbierające w nim uczucia. Profil wiernego sługi wydał się Samurajowi podobny do profilu tamtego Mężczyzny. Miał tak samo opuszczoną

głowę i wyglądał, jakby chciał wytrwać do końca. "On zawsze jest z nami, On zawsze słucha skargi cierpiących..." Yozo nigdy nie opuścił Samuraja, teraz też go nie zostawi. Szedł dotąd za nim jak cień i milczeniem towarzyszył w cierpieniu.

- Wciąż myślałem, że zostałem chrześcijaninem tylko dla formy. To przekonanie nie uległo zmianie. Ale gdy się trochę dowiedziałem, czym jest polityka, od czasu do czasu myślę o tym Mężczyźnie. Wydaje mi się nawet, że zrozumiałem, dlaczego w tamtych krajach znajduje się w domach Jego wizerunek. Myślę, że gdzieś w zakątku człowieczego serca kryje się tęsknota za kimś, kto przez całe życie zechce mu towarzyszyć, kto nie zdradzi, nie odejdzie, choćby miał to być schorowany pies. Ten Mężczyzna staje się dla ludzi właśnie kimś takim jak nędzny pies. Tak, ten Mężczyzna stał się psem, który pozostaje przy nas - powtórzył Samuraj, jakby przekonywał siebie. - O tym właśnie napisał Japończyk znad bagien Tecali: ów Mężczyzna powiedział do uczniów: Przyszedłem na ten świat, żeby służyć i dać swoje życie za wielu.

Patrzący dotąd w ziemię Yozó uniósł głowę. i spojrzął na staw tak, jakby się zastanawiał, co teraz powiedział jego pan.

- Czy wierzysz w Chrystusa?

- Tak - odpowiedział Yozo.

- Nie mów o tym nikomu. Yozo skinął głową.

- Gdy przyjdzie wiosna, przelotne ptaki odlecą, lecz my zostaniemy w Dolinie do końca życia - powiedział śmiejąc się, żeby zmienić temat rozmowy. - Dolina to nasz dom.

"Przeszli przez wiele krajów. Przepłynęli wielkie morza. A w końcu po powrocie czekała na nich tylko ta chuda ziemia i biedna wioska. Poczucie rzeczywistości wezbrało w piersi mocniej niż kiedykolwiek. I tak być powinno" - myśli Samuraj. Wielki świat, liczne kraje, wielkie morza. Lecz wszędzie świat jest taki sam. Wszędzie panuje niezgoda, knuje się spiski i intrygi. I w zamku wielmożnego pana, i w świecie religii, w którym żył Velasco. To, co Samuraj zobaczył na własne oczy, to nie były liczne ziemie i liczne kraje ani liczne wioski. W ostatecznym rozrachunku ujrzał przeznaczenie, z którym człowiek nie potrafi sobie poradzić. Ponad przeznaczeniem ludzi jest ten wychudły, brzydki Mężczyzna z rozpiętymi ramionami, przybity gwoździami do krzyża, ze zwisającą głową.

Płaczemy w dolinie rozpacz i wołamy o pomoc do Ciebie.

Mnich z Tecali napisał te słowa na końcu podarowanej książki. Czym się różni ta nieszczęsna Dolina od wielkiego szerokiego świata? Dolina jest także światem, Dolina to my - chciał Samuraj powiedzieć Yozo, ale nie potrafił tego wyrazić.

Japonia, Japonia, w której szaleje burza prześladowań i panuje wrogość wobec Boga. Dlaczego mimo to przyciąga moje serce? Dlaczego pragnę tam wrócić?

Dwunastego czerwca wsiadam na chińską dżonkę i opuszczam Luzon, w którym mieszkałem przez rok. Kilku japońskich chrześcijan, wypędzonych z kraju do Manili, potajemnie zdobyło potrzebne mi pieniądze. Kupiłem więc tę przeżartą przez termity dżonkę, wynająłem marynarzy i mogłem wypłynąć z Luzonu.

Nie wiem, co Pan Jezus może pomyśleć o moim nieodpowiedzialnym kroku. Dotąd

nie potrafię zrozumieć woli Bożej i nie wiem, czy Bóg chce, żebym całe swoje życie związał ze stanowiskiem opata klasztoru w Manili, czy raczej, żebym jeszcze raz pojechał do Japonii walczyć. Jednej rzeczy jednak jestem pewien. Pan odpowie mi, jasno wyrazi swą wolę we właściwym czasie. A kiedy da mi znak, wtedy uczynię wszystko zgodnie z Jego wolą.

Swój czyn nazwałem nieodpowiedzialnym. Wracam do Japonii, gdzie chrześcijanie są prześladowani i skazywani na męczarnie. Niewątpliwie w oczach innych musi to wyglądać na głupotę. Gdy wypędzeni z kraju Japończycy, przebywający w Manili, po raz pierwszy usłyszeli o moich planach, potrząsali głowami i mówili, że to szaleństwo. Powiedzieli, że z tego nie będzie żadnego pożytku.

To głupota lądować w Japonii po to, żeby od razu zostać schwytanym. Lecz jeśli mój czyn jest szaleństwem, jeśli jest po prostu wyrazem głupoty, to czyż tym bardziej nie była szaleństwem podróż Jezusa do Jerozolimy? Jezus opuścił dzikie pustkowia Judei i udał się z uczniami do Jerozolimy dobrze wiedząc, że zostanie zabity przez arcykapłana Kajfasza. Pan wiedział jednak, że krew, którą przeleje, nie będzie daremna, będzie służyć ludzkości.

Nie ma większej miłości niż ta, w imię której oddajemy życie za przyjaciela.

Teraz myślę o Jego słowach. Przyjaciele, za których muszę oddać życie, to nie są mnisi spokojnie modlący się w klasztorze w Manili. Tymi przyjaciółmi są wierzący Japończycy, tacy jak mężczyzna w łachmanach obsypany wiórami w Ogatsu, który przyszedł do mnie, chcąc się wyspowiadać. "Bądźcie spokojni. Wkrótce nadejdzie dzień, kiedy nikt już nie będzie wyśmiewał się z waszej wiary" - powiedziałem mu. Gdzie teraz żyje ten mężczyzna? Oszukałem go. Niestety, nie nadszedł ten dzień, w którym w Japonii chrześcijanie mogliby z dumą powiedzieć, że wierzą w Chrystusa. Lecz ja nie zapomniałem tego mężczyzny. Dlatego nie mogę pozostać w klasztorze, spokojnie odprawiać tam mszy i wygłaszać pięknych kazań.

Trwa jeszcze nasza podróż. Codziennie modlę się za Japonię. Modlę się za japońskich posłów, z którymi rozstałem się w Luzonie. Modlę się za mężczyznę w łachmanach. Połowę swego życia poświęciłem tej jałowej ziemi. Chciałem posadzić na niej boską winorośl, lecz poniosłem klęskę. Mimo to jest to moja ziemia. Ziemia, którą muszę podbić dla Boga. Urzekła mnie Japonia, ponieważ jest ziemią jałową.

Na wschodzie ujrzałem skalistą wyspę o stromych brzegach. Fale uderzały o skały, rozpryskiwały się w pył i przemieniały w mgłę. Wiele lat temu przepływałem tędy. To południowy cypel Tajwanu. Wkrótce omiemy archipelag Riukiu, a także wyspy Shichito, znane jako bardzo niebezpieczne dla żeglarzy, i zbliżymy się do południowych krańców prowincji Satsuma w Japonii.

Płyniemy wciąż bez wydarzeń. Od kilku dni myślę o ostatniej morskiej podróży świętego Pawła, opisaney w Dziejach Apostolskich. Przeczuwał wtedy swą męczeńską śmierć w Rzymie. Czy jednak płynął do tego kraju, rządzonego przez tyrana, przez Nerona, wiedząc, że tam umrze? Dzieje Apostolskie nie przedstawiają tej sprawy jasno, lecz nie mogę oprzeć się wrażeniu, że spomiędzy wierszy wynika, iż Paweł przeczuwał swoje cierpienie i męczeńską śmierć.

Nie wiem dlaczego, ale od wczesnej młodości z wszystkich apostołów

pociągała mnie najbardziej postać świętego Pawła, a nie Piotra, którego kochał Pan Jezus. Teraz wiem, że ten święty miał podobny do mojego charakter, silny i żarliwy, namiętnie pragnął zwyciężać. Miał również takie wady jak ja. Z powodu siły i gwałtowności ranił wielu ludzi, a zwłaszcza Piotra. Nie wahał się nawet sprzeciwić dwunastu apostołom, żeby bronić swych przekonań. Wydaje mi się, że kiedy przypominam sobie jego dzieje, często odkrywam identyczne jak u siebie zalety i wady. Co więcej, w głębi serca święty Paweł nigdy się nie zgodził zaakceptować nazbyt ostrożnych i niezdecydowanych apostołów. Podobnie dzisiaj nie mogę Zakonowi Piotra wybaczyć tchórzostwa w działalności misyjnej w Japonii. Ludzie związani z dwunastu apostołami rzucali zdradzieckie kalumnie na Pawła, podobnie postępował Zakon Piotra wobec mnie. A przecież w końcu właśnie dzięki wysiłkom Pawła, dzięki jego zdecydowanej działalności w obcych krajach Kościół mógł objąć swoimi wpływami ziemie znajdujące się poza Judeą. Podobnie jest ze mną. Czy można dziś ostatecznie stwierdzić, że nie przyczyniłem się do szerzenia chrześcijaństwa w Japonii, chociaż członkowie Zakonu Piotra próbowali mnie karać?

Stojąc dziś na pokładzie twarzą do wiatru wiele razy powtarzałem słowa świętego Pawła, zapisane na końcu Dziejów Apostolskich, a zwłaszcza te piękne słowa z Księgi Izajasza, które on cytował:

Idź do ludu tego i mów:

Bezustannie słuchać będziecie go, nie zrozumiecie,  
ciągle patrzeć będziecie, a nie ujrzycie;  
bo stępiało serce ludu tego.

Słabo słyszą uszami,  
a oczy swe przymrużyli,  
żeby tylko dojrzeć oczyma  
i uszami nie dosłyszeć,  
i nie pojąć swym sercem, i nie nawrócić się;  
i abym ich nie uleczył.

Wczoraj zaatakowała nas burza. Fale pokazywały białe kły, pieniały się, od wiatru potwornie skrzypiały liny, a niebo całkowicie pokrywały ołowiane chmury. Chińczycy już wcześniej się niepokoiли, przypuszczając, że w pobliżu wysp Shichito złapie nas burza. Przygotowując się na najgorsze, zapakowałem w węzełek najważniejsze przedmioty, mianowicie brewiarz, absolutnie niezbędny w codziennych świętych obowiązkach, notatki, chleb i wino do mszy, i postanowiłem nigdy się z tym nie rozstawać.

Ponieważ po południu morze jeszcze bardziej się wzburzyło, Chińczycy postanowili szukać schronienia na Kuchinoshima, jednej z wysp archipelagu Shichito, i skierowali łódź w tamtą stronę. O trzeciej spadł ulewny deszcz, zaczął wiać potężny wiatr przyciskając nas do pokładu. Popękały żagle, łódź ledwie się wzniosła na grzbiet fali, a już leciała w głęboką dolinę.

Powiązaliśmy się linami, żeby nas nie splukało do morza, i staraliśmy się oprzeć uderzeniom fal zalewających pokłady.

Po czterech godzinach burza w końcu przestała igrać z naszą łodzią i odeszła w stronę Japonii. Ster nie nadawał się już do użytku. Unosiliśmy się bezradnie na czarnej wodzie. Kiedy nadszedł cichy ranek, tak odmienny od poprzedniego, na krańcach połyskującego w porannym słońcu morza ukazała się Kuchinoshima. Wkrótce kilku japońskich rybaków w małych łódkach przyplłynęło na pomoc.

Jestem w szalasi rybaków. Uznali mnie za kupca udającego się do Bonotsu, dlatego nakarmili i pożyczyli ubranie.

Po burzy błękitne niebo wygląda tak, jakby zostało całkowicie obnażone.

Wypajest właściwie nieczynnym wulkanem, przed oczyma wznoszą się w niebo trzy duże szczyty. Na maleńkiej plaży, utworzonej z wulkanicznego popiołu, stoi około trzydziestu chat, w których mieszkają jedyni ludzie na tej wyspie. Nie ma japońskich urzędników. Zgodnie z informacją wyspiarzy, raz do roku przybywają tu funkcjonariusze z klanu Satsuma, którzy po krótkim postoju odpływają do Riukiu.

O niczym nie wiedzący mieszkańcy wyspy obiecali odwiedzić nas swoimi łódkami do Bonotsu, kiedy się wzmocnimy. Chińczycy twierdzili, że uda im się ster naprawić i odpłynąć o własnych siłach.

"Wróciłem. Po czterech dniach od opuszczenia Kuchinoshimy przed oczyma ukazała się Japonia. Ukazał się kraj, który muszę podbić w imię Boże."

Przed chwilą ujrzałem na wschodzie stożkowatą górę. Przypominała małą górę Fuji. Nie wiem, jak się nazywa. Od morza odbija się blask gorącego słońca, bieleje też plaża, lecz ludzi nie widać, w głębi rośnie gęsty jak dżungla las.

Łódź płynęła wzdłuż plaży na zachód, po chwili za cyplem ukazało się około dziesięciu chat rybackich. Na brzegu stały trzy łódki. Po lewej stronie znajdowała się mała przystań i dróżka wyłożona wulkanicznymi kamieniami. Tu również nie dostrzegałem cienia człowieka. Jakby ludzie uciekli stąd przed zarazą.

Chińczycy radzili, żebym wysiadł na tym brzegu. Wahałem się. Nie wiem dlaczego, lecz niczym nie zakłócona cisza tej osady napawała mnie lękiem. Wydało mi się, że w czarnych cieniach chat rybackich ktoś się ukrywa i uważnie obserwuje nasze ruchy. Przewidywałem, że ktoś niepostrzeżenie może opuścić osadę, żeby zawiadomić urzędników. Wiedziałem, jak przebiegli i sprytni są Japończycy.

Upłynęło dosyć dużo czasu. Nic się jednak nie poruszyło, jakby wszystko zakrzepło w tym upale i ciszy. W końcu zdecydowałem się wyjść na ląd i powiedziałem o tym Chińczykom. Łódź powoli kierowała się do przystani, wtedy stanąłem na dziobie ze swoim węzełkiem, z którym postanowiłem się absolutnie nie rozstawać od dnia burzy. Nagle spoza wschodniego cypla wyłoniła się łódź, a na niej dwóch urzędników, którzy stali wyprostowani i uważnie patrzyli w naszą stronę. Na chorągiewce wyraźnie rysowały się znaki herbowe miejscowego księcia.

Obserwowali nas widocznie od dłuższego czasu. Bez chwili namysłu wrzuciłem do morza węzełek z brewiarzem, chlebem i winem mszalnym. Powiem im, że jestem kupcem w drodze do Bbnotsu, że statek się rozbił i dodryfowaliśmy tutaj.

"Ich łódź zbliża się do nas. Już wkrótce Bóg jasno odkryje los, który wybrał dla mnie. Niech się stanie wola Twoja. Chwalcie Pana, głoście chwałę Jego! Gloria!

Chwalcie Pana na niebie i na ziemi. Chwalcie Imię Jego."

Skoro zrozumiałem, czego ode mnie Bóg żąda, powierzam się Jego opiece. Nie jest to rezygnacja z powodu mojej słabości, jest to wyraz absolutnej wiary, jaką potwierdził Jezus na krzyżu.

Zostałem schwyty. Urzędnicy w Bónotsu nie byli na tyle głupi, żebym mógł ich przechytryć. Udając, że wierzą w moje oświadczenie, iż jestem kupcem,

umieścili mnie w areszcie pod pretekstem nie zakończonego jeszcze śledztwa. Do tej samej celi wtrącono kilku innych chrześcijan i podsłuchiowano nasze rozmowy z ukrycia. Schorowany starzec dyskretnie prosił o ostatnie namaszczenie. Tak więc strażnicy odkryli całą prawdę o mnie.

Z aresztu w Bónotsu przeniesiono mnie do Kagoshimy. Tu przesłuchiowano aż do miesięcy zimowych, a w nowym roku zostałem zawieziony łodzią do magistratu w Nagasaki. Teraz przebywam w miejscowości zwanej Omura w pobliżu Nagasaki. Widzę stąd spokojne morze.

Oprócz mnie jest tu ojciec Vasquez z zakonu dominikanów, a także japoński zakonnik, Luis Sasada. Cella, w której nas trzymają, ma szesnaście piędzi szerokości i dwadzieścia cztery piędzi długości, jest zbudowana z bierwion, między którymi są szpary na szerokość dwu palców. W rogu są drzwi, przez które wchodzi strażnicy, oczywiście drzwi zamykają na klucz.

Gdy mnie wyprowadzono na przesłuchanie, spostrzegłem, że więzienne pawilony są otoczone dwoma rzędami zaostrzonych słupów, między którymi znajdowały się kolce, żeby nikt nie mógł wejść do środka. Na zewnątrz ogrodzenia stały szałas dla strażników, dom dowódcy i kuchnia.

Chociaż mieli kuchnię, nasz dzienny posiłek na ogół składał się z ryżu, jednej miseczki jarzyn, surowej lub marynowanej rzodkwi, a niekiedy konserwowanej sardynki. Ponieważ nie wolno nam obcinać włosów ani golić się, wyglądamy jak pustelnicy. Nie wolno wychodzić z celi, żeby się umyć, jesteśmy więc tak brudni, że trudno to sobie wyobrazić, ale jeszcze przykrzejsze jest to, że załatwiać się musimy wewnątrz celi. Z tego powodu oddychamy codziennie w smrodzie trudnym do zniesienia. Nocą nie dają nam świateł.

Od ojca Vasqueza i brata Sasady dowiedziałem się o prześladowaniach misjonarzy od czasu mojego aresztowania. Dziesięciu misjonarzy ukrywało się w tym samym regionie co ojciec Vasquez. Choć było ich niewielu, wykonywali obowiązki zgodnie z instrukcjami zwierzchników, podobnie jak w okresie poprzedzającym wprowadzenie edyktu o wydalaniu chrześcijan. Większość ukrywała się w jaskiniach, a kiedy spędzali nocę wśród wiernych, kryli się między podwójnymi ścianami, które stawiano dla nich specjalnie.

- Ja też spędziłem wiele nocy między takimi podwójnymi ścianami - mówił ojciec Vasquez. - Spaliśmy do wieczora, a następnie przenosiliśmy się do innego domu. Postanowiłem nie zatrzymywać się pod jednym dachem dłużej niż noc. Kiedy wzywano nas do posługi, najpierw spowiadaliśmy chorych, a gdy się potajemnie zbierali wierni, dodawaliśmy im otuchy i rozgrzeszaliśmy. Trwało to do późnej nocy, do zamknięcia drzwi i furtek wszystkich domów we wsi.

Lecz mimo tej ostrożności, magistrat w Nagasaki też nie siedział z założonymi rękami. Tak jak arcykapłan Kajfasz dał Judaszowi nagrodę za zdradę swego Pana, tak ci, którzy tutaj donosili o miejscu pobytu księży lub zakonników, również otrzymywali nagrody, podczas gdy ludzie przechowujący lub pomagający uciekinierom byli skazywani na najwyższy wymiar kary. Wykrytych chrześcijan poddawano torturom, nie tylko zmuszano ich do wyrzeczenia się wiary, lecz także do zdradzenia miejsca ukrywających się misjonarzy.

- To było straszne - powiedział ojciec Vasquez. - Mój uczeń wyrzekł się wiary. Nigdy nie wiadomo, kiedy wyrzeknie się wiary nawet ten, kogo oceniamy, że może wytrwać do końca. Nie wyjawiałem więc miejsca

swego ukrycia. A to dlatego, że pewnego księdza aresztowano zaraz następnego dnia po wyjawieniu wiernym miejsca pobytu. To piekło żyć i nie móc nikomu zaufać.

Zapytałem o swego bliskiego towarzysza, brata Diego. Nie zapomniałem twarzy tego dobrodusznego choć niezaradnego zakonnika, który miał zawsze zaczerwienione oczy, jak od płaczu.

- Ojciec Diego chorował i zmarł - wyjaśnił Luis Sasada. -Wtedy, gdy zebrano nas w Fukuda blisko Nagasaki, aby wydalić za granicę. Grobu nie ma. Urzędnicy spalili ciało i prochy wrzucili do morza. Japońskie władze zamieniają chrześcijan w popiół, żeby nic po nich nie zostało. Popiół wrzucają do morza. I my w końcu zostaniemy zamienieni na popiół i wyrzuceni.

Spokojnie przyjmuję los, który Bóg dla mnie przeznaczył, jak owoc przyjmuje miękkie światło jesieni. Nie uważam już, że nieuchronna śmierć jest moją przegraną. Walczyłem z Japonią, zostałem przez Japonię pokonany... Pod powiekami znów ożywa obraztłustawego starca siedzącego na welwetowym krześle. Myślał zapewne, że nas pokonał. On chyba nigdy nie zrozumiał, że chociaż Jezus został pokonany przez arcykapłana Kajfasza i powieszony na krzyżu, to poprzez tę Jego śmierć odmieniło się znaczenie wszystkiego. Starzec sądzi, że rozwiąże problem, jeśli mnie zniszczy, zamieni w popiół i wrzuci do morza. Tymczasem wszystko się zacznie od tego właśnie momentu. Tak jak wszystko poruszyło się wraz ze śmiercią Chrystusa na krzyżu. Stanę się wtedy jednym z kamieni na drodze budowanej na bagnie zwanym Japonią. Wkrótce inny misjonarz będzie mógł stanąć na mnie jak na kamiennym stopniu i stać się kolejnym kamieniem, umożliwiającym przejście.

W ciemności modłę się za Hasekurę i Nishiego, z którymi rozstałem się w Luzonie, i za zmarłego Tanakę. Nie wiem, gdzie są i co robią teraz. Nie wiem też, czy w ich sercach pozostało choć kilka ziaren wiary w Chrystusa. Lecz z każdym dniem pragnę coraz mocniej ich przebaczenia za błędy, jakie popełniłem w dobrych intencjach. To prawda, że straszylem, udawałem bohatera, uspokajałem, wykorzystywałem. Uczyniłem z nich chrześcijan być może po to, żeby ich wykorzystać. Jakkolwiek jednak do tego doszło, rozpoczął się ich związek z Panem. I to, że związali się z Bogiem, jest dziś dla mnie wielką pociechą. Choć czuję głęboki żal za to, co im uczyniłem, jednocześnie budzi się we mnie radość, bo wiem, że dobrze się stało, jak się stało. Pan nie porzuca tych, którzy choć raz się z Nim związali.

"O Panie, nie porzuć Hasekury, Nishiego i Tanaki. Weź raczej moje życie jako zapłatę za grzechy, które popełniłem, i za ich prawdziwe zbawienie. A jeśli wyrazisz na to zgodę, pomóż im zrozumieć, że moje podstępny miały służyć jedynie niesieniu światłości ich krajowi."

Ojciec Vasquez zachorował. Już wcześniej skarżył się na złe samopoczucie z powodu nieznośnej woni w celi i nieodpowiedniego pożywienia. Od trzech dni wymiotuje wszystko, co zje, i nie może już utrzymać się na nogach.

Prosiliśmy o lekarstwa, lecz strażnik przyniósł tylko gliniany garnek z gotowanymi korzeniami drzew i nawet nie starał się sprowadzić lekarza. Nie mając innych środków, Luis Sasada i ja przykładaliśmy mu do czoła ręcznik zwilżony w błotnistej wodzie, aby zmniejszyć gorączkę.

Jeśli dzień naszej egzekucji opóźni się, my również wcześniej lub później zapadniemy na tę samą chorobę. Chociaż staram się pogodzić z losem, to

jednak lęk śmierci niekiedy przesywa pierś niby ostrym ostrzem. Rozpaczliwie próbuję myśleć, że Pan przeżywał podobne godziny przed śmiercią. Ostatnio często się zastanawiam, co Jezus wtedy czuł. Od kiedy przeczuwał swoją śmierć, i jak żył z tym przecuciem? Uprzedził uczniów o tej śmierci.

Chrzest mam przyjąć i jakiej doznaję udręki, aż się to stanie. "Jakiej doznaję udręki, aż się to stanie?" A więc Pan również przeżywał takie same cierpienia jak my. Na myśl o tym doznaję ulgi.

Przejście Pana przez śmierć stworzyło nowy porządek. Poza ludzkim światem Pan stworzył wieczny ład. Pójdę więc w ślady mojego Pana, oddam życie dla Japonii, przeleję krew za Japonię, stanę się częścią tego ładu.

Przyszedłem rzucić ogień na ziemię.

To też są słowa Pana. "Japonio! I ja przybyłem, żeby rozpałić ogień.

Japonio, która do dziś niczego nie pragnęłaś prócz zysku i szczęścia doczesnego' Żaden inny kraj na ziemi nie jest tak obojętny i głuchy na wiarę Chrystusa. Japonio, twoja chytryść i mądrość skierowana jest jedynie na korzyść w doczesnym życiu. Japonio! Poruszasz się zwinnie jak jaszczurka w pogoni za zdobyczą. Przybyłem do ciebie, żeby wzniecić ogień. Teraz jeszcze nie rozumiesz, dlaczego porzuciłem wszystko, wsiałem do łodzi i wróciłem do ciebie. Dziś jeszcze nie możesz zrozumieć, dlaczego Jezus pojawił się w Jerozolimie, gdzie czekali na Niego wrogowie, i dlaczego umarł na górze Golgota."

Pan nie zostawia nigdy tych, którzy choć raz przyszli do Niego. "O Panie! Nie opuszczaj Japonii. Weź raczej moje życie w zamian za odpuszczenie grzechów, jakie popełniłem, chcąc ten kraj wykorzystać, i w zamian za prawdziwe zbawienie dla tego kraju."

Lęk śmierci. W ciągu dnia, gdy opiekuję się chorym ojcem Vasquezem, jestem gotów przyjąć wszystko, co mi los zgotuje, lecz prawdę mówiąc, gdy przychodzi noc i strażnicy nie dają nawet świeczki w ciemności nasyconej smrodem ekskrementów, i gdy słucham rżenia ojca Vasqueza, lęk śmierci przebija pierś i rozdziera serce ostrymi pazurami. Pocę się. Płynie pot podobny do krwi. "Ojczy! Bądź wola Twoja. Oddal ten kielich śmierci ode mnie."

Lęk śmierci. Nocą umarł ojciec Vasquez. Była to bardzo nieodpowiednia śmierć dla tak wybitnego misjonarza, który przybył do Japonii z zakonu dominikanów. Brat Luis Sasada i ja słuchaliśmy jego zwierzęcych jęków i wycia. Ostatniego głosu rozstania z ziemią. Po omacku zamknąłem mu powieki (dobrze, że nic nie było widać, miałem wrażenie, że były szeroko otwarte z żalu) i odmówiłem modlitwę. Tę samą modlitwę, którą odmawiałem przy młodym Indianinie i Tanace...

O świcie strażnicy zawinęli ciało ojca w słomianą matę i wynieśli. Jego wychudłe ręce i nogi, wystające z maty, wyglądały jak druty pokryte brudem i błotem. Gdy na to patrzyliśmy z Luisem Sasada, błysnęło w nas coś jak niebiańskie objawienie. Oto ziemską rzeczywistość. Koszmarna rzeczywistość brudna i obłożona, niezależnie od tego, jak bardzo staramy się ją ukryć czy upiększyć. I nasz Pan nie uniknął tej potwornej rzeczywistości. Nawet Pan umarł obłany potem i pokryty brudem. Dopiero Jego śmierć zapaliła światło w ziemskiej rzeczywistości.

Kiedy teraz o tym myślę, wydaje mi się, że Pan stawiał przede mną te wszystkie przeszkody, żeby mi tę rzeczywistość pokazać bez osłonek. Tak



jakby moja próżność, moja duma, wyniosłość, moje pożądanie podboju, które niepostrzeżenie uległy idealizacji, istniały tylko po to, aby je rozbić i pokazać prawdziwe oblicze życia na ziemi. Lecz podobnie jak śmierć Jezusa prześwieciła rzeczywistość promieniami światła, i moja śmierć w końcu przesyje promieniami Japonię...

Ojciec Vasquez zostanie spalony, zmieni się w popiół, a popiół będzie wrzucony do morza. Tak Japończycy postąpili już z wielu misjonarzami. Dziś również byłem na przesłuchaniu. Trudno to zresztą nazwać przesłuchaniem, ponieważ urzędnik z Biura Religii w Nagasaki prowadził je w formie nakłaniania do wyrzeczenia się wiary. Japończycy nazywają to korobi, czyli upadkiem. Lecz wcale się nie spodziewał, że my "upadniemy", dlatego tylko potrząsaliśmy głowami. Dziś jednak wypytywał, czy towarzyszący mi w podróży Hasekura i Nishi ze szczerego serca przeszli na chrześcijaństwo, czy nie. Biorąc pod uwagę ich bezpieczeństwo odpowiedziałem:

- Ci dwaj panowie przyjęli chrześcijaństwo w celu wypełnienia swej misji.  
- To znaczy - urzędnik patrzył na mnie uważnie - nie mógłbyś powiedzieć, że są chrześcijanami.

Milczałem. Gdy ktoś przyjmuje chrzest, bez względu na okoliczności moc sakramentu działa. Urzędnik patrzył na mnie i coś zapisał na papierze.

- Słuchaj, czy nie sądzisz, że to wszystko jest po prostu głupie? - Przed odejściem spojrzał mi w twarz współczująco. - Mogłeś spokojnie pozostać w Luzonie i również być pożyteczny dla chrześcijan, dla ludzi. A ty przybyłeś do Japonii jakby po to, żeby cię bezsensownie aresztowano i zabito. To zwykłe szaleństwo.

- To nie szaleństwo - odpowiedziałem z uśmiechem. - Po zastanowieniu mogę powiedzieć, że po prostu taki mam charakter. To coś, co buddiesi nazywają karmanem. Tak, to karman. Tak mi się przynajmniej wydaje. Uważam, że Pan Bóg wykorzystał łaskawie ten karman dla dobra Japonii.

- Dla dobra Japonii? - z jeszcze większym zdziwieniem powtórzył urzędnik.

- Jak sądzisz, w jaki sposób Bóg wykorzystał twój karman dla dobra Japonii?

- W pańskim pytaniu jest już odpowiedź - powiedziałem z siłą nie po to, żeby mnie zrozumiał, lecz także, aby upewnić siebie samego. - Mój czyn nazwał pan głupotą nie przynoszącą korzyści. Dobrze to rozumiem. Dlaczego, wiedząc o tym, poważylem się na ten głupi czyn? Dlaczego zrobiłem świadomie coś, co wygląda na szaleństwo? Proszę kiedyś się zastanowić. A może przypląnałem do Japonii przygotowany na śmierć? Jeśli umrę, pozostawiając panu i Japonii właśnie to pytanie, moje życie miało sens.

- Nie rozumiem.

- Żyłem... W każdym razie żyłem. Nie mam żalu. Urzędnik zamilkł i wyszedł. Gdy wracałem do celi, strażnik zgodził się pokazać mi morze. Stojąc obok palisady otaczającej więzienie, wpatrywałem się zachłannie w zimowe fale.

Morze połyskiwało w popołudniowym słońcu. Kilka okrągłych wysp widniało w dali. Nie dostrzegłem żadnej łodzi, panowała cisza. To był grób ojca Vasqueza, cmentarzysko wielu innych misjonarzy. Wkrótce stanie się i moim grobem...

Gdy spadł pierwszy śnieg, w Dolinie przygotowano kluseczki, zgodnie z

obyczajem wbijano w nie trzy łądyżki trawy miskantu i składano Buddzie w ofierze. Resztę zjadano wspólnie w rodzinie. Uważano, że osoba, która pierwsza w czasie posiłku wyłowi taką kluskę z gorącej wody, będzie miała wielkie szczęście.

W domu Samuraja Riku kazała służącym kobietom powiesić nad ogniskiem duży kociołek z wodą. Młodszemu synowi, Gonshirb, udało się najszybciej wyjąć kluskę, dlatego rozległ się śmiech i zrobiło się wesoło wokół ogniska, co dawno się już nie zdarzało.

Lecz następnego dnia przybył posłaniec od pana Ishidy z nakazem, żeby Samuraj spokojnie siedział w domu i czekał na rozkazy Rady Seniorów. Rozkazy z zamku dla wiejskich samurajów nigdy nie były przekazywane bezpośrednio, lecz poprzez patronów.

- Może w sprawie włości w Kurokawie - powtórzył to samo co zawsze stryj leżący na pościeli od końca jesieni. Przyszło mu również na myśl, że to może być też wiadomość o nagrodzie wielmożnego pana za wysiłki w czasie podróży Samuraja. Przysłał nawet służących, żeby dokładnie wy pytali krewnego. Samuraj - nie wiadomo dlaczego - nie sądził, że to będzie dobra wiadomość.

Po kilku dniach przybyli dwaj urzędnicy. Weszli do wysprzątanego i wyczyszczonego domu i zniknęli w jednym z pokoi, aby zmienić ubranie, w tym czasie Samuraj z pomocą Riku założył kimono z herbami, usiadł w pozycji uroczystej w pokoju gościnnym i czekał.

Urzędnicy zajęli honorowe miejsca, jeden z nich powiedział spokojnie: "Oto rozkaz", i przeczytał pismo obwieszczające decyzję Rady Seniorów.

- ("Ponieważ Hasekura Rokuemon przyjął w obcych krajach wiarę chrześcijańską i pogwałcił w ten sposób prawo, powinien zostać surowo ukarany, lecz dzięki wyjątkowym względom ze strony Rady, Hasekura zostaje skazany na areszt domowy."

Samuraj wysłuchał tych słów w niskim pokłonie, czołem niemal dotykając podłogi. Miał wrażenie, że osuwa się w pustkę. Był tak zmęczony, że nie czuł nawet żalu. Mrugając powiekami nad głęboko zapadniętymi oczyma, jak to zwykł czynić często, słuchał ustnego wyjaśnienia, przedstawionego przez urzędnika. Dzięki miłosierdziu pana Ayugai i pana Tsumury, "areszt domowy" w tym wypadku oznacza zakaz opuszczania Doliny. A ponadto raz w roku będzie musiał składać Radzie pisemną przysięgę, że wyrzekł się chrześcijaństwa.

- Wyobrażam sobie, co czujesz.

Gdy wypełnili oficjalne zadanie, urzędnicy czuli się zobowiązani do wypowiedzenia słów pocieszenia. Gdy dosiadali koni, jeden z nich po cichu wyjaśnił:

- To jest poufne. To są wiadomości od Matsuki Chusaku. Rada Seniorów otrzymała raport z Edo, że Velasco został schwytany w Satsuma. I w związku z tym raportem zostałeś potraktowany tak surowo.

- Pan Velasco? - Samuraj znów zamrugnął oczyma, jakby nie mógł zareagować inaczej.

- Podobno został wysłany do magistratu w Nagasaki i przebywa w więzieniu wraz z innymi padres w miejscowości Ómura. Lecz jeszcze nie "upadł".

Kiedy urzędnicy wyjechali, Samuraj pozostał w stroju oficjalnym, usiadł w gęstniejącej ciemności. W nieogrzewanym pokoju gościnnym zrobiło się chłodno. Samuraj przypomniał sobie słowa urzędników. Uważał, że ten arogancki i pewny siebie południowy barbarzyńca nigdy nie odstąpi od wiary,

że nigdy nie zdradzi siebie, choćby nie wiem jak go męczono i torturowano.  
"A jednak wrócił do Japonii"...

Wiedział o tym od chwili rozstania w Luzonie. Nie wierzył, żeby południowy barbarzyńca, targany tak silnymi namiętnościami, mógł wytrzymać życie w ciszy i spokoju. Z powodu tej namiętności wiele, wiele razy ranił Samuraja, Tanakę i Nishiego. Przez cały czas długiej wspólnej podróży Samuraj doświadczał, jak bardzo odmienny od Japończyków jest ten barbarzyńca i nie mógł się z nim zaprzyjaźnić.

Poczuł czyjąś obecność. Podniósł głowę. W ciemności siedziała w korytarzu Riku. Jej ramiona drżały, starała się przewyciężyć ze wszech sił narastające uczucie żalu.

- Nie martw się - rzekł łagodnie do żony. - Powinniśmy być wdzięczni, że ród Hasekura nie został zlikwidowany i że Yozó i inni służący nie otrzymali kar.

Od tego dnia, kiedy wszyscy spali i dom pogrążył się w ciszy. Samuraj często przyglądał się w samotności płomieniom poruszającym się w suchych gałęziach. Co się dzieje z Nishim? - zastanawiał się. Pewnie otrzymał taki sam rozkaz, nie może się jednak z nim porozumieć. Pod zamkniętymi powiekami widzi go na koniu obok siebie, scena po scenie, podczas przejazdu przez Nową Hiszpanię. Widzi słońce jak rozgrzany do czerwoności dysk, pustkowie porośnięte tylko agawami i kaktusami, stada kóz, pola uprawiane przez Indian noszących włosy związane na karku. Czy rzeczywiście oglądał takie obrazy? Może to wszystko mu się przyśniło? A może śni nadal? Na ścianach klasztorów, w których się zatrzymywali, zawsze wisiał wizerunek brzydkiego, wychudłego Mężczyzny z rękami rozpiętymi na krzyżu i zwisającą głową. "Ja - łamiąc gałęzie myślał Samuraj - przebyłem dwa wielkie morza, wybrałem się nawet do Hiszpanii na spotkanie z królem, a spotkałem tylko tego Mężczyznę."

Przypomniał sobie, że w obcych krajach tego Mężczyznę nazywano "Panem". W czasie podróży jednak nie udało mu się zrozumieć, dlaczego takiego właśnie Mężczyznę nazywają Panem czy Królem. Dowiedział się jedynie, że los uczynił z Niego człowieka podobnego raczej do włóczęgi, żebrzącego niekiedy w Dolinie i że nigdy nie dane Mu było zostać prawdziwym królem...

Mimo że obowiązywał go areszt domowy, Samuraj wraz z rodziną świętował Nowy Rok. W jego domu w ofierze bogowi Roku złożono ciastka ryżowe i zgodnie ze zwyczajem obowiązującym od pokoleń ozdobiono bramę wejściową wiązaną gałęzi na opał z wetkniętą w środek sosenką. Mieszkańcy Doliny przygotowywali kulki ryżowe, wbijali w nie pałeczki, następnie wkładali do koszyka i stawiali przed buddyjskimi ołtarzykami w domach.

Przedstawiciele bocznych gałęzi rodowych, a także młodszych rodzin niezależnych, jak każda tradycja, przychodzili zwykle do Samuraja, czyli do naczelnika całego rodu, z życzeniami noworocznymi. W tym roku z tego zwyczaju zrezygnowano. Nawet stryj, który dawniej przychodził, tym razem nie pojawił się z powodu choroby. Radość Samurajowi sprawił jedynie syn Kanzaburó, który życzenia noworoczne złożył ojcu w stroju mężczyzny, ponieważ już osiągnął pełnoletność.

Mimo wszystko Nowy Rok jest Nowym Rokiem. Krople wody z radosnym pluskiem opadały z topniejącego na dachu śniegu i sopli pod okapem, od strony stajni dobiegał wesóły głos bawiącego się na szczudłach młodszego syna.

Od czasu do czasu rozlegało się w Dolinie echo wystrzału. Książę pozwolił

polować na przelotne ptaki tylko w Nowy Rok. Widocznie Kanzaburó poszedł z chłopami na bagna. Echo wystrzałów pozostało w Dolinie bardzo długo, jakby nigdy nie miało się rozpląnąć.

Chłopi przynieśli upolowane ptaki. Pośród kilku kaczek leżących w sieni na klepisku znajdował się jeden biały ptak.

- Mówiłem, żeby nie strzelać do białych ptaków - Samuraj zawołał Kanzaburó i skarcił go. Pamiętał bowiem, jak to w zamorskiej podróży porównywał siebie z łabędziem ze snu.

Ciało ptaka było już sztywne i cuchnęło. Gdy je podniósł wypadło z brzucha kilka białych piór, które łagodnie, niby płatki z śniegu, upadły na klepisko. Długa szyja, pobrudzona ciemną krwią i błotem, zwisała z ręki Samuraja bezwładnie jak głowa owego Mężczyzny. Oczy przysłaniała błona. Nie wiedząc dlaczego. Samuraj znów pomyślał o własnym złowróżbnym losie.

Pod koniec stycznia umarł stryj. Samuraj pobiegł do jego domu. Ciało zmarłego zmalowało i przypominało teraz dziecko. Zapadnięte głęboko policzki wyrażały spokój. "Nawet u tego starego człowieka musiało wygasnąć przywiązanie do ziemi w Kurokawie" - pomyślał Samuraj.

Drogą do Shiraty, pokrytą ostatnim śniegiem, szedł w stronę podnóża góry kondukt żałobny otaczający trumnę, zwaną przez miejscowych ludzi gambako. Gambako złożono na cmentarzu, gdzie spoczywał ojciec, i pokryto ją czarną ziemią zmieszaną ze śniegiem i błotem. Samuraj przez posłańca zawiadomił patrona Ishidę o śmierci stryja.

Nie ustawało wycie wiatru przelatującego nocami ponad zmrożonym śniegiem Doliny. Wtedy nieoczekiwanie przybył posłaniec od pana Ishidy. Samuraj nie otrzymał od niego dotąd kondolencji po śmierci stryja. Może jego milczenie spowodowane było obawą przed potępieniem ze strony Rady Seniorów... Riku uważała, że ten niespodziewany posłaniec może oznaczać zakończenie kary, nawet Samuraj brał tę możliwość pod uwagę. Bo przecież mimo rozkazu nieopuszczania Doliny, wydanego przez Radę, pan Ishida wzywał go wraz z osobą towarzyszącą do Nunozawy.

I tym razem wziął ze sobą Yozo. W drodze było zimno, chociaż od czasu do czasu przez ołowiane śnieżne chmury prześwitywało słońce. Po twarzach często zacinął śnieg niesiony porywami wiatru od lasu. Konie szły wzdłuż rzeki pokrytej grubym lodem. Ileż to razy przemierzył ten szlak tam i z powrotem. Szedł tędy, gdy wzywano do robót publicznych lub gdy składał petycje w sprawie zwrotu ziem w Kurokawie, to znów gdy wracał z ciężkim sercem otrzymawszy od pana radę, by z tych ziem zrezygnował. To droga pełna wspomnień. Chodził nią zawsze w towarzystwie Yozo.

Od czasu do czasu Samuraj odwracał się w siodle i patrzył na sługę idącego za nim w milczeniu. Yozo miał na sobie okrycie zwane w tych okolicach kakumaki i podobnie jak w czasie zamorskiej podróży nie odstępował od swego pana.

- Zimno, co? - zwrócił się Samuraj do służącego współczująco. Wiatr jeszcze nie ustał, choć niebo się roz pogodziło, gdy dotarli do Nunozawy. Pod jasnym, bezchmurnym niebem ciągnął się w dal grzbiec bielejących gór, jak okiem sięgnąć pola uprawne również pokrywał zamarznęty śnieg. Tu pola są rozległe i łatwe do nawodnienia. Inaczej niż w Dolinie.

Woda w fosie wokół dworu pana Ishidy była zamarznęta. Z okapów słomianego

dachu obciążonego śniegiem zwisały sopte podobne do białych kłków. Yozo pozostał na podwórzu, Samuraj natomiast długo czekał w pokoju gościnnym, siedząc na drewnianej podłodze.

- Roku - powiedział pan Ishida ochryłym głosem, gdy siadał na podwyższeniu - wiem, jak ciężko ci było. Pójdę na grób stryja, jak tylko nadarzy się okazja. Ale powinieneś być zadowolony, że przynajmniej ród Hasekura nie został zlikwidowany.

„Cóż ja takiego uczyniłem?” - Samuraj powstrzymał się od słów, które cisnęły się na usta. Jaki byłby sens mówić o tym.

- To wszystko nie twoja wina. Nie miałeś szczęścia. Książę... - pan Ishida zawahał się - gdyby książę nie potraktował ciebie w ten sposób, nie mógłby wytłumaczyć się i obronić całego klanu - powiedział Ishida sapiąc.

- Obronić? - nie rozumiejąc, Samuraj podniósł głowę i patrzył ponuro na patrona. - Co to znaczy "obronić"?

- Wytłumaczyć się i obronić przed Edo. Teraz władca w Edo czeka tylko na byle pretekst, żeby wielkie księstwa jedno po drugim obalić, Edo dopiero teraz oskarża naszego wielmożnego pana o to, że długi czas dawał schronienie chrześcijanom, którzy uciekli z Kanto, a także o to, że zgodził się z życzeniem Velasco i wysłał do Nowej Hiszpanii pismo zawiadamiające, że chętnie przyjmie księży chrześcijańskich. Nasz klan musi przedstawić odpowiednie dowody we własnej obronie.

Samuraj klęczał, trzymając obie ręce przyciśnięte do zimnej podłogi i milczał. Jedna wielka łza spadła mimo woli.

- Zły los wplątał cię w politykę w czasie zachodzącej zmiany - mówił wzdychając i sapiąc Ishida. - Bardzo mi ciebie żal. Któż lepiej od starego człowieka, jakim już jestem, może zrozumieć twój ból.

Samuraj podniósł głowę i wpatrywał się w twarz Ishidy. W tym łagodnym głosie, dobrotliwej twarzy wyczuł fałsz. Wyczuł kłamstwo w minie starca, w jego sapaniu i w nienaturalnych westchnieniach. Ten mężczyzna nie rozumiał nic, nawet własnego żalu i rozpacz. On udawał, że rozumie.

- Nie pozwolę jednak Roku, żeby ród Hasekura przestał istnieć. Na tyle może się zgodzić Rada Seniorów i pan Ayugai. - Mocniejszym tonem powtórzył: - Uczynię wszystko... żeby odpowiednio zaopiekować się Kanzaburó.

Samuraj nie mógł pojąć, dlaczego ten stary człowiek teraz o tym mówi.

- Nie miej do mnie żalu.

- Żalu? Nie, nie mam...

- Są nowe rozkazy - oświadczył nagle Ishida jednym tchem, jakby zrzucając z siebie ciężar. Wstał i odszedł na chwiejnych nogach. Rozległy się kroki. I nagle pojawili się urzędnicy z Rady Seniorów, ci sami, którzy kiedyś przyjeżdżali już do Doliny.

- Oto rozkaz. - Nad głową Samuraja, leżącego niemal twarzą przy podłodze, rozległ się głos urzędnika:

- "Ponieważ Hasekura Rokuemon przeszedł na heretycką religię, w związku ze wznowieniem śledztwa musi natychmiast stawić się przed Radą Seniorów..."

Samuraj zrozumiał, że za zamkniętymi drzwiami na korytarzu znajduje się kilku ludzi wstrzymujących oddech. Czekali, żeby go aresztować na wypadek, gdyby Samuraj przeczuł, co faktycznie kryje się za słowami tego rozkazu, i

stawiał opór.

Skończył pisać list do żony i syna Kanzaburó, odciął trochę włosów z głowy i załączył do listu. Następnie zwrócił się z prośbą do przybocznego pana Ishidy, czekającego obok:

- Proszę zawołać służącego Yozo.

Gdy przyboczny wyszedł, Samuraj położył dłonie na kolanach i zamknął oczy. Urzędnicy z Rady Seniorów i pan Ishida na pewno znajdują się w sąsiednim pokoju, w całym dworze panuje nie zakłócona niczym cisza. Od czasu do czasu rozlega się tylko odgłos spadającego ze strzechy śniegu, osuwającego się pod własnym ciężarem. Po głuchym uderzeniu następuje jeszcze głębsza cisza.

"Zły los wplątał cię w politykę w czasie zachodzącej zmiany", brzmiały ciągle wyraźne słowa pana Ishidy. "Bardzo mi Ciebie żal. Któż lepiej od starego człowieka, jakim już jestem, może zrozumieć twój ból."

A potem urzędnik dodał: "To przykre dla mnie, chociaż spełniam jedynie obowiązek".

Samuraj nawet nie drgnął. We dworze panowała ciągle złowieszczą cisza, a w bezsilnym sercu całkowita pustka. Wznowienie śledztwa. Wznowienie śledztwa to tylko pretekst. Już wszystko wielokrotnie wyjaśniał, co było do wyjaśnienia, panom Tsumura i Otsuka. "Gdyby księżę nie potraktował Ciebie w ten sposób, nie mógłby wy tłumaczyć się i obronić całego klanu." Powracają słowa, które usłyszał od Ishidy. Wszystko więc od początku jest ustalone. Samuraj porusza się bezwolnie po tych ustalonych koleinach. Spada, zrzucony w mroczną pustkę.

Śnieg zaskrzypiał na dachu, ześliznął się i spadł. Odgłos przypominał mu skrzypienie lin żaglowych. Skrzypią liny, przelatują z ostrym krzykiem mewy, jeszcze raz biją fale o burzę, ta chwila, w której wyruszyli w stronę wielkiego morza, ta chwila, w której określił się jego los. Długa podróż prowadzi go teraz do ostatecznego przeznaczenia.

Samuraj nie wiedział, od kiedy przed drzwiami na śniegu siedział z opuszczoną głową uroczyście wyprostowany Yozó. Przyboczny pana Ishidy na pewno o wszystkim mu powiedział. Mrugając oczyma Samuraj chwilę popatrzył na tego wiernego sługę i rzekł:

- Za te wszystkie kłopoty, jakie miałeś do dziś... - dalsze słowa utkwili w gardle.

Yozo nie dosłyszał, czy jego pan wyszeptał podziękowanie za dotychczasowe trudy, czy też wyraził żal, że wszystko poszło na marne. Siedział z głową pochyloną, lecz wyczuł, że jego pan wraz z przybocznym wstali z miejsc.

Samuraj zobaczył opadający z dachu śnieg. Tańczące płatki przypominały mu białego ptaka w Dolinie. Przelotny ptak, przybyły z dalekich krajów do jego Doliny i znów odlatujący w nieznaną dal. Ptak, który widział wiele krajów, wiele miast. To był on, Samuraj. Teraz znowu do innego nieznanego kraju...

- Od tej chwili On będzie z tobą.

Za sobą usłyszał głos Yozó, drżący z napięcia.

- Od tej chwili On będzie z tobą.

Samuraj zatrzymał się, odwrócił, i ukłonił na potwierdzenie. Ruszył przed siebie czarnym połyskującym korytarzem ku kresowi swej podróży.

Zapadła decyzja o dniu egzekucji. W przeddzień Velasco i zakonnik Luis

Sasada uzyskali specjalne pozwolenie - mogli na oczach strażników umyć się i przebrać w nowe więzienne ubrania. Jak powiedział strażnik, był to "szczególny akt łaski" ze strony magistratu. Oblepione brudem ciała tak wychudły, że sterczały same żebra i kości. Na posiłek ostatniego wieczoru, również na mocy "aktu szczególnej łaski", do codziennej jarzynowej polewki dodano jedną nieświeżą rybę. Jak wyjaśnił strażnik, był to ostatni posiłek, ponieważ zgodnie z przepisami rano przed egzekucją jadła się nie podaje. Niektórzy więźniowie są bowiem tak przerażeni, że w miejscu kaźni wymiotują wszystkim, co mają w żołądku.

- Macie jakieś życzenie?

Velasco i Luis Sasada poprosili o czysty papier. Obaj chcieli napisać testament. W wątlym świetle, padającym przez kraty, Velasco napisał list skierowany do zakonników klasztoru w Luzonie:

W każdym ułamku sekundy odczuwam zbliżanie się mojej ostatniej chwili.

Niech będzie pochwalony Bóg, który przysłał deszcz miłości na skalistą, jałową ziemię Japonii. Proszę, żebyście wybaczyli mi grzechy. Popełniłem zbyt wiele błędów w ciągu życia. Jak człowiek, który nie osiągnął spodziewanych efektów, stara się wszystko rozwiązać jednym uderzeniem, tak ja teraz czekam na chwilę mojego męczeństwa. Niech spełni się wola Boża na bezdrożach ziemi japońskiej, jak się spełnia Jego wola w Niebiosach.

Wybaczcie, że nie mogłem wypełnić właściwie obowiązków, jakie nałożył na mnie Bóg jako na kapłana. I proszę Was, zapomnijcie, że tak wiele razy zraniłem Was swoją próżnością i arogancją. Życzę Wam powodzenia jako dobrym rolnikom pracującym na polach pszenicznych Pana Boga. Niech On nas wszystkich połączy w swej Boskiej chwale

Kiedy Velasco pisał, szczerze myślał o tym, że w ciągu wielu lat do dnia dzisiejszego jego próżność i arogancja zraniły wielu ludzi. Jutro będzie więc znosił męki za pokutę.

Gdy przekazał pismo strażnikowi, do celi zaczęły powoli zakradać się ciemność i ziąb. Jutro o tej porze już ich tu nie będzie. Cella opustoszeje. Gdy pomyślał, że zapadnie tu mrok tak samo jak dzisiaj, poczuł się niemal znieważony.

Kiedy modlił się razem z Luisem Sasada, rozległy się czyjeś kroki dochodzące z końca więzienia, a następnie otworzyły się okratowane drzwi celi. Płaska jak ryba twarz strażnika ukazała się w świetle świecy.

- Wchodź!

Na rozkaz strażnika duży, skulony cień człowieka niezdarnie wpłynął do celi. Zwrócił się do nich i powiedział po łacinie:

- Pax Domini.

W ciemności nie mogli rozpoznać twarzy ani sylwetki więźnia, lecz szedł od niego taki sam odór, jaki bił codziennie od nich.

- Jesteś księdzem?

Ochryplym głosem odpowiedział, że jest ojcem Carvalho z Zakonu Piotra.

- Byłem w więzieniu w Suzuda. Jutro razem z wami idę na śmierć.

Usłyszeli, że ukrywał się w pobliżu Nagasaki i został schwytany pod koniec ubiegłego roku. Z Suzudy, położonej między Ómurą a Nagasaki, przywieziono go tu, aby wykonać wyrok.

Velasco uśmiechnął się w ciemności. Znikła gdzieś zwykła wyniosłość.

Zrozumiał, że nie czuje żalu ani gniewu do misjonarza z Zakonu Piotra. Tego

zakonu, który w czasie podróży posługiwał się wszelkimi oszczerstwami, aby go pokonać i w końcu przeszkodził w wypełnieniu jego planów.

"Nie czuję nienawiści, lecz smutek. To chyba świadomość, że jutro dzielić będziemy razem śmierć, oczyściła wszystko. W porównaniu z potęgą jutrzejszej śmierci nienawiść i gniew jest czymś tak drobnym, że nie zasługuje na wzmiankę."

- Jestem ojcem Velasco - powiedział swoje imię. Wtedy ojciec Carvalho zamilkł. Velasco zrozumiał, że od dawna musiał znać jego imię.

- Nie martw się - pocieszał Velasco. - Już nie mam uprzedzeń. Jutro będziemy w tym samym kraju.

Poprosił ojca Carvalho, żeby wysłuchał jego spowiedzi. Ukląkł przy cuchnącej postaci spowiednika. Wiedział, że dokładnie usłyszy go Luis Sasada, lecz nie przemawiał się tym.

- Moja pycha i próżność wprowadziła w błąd i zraniła wielu ludzi.

Posługując się imieniem Boga próbowałem zaspokoić własną próżność. Wołę Bożą pomieszałem z moją samowolą. Były chwile, gdy Boga nienawidziłem. A to dlatego, że Jego wola przeciwstawiała się mojej. Zdarzało się, że nawet negowałem Boga. Uważałem, że Bóg zignorował moje pragnienia. Nie dostrzegałem swej chęci posiadania ani pychy, schlebiałem sobie, że wszystko czynię dla Boga.

Ojciec Carvalho westchnął, wydzielając nieświeżą woń. Ochryplym głosem wypowiedział słowa upomnienia, w końcu się przeżegnał.

- Pokój z tobą. Idź w pokoju.

Velasco pomyślał o mężczyźnie, którego spowiadał w Ogatsu. Nie wiedział, gdzie on jest, i co teraz robi, lecz szedł na śmierć ze świadomością, że go okłamał. Musi więc umrzeć, choćby z powodu tego kłamstwa. Mimo że skończył się spowiadać, nie poczuł w sercu spokoju.

O północy Luis Sasada zaczął nagle szlochać. Znowu zaatakował go lęk przed śmiercią. W takich chwilach Velasco brał chudą dłoń Sasady i modlił się za tego drżącego i płaczącego młodzieńca. Powoli przejaśniało się w celi.

Nadszedł poranek egzekucji.

Świt.

Wiał silny wiatr, choć niebo było pogodne. Wyprowadzono ich z celi na podwórze, gdzie stali w szeregu piechurzy z włóczniami i strzelbami, powiewała flaga księstwa Omura. Przed flagą na stołeczkach siedziało kilku przedstawicieli księcia, wśród nich znajdował się również urzędnik magistratu, który dawniej więźniów przesłuchiwał.

Urzędnik wstał z miejsca, kazał skazanym podać swoje nazwiska, pochylił się i wyszeptał coś do mężczyzny wyglądającego na urzędnika wyższego rangą.

Stary, otyły urzędnik rozwinął papier z tekstem wyroku i zaczął czytać.

Wieje zimny wiatr. W dali bieli się przejmujące chłodem spienione morze.

Skończył czytać wyrok, straż otoczyła skazanych i związała im ręce.

Zarzucała też sznury na szyję i zacisnęła niezbyt mocno.

Pochód ruszył. Urzędnicy na koniach, więźniowie, strażnicy i żołnierze szli pieszko w dół przez sad pomarańczowy. Chłopki przerwały pracę i przestraszone patrzyły w ich stronę.

- Crucifixus etiam pro nobis.

Zaintonował ojciec Carvalho, gdy szli po zboczach ledwie trzymając się na nogach.

- Crucem passus.



Ani urzędnicy, ani strażnicy nie przerywali śpiewu.

Kiedy zeszli na dół, za sadem pomarańczowym ukazało się miasteczko Omura.

Po obu stronach drogi stały strzechą kryte domy, a przed nimi mężczyźni z koszami na ramionach i kobiety z dziećmi patrzyli na procesję. Velasco próbował podtrzymać Luisa Sasadę, który chwiał się i wspierał na nim.

- Już wkrótce... już wkrótce wszystko się skończy. Bóg czeka na nas.

Szereg widzów ciągnął się do końca chat krytych strzechą.

- Panie, wybacz im. - Tymi słowami ojciec Carvalho zakończył śpiewanie hymnu.

- Ponieważ nie wiedzą, co czynią.

Za miastem nagle powiał silny wiatr. Woda w zatoce była wzburzona. Nigdzie ani jednej łodzi. Kępy nędznych sosen, posadzonych dla osłony przed wiatrem, chwiały się jak karły.

W dali widać było bambusową palisadę. Wokół niej stał oddział zbrojnych w strzelby piechurów. Był to Hókonbaru, plac egzekucji w Ómura.

Velasco patrzył na morze, gdy szli brudną plażą, po której walały się muszle i strzępy morskich roślin. Wiatr siekł go po twarzy. W dali za zatoką, na wyspie Hario, ukazały się góry o łagodnych fioletowych zarysach. Z tej strony wysepki kłębiły się fale, rozbiły o skały i rozpryskiwały na tak drobne kropelki, że wyglądały jak mgła. Na otwartym morzu świeciło już słońce. To był ostatni pejzaż Japonii, jaki Velasco oglądał.

W podmuchach wiatru od morza twarze i wargi skazańców czekających na śmierć były blade. Otwarto ogrodzenie. Pochód się zatrzymał. Wewnątrz ogrodzenia na środku placu świeżo wbite w ziemię słupy przypominały wysokich katów. Pod nimi leżały kupki słomy i drewna. Gdy strażnicy poprawili węzły na rękach więźniów, zbliżył się urzędnik magistratu.

- No co, nie macie ochoty wyrzec się wiary? To ostatnia szansa.

Dwaj misjonarze zdecydowanie potrząsnęli głowami. Luis Sasada przez chwilę milczał, ale i on odmówił.

Urzędnik kiwnął głową, zrobił kilka kroków, i jakby coś sobie przypomniał, podszedł do Velasco, popatrzył na niego uważnie i rzekł: - Zdradzę ci pewną tajemnicę, Hasekura i Nishi, z którymi jeździłeś do krajów południowych barbarzyńców, zostali straceni, ponieważ byli chrześcijanami.

Na ołowianych wargach milczącego Velasco pojawił się uśmiech.

- Teraz i ja mogę do nich dołączyć!

Szli jeden za drugim w stronę pali odmawiając Modlitwę Pańską. Trzy pale patrzyły na nich z daleka i cierpliwie czekały.

Strażnicy popchnęli skazanych w stronę pali. Wiatr huczał coraz głośniej.

Strażnicy skończyli przywiązywać skazanych, zawołali głośno: "Obyście się odrodzili w raju Buddy", i rozbiegli się na wszystkie strony. Urzędnicy już wcześniej pochowali się od wiatru i przyglądali przygotowaniom spod palisady.

Podszedł żołnierz z pochodnią i podpalił słomę i gałęzie. Płomienie, rozniecane przez wiatr, rozszerzały się bardzo szybko. Wzniosły się w górę kłęby dymu, skąd dochodziły słowa modlitwy, odmawianej głośno i dobitnie. Libera me, Domine,

De morte aeterna.

Po chwili, gdy płomienie wzniosły się już wysoko, zamarł głos Luisa Sasady, następnie ojca Carvalho. Huczał tylko wiatr i trzaskały palące się drewna.

Na koniec z głębi białego dymu przesłaniającego pal rozległ się jeszcze

głos Velasco:

- A jednak żyłem...

Straż i urzędnicy drżący z zimna z daleka przyglądali się przygasającym płomieniom. Kiedy płomienie zniknęły, wciąż stały trzy pale pozbawione swoich więźniów, wygięły się jak łuki i nadal dymiły.

Strażnicy zebrali kości i popiół na matę z sitowia, nakładali do niej również kamieni i poszli wrzucić do morza.

Spienione fale, atakujące plażę, połknęły matę, zderzyły się i wycofały.

Powtórzyło się to kilka razy, aż zimowe słońce rozjaśniło piasek długiego brzegu. Pod huczącym wiatrem rozciągało się wielkie morze. Wydawać się mogło, że nic się tu nie zdarzyło. Za bambusową palisadą zrobiło się pusto

- nie pozostał nawet ślad człowieka.

## Postłowie

Shusaku Endo urodził się 27 marca 1923 roku w Tokio jako drugi syn urzędnika bankowego i nauczycielki gry na skrzypcach. W roku 1926 rodzina Endo wyjechała do Mandżurii, dokąd ojciec został wysłany służbowo. Przez siedem lat Shusaku mieszkał w Talien na półwyspie Liactuńskim. Po rozwodzie rodziców w roku 1933 matka Ikuko zabrała obu synów, Shosuke i Shusaku, do Kobe, gdzie mieszkała jej starsza siostra z mężem. Właśnie w Kobe poznała zakonnice katolickie i pod ich wpływem zaczęła chodzić do kościoła. Przyjęła chrzest i posyłała synów na lekcje religii. W końcu Shusaku, niewiele rozumiejący z tego, czego go uczyli księża, został ochrzczony jako Paweł. Miał jedenaście lat. Później pisał o tym w Awanai yofiiku (Nie pasujące europejskie ubranie) jako o zdarzeniu, na które nie miał żadnego wpływu. Dopiero w czasie wojny cały splot wydarzeń sprawił, że Shusaku zaczął zastanawiać się nad problemami grzechu, winy, wyrzutów sumienia, ludzkich wad, a zwłaszcza roli pożądanego zachowania człowieka. Poruszał te sprawy w Kiroi hito (Żółty człowiek) oraz w Wulkanie.

W roku 1943 Shusaku Endo zapisał się na kurs przygotowawczy Wydziału Literatury Uniwersytetu Kei'6 w Tokio. W tym czasie musiał jednak sam zarabiać na własne utrzymanie.

Zarówno robotnicy w fabryce, w której dorywczo pracował, jak i studenci odnosili się do niego podejrzliwie, ponieważ wiedzieli, że jest chrześcijaninem, to znaczy wyznawcą wiary wrogów. Shusaku nie uległ presji otoczenia i zamieszkał w bursie przeznaczonej dla studentów chrześcijańskich. Tam poznał filozofa Yoshimitsu Yoshihiko, opiekuna bursy, który wywarł wpływ na zainteresowania Shusaku barierami dzielącymi kulturę japońską od europejskiej, a także źródłami i rozwojem chrześcijaństwa na Zachodzie i w Japonii.

Studia romanistyczne podjął Endo dopiero po zakończeniu wojny. Dzięki romanście, profesorowi Sató Saku, zainteresował się twórczością Francois Mauriac i George Bernanosa. W pierwszych esejach wyjaśniał różnice między religiami japońskimi i europejskimi, zwłaszcza między wszechobecnym w Japonii panteizmem i monoteistycznym katolicyzmem. Ogłaszał też prace o pisarzach katolickich w czasopismach "Shiki" i "Mita-bungaku". Jedno z dłuższych opracowań krytycznych z tego okresu poświęcił rozważaniom o twórczości japońskiego pisarza lat trzydziestych, Hori Tatsuo.

Endo miał to szczęście - lub nieszczęście - że został pierwszym japońskim stypendystą we Francji. Oto w październiku 1950 roku wyjechał do Lyonu, aby tam studiować francuską literaturę katolicką. Poznając tę gałąź twórczości coraz bardziej zdawał sobie sprawę z tego, jak wielkie różnice istnieją między sposobem myślenia i odczuwania Europejczyków i japońskimi postawami. Te różnice przeżywał wręcz jako przepaść nie do przebycia. Dla pisarzy, których twórczość badał, przyjęcie chrześcijaństwa było niejako powrotem do spraw bliskich, jakby powrotem do domu, dla Endo natomiast było "cierpieniem cudzoziemca" (ihójin-no kuno). Wrażenia z pobytu we Francji spisywał i przysyłał do miesięcznika "Gunzo". Pisanie stawało się jego pasją. Pragnął w formie powieściowej wyrazić swe przemyślenia i doświadczenia o różnicach kulturowych narodów. Czuł się zagubiony czy wręcz upośledzony w porównaniu z białym człowiekiem, który wypracował sobie jasne granice między grzechem (winą) i dobrem. Dla Japończyka niemal wszystko jest względne, wszystko, co sprzyja kompromisom i zmniejszeniu poczucia winy.

Zimą 1952 roku Endo nabawił się gruźlicy płuc i następnego roku zamieszkał w Paryżu, gdzie go umieszczono w szpitalu. Studiów nie mógł kontynuować, wrócił więc do Japonii, aby ponad rok przeleżeć w szpitalu i w domu. W tym też czasie eseje publikowane w „Gunzo” ukazały się w tomie pt. Furansu-no daigakusei (Studenci francuscy, 1953). Stan jego zdrowia poprawił się na tyle, że mógł prowadzić wykłady z literatury francuskiej i pisać. Znany dziś krytyk i wykładowca literatury, Okuno Takeo, nakłonił Shusaku do współpracy z powstającymi grupami literackimi i wydawanymi przez nie czasopismami. Wtedy właśnie spotkał Endo początkujących, a dziś bardzo znanych pisarzy: Yoshiyuki Junnosuke, Yasuoka Shotarō, Miura Shumon, Kojima Nobuo, Shōno Junzō, i został członkiem nieformalnej grupy i orientacji literackiej, która otrzymała nazwę "Daisan-no shinjin", czyli „trzeci nowi”, to znaczy „trzecie nowe pokolenie” w odróżnieniu od dwu pokoleń nurtu nazywanego "Sengoha", czyli "szkoła powojenna" lat czterdziestych i pięćdziesiątych.

Jako powieściopisarz debiutował opowiadaniem aden-made (Do Adenu, 1954), przedstawiającym zagubienie żółtego człowieka przebywającego w środowisku białych. Na przykładzie francuskiego ruchu oporu przedstawia problemy wiary i zdrady, konfliktów między duchem i ciałem, bogiem i człowiekiem w powieści Shiroy hito (Biały człowiek, 1955). Ten utwór przyniósł mu Nagrodę im. Akutagawy. Rok wcześniej wydał tom szkiców o pisarzach katolickich. Różnice w postawach Europejczyków i Japończyków nurtują pisarza w dalszym ciągu. W Kiiroi hito bohater, francuski ksiądz, wciąż myśli o Bogu, natomiast przewrotny Japończyk popełnia grzechy bez najmniejszych wyrzutów sumienia. Podobnie w Aoi chiisana budo (Małe zielone winogrona, 1956) próbuje wyjaśnić źródła tego rodzaju odmienności postaw.

Mimo że od roku 1956 pracował jako wykładowca na Uniwersytecie Sophia w Tokio, pracy literackiej nie przerwał. Wydał tom pt. Bóg i szatan, a w następnym roku Takashiego podróż po Francji oraz Kochać i kochać. Najambitniejszy utwór tego okresu Morze i trucizna (1958), został wyróżniony Nagrodą Literacką Shinchosha i Nagrodą Mainichi (Mainichi Shuppan Bunkashō). W tym samym roku Endo bierze udział w Konferencji Pisarzy Azji i Afryki w Taszkencie wraz z tak znakomitymi literatami japońskimi jak Ito Sei, Noma Hiroshi i Katō Shuichi. Wkrótce potem ukazała

się Koi-ehon (1959), ilustrowana książka o miłości, Szaleniec? (1959) i Kumo Shitsaku-kyodimdan (Straszne opowieści Shiisaku - Pająk, 1959). W celu odbycia studiów nad markizem de Sade, wraz z żoną (Okadę Junko poślubił w roku 1955) udał się do Francji, a następnie do Anglii, Hiszpanii, Włoch i Grecji, a także do Jerozolimy. Po powrocie, w styczniu następnego roku zachorował i musiał dłuższy czas leczyć się w szpitalu. Jego aktywność pisarska jednak nie słabnie: ukazują się Wakai hi-no ren'ai noto (Notatnik miłosny z młodości), Wulkan, Amari-ni aoi sora (Nazbyt błękitne niebo), Seisho-no naka-no onnatachi (Kobiety w Biblii). W roku 1961 przechodzi trzykrotnie operację płuc. Mimo to wydaje Hechima-kun (Kolega Tykwa 1961), Kekkon (Ślub, 1962), Shukyō-to bungaku (Religia i literatura, 1963). Wreszcie przeprowadza się do nowego mieszkania w mieście Machida, należącym do metropolii Tokijskiej i nazywa własny dom Korian (Pustelnia Lisa i Szopa). Przyjął też żartobliwy przydomek Korian Sanjin.

Rok 1964 pomnaża dorobek pisarza. Ukazują się m. in. Kobieta, którą porzuciłem, Ukiyoburo (Łaźnia ulotnego świata), Ichi-nisan (1 2 3!) i Gisaku (Plagiat). Wydając w 1956 roku szkice, przygotowuje się do kolejnego ambitnego dzieła: odbywa kilkakrotnie podróż z Miurą Shumonem do Nagasaki i Hirado. W marcu roku 1966 wydaje Milczenie i dramat o zbliżonej tematyce pt. Ogon-no kuni (Złoty kraj), a ponadto kilka tomów szkicowi humoresek, m. in. Kin-togin (Złoto i srebro), Rakutenshugi--no susume (Popieranie optymizmu), Kyōshūkyoku (Koncert). W październiku za Milczenie otrzymuje Nagrodę im. Tanizakiego. Od roku 1965 ukazują się książki z serii „luźnych rozmów z Korian", zbiory bardzo poczytnych gawęd, a także rozmowy i szkice o historii chrześcijaństwa w Japonii.

Na zaproszenie J. Almando Martinez, ambasadora i znanego intelektualisty, udaje się do Portugalii, gdzie bierze udział w obchodach trzechsetlecia św. Wincentego. Odnotować też należy jego podróż do Izraela w latach 1969, 1970 i 1972 w związku z zainteresowaniami Biblią i związanymi z nią zabytkami. Wcześniej opublikował Seisho-monogatari (Opowieści biblijne, 1968) później przemianowane na Iesu-no shōgai (Życie Jezusa).

Ukazują się też zbiory humoresek (1969) i opowieści niesamowitych (1970). Po podróżach do Ajuthaii, Benaresu, Stambułu, Sztokholmu i Paryża w 1971 roku, odwiedza Andaluzję i kilka miast europejskich: w 1974 Meksyk, w 1976 Polskę (był także w Oświęcimiu). Co roku ukazują się jego szkice z podróży i humoreski, a także ambitne opowiadania i powieści. Należy do najaktywniejszych pisarzy japońskich. Znany i lubiany za lekkie humoreski przez jednych i ambitne dzieła - przez drugich.

Twórczość Endo poza granicami Japonii

Kilka powieści Shusaku Endo czytelnicy polscy znają poprzez publikacje Instytutu Wydawniczego PAX. Są nimi w tłumaczeniu Izabeli Denysenko Milczenie (1971), Morze i trucizna (1974), Szaleniec? (1976) i Kobieta, którą porzuciłem (1978). Utwory Endo są na ogół poza Japonią zrozumiałe i nie wymagają dodatkowych uzasadnień. Milczenie czy Morze i trucizna przemawiają do nas, nawet jeśli nie znamy obyczajów i historii Japonii, choć niewątpliwie znajomość spraw tego kraju byłaby bardzo pożyteczna. W twórczości Endo w mniejszym bowiem stopniu chodzi o zewnętrzne przejawy chrześcijaństwa i jego historie w Japonii. Pisarza obchodzi głównie moralność wykształcona przez nurt chrześcijański, wartości stąd płynące oraz konflikty rodzące się ze zderzenia różnych kręgów kulturowych.

Od debiutu powieściowego i od Nagrody im. Akutagawy za Shiroi hito (1955) minęło ponad dziesięć lat nim zainteresowali się Endo krytycy zagraniczni. Jest to moment ogłoszenia Milczenia. Dopiero od sukcesu i rozgłosu Milczenia na każdy nowy utwór tego pisarza zaczęto oczekiwać z dużym zainteresowaniem. Nowej ocenie poddano też wcześniejsze dzieła, które również znalazły wydawców za granicą. Niecodzienny temat Milczenia traktujący o początkach chrześcijaństwa w Japonii, a przede wszystkim wadzący się z tzw. milczeniem Boga w sytuacji ostatecznego zagrożenia bohatera oraz wrogość miejscowego Kościoła wobec tej powieści zaintrygowały krytyków europejskich i amerykańskich. Sława przyszła więc do Endo dość nagle. Zaczęto go nazywać japońskim Grahamem Greene'em. Zainteresowanie wzbudziły jednak jego utwory o tematyce chrześcijańskiej. Szybciej je tłumaczono i wydawano w Europie: Milczenie w trzy lata od publikacji oryginału. Ogon-no kuni (1966) w cztery lata później, Haha naru mono (1969), Iesu-no shogai (1973) również w cztery lata później. Inne utwory musiały na tłumaczy czekać trochę dłużej, np. Morze i trucizna piętnaście lat, Wulkan - dwadzieścia, ale Kuchibue-o fuku toki (1974, Kiedy sobie pogwizduje), wydano w języku angielskim tylko pięć lat później. Uwaga krytyków, a także wydawców, skupiała się na problemach japonizacji chrześcijaństwa i próbie chrystianizacji Japonii. Jednak czytelnik dzieł Endo na pewno zauważył, że pisarz ten nie zajmuje się dyskusjami na temat teologii chrześcijańskiej, ponieważ pasjonuje go przede wszystkim człowiek i jego harmonia lub konflikt z Bogiem czy harmonia z kulturą, w jakiej żyje. Być może rację mają ci (np. F. Mathy), którzy twierdzą, że podstawowym motorem działania bohaterów Endo jest miłość. Oczywiście, Endo jest świadom tego, że rola miłości w dzisiejszym świecie jest poważnie ograniczona przez egoizm i obojętność. Dlatego gdy życie w obojętności na sprawy innych bywa łatwiejsze, miłość musi oznaczać również poświęcenie i rezygnację z własnych wygod.

Endo jest zwykle po stronie cierpiących i uciskanych, z głębokim zrozumieniem pokazuje ludzi błędzących, jakby chciał powiedzieć za niektórymi patriarchami japońskiego buddyzmu, że do zbawienia droga wiedzie przez grzechy, a do dobroci i prawdziwej miłości dochodzimy tylko przez zło i cierpienie. To właśnie takich ludzi, wcale nie kryształowych, lecz dochodzących do poznania autentycznych wartości poprzez błędzenie, nazwał Endo po prostu baka, czyli szaleńcami. Lecz ów „szaleniec” czy „głupiec” w ujęciu Endo nie znaczy tyle samo o „idiota”. „Głupiec” Endo działa, a nie tylko myśli o działaniu, nie unika odpowiedzialności za siebie i innych, za własne błędy płaci sam.

Najbardziej znanym przykładem „głupca” jest Gaston Bonaparte z powieści Szaleniec”), wydanej w Polsce przez IW PAX, a także niektóre postaci z Kuchibue-o fuku toki oraz z innych utworów. Jego szaleniec działa jakby instynktownie i nie musi mieć poczucia pełnienia jakiejś misji. Zachowuje się często irracjonalnie, naiwnie, dziecinnie, niezrozumiale. Budzi więc zdziwienie, zniecierpliwienie, znaczący uśmiezek u innych. Ci „inni” należą do kręgu określonego przez Endo jako numa, czyli „bagno”. W tym właśnie kręgu wegetują ludzie nie mający dość silnego instynktu walki i nie będący w stanie wyrwać się z ograniczeń egoizmu. Tylko jakiś niebanalny czyn jest zdolny potrząsnąć człowiekiem kręgu numa i stworzyć gotowość na przyjęcie lub danie miłości. W dziełach Endo nie ma złych bohaterów. Żyją w

grzechu, bo nie znają dobra, lub popełniają zło, ponieważ są słabi. Wszyscy oni zasługują na miłość, a nie na potępienie.

Niezdolność do walki, poddanie się destruktywnym działaniom zdarzeń, przyznanie się do klęski przed rozpoczęciem walki cechuje wielu bohaterów powieści Endo. Na przykład lekarz Suguro w *Morzu i truciźnie* nie potrafi się przeciwstawić, zbuntować czy choćby zaprotestować przeciw eksperymentom wiwiseksji podejmowanym na jeńcach amerykańskich w czasie wojny. Lekarz Toda natomiast wie, że czyni źle, lecz całą odpowiedzialnością obarcza społeczeństwo. W ten sposób czuje się rozgrzeszony i odrzuca od siebie myśli o ewentualnym wzięciu na siebie odpowiedzialności. Uważa, że ci, którzy będą ich sędzić, nie postąpiłoby inaczej niż on i jego współpracownicy lekarze.

Często lęk przed osądem społeczeństwa ogranicza bohatera. Na przykład Suda, główna postać w powieści *Wulkan*, wciąż żyje w poczuciu najrozmaitszych ograniczeń narzuconych przez społeczeństwo. Nie myśli w kategoriach dobra i zła, lecz konieczności. Stara się więc nie być w sprzeczności z regułami współżycia społecznego. Z tego powodu wyobcowuje się nawet z własnej rodziny. Dopiero gdy się zorientował, że pozostał zupełnie sam, poważnie zastanawia się nad własnym życiem. Zrozumiał, że wbrew przekonaniu o własnej dobroci, nikogo nie kochał naprawdę, nikt również jego nie kochał. Żona przyznaje, że wołałaby, aby ją zdradził, gdyby dzięki temu mogła zrozumieć, że jest zdolny kochać kogokolwiek. Właśnie Suda z powieści o starości i frustracji jest typowym przykładem mieszkańca z kręgu „bagna”.

#### W szpitalu

Idealnym miejscem służącym analizie ludzkiej podłości jest dla Endo szpital. Nie tylko w *Morzu i truciźnie*, lecz także w *Wulkanie* jego bohater przebywa w szpitalu, podobnie w *Być matką* i w innych utworach. Poprzez stosunki między pacjentami, a także między chorymi i ich rodzinami oraz między lekarzami przedstawia w sposób wyostrowany warunki życia społecznego poza bramą szpitalną. W miejscu, gdzie skupia się stężenie ludzkich słabości, widać najostrzej prawdę o tym, że wszyscy są równi wobec cierpienia, ale nie wszyscy są jednakowo traktowani. W tym kręgu cierpienia nie miłość i współczucie rządzi ludzkimi zachowaniami, lecz cynizm i wyrachowanie. W powieści *Kiedy sobie pogwizduję* spotykamy młodego lekarza, który gotów jest zniszczyć każdego, kto stanie na drodze jego kariery. Całe szczęście, że są na świecie również ludzie kochający z otwartą prostotą, ufający innym, nawet jeśli są oszukiwani i zdradzani. Takich nazywa się „głupcami”.

#### Między buddyzmem a chrześcijaństwem

W jakim stopniu taka ocena ludzi w twórczości Endo wywodzi się z humanizmu chrześcijańskiego, a w jakim z humanistycznych nurtów rodzimych? Trudno orzec jednoznacznie. Zresztą w wielu utworach Endo przewija się natrączywie pytanie o sposób rozumienia założeń chrześcijaństwa przez Japończyków w procesie asymilacji religii i kultury chrześcijańskiej. Endo zastanawia się na przykład, czy Japończycy koncepcję Boga przyjęli zgodnie z intencją misjonarzy. A także czy rozumienie „dobra” i „zła”, oraz grzechu było zgodne z koncepcjami chrześcijańskimi. Czy czasem chrześcijaństwo, jakie dał Zachód Japonii, nie było źle skrojonym i nie dopasowanym ubraniem? Na

to pytanie próbuje dać odpowiedź w licznych esejach i powieściach. Dzięki Endó problemy chrześcijaństwa stały się w Japonii ostatniego ćwierćwiecza nieco bliższe również buddystom i shintoistom. Czytają go bowiem nie tylko chrześcijanie, lecz wszyscy miłośnicy dobrej literatury.

Jest w powieściach i esejach, a także w humoreskach Endó coś bardzo ważnego w życiu człowieka, poruszającego serca i umysły nie tylko wierzących. W powieściach Endó odnajdujemy samych siebie, nawet jeśli śledzimy losy bohatera żyjącego w obcej i nie znanej nam kulturze. Endo daje do zrozumienia, że są sprawy, które łączą wszystkich ludzi, niezależnie od przynależności kulturowej czy rasowej. Poszukuje dróg prowadzących wprost od człowieka do człowieka w powikłanym świecie wzajemnej nieufności i egoizmu. Być może dlatego tak ważne są dla niego zdarzenia rozgrywające się na pograniczu jednej lub drugiej wiary, na stykach kultur. O przynależności do któregoś z kręgów kulturowych i religijnych zaświadcza autentyzm przeżycia duchowego, działanie i zachowanie bohatera. Endó daje do zrozumienia, że dopóki człowiek egoistycznie chełpi się swoją wiarą, nie jest ona prawdziwa. Dopiero gdy doświadcza swe przekonania w cierpieniu, przybliża się do Boga. Nie kryje swych wątpliwości lub wręcz sugeruje, że gdy giną męczennicy silni tylko swoją pychą wobec świata i oprawców, nic dziwnego, że Bóg milczy. Bóg odzywa się jedynie wtedy, gdy bohater (człowiek) jest upodlony. Nie jest to całkowicie zgodne z duchem wiary chrześcijańskiej. Ta akceptacja słabości ludzkich może mieć u Endo źródło również w amidyzmie, w wierze w Amidę, kiedy szczere i pokorne zwrócenie się do bóstwa umożliwia zbawienie nawet największym grzesznikom. Ale Endó zna dobrze tradycje chrześcijańskie, nawiązuje często do Ewangelii i odnajduje w dziejach Japonii historie paralelne.

Motyw narzucenia Boga z zewnątrz i dochodzenia do niego przez własne doświadczenie, własne cierpienie, wyraźnie występuje w Milczeniu, a także w Samuraju. Zresztą dla Endo Bóg podarowany mu przez jego matkę przez długie lata pozostawał zapewne jedynie „tamnym Mężczyzną” z Samuraja. Dopiero po głębokich przeżyciach i po zaakceptowaniu wiary z własnej woli „tamten Mężczyzna” stał się dla niego Bogiem.

Dla Endd wciąż pozostaje otwarte pytanie, jaka postawa jest lepsza: czynnego wyboru czy biernego przyzwolenia. Nawet jeśli wie, co ma odpowiedzieć, to jednak również rozumie, że w życiu codziennym nie ma sytuacji całkowicie klarownych. Endo nie twierdzi jednak, że każda wątpliwość jest słabością, a każda słabość jest godna akceptacji. Pokazuje też skutki płytkiego powierzchownego życia i instrumentalnego traktowania innych. Zdarza się, że taki pozbawiony podmiotowości, nijaki bohater w obliczu śmierci zdaje z tego sprawę i podejmuje dramatyczną próbę przywrócenia własnej godności.

## Samuraj

Kim był tytułowy Samuraj? Czy istniał w rzeczywistości? Niewątpliwie tak. Autor sam go w powieści identyfikuje jako Hasekurę Rokuemona, który żył w latach 1571-1622. Znany jest również jako Hasekura Tsunenaga. Należał do klanu Sendai, był poddanym księcia Datę Masamune (1566-1636), sojusznika Tokugawy Ieyasu. Z relacji historycznych wiadomo, że Hasekura został przez swego "wielmożnego pana" wybrany na kierownika poselstwa, które z Japonii północnej udało się w październiku 1613 roku do Nowej Hiszpanii, czyli do

dzisiejszego Meksyku i do Europy. Po przepłynięciu Pacyfiku, a następnie po wędrówce przez Meksyk i po przepłynięciu Atlantyku Hasekura przybył do Hiszpanii po roku od opuszczenia brzegów Japonii. Przyjął go król Filip III, zaszczylił go też obecnością podczas chrztu w Madrycie 17 lutego 1615 roku. W Rzymie papież Paweł V nadał jemu i jego towarzyszom honorowe obywatelstwo rzymskie. Hasekura wrócił do Japonii w roku 1620 i zastał tam zupełnie nową sytuację polityczną. Jego pan, Datę Masamune, już nie sprzyjał chrześcijanom jak dawniej, nie interesował się wynikami tej ciężkiej, dramatycznej podróży. Hasekura musiał wraz z towarzyszącymi mu osobami, które zdołały powrócić do Japonii, wyrzec się chrześcijaństwa. Nie wiemy dokładnie, jak się zachował Hasekura. Jego szczegółowy pamiętnik został zniszczony, tak jak zostały zniszczone inne przedmioty związane z podróżą i nową religią.

Od 28 października 1613 roku, tzn. od wspomnianego wypłynięcia z portu Tsukinoura, Rokuemon notował spostrzeżenia w dzienniku. Wiadomo, że dokument ten istniał po śmierci Rokuemona, lecz później uległ zniszczeniu. W związku z tym niewiele wiemy o tej podróży, podobnie jak niewiele wiemy o bohaterze. Historycy japońscy potwierdzają, że Hasekura należał do oddziału strzelców u Datę, że miał niewielką i mało znaczącą posiadłość w północno<sup>^</sup>-wschodniej Japonii. I nagle ten nieznan samuraj pojawia się jako poseł na nowo zbudowanym statku, na galeonie „San Juan Baptista”, razem z setką Japończyków i około czterdziestu Hiszpanami.

Tłumaczem posłów był franciszkanin, ojciec Luis Sotelo (1574-1624), model powieściowego Velasco. Wiadomo, że statek dotarł do Acapulco 28 stycznia 1614 roku, ale nic nie wiadomo, co Hasekura i jego ludzie robili w Nowym Meksyku. Z pośrednich niepewnych informacji zaczerpniętych z europejskich źródeł (Scipione Amati Historia del Regno di Voxu) wynika, że w Meksyku ochrzciło się siedemdziesięciu ośmiu Japończyków. Później około dwudziestu przewędrowało Meksyk i z portu Veracruz 10 czerwca 1614 roku wypłynęło do Hiszpanii. Poselstwo w Europie pozostawało do lata 1617 roku; nie wiadomo jednak, co czyniło. W lipcu 1618 roku posłowie dotarli do Manili, otrzymali z Japonii polecenie czekania na miejscu na dalsze instrukcje. W roku 1620 Hasekura otrzymał zezwolenie na powrót do Japonii, a następnie do stron rodzinnych. Od tego momentu kroniki japońskie milczą. Przetrwowało kilka wersji jego ostatnich miesięcy życia. Nie wiadomo, która jest prawdziwa. Endb próbuje zrekonstruować jego historię w bardzo interesujący i prawdopodobny sposób. Wiadomo, że w roku śmierci Hasekury ojciec Sotelo w przebraniu przybył na wyspy Japońskie, został jednak szybko schwyty i zginął śmiercią męczeńską 25 sierpnia 1624 roku. Tyle wydobyto dotąd z dokumentów. Może przyszłość odkryje więcej. Wiele więc spraw związanych z poselstwem Hasekury pozostaje nadal zagadką. Nie wiemy, w jakim celu wysłano posłów z liczną grupą kupców do Nowej Hiszpanii w okresie, gdy Japonia zamykała swoje granice, odcinała się od świata zewnętrznego i tępiła bezlitośnie chrześcijan. Endb daje własną powieściową interpretację tej zagadki - odpowiada na wiele pytań nie tylko natury historycznej. Stosunek Japończyków do chrześcijaństwa w XVII wieku, możliwości zrozumienia zasad tej wiary i filozofii życia, cechy myślenia i zachowania Japończyków w XVII wieku to sprawy wciąż aktualne nie tylko dla autora Samuraja.

Nic więc dziwnego, że po ukazaniu się tej powieści wiosną 1980 roku krytycy



i czytelnicy powitali ją z wielkim zainteresowaniem. Utwór wyróżniono też Nagrodą im. Nomy (1981). Nie jest to zwykła powieść przygodowa. Ani też powieść historyczna. Pisarza interesuje prawda - jednak nie prawda o ścisłych faktach historycznych, lecz prawda o sprawach ludzkiego ducha, o sprawach moralnych. Podróż Hasekury na Wschód, a następnie do Europy dla Endb jest raczej przygodą duchową, czyli podróżą w wymiary czasu i przestrzeni wypełnionej myślą i uczuciem człowieka. Jest też próbą wniknięcia w tajniki odmiennej kultury i jej twórców.

10 listopada 1985 roku

Mikołaj Melanowicz

Przekładu dokonano na podstawie oryginału wydanego przez Shinchbsha dnia 20 kwietnia 1980 roku w Tokio.

W maju 1985 roku autor „Samuraja” został prezesem japońskiego PEN Clubu. Jest dziesiątym przewodniczącym od powołania w 1933 roku tej organizacji w Japonii.